

ROK 1984

Antologia współczesnej SF



Antologia współczesnej SF

Rok 1984

Wybór i opracowanie: *Andrzej Szatkowski*

WPROWADZENIE *

„To, co trzymasz w dłoniach, to więcej niż książka. Jeśli mamy szczęście, to rewolucja.”

Harlan Ellison ze wstępu do antologii „Niebezpieczne wizje” (Hollywood, styczeń 1967)

„Rok 1984” to książka rewolucyjna. Dla Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Stanowi ukoronowanie jego kilkuletnich starań o wydawanie corocznej (oby!) antologii opowiadań science fiction, autorów którzy... po prostu w danym roku na ich zamieszczenie w niej zasłużyli,

I nie są twórcami, którzy promocji już nie wymagają. Wśród początkujących na polu SF pisarzy krąży teza, że łatwiej jest o debiut niż o wydrukowanie swojego drugiego, czy też trzeciego opowiadania. Antologia ta daje im tą szansę. Ze względu na objętość, trwałe zadomowienie się na polskim rynku SF, jak też i przez wzgląd na to co piszą, wielu autorów zostało w niej pominiętych. Znaleźć natomiast w niej czytelnik może opowiadania debiutanckie. Daliśmy szansę tym, którzy nie znaleźli się w wybranej czterdziestce (!) (jak szacuję) nowych autorów, opowiadań opublikowanych w polskiej prasie w 1984 roku.

Książka ta w równym stopniu zdaje się być antologią, almanachem, i rocznikiem literackim. Jest więc czymś zupełnie nowym na gruncie wydawniczym polskiej fantastyki naukowej. Obok opowiadań zawiera również inne krótkie formy literackie, autorami których są reprezentatywni dla nich twórcy. Drugą część „Roku 1984” otwiera bardzo interesująca dyskusja krytyków i teoretyków gatunku nt. „Polska fantastyka naukowa w czterdziestoleciu Polski Ludowej”. Pozostałe artykuły tej części dotyczą bezpośrednio wydarzeń omawianego roku.

Czytelnik znajdzie tu próbki publicystyki (również z elementami eseju), krytyki literackiej, polemiki oraz tekstu z kręgu publicystyki fanowskiej, tak często spotykanej w wydawnictwach klubowych. Zgromadzenie ich, wraz z opowiadaniem, pod okładką jednej książki spowodowane jest chęcią zaprezentowania czytelnikowi różnych nurtów i oblicz polskiej fantastyki.

Zebrane w pierwszej części książki opowiadania wskazują na poszukiwanie przez twórców nowych sposobów kreowania świata, wkraczanie na nowe tereny. Jaki będzie dalszy przebieg procesu poszerzania dotychczasowej formuły twórczości na polu science fiction w kierunku szeroko rozumianej fantasy, pokażą najbliższe lata. Już w tej chwili mogę jednak stwierdzić powolny zanik (!?) political fiction (stąd w antologii jej tak mało) i w mniejszym stopniu social fiction.

Książka w sposób symboliczny pragnie również zaprezentować, na zasadzie „galerii”, twórczość pozaliteracką. Bohaterem „Roku 1984” jest bardzo młody grafik z Warszawy, Robert Hornik, którego prace eksponowane były dotychczas na wielu wystawach organizowanych przez PSMF przy okazji imprez klubowych.

Z życzeniami, by to co Czytelniku trzymasz w dłoniach, było dla Ciebie czymś więcej niż książką

pozostaje
Andrzej Szatkowski

CZĘŚĆ I

PASOŻYT

Oporna kuleczka za żadne skarby nie chciała wtoczyć się do środka labiryntu, co w myśl umowy pomiędzy Kitem, Martinsonem i Babuschką, równało się zwolnieniu z przyrządzania posiłków dla załogi. Niestety, po raz osiemnasty rozległa się syrena, ściany labiryntu wsiąkły w podstawę, by po chwili ukazać się w zupełnie innym już układzie. Babuschką westchnął i postanowił spróbować jeszcze dwa razy. Do pełnej dwudziestki.

Tym razem zastosował inną taktykę. Pchnął kulkę do przodu, a następnie puścił bezładną serię uderzeń z prawej i lewej. Licznik błędów radośnie zapulsował przekroczonym limitem, a kulka i ścianki rozpląnęły się. Babuschka pokazał wrednej maszynie język i już miał zacząć ostatnią grę, gdy drzwi otworzyły się i do sali relaksu wszedł Kit.

Babuschką szybko odsunął się od manipoola w stronę regału z literaturą, odciągając niejako komandora od labiryntu i zjadliwie pomarańczowej cyferki „19” w okienku licznika gier. Manewr prawie się udał, Kit, nie patrząc na tablicę, przysiadł na płycie.

— Odbieramy bombę.

— O? O co chodzi? — Babuschką gorączkowo kombinował jak ściągnąć dowódcę na siebie.

— Jeszcze nie wiadomo. Zagramy? — Kit postukał palcem w skrzynię automatu, na którym siedział.

Babuschka zebrał cały swój zapas woli i słabo zaprzeczył.

— Ale na innych warunkach — kusił Kit.

— Nieee... Nie! — stanowczo już zaprzeczył Babuschka. — Na jakich?

— Za trafienie — podwójna stawka. Znaczy — podwajamy stan aktualny. Pięć sekund na wjazd do środka labiryntu. No?

„Pięć sekund? Chyba zwariował!” — przemknęło Babuschce przez głowę. — A jeżeli nie wyrobisz się?

— Noo, też dwukrotnie. Będę ci winien... Ile tam? Dziesięć. I jak?

— Wal — Babuschka przysunął się bliżej.

Kit odwrócił się do manipoola. Odblokował start, zatarł ręce i wyprowadził kuleczkę z lejka. Przez sekundę utrzymywał ją nieruchomo, a potem pchnął do przodu. Gdy wydawało się, że kulka stuknie w ściankę, uderzył mocno kolaniem w skrzynię. Posłuszna kulka przeleciała nad ściankami lądując w centrum labiryntu. Cała operacja trwała niecałe trzy sekundy. Kit triumfalnie uniósł brwi i rozłożył ręce, jakby demonstrując, że nie miał drugiej kulki w rękawie. Potem pokazał Babuschce dziesięć palców i wyszedł.

Babuschka runął do maszyny. Trzęsącymi się rękoma wyprowadził kulkę, drżała lekko, ale stała w miejscu. Oblizął wargi i walnął kolaniem w skrzynię. Przeszywający ból rzucił go na podłogę, jęczał i masował zdrętwiałą nogę, gdy nagle zauważył, że Kit przed wyjściem zdążył zablokować amortyzatory manipoola.

— Idziesz do sterowni czy poleżysz jeszcze chwilę? — głos Martinsona poderwał Babuschkę z podłogi. Stali obaj w drzwiach. Poważni.

— Idę, idę — Babuschka wyprostował się i prawie nie kulejąc podążył za kolegami.

Spokojna, zielona linia na jednym z ekranów pulpitu łączności wskazywała, że trwa właśnie odbiór skondensowanej podstawowej informacji, a wskaźnik obok informował o przyjęciu już danych niezbędnych do podjęcia pierwszych działań, zanim cały przekaz zostanie „rozciągnięty” i zdeszyfrowany.

Martinson i Babuschka usiedli w fotelach, Kit wysłuchał tekstu oparty o stół.

— Do wszystkich statków znajdujących się w odległości trzech jednostek od regionu Comoensa o ogranicznikach 17 i 264. Dotyczy statków: SP-122, SP-971, SP-886 i SP-349. Stopień ograniczenia informacji: dwa — zabrzmiało w głośnikach.

Babuschka gwizdnął cichutko, nie odbierał dotychczas informacji o tym stopniu ograniczenia. Że sprawa jest poważna — to wiadomo. Nie przysyła się bomby ot, tak sobie. Ale stopień dwa?!

— Szesnaście godzin temu zaginął SP-64. Okoliczności zaginięcia identyczne jak w przypadku SP-187. Rozwinięcie danych — w informacji podstawowej. Zachować szczególną ostrożność — głos umilkł.

— No i co? — Kit usiadł naprzeciwko Martinsona i Babuschki.

— Co: „No i co?” Nic. Lecimy tam i rozejrzemy się na miejscu.

— Co to za sprawa z zaginięciem SP-187? — Babuschka nie znał tej historii.

— Niewiele wiadomo. Zameldowali, że mają coś na kontaktowej. Potem to coś zaczęło uciekać. Zaczęli je gonić, weszli w tunel i... cisza do dzisiaj.

— Kiedy to było?

— Ze dwa lata temu. Przesłuchasz bombę, to się dowiesz — Kit poinformował w ten sposób pilota o czekającej go pracy. Na pewno będzie tam komplet informacji o obu zaginięciach. Martin, my poprowadzimy statek do Comoensa.

Z jednej strony było to niesprawiedliwe, ponieważ to Babuschka był pilotem i on powinien był wprowadzać statek w tunel. Z drugiej jednak — wiedział najmniej o tych zaginionych statkach, potulnie poczekał więc na zakończenie seansu i zabrał

się do czytania raportów. Po godzinie mniej więcej dołączyli do niego pozostali, ale obaj wertowali tylko raport, koncentrując się na wybranych fragmentach.

Po trzech godzinach Babuschka przetarł oczy, zgarnął notatki i wstał od stołu.

— Skończyłeś? — Kit od dłuższej już chwili krążył po pomieszczeniu. Martinsona nie było.

— Tak. Wynotowałem tu parę momentów. Gdzie Martin?

— Przegląda nasze uzbrojenie. Zaraz skończy, to pogadamy.

— To ja zrobię coś do jedzenia.

— Byle szybko. I myśl. Cały czas myśl.

— Myślę, myślę. — Babuschka pobiegł do jadalni. Pore minut później siedzieli w komplecie przy stole.

— Zaczynaj — Kit łyknął ze szklanki.

— No więc tak. SP-187 zaginął dwa i pół roku temu... A może nie mówić o tym? Znacie tę sprawę... — Babuschka spojrzął na kolegów.

— Mów. Może coś się skojarzy, przypomni...

— No dobrze. Trzyosobowa załoga, standardowy patrol. Spotkali coś, co nie dało się ubliżyć do siebie, uciekało, aż weszli w tunel i urwała się łączność. Żadnych śladów awarii, nic nie wskazuje na chorobę, halucynacje... Po prostu zniknęli — Babuschka wzruszył ramionami.

— Albo gdzieś pędza... — mruknął Martinson.

— No tak. Albo gdzieś pędzą — zgodził się Babuschka.

— Dalej — pogonił Kit.

— Teraz ten SP-64. Tu jest trochę nietypowo. Załoga jednoosobowa, tylko pilot Kalet.

Martinson zacisnął pięści. Babuschka spojrzął na niego zdumiony.

— No? — Kit wyprostował się w fotelu.

— . Nawigator odwoził patroletką komandora do bazy. Był ranny po przypadkowym wybuchu zbiornika tlenowego robota—

spawacza. I miał wrócić za trzy dni z zastępcą. A w tym czasie Kalet zameldował, że ma na optycznej gościa. Był taki sam, jak w przypadku SP-187. Nadał serię sygnałów, ale pozostały bez odpowiedzi. Spróbował się zbliżyć, to coś uciekało. Zameldował, że będzie to gonić jakiś czas, potem przerwał łączność i zniknął. Wiemy jeszcze, że rozpędzał statek aż do podświetlonej i że wszedł w tunel. Tak samo jak tamci. I od tego czasu cisza. — Babuschka łyknął soku. Przygotowanego naprędce obiadu nikt nie ruszył.

— Taaak... — Martinson uniósł głowę i popatrzył na kolegów. — Mamy gości...

— Stosują stałą taktykę — pośpieszył się wtrącić Babuschka. — Wabią statki iii... pyk! — strzelił palcami.

— Co: „iii”?! — rzucił się Martinson. Na razie nic konkretnego nie wiemy. Polecieli za nimi, a to jeszcze nie znaczy, że nie wrócą.

— Idę spać. Warn też radzę. Sądzę, że mamy parę godzin czasu.

Mylił się, Wyszli z tunelu po osiemdziesięciu minutach i rozpoczęli hamowanie. Jeszcze dwadzieścia minut na statku panowała cisza. A potem...

Sygnal alarmu uruchomił Kit. Gdy Babuschka wpadł do sterówki, Martinson był już tam również. Obaj przykleili się do ekranu radaru dalekiego zasięgu. To coś było jeszcze za daleko, by inne automaty mogły to zauważyć.

Babuschka zająrzył Martinsonowi przez ramię.

— Jaka odległość?

— Masz... — Martin podał pilotowi dane, a sam podszedł do swego pulpitu i zaczął coś obliczać. Babuschka nie zdążył nawet skończyć odczytywania, gdy usłyszeli głos Kita:

— Na miejsca!

Babuschka jednym susem dopadł swego fotela.

— Babuschka, podchodzimy do niego, tak, żeby za trzy

godziny mieć go na optycznej. A gdyby uciekał... — zacisnął szczęki — ...gonić.

— Rozkaz — Babuschka dał wytyczne komputerowi i wlepił wzrok w małą seledynową plamkę na ekranie.

To coś było romboidem. Widzieli go wyraźnie, gdy zbliżyli się na odległość sześciu kilometrów. Zastopowali.

— Martin, polecisz patroletką. Bardzo ostrożnie, rozumiesz? Bardzo! Babuschka, noga na gazie. Wszystko jasne?

— Tak — mruknął nawigator i wyszedł. Babuschka skinął tylko głową.

Po paru minutach Martinson pojawił się na ekranach. Odbił od statku i najpierw skrzył trochę w bok, a dopiero potem skierował się w stronę obcego.

„Schodzi z linii ognia” — zrozumiał Babuschka i, chyba dopiero teraz, odczuł powagę sytuacji. Rzucił okiem na Kita. Tamten, pozornie spokojny, ścisnął w dłoni spust miotacza.

W głośniku rozległ się spokojny głos Martinsona:

— Trochę ponad dwa kilometry do obiektu. Wisi nieruchomo. Na pewno jakiś metal, wyniki analizy za chwilę — moment ciszy. — Tysiąc dziewięćset metrów.

— Może zatrzymaj się na chwilę i nadaj... — Kit nie zdążył dokończyć zdania.

— Ruszył do przodu! Ucieka ode mnie! Prędkości mamy identyczne. Może przyspieszyć?

— Przyciśnij trochę. Jakby uciekał, dogonimy cię i weźmiemy na pokład.

— Dobra.

Babuschka ścisnął w rękę dźwignię przyspiesznika, spojrzął na boczny ekran. Odległość między patroletką i obcym obiektem pozostawała niezmienną — tysiąc osiemset sześćdziesiąt siedem metrów i czterdzieści dwa centymetry

— Niesamowite — mruknął Kit.

— Co? — Babuschka nie dosłyszał.

— Mówię: „niesamowite”. Nieważne. Martin!

— Jestem.

— Spróbuj gwałtownie przyśpieszyć. My ruszamy za tobą.

— Kit spojrział na Babuschkę i skinął głową.

Babuschka trącił delikatnie dźwignię, statek płynnie ruszył za uciekającym obcym i goniącym go Martinsonem.

— Kit! Dam pełny ciąg, co? Bo tak to na nic. Odległość bez zmian.

— Wracaj na statek. Zabraniam! Słyszysz? — Babuschka zdziwił się gwałtowności, z jaką zareagował Kit na propozycję nawigatora.

— Wracam — ponuro mruknął Martinson.

Kit pstryknął w klawisz łączności i odwrócił się do pilota.

— Kalet to stary przyjaciel Martina. Jeszcze z Akademii — przywrócił łączność.

W sterowni zapadła cisza, którą przerwało dopiero wejście Martina.

— Żeby go diabli! — trzasnął w stół. — Ja gaz, on też. Ja stoję, i on staje. Jakie ma opóźnienie manewru w stosunku do mnie? — obejrzał się na Babuschkę.

— Prawie nic. Sześć stomilionowych sekundy.

— Phy! To lepiej niżby dał nasz komputer. — Kit usiadł w fotelu i wyciągnął nogi. — Co proponujecie?

— Ja! — Martinson podniósł rękę. To jest na tyle małe, że nie może mieć silnika o mocy równej naszemu. Musimy zbliżyć się na odległość mniejszą niż te tysiąc dziewięćset metrów. Wtedy „to” będzie musiało jakoś zareagować. Bo patroletką nie dogonimy.

— Babuschka? — komandor przeniósł wzrok na pilota.

Babuschka chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Wzruszył ramionami.

— Chciałeś coś powiedzieć? — Kit zauważył wahanie kolegi.

— Na razie spróbujmy dopaść tego cwaniaczka, może się mylę. A jak nie wyjdzie to powiem, co mi chodzi po głowie.

— No to „dopadaj”. Ale wiesz, bez przesady.

Babuschka odwrócił się do pulpitu, poczekał, aż pozostali zajmą miejsca w fotelach. I skoczył. Na chwile pociemniało mu w oczach, ale zdążył zauważyć, że Kit położył dłoń na ograniczniku ciągu. Przyspieszył jeszcze.

Gnali teraz jak przywiązani. SP-122 i obcy. Wbrew przewidywaniom nawigatora ani razu nie udało im się przekroczyć granicy tysiąca ośmiuset sześćdziesięciu siedmiu metrów. Co gorsza, „obcy” przykleił się do statku Babuschki, i mimo chytrych manewrów pilota, raptownych przyspieszeń i gwałtownych hamowań, nie udało się strącić przybysza z kursu.

— Babuschka, to nie ma sensu. I zrobiło się jeszcze dziwniej. Miałeś coś powiedzieć — Martinson wstał z fotela i podszedł do pulpitu sterowniczego.

— Najpierw muszę coś sprawdzić — Babuschka spojrzął na dowódcę.

— Sprawdzaj. Ile chcesz czasu?

— Godzina na pewno wystarczy — zerwał się i podskoczył do klawiatury komputera.

Wystarczyło dziesięć minut. Babuschka wstał z fotela i odwrócił się do Kita i Martinsona. Wskazał im fotele.

— Siadajcie — to była chwila triumfu. Sam usiadł naprzeciw. — On się od nas odpycha.

— Jak? — Kit wydawał się mniej zdziwiony niż się Babuschka spodziewał.

— Od energii. Od otaczającego nas w promieniu dwóch kilometrów pola energetycznego.

— Cooo? — Martinson nie był tak opanowany jak dowódca.

— A gdzie jest ten twój silnik, co to miał być słabszy od naszego?

Zapadła chwila ciszy.

— To jest tak — Babuschka przysunął się do stołu. — Wyobraźcie sobie muchę w bańce mydlanej. Mucha fruując nosi tę bańkę na sobie. A na bańce siedzi druga mucha. I w ten sposób te muchy nigdy... no? Nie-zet-kną-się! — wyskandował.

— Te dziesięć minut to ci chyba były potrzebne do wymyślenia tej wyrafinowanej paraleli. — Kit wstał i podszedł do komputera. — To dowód? — wskazał na pulpit.

— Tak. Zużywamy więcej mocy niż bez tego... pasożyta. Niewiele, ale zawsze...

— Taaak... — Kit potarł podbródek. — Ciągnie z nas... I można być pewnym, że tak łatwo się nie odczepi.

— Ludzie! O czym wy? Przecież to jest kontakt. Kontakt! I ten jego napęd! Cudo! A wy? Jak by tu uciec?...

— Nie przesadzaj — Babuschka uniósł się honorem. — To...

— Cisza! — przerwał Kit. — Martin ma sporo racji. Zrobimy tak. Spróbujemy złapać ptaszka...

Po dwudziestu minutach plan wykrystalizował się a jeszcze po pół godzinie osiem sterowanych przez komputer robotów wypłynęło w przestrzeń kosmiczną. Rozpierzchły się na pozór bezładnie, ale po paru minutach osiągnęły pozycje przewidziane przez komputer i na jego sygnały zaczęły ze wszystkich stron zbliżać się do obcego.

Trzy pary oczu biegały od ekranu z dziewięcioma błyszczącymi kropkami do wskaźnika odległości pomiędzy robotami a obiektem. Trzy tysiące... dwa sześćset... dwa sto... dwa! Babuschka przygryzł wargi. Tysiąc dziewięćset... tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt... osiemdziesiąt... siedemdziesiąt... sześćdziesiąt osiem... siedem...

Obcy szarpnął się konwulsyjnie, rzucił w jedną stronę, w drugą. Tysiąc osiemset dwadzieścia... Tysiąc siedemset pięćdziesiąt. Nieznany statek drżał wyraźnie. Wpadł we własne

sidła — odpychając się od pól wszystkich robotów pozostawał w miejscu. Nagle jednak rzucił się jeszcze raz w bok, odbił od niewidzialnej ściany, zatańczył jak kuleczka między ściankami labiryntu manipoola i wyprysnął spomiędzy robotów. Odskokzył od nich i zamarł.

Martinson dał komputerowi rozkaz powtórzenia operacji. Następnie jeszcze raz. I jeszcze. Potem załoga usiadła znowu przy stole.

— Jak mokre mydło... — Kit spojrzął po kolei na pilota i nawigatora.

— Roboty mają nierówne pola. I jest ich za mało... To się nie mogło udać. — Babuschka był niepokieszony.

— To wiadomo. Tylko... co dalej? Martinson chrząknął.

— To zależy od tego, co to jest. Bo jak jakiś energetyczny pasożyt, to nie możemy go ściągać na Ziemię. Ale może być również coś innego...

— Ryba-pilot — mruknął Babuschka. — Co mówisz?

— Ryba-pilot. Przewodnik. Ma nas gdzieś zaprowadzić.

— To ciekawe, ale chyba nie masz racji. Ten twór, albo stwór, nie kieruje nami. On leci tam gdzie my. Tyle, że naszym kosztem.

— No to zostaje pasożyt — Babuschka zrezygnował z bronięcia hipotezy.

— I to właśnie przekazemy Centrali jako przyczynę zaginięć.

Babuschka zmarszczył brwi, nie nadażał za tokiem rozumowania Kita.

— SP-187 pognał za tym pasożytem nie wiedząc tego, co my już wiemy. I mogło im się przydarzyć wiele rzeczy. Zresztą ten drań wcale nie musi być bezbronny. A Kalet... To zupełnie inna historia...

Zaległa cisza, a potem Kit złożył wyczerpujący meldunek Centrali. Na odpowiedź czekali kilka godzin i cały ten czas na ekranie widniał czyhający w odległości niecałych dwu

kilometrów obcy.

A potem Kit odebrał odpowiedź.

— Pozbywamy się gościa — podsumował.

— Poświęcimy patroletkę? — stwierdził raczej niż zapytał Babuschka.

Kit skinął głową.

Po godzinie pędząca przed siebie patroletka i mknący przed nią radośnie obcy byli już daleko.

Martinson został w sterowni. Kit wymówił się sennością. Babuschka powlókł się do sali relaksu. Odruchowo odblokował manipool i wyprowadził kuleczkę z lejka. Minęło dwanaście sekund i leżała w samym środku labiryntu. Jakoś zupełnie ten sukces Babuschki nie ucieszył. Patrzył w pulsujący zwycięsko sygnał trafienia i myślał o Kalecie.

Kalet nie miał patroletki, a nie chciał ściągać obcego na Ziemię. Nie miał dużego wyboru. Więc wybrał to, co mógł.

HISTORIA

Czwarty szturm trwał najdłużej i był najcięższy ze wszystkich, które przyszło nam tego dnia odpiierać. Zdawało się, że spod lasu, z bagnisk i łąki wezbrała nagle potężna fala, która runęła na mury twierdzy. Nie miałem zbyt wiele czasu, aby się rozglądać, dostrzegłem jednak jak w pewnym momencie chłopci wdarli się na mur koło północnej baszty. Tłum z rykiem triumfu runął w tamtą stronę, szczęściem Vaden Ker w ostatniej chwili dosłał obrońcom baszty kilkunastu rycerzy z Va Nenthem na czele, którzy zdążyli zepchnąć chłopów z murów zanim znalazło się ich tam zbyt wielu.

Od strony północno-zachodniej, gdzie podobnie jak poprzedniego dnia ustawił mnie Vaden Ker, chłopci nie szturmowali zbyt zaciekle. Skały i rzeka w wielkim stopniu same broniły murów. Pomimo tego mieliśmy pełne ręce roboty, choć ani przez chwilę nie doszło u nas do tak groźnej sytuacji jak przy baszcie. Chłopci atakowali bez przerwy. Pot zalewał oczy, ręce zaczynały mdleć, ogień palił płuca. Pod koniec szturmowania coraz trudniej było unieść miecz do ciosu. Nie miałem czasu myśleć o niczym. W zapamiętaniu rzucałem się na wchodzących co i raz na mury wrogów, aż wreszcie pchnąwszy drabinę i ściawszy mieczem potężnego zbira, który zdążył się po niej wspiąć, nie dostrzegłem na murze żadnego buntownika. Spojrzałem w dół; fala ludzka cofała się powoli pozostawiając pod murami zwały trupów. Trupy te były naszym utrapieniem, gdyż leżąc w słońcu zatrwały powietrze i groziły twierdzy zarazą.

Zdjąłem hełm i usiadłem, opierając się o blankę. Zmęczenie rozlało się po mięśniach. Siedziałem bezwładny, z

przymkniętymi oczami, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Chciałem to za wszelką cenę ukryć, ale walka wyczerpywała mnie znacznie bardziej niż innych. Bałem się, że któregoś dnia nie będę w stanie tego zmęczenia przemóc.

Usłyszałem kroki i podniosłem głowę. Koło mnie stał Va Kinth, z kamienną twarzą patrząc na las.

— No, dostali solidnie — powiedziałem, zdobywając się na uśmiech — Dziś już tu chyba nie wrócą?

— Wrócą, Kiff. Słońce jest jeszcze wysoko.

Był wyraźnie zatroskany.

— Jeśli wrócą, to znowu ich natniemy. W końcu ich też jest ograniczona ilość.

Va Kinth w zamyśleniu pokręcił głową. Na całej długości murów, którą mogłem objąć wzrokiem, zaroilo się od kobiet noszących wodę i opatrujących rany. Chłopcy, rycerscy synowie, za młodzi jeszcze by otrzymać pasy, korzystali z chwili przerwy by donieść nam strzał i pocisków do kusz, sprawdzić cięciwy lub podać nowy topór, jeśli ostrze starego stępiło się albo wyszczerbiło w walce.

— Nie jest wcale tak dobrze, jak myślisz, Kiff. Martwię się. Jeździłem po całym kraju, od Viremez do Meldoru i znam okolice każdej twierdzy. W tłumie atakującym północną basztę wyraźnie poznałem górali z Białych Gór. Są nieco roślejsi, mają wystające do przodu szczęki i jasne włosy. A Va Moner, gdy rozmawiałem z nim przed chwilą mówił mi, że sam usiekł dwóch Golidinarczyków. Trup jednego z nich leżał jeszcze na murze.

— To co?

— Nie rozumiesz? Jeśli przybyli oni pod Gahiramez to znaczy, że twierdze panujące nad ich ziemiami już padły. I że nie powinniśmy spodziewać się pomocy.

Oparł dłoń o krawędź muru, szarpiąc nerwowo brodę.

— A z wieży doniesiono, że pod lasem pojawili się Niscy

Ludzie z żelaznymi pajakami. Chłopów możemy się nie bać jeszcze przez kilka tygodni. Są pełni nienawiści, ale nie potrafią zdobywać twierdz. Inaczej niż głodem nas nie wezmą. Ale Niscy Ludzie...

— Czyżbyś się ich bał?

Kinth zgromił mnie wzrokiem.

— Nigdy nikogo się nie bałem. Liczę nasze szansę. Przybycie żelaznych pajaków znacznie je zmniejsza.

Jedna z kobiet podeszła do nas z wodą. Była to, zdaje się, Leara, poślubiona przez Va Rena zaledwie na parę tygodni przed pojawieniem się stalowych ptaków. Nie zdążyli nawet odprawić zwyczajowych godów, gdyż Ren zginął wraz z kilkunastoma innymi osłaniając idącą do Gahiramez grupę ze swojej ziemi.

— Kinth — powiedziałem, gdy Leara odeszła. — Chcę cię o coś prosić. Wiem, że Vaden Ker kazał ci pilnować mnie i być gotowym do udzielenia mi pomocy gdybym jej potrzebował. Ale przez ostatnie trzy dni nie zawiodłem ani razu. Myślę, że pokazałem, iż jestem już godny pasa. Potrafię walczyć sam i nie trzeba mnie pilnować.

Było głupstwem z mojej strony, że powiedziałem te słowa i sam miałem ich potem gorzko żałować. Przodkowie ukarali mnie za pychę.

— Jesteś głupcem, Kiff, albo głupca udajesz — odparł surowo Kinth. — Powinieneś czekać na pas jeszcze rok i dostałeś go tylko dlatego, że brakuje rycerzy do obrony murów. Nie jesteś jeszcze w pełni rycerzem i nie uważaj się za takiego. A kiedy będzie można przestać cię pilnować, sam uznam.

Odwrócił się i podszedł do Va Moha. Rozmawiali o czymś z ożywieniem. Siedziałem jeszcze, nadal osłabiony i omdlały, gdy rozległ się głos trąbki. Z trudem stanąłem na swoim stanowisku. Tym razem atakowali tylko spod lasu i z bagnisk. Było ich mniej, szli stłoczeni, jakby chcieli tą gęstwą dodać

sobie odwagi. Można by ich zniszczyć kilkoma salwami. Ale nasze działa milczały, pozbawione amunicji.

Pierwsze szeregi, osłaniając się z góry wielkimi, drewnianymi tarczami przeszły zasypaną fosę i dostawiły drabiny. Znow zaczęli się niestrudzenie pięć do góry, jeden po drugim. Zapominając o zmęczeniu rozciąłem na pół draba, który wszedł pierwszy. Furia nacierających w porównaniu z poprzednim szturmem wyraźnie zmaląła. Nie rwali się już na górę tak chętnie. Kim by nie byli ich przywódcy, musieli twardo trzymać tych tępych pacholów za pysk, skoro mimo takich strat wciąż wracali.

Gdy kolejna drabina odpadła od muru nie mogłem oprzeć się pokusie by spojrzeć na północną basztę, gdzie wyrwa w murze wyraźnie ściągała szturmujących. Dwóch chłopów wdarło się właśnie na blanki. Wychyliłem się lekko by lepiej widzieć i w momencie, w którym obaj spadali przebici mieczami, poczułem lekkie ukłucie w lewym ramieniu. Nie spojrzałem nawet, gdyż obok właśnie znowu przystawiono drabinę. Nagle poczułem, że słabnę, nogi uginają się pode mną, a ramię drętwieje. Na mur wpadło kilku buntowników, rzuciłem się na nich, przeszyłem jednego mieczem, drugiemu rozplątałem głowę. Z trzecim, który zręcznie zasłaniał się pałką straciłem więcej czasu. Zanim zepchnąłem drabinę w innym miejscu na mur wdarli się następni.

— Kinth! Kinth! — krzyknąłem, usiłując przemóc ogarniającą mnie słabość, lecz on już wcześniej zobaczył co się dzieje i rzucił się ku mnie, tratując i obalając chłopów. Z trudem zasłoniłem się przed ciosem. Miecz wypadł mi z ręki. Oparłem się o blankę, usiłując wyrwać z ramienia zakończoną czarnymi piórami strzałę. W oczach ciemniało mi coraz bardziej.

— Na Mergohra, na Garhera — szepnęła Kinth wyrrywając ją — Czarna strzała! Zatruta strzała z Meldoru!

W oczach pociemniało mi do reszty i tracąc czucie miękko osunąłem się po murze...”

— O, przepraszam — powiedział Montera, zauważywszy siedzącego przy biurku Victora. — Myślałem, że już dawno poszedłeś do domu.

Victor wyprostował się, zdjął okulary i przecierając oczy zerknął na zegarek. Potem zaznaczył kawałkiem papieru miejsce w którym przerwał i odsunawszy krzesło podniósł się, wyłączając białą, płaską lampę oświetlającą biurko.

— Fascynujące — powiedział, wciąż przecierając powieki. — Aż trudno oderwać się od lektury.

— Pamiętnik Va Kiffa? — spytał Montera, patrząc na pożółkłą księgę pokrytą równymi rzędami odręcznego pisma.

Victor skinął głową, nakładając okulary. Podrapał się po łysinie i podszedł do ustawionej na parapecie niewielkiej kuchenki.

— Tłumaczę od razu przy czytaniu. To nie jest najlepsza metoda, ale im chodzi tylko o treść, i abym zrobił to możliwie najszybciej. Potem poprawię, przygotowując do wydania. Obawiam się, że w niektórych miejscach zatracam niuanse znaczeń poszczególnych słów, nie mówiąc już o rytmie tej prozy. Herbata?

Montera podniósł z biurka arkusz papieru, czytając ostatnie słowa przekładu Victora. Westchnął ciężko.

— Nie powinienes tego robić, Victor.

— To świetny tekst — odparł Victor poprawiając krawat. — Bardzo się cieszę, że wpadł w moje ręce. Nie ma takiej wartości zabytkowej, jak kodeks Garhera, ale dla badacza kultury Va jest wspaniałym źródłem na temat jej ostatniego stadium.

— Miałem na myśli, że nie powinienes tłumaczyć dla policji. Ludzie zaczynają mówić różne rzeczy, a wiesz, że nie jesteś zbyt lubiany przez pracowników wydziału.

Wzruszył ramionami.

— Powodzenie zawsze budzi zazdrość, zwłaszcza u mniej pracowitych. Zresztą nie rozumiem tej dziwnej awersji, jaką wy młodzi, żywicie do policji. Jest w społeczeństwie tak niezbędna, jak leukocyty w organizmie.

— Mniejsza o naszą policję. Chyba nie dziwisz się, że Mogadeńczyków nikł nie darzy sympatią? Po tym co zrobili z własną kulturą...

— Do niektórych dzieł można dotrzeć tylko za ich pośrednictwem. Nie jestem politykiem, nie lubię polityki i nic mnie ona nie interesuje. Cieszę się, że mam dostęp do tego tekstu. A ci tutaj — wykonał nie określony ruch ręką — niech sobie mówią co chcą.

— Sądzą, że robisz to, żeby dostać profesurę.

— Bzdura! Od tygodnia wiem, że dostanę ją tak czy owak. I uważam, że uczciwie na nią zapracowałem.

Victor oparł się o zagłówek fotela, kierując wzrok w świecący przyjemnym dla oczu, zielonkawym światłem sufit.

— Chyba już pójdę do domu. Oczy mnie rozboleły. Posiedzę nad tłumaczeniem jeszcze godzinę wieczorem.

Montera zaczął znowu przeglądać tłumaczenie.

— O czym on pisze?

— Przede wszystkim o obronie Gahiramez. Mieszkał w pobliżu tej twierdzy i zaraz po wybuchu buntów znalazł się tam wraz z rodziną. Dość charakterystyczny jest jego sposób myślenia. Odmawia chłopom nie tylko cienia racji, ale nawet miana ludzi, opisuje ich jak stado rozjuszonego bydła. Poza tym uważa bunt za dzieło nie chłopów, lecz kogoś wielokrotnie mądrzejszego, kto użył ich do swoich celów. Ma na myśli oczywiście nas.

— Kto to wie, jak to tam było. Mogadeńczycy prawdy nie powiedzą, a u nas na ten temat cisza. Chodźmy, robi się późno.

— Oni są naprawdę zabawni — myślał Victor, jadąc do domu podziemną kolejką. — Więc tłumaczenie starych,

pięknych dzieł to wysługiwanie się policji? Ech, ci młodzi... — Popatrzył na teczkę, w której wiozł rękopis Va Kiffa, postanawiając, że zaraz po kolacji weźmie się za jego dalsze tłumaczenie.

„...Otoczyła mnie mglista, błękitna poświata, czułem się lekki, wolny od trosk, spokojny. Myślałem, że to już śmierć, że idę do raju, do przodków. Ale zamiast bram Krainy Zielonych Słońc zobaczyłem Gahiramez. Dostrzegłem je pod sobą, jakbym leciał nad nim z kluczem ptaków. Twierdza była zburzona, w murach poczyniono potężne wyłomy, brama, wybita z zawiasów leżała beużytecznie na dziedzińcu. Z wypalonych okien były w niebo blade strużki dymu.

Płynąłem nad zniszczoną twierdzą. Zniżyłem lot i dostrzegłem obdartych, wychudzonych rycerzy skrępowanych i słoczonych na dziedzińcu. Wkoło stali chłopci z kijami i okrwawionymi mieczami. Wlekli ich po kolei na kamienne schody u wejścia świątyni i ścinali. Wszystkich, Va Kentha, Va Mora, Vaden Kera i kapłana Ge Morata. Po całym dziedzińcu porozrzucane były trupy rycerzy, kobiet i dzieci. Potem obraz pociemniał, rozpląnął się i zniknął mi z oczu. Znowu znalazłem się w błękitnej mgle.

Nagle poczułem, że leżę na brzuchu na pachnących kurzem i starością deskach. Powoli podniosłem głowę. Znajdowałem się w niewielkiej komnacie o małych oknach. Pod ścianą, za wielkim stołem siedział siwy, brodaty starzec i pisał w grubej księdze. Dziesiątki innych ksiąg leżały pod ścianami. Byłem w Wieży Wieczności, gdzie Najstarszy spisywał wszystko, co wydarzyło się na świecie od jego początków do chwili połączenia się nieba z ziemią.

Leżałem długo, nie śmiąc poruszyć się ani wydobyć z siebie głosu, aż wreszcie po długim milczeniu Starzec nie podnosząc wzroku i nie przestając ani na chwilę wodzić piórem po

papierze powiedział:

— Va Kiff... Nieletni rycerz z Gahiramez znalazł się tu, gdzie nie gościł żaden śmiertelnik od czasu Mergohra I. Nie pytaj czemu właśnie ciebie tu wezwałem. Wzniesiesz się ponad wszystkich z twego pokolenia i będziesz przeklęty. Taki jest twój los. Świat się obrócił, dawne czasy mijają, wielki jest ten, kto myśli o czasach nowych. Wstań rycerzu.

Uniosłem się niepewnie. Za oknami komnaty kłębiły się obłoki.

— Widzisz? — Najstarszy podniósł do góry dłoń. Trzymał w niej świecący silnym blaskiem Antineer, kamień zwycięstwa, który był początkiem potęgi Morihameru i jej ostoją. Zmrużyłem oczy. Starzec wyprostował palce, kamień powoli opadł i rozsypał się w proch. — Mergohrowi przed wiekami powiedziałem, że zbuduje państwo potężne, które przetrwa tysiące lat. A teraz mówię tobie, że Morihamer zginie. Nikt nie zmieni biegu losów, nawet ja tego nie potrafię. Masz dwie drogi przed sobą. Zgiń razem ze wszystkim, albo nie daj wszystkiemu zginąć. Otwórz bramy Gahiramez przed potęgą Niskich Ludzi.

— Mam zdradzić...

— Morihamer będzie żył tak długo, jak długo będą żyć jego rycerze. Wielki jest ten, kto myśli o czasach nowych. Odejdź rycerzu.

Znów ogarnęła mnie błękitna mgła, w której błyskały z dala pochodnie, twarze i miecze. Zapadłem w odrętwienie..."

Victor minął wielkie przeszklone drzwi potężnego wieżowca w centrum miasta. Znalazł się w dużym, wyłożonym marmurami hallu. Przeszedł go dystyngowanym krokiem, nie zwracając uwagi na tłoczących się ludzi i podszedł do strażnika.

— Jestem umówiony z pułkownikiem Mastersem — podał swój żeton identyfikacyjny. Strażnik nacisnął kilka klawiszy, popatrzył mętnym wzrokiem na ekran przed sobą, potem

wcisnął żeton Victora w szczelinę czytnika.

— Zgadza się — powiedział oddając żeton — Pokój 4478, 62 piętro.

Victor skierował się do windy.

— A profesor Stayners — Masters, uprzedzony zapowiedzią sekretarki wstał zza biurka i przywitał Victora przy drzwiach gabinetu. — Witam, profesorze, i gratuluję. Proszę — wskazał na fotel.

.— Cóż, nie otrzymałem jeszcze nominacji...

— Ale jest już gotowa. Jej wręczenie to tylko formalność. Kawa, herbata, koniak?

— Jeśli można, koniak — powiedział Victor kładąc na kolanach swą teczkę i otwierając ją.

— A więc, panie pułkowniku, przychodzę z dwoma sprawami — zaczął, skosztowawszy przeniesionego przez sekretarkę koniaku. — Tak jak przypuszczałem, nie zdążyłem jeszcze przetłumaczyć całego tekstu, który otrzymałem od pana przed dwoma tygodniami. Mam tutaj drugą część tłumaczenia, około stu dwudziestu stron. Nie jest to dobry przekład pod względem artystycznym, ale sądzę, że dla potrzeb policji Mogadeńskiej będzie wystarczający.

— Oczywiście. Swoją drogą, profesorze, czy to nie paradoks, żebyśmy my musieli tłumaczyć Mogadeńczykom teksty napisane w ich dawnym języku?

— Sami ten język zniszczyli.

— Cóż, trudno im się dziwić. Na ich miejscu postąpił bym tak samo. To są twarde prawa walki o dziejową sprawiedliwość. Mówiąc między nami, jest tam wielu ludzi znających biegle starorycerski, ale nikt się do tego nie przyzna. Stary zakaz wciąż obowiązuje, za posługiwanie się starorycerskim grozi na Mogadenie śmierć. No, dobrze, a druga sprawa?

— Widzi pan, pułkowniku, ten pamiętnik ma dla badacza

ogromną wartość, chciałbym go opracować i wydać.

— To będzie trudne... Pamiętnik był zarekwirowany u osoby podejrzanej o działalność opozycyjną, jako materiał dowodowy otoczony jest ścisłą tajemnicą.

— Sądzę, że ten tekst nie nadaje się na materiał dowodowy.

— Nie zna pan praw Mogadenu, profesorze. Za przechowywanie materiałów fałszujących historię grozi tam śmierć.

— Więc...

— Ale proszę się nie martwić, dobrze, że zwrócił się pan z tym właśnie do mnie. Obiecuję, że porozmawiam o tym osobiście z komisarzem Ranhernezem. To, że jest pan lojalny wobec nas i demokratycznych władz Mogadenu na pewno ułatwi uzyskanie odpowiedniego zezwolenia. Proszę tylko pamiętać, aby na razie nie udostępniać pamiętnika absolutnie nikomu. Nasze władze miałyby to panu za złe.

— Panie pułkowniku...

— Oczywiście, panie profesorze. Proszę mi wybaczyć. Sądzę, że Ranhernez zgodzi się, ale zażąda usunięcia niektórych partii tekstu, obraźliwych wobec uczestników buntów chłopskich. To może pana, jako naukowca, zabołec, ale sytuacji międzynarodowej nie wolno ignorować. Zresztą chyba lepiej wydać tekst niekompletny, niż nie opublikować nic. Skontaktuje się z panem telefonicznie, powiedzmy za dwa dni, około godziny dwunastej...

„...nie wstawaj! Jesteś słaby, nie wolno ci! — krzyczała jeszcze za mną, ale byłem już na schodach. Przemogłem osłabienie i dopinając po drodze pas z mieczem powlokłem się do błękitnej sali. Nikt nie zagroził mi drogi. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Wokół wielkiego, starego stołu siedzieli najgodniejsi rycerze i kapłani w twierdzy. Tylko Vaden Ker przechadzał się po

komnacie, szarpiąc w zamyśleniu brodę. Zamilkli nagle, Ker obrócił się i spojrział na mnie gniewnie. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie.

— Dlaczego tu przyszedłeś? — spytał wreszcie Va Kinth.

— To chyba jeden z tych młodzików, pasowanych przed kilkoma dniami? — Spytał Vaden Ker, gdy milczałem, walcząc z wirującymi mi przed oczami czarnymi plamami.

— Jestem Va Kiff, syn Va Ketta, panie. Wiem, że nie mam prawa uczestniczyć w radzie wojennej... ale wiem coś, co muszę powiedzieć.

— Usiądź. — Ktoś podsunął mi krzesło.

— Gdy leżałem ranny, przodkowie obdarzyli mnie widzeniem. Byłem w Wieży Wieczności.

— Z wszystkich śmiertelników jedynie Mergohr I dostał tego zaszczytu — rzucił Ge Morat.

— Widziałem naszą twierdzę spaloną... nas w okowach, sterty trupów. Potem zaś rozmawiałem z Najstarszym — opowiedziałem im wszystko, co słyszałem i do czego doszedłem rozmyślając nad słowami Najstarszego.

— Poddać się!? — Twarz Vaden Kera spurpurowiała, a on sam machinalnie sięgnąwszy do miecza przeszył mnie wzrokiem pełnym wściekłości. — Złożyć broń przed tłumem zbuntowanych pachołków i kilkoma przybyszami z niewiadomych stron?! Zdać się na ich łaskę?!

— Powinniśmy cię zabić!

— Zostawcie — zasłonił mnie Va Kinth. — Trafiła go czarna strzała z Meldoru. Jad, którym leśni zbrojcy nasączają grfty swych strzał maści umysł. Odejdź Va Kiff, to majaki, za kilka dni wrócisz do zdrowia.

— Mój umysł jest jasny — zaprzeczyłem stanowczo. — I wiem co mówię.

Rozmawiałem z Najstarszym.

— Czemu akurat ty? Czyżby nie było w twierdzy

godniejszych rycerzy?

— Nie wiem. Nie wiem, dlaczego ja — znów zrobiło mi się słabo.

— Ale byłem tam. Cały ten bunt to sprawa Niskich Ludzi, potrafili nawet podburzyć naszych poddanych przeciw nam... Są potężni, muszą z nami wygrać. A jeśli zginiemy my, kto zostanie? Chłopi, ciemni i okrutni, z którymi przybysze zrobią, co będą chcieli? Co się stanie z Morihamerem?

Żaden nie odpowiedział. Mówiłem więc dalej.

— Tej wojny nie możemy wygrać. Ale na litość przodków, musimy ją przeżyć! Niech chłopi, skoro po zwycięstwie mają przejąć los Morihameru w swoje ręce, uczą się od nas, nie od Niskich Ludzi. Musimy przeżyć.

— Wiem, o czym mówisz Kiff — rzekł wreszcie Vaden Ker — wszystko wskazuje na to, że jesteśmy ostatnią broniącą się twierdzą w kraju. Utrzymamy się jeszcze dwa — trzy miesiące. Wszystkich nas czeka śmierć. Ale jeśli się boisz śmierci, popełniłem największy błąd w swym życiu dając ci pas. Niech mi przodkowie wybaczą.

— Nie boję się śmierci, boję się o los Morihameru! Wziąłem wraz z pasem obowiązek troski o Morihamer!

— Gdy przyjdzie przegrać, musimy zginąć walcząc do końca — powiedział Ge Morat. To hergahr.

Co mogłem odpowiedzieć? Że prawa trzeba rozumieć inaczej, że herg'ahr to nie bezsensowna śmierć?

— Jesteś chory i ranny, trucizna zmieszała ci umysł. Daruję ci słowa, które powiedziałeś, daruję ci też wtargnięcie tu — powiedział wreszcie Vaden Ker. — Ale okryłeś się hańbą. Może zmyjesz ją w walce. A teraz wyjdź stąd i wracaj do sali chorych.

Odprowadzony zimnymi spojrzeniami wyszedłem z komnaty i powoli, opierając się o ścianę powlokłem się do niskich komnat. Gdy wyczerpany, padłem na pościel zapadłem

ponownie w odrętwienie. Widziałem Niskich Ludzi, pozdrawiających mnie znakiem rycerzy. Jeden z nich wysunął się przed pozostałych. Po chwili widziałem tylko tą jedną, białą, rozmazaną sylwetkę. Słyszałem wyraźnie jego słowa.

— Va Kiff. Twoja cywilizacja umiera, a my nie chcemy jej śmierci. Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy, chociaż dzieli nas paręset lat. Z trudem nawiązaliśmy z tobą kontakt, więc słuchaj mnie uważnie; gdy dzwon ogłosi środek nocy otworzysz furtę przy południowej baszcie. Do twierdzy wejdziemy tylko my, chłopci pozostaną na zewnątrz. Złóżcie broń i zgodzicie się na uznanie chłopów za równych sobie. W zamian za to nikomu nic się nie stanie. My, ludzie z Ziemi nie znosimy niepotrzebnej krwi. Jeśli nie będziecie się mogli pogodzić z nowym porządkiem Moriameru, możemy zabrać was za niebo i osiedlić gdzie indziej. Ale obrona twierdzy nie może trwać dłużej, to godzi w nasze interesy. Jeśli dziś nie otworzysz bramy, jutro —wszyscy zginiecie. Wybieraj.

Ocknąłem się i zerwałem z łoża wstrząsany dreszczami. Ukryłem twarz w dłoniach. Płakałem po raz pierwszy i ostatni w życiu. Od tego momentu nie mogłam już postąpić dobrze. Siedziałem gryząc z wściekłości pięści. Siedziałem, długo, aż w końcu wstałem i cicho poszedłem ku murom, ku południowej baszcie...”

— Proszę — powiedział Victor. Drzwi otworzyły się i do sali wszedł jeden z jego studentów, Restinef. Jeden z wielu Mogadeńczyków, przebywających na Ziemi na studiach. Na kulturoznawstwie było ich tylko kilku.

— Słucham?

— Mam do pana sprawę o charakterze... prawie prywatnym. Spełnienie mojej prośby nie będzie dla pana kłopotliwe, a dla nas... dla mnie ważne. — mówił Restinef siadając. — Otóż, panie doktorze...

— Nie wiem, czy pan wie, ale otrzymałem nominację profesora zwyczajnego.

— Nie wiedziałem. Przepraszam.

— No, nie szkodzi, to jeszcze na razie wiadomość nieoficjalna, ma pan prawo nie wiedzieć. Więc, o co chciał mnie pan prosić?

Restineff wskazał palcem leżący na biurku rękopis Va Kiffa.

— O ten pamiętnik. Oczywiście, nie oryginał, zadowolę się kopią. Victor podniósł się i zaczął robić sobie herbatę.

— Nie wiem, skąd pan wie o tym tekście — powiedział do kuchenki — Jest on u mnie w depozycie i nie mam prawa udostępniać go komukolwiek. Przykro mi bardzo.

— Panie profesorze, porozmawiajmy otwarcie. Naprawdę nazywam się Va Rest i jestem prawnikiem jednej z postaci występujących w tym pamiętniku, dowódcy Gahiramez, Vaden Kera. Morihamer istnieje nadal, choć niewielu ludzi o tym wie. Ukryliśmy się w pewnym miejscu i prędzej czy później wrócimy na swoją planetę.

— Szczerze mówiąc, wątpię w to.

— Pan myśli, że ten terror, jaki tam panuje utrzyma się długo? Teraz nawet chłopscy synowie wykształceni na Ziemi zaczynają przechodzić na naszą stronę.

— A gdzie jest wasza siedziba?

— Tego niestety nie mogę powiedzieć. Są resorty, które dużo by dały za tę informację. W każdym razie, widzi pan, profesorze, dla pana ten pamiętnik to obiekt badań. Dla nas to znacznie więcej, to księga naszych dziejów. Czy skończył pan już jej lekturę?

— Jestem właśnie przy upadku Gahiramez.

Va Rest uśmiechnął się,

— Więc zaczyna pan najciekawszą część. Znamy tę księgę tylko z opowiadań tych, którzy ją czytali i jestem bardzo ciekaw, jak Va Kiff to opisał. Do dziś nikt z nas nie wie, którzy

z naszych dziadów mieli rację. Ci, co uciekli pozostawiając Morjhamer swemu losowi, czy ci, co jak Va Kiff zostali tam, pomogli zbudować Mogaden a potem zostali zlikwidowani.

— Cóż, wielkie przełomy historyczne nie obywiają się bez krwi. Wasza planeta z feudalizmu przeszła od razu do epoki kosmicznej. To musiało spowodować pewne zaburzenia.

— Tak, niestety, nasza planeta zrobiła wielki skok w rozwoju i nic się na to nie da poradzić. A teraz gnije i śmierdzi, i minie wiele lat, zanim uda się na niej znowu zaprowadzić porządek.

— Zdumiewające wsteczństwo — stwierdził Victor, krzywiąc usta.

— ja chcę od pana tylko tyle, żeby na dziesięć sekund wsadził pan rękopis w kopiarkę, albo pozwolił mi to zrobić. Nie musi pan nawet o tym wiedzieć.

— To nie jest takie proste...

— Dostał go pan od policji Mogadeńskiej i musi jej zwrócić. Gdy pan to zrobi, pamiętnik przepadnie. Nikt go już więcej nie zobaczy.

— Nie wiem, nie wiem — pokręcił głową Victor. — Przygotowuję właśnie tekst do wydania i jest bardzo prawdopodobne, że otrzymam od władz Mogadenu zezwolenie.

— Jeśli nawet, to tylko na publikację fragmentów.

— Proszę pana, niech pan przyjdzie do mnie za trzy dni. Wtedy będę mógł coś panu powiedzieć.

— Zrobi pan kopię?

— Na razie nie. Niech pan przyjdzie za trzy dni.

„...mojego życia. Od upadku Gahiramez minie jutro dwadzieścia lat. Jak trudno jest rozliczyć się z tymi wydarzeniami. Staralem się zrobić wszystko, co było w mojej mocy. Zakładałem uniwersytety, gdzie uczono potem nienawiści do nas i do wszystkiego, co osiągnęliśmy.

Budowałem miasta, w których rozsiedli się ci, co w czasie buntów potrafili najwięcej nagrabić. Teraz dorosło nowe pokolenie chłopskich synów, wykształcone na Ziemi i znające tylko tamtejszy język. My przestaliśmy być potrzebni.

Nie wiem już teraz, czy dobrze zrobiłem, czy nie trzeba było zginąć ze wszystkimi. Nadal uważają mnie za zdrajcę, grożą śmiercią. To najboleśniejse ze wszystkiego, na co skazało mnie życie. Tylko niektórzy, ci co twierdzą, że działałem otumaniony ziemską trucizną, przychodzą czasem do mnie. Czytają mój pamiętnik, współczują mi.

Czuję, że mam już niewiele czasu. Wkrótce przyjdą po mnie i zniknę bez wieści, jak tyłu innych. Niech wreszcie przyjdą. Czas najwyższy. Oddaję wam historię swojego życia, historię zdradzonego zdrajcy i oszukanego narodu. Ale nie sądzcie nas surowo. Każdy z nas spełnił swój herg'ahr tak jak go rozumiał i tak jak potrafił.

skończyłem 13 2 Henoha
2 Rade Kiffárd
Yoganei

— Ach, to pan — przywitał Va Resta nie podnosząc się z fotela. — Proszę, niech pan wejdzie i siada. Chcę panu zadać dwa pytania.

— Przede wszystkim...

— Najpierw zapytam, dobrze? Widzi pan, skończyłem przekład i kilkakrotnie natrafiłem w nim na słowo, którego nie znam, mimo, że uważam się za znawcę starorycerskiego. To słowo brzmi „herg'ahr”. Czy pan je może zna?

— Tak, każdy z nas je zna. — Va Rest potarł dłonią czoło. — Wie pan, że Morihamer opierał się na powinnościach. Powinnością chłopą było zbierać plony i służyć panu, powinnością kapłana...

— Nie musi pan wyjaśniać, na jakich zasadach opierał się

system społeczny Moriameru.

— Herg'ahr to nazwa najwyższej powinności, powinności dotyczącej tylko rycerzy. Obawiam się, że Ziemianin nie jest w stanie zrozumieć wszystkiego, co się w tym pojęciu kryje. Herg'ahr to obowiązek poświęcenia wszystkiego, to święta sprawa, która rządzi życiem rycerza. Tego słowa prawie nigdy się nie wymawia, ale rządzi ono wszystkim, co Va czyni.

— A drugie pytanie? — spytał Va Rest po chwili milczenia.

— Co pan robi, jeśli odmówię panu tekstu? — zapytał Victor oglądając uważnie brzeg filizanki.

— Liczyłem się z tym. Zabiorę tekst siłą i ucieknę.

— Mówi pan poważnie?

— Jak najbardziej. My musimy mieć ten pamiętnik.

— Tak właśnie myślałem. Czuję się usprawiedliwiony. Proszę, wejdźcie panowie!

W drzwiach stało kilku policjantów. Va Rest stracił na zastanowienie tylko ułamek sekundy. Zerwał się, chwytając ze stołu księgę i rzucił do okna. W tej samej chwili huknął strzał i Rest upadł, rozpaczliwie chwytając się parapetu. Powoli osunął się na ziemię.

— Zabierzcie go — powiedział pułkownik Masters, podchodząc do Victora, który przyglądał się wszystkiemu z wyraźnym niesmakiem. — Niech się pan nie obawia, profesorze, to tylko paralizator. Za godzinę będzie zdrow jak ryba. Przykro mi bardzo, że akurat w pańskim gabinecie.

Dwóch policjantów podniosło Va Resta. Victor nie mógł się oprzeć pokusie, żeby spojrzeć mu w twarz. Rycerz z trudem poruszył wargami, ale nie był w stanie nic powiedzieć. Wszystko zawarło się w jego spojrzeniu. Victor poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej i mocniej.

— Tak przy okazji, profesorze, radziłbym panu przejrzeć listę awansów, którą ministerstwo ogłosi za parę dni.

Victor nawet go nie słuchał. Skinął machinalnie głową,

myśląc o fanatycznych rycerzach Morihameru, którzy zapewne zechcą pomścić Va Resta. Jak mógł o tym nie pomyśleć wcześniej?! Dlaczego nie wygonił tego Resta do diabła, po co mówił o nim Mastersowi? Sięgnął do kieszeni po pastylki uspokajające.

„O Boże” — pomyślał — „Zdaje się, że dopiero teraz wpakowałem się w kłopoty”.

SERIAL

Y–tholl wpłynął do sali w ogromnym pośpiechu i starając się nie robić zbyt wiele hałasu, rozpląszczył się w najmniej widocznym kącie. Ale przewodniczący od razu go zauważył.

— Spóźniłeś się o trzy cykle, Y–tholl — pomyślał pulsując z wyraźnym niezadowoleniem.

Y–tholl rozpląszczył się jeszcze bardziej w swoim kącie. Pełen skruchy, przerzucał w myślach obrazy usprawiedliwień, jak zwykle zresztą niezbyt przekonujących. Na szczęście przewodniczący przestał wreszcie pulsować i uniósł się nieco w górę.

— Możesz się brać do roboty, Y–tholl. Twój nowy scenariusz został zatwierdzony.

Y–tholl zafalował z radości. Jego pierwsze poważne dzieło otrzymało aprobatę Rady Artystycznej. Pierwszy wielki serial. Miał on być w całości realizowany w plenerze, więc umieściwszy scenariusz w mnemocentrach, Y–tholl pośpiesznie płynął w kierunku przekaźników. Zatrzymał się jeszcze na chwilę aby zabrać aparaturę, po czym wlał się w pierwszy wolny kanał międzyprzestrzenny. Po upływie nieskończonego małego ułamka cyklu zawirowanie czasoprzestrzenne wyrzuciło go we właściwą przestrzeń. Przez moment zalśnił srebrzyście dysk śluzowy kanału międzyprzestrzennego i Y–tholl znalazł się w atmosferze. Pomagając sobie antygravitacją, opuścił się wolno na powierzchnię planety i szybując tuż nad ziemią, popłynął w kierunku gęstych zarośli. Z krótkim rozbłyskiem rozwinęła się siłowa sfera ochronna, która ukryła w swoim wnętrzu rzadkie, niemal płynne brunatnoczerwone ciało.

— Nareszcie pokażę, ile jestem wart! Nareszcie... — myślał

Y–tholl sprawdzając aparaturę. Każda cząstka jego ciała zdawała się być przepojona szczęściem. Po wielu cyklach nieudanych prób i boleśnie raniących ambicję niepowodzeń, wreszcie otrzymał Wielką Szansę.

Drżąc z radosnego podniecenia Y–tholl zabrał się do charakteryzacji.

Las powoli pogrążał się w mroku nocy. Jasnym, ciepłym blaskiem płonęły ogniska w obszernej jaskini, gdzie plemię Usso odpoczywało po obfitym posiłku. Wszyscy, od wodza Ungi, do najsłabszego starca i najbrudniejszego dzieciaka, mieli żołądki pełne soczystego jeleniego mięsa. Od wielu słońc mężczyźni wracali z łowów z bogatym łupem. Od wielu słońc nie zginął żaden z dzielnych myśliwych w walce z leśnym drapieżnikiem. Nawet złe Demony Nocy, odbierające siły i niosące śmierć zdawały się zapomnieć o plemienu Usso.

Teraz ludzie siedzieli w bezpiecznym kręgu ognia. Kobiety czyściły skóry upolowanych zwierząt, bawiły się z dziećmi, mężczyźni naprawiali lub sporządzali broń. Wódz plemienia, Unga, siedział przy największym ognisku. Zajęty ozdabianiem swego oszczepu pęczkami ptasich piór, nie zauważył kiedy Itl wszedł do jaskini.

Itl był jednym z najlepszych myśliwych plemienia. Nie tak silny jak Unga czy Hu–anga, całkowicie nadrabiał ten brak przebiegłością i sprytem. Teraz podszedł do największego ogniska lecz nie usiadł. Przez chwilę stał w milczeniu, potem chrząknął głośno. Unga podniósł głowę znad oszczepu. Jego małe, głęboko osadzone ciemne oczy wyrażały zdziwienie i zaniepokojenie. Itl siał przed nim wyprostowany, na szeroko rozstawionych nogach. Lewą ręką bawił się naszyjnikiem z nasion i piór, ozdobionym z przodu dwoma wielkimi kłami Pręgowanego Zabójcy. Poruszał bezgłośnie wargami — widać było, że chce powiedzieć coś ważnego.

— Mów! — rzucił wódz.

— O, ludzie plemienia Usso. Zbliża się do nas wróg. W okolicy poluje obce plemię — dużo mężczyzn, dużo oszczepów...

— Wiem, — przerwał Unga, — widzieliśmy oszczepy obcych w lesie. Mają pęczki suchej trawy, a nie pióra, jak nasze.

— Trzeba ich napaść i zabić, dopóki oni na nas nie napadną. — W głosie Itla słychać było podniecenie. Oddychał szybko, jak po biegu.

— Trzeba ich zabić! Wszystkich! — powtórzył. — Zabijają nasze zwierzęta.

— Obcy nie zbliżają się do nas — wtrącił Wuhn, jedyny człowiek w plemienu rozumiejący mowę demonów.

— Polują coraz bliżej, tropiłem ich — nie ustępował Itl. Jego dłonie, opuszczone teraz, otwierały się i zaciskały gwałtownie.

Słowom Itla towarzyszył narastający szmer głosów. Plemię Usso tłoczyło się teraz wokół ogniska Ungi, żeby lepiej słyszeć. Popiskiwały przestraszone kobiety, jakieś dziecko rozplakało się głośno.

Unga odłożył trzymany przez cały czas w ręku oszczep. Podniósł się powoli i stanął naprzeciw Itla. Muskularny, o jasnobrązowej pokrytej licznymi bliznami skórze, gdy stał, górował wzrostem nad wszystkimi mężczyznami plemienia Usso.

— Nie — powiedział stanowczo. — Nie napadniemy na obcych, jeśli nas nie zaczepią.

— Dlaczego? — krzyknął Itl.

W walce zginie dużo, dużo ludzi Usso — odparł Unga.

— Nie napadniemy na obcych — powtórzył. — Zwierzyny jest dużo. Oczy Itla błysnęły złowrogo. Zacisnął pięści. Jego pierś podnosiła się i opadała gwałtownie. Mięśnie myśliwego napięły się jakby chciał skoczyć wodzowi do gardła. Przez

chwile dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie mierząc się wzrokiem. W jaskini zapadła cisza — plemię czekało na rozpoczęcie walki. Itl opanował się jednak. Opuścił głowę. Odwrócił się gwałtownie i odtrącając stojących mu na drodze, odszedł w odległy kąt jaskini.

Któregoś dnia młody myśliwy Hu-anga wybrał się sam na polowanie. Chciał złowić czerwonego jak płomień ptaka Tii, aby z jego piór zrobić naszyjnik dla swojej kobiety, Lany. Hu-anga, młodszy brat Ungi, często samotnie wyruszał do lasu. Był on inny niż pozostali myśliwi Usso, ale mimo to, a może właśnie dlatego, cieszył się ich poważaniem. Nikt tak jak on nie potrafił układać pieśni o łowach, sławiących czyny myśliwych oraz zręczność i siłę upolowanego zwierza. I to właśnie Hu-anga narysował barwną glinką na ścianie jaskini biegnące jelenie i pokonanego przez ludzi Usso Pręgowanego Zabójcę.

Tym razem jednak Lana na próżno czekała na naszyjnik. Hu-anga nie wrócił z polowania. Myśliwi znaleźli go dopiero następnego” dnia. Leżał w gęstwinie wysokich paproci twarzą do ziemi, a pomiędzy jego łopatkami sterczał oszczep. Unga podbiegł i nachylił się nad leżącym. Oszczep tkwiący w ciele Hu-angi ozdobiony był pękiem suchej trawy. Unga już miał chwycić za drzewce, gdy wtem wzrok jego padł na bielejący w trawie niewielki przedmiot. Był to długi i ostry kiel Pręgowanego Zabójcy. Unga podniósł go i odruchowo wetknął za szeroki rzemień okalający mu biodra. Dopiero teraz uniósł oszczep w wysoko podniesionych rękach.

— Myśliwi Usso! O, myśliwi Usso! — krzyknął donośnym głosem. — Śmierć obcy!

— Zabić ich! Zabić! — dał się słyszeć głuchy pomruk. W sercach myśliwych rosła nienawiść, dzika, głucha nienawiść do wrogiego plemienia. Zabijając Hu-angę obcy zabili także jego pieśni, zabili zwierzęta biegnące po ścianie jaskini, aby zapewnić udane łowy i sytość ludowi Usso.

Tego wieczoru przy ogniskach słyhać było płacz kobiet. Głucho dźwięczały uderzane rytmicznie o siebie, kawałki drewna. Uzbrojeni w oszczepy i kamienne topory mężczyźni tanecznym krokiem otoczyli środkowe ognisko. Ich twarze i piersi pomalowane były czerwoną gliną, czerwoną jak krew obcych, którą wytoczą nazajutrz krzemienne ostrza. Wojownicy groźnie potrząsali trzymanymi w dłoniach oszczepami i toporami, to znów pochylali się nisko, gardłowymi okrzykami prosząc Demony o pomoc w walce.

Unga nie tańczył z innymi. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w ogień, jakby usiłując coś sobie przypomnieć.

Wyruszyli o świcie. Szli zwartą grupą prowadzeni przez Unges. Tuż za nim, wśród najodważniejszych i najsilniejszych mężczyzn plemienia podążał Iti. Poruszali się szybko, przedzierając się przez gęste zarośla. Giętkie gałęzie smagały ich po twarzach, zaczepiały się o włosy, kolczaste krzew raniły skórę, ale wojownicy Usso nie zwracali na to uwagi, pełni nienawiści i żądzy zabijania. Co jakiś czas któryś z mężczyzn potrząsał toporem lub oszczepem i wydawał głuchy, groźny okrzyk. Wówczas pozostali mocniej ujmowali broń, a serca ich zaczynały bić przyspieszonym rytmem. Splecione gałęzie wysokich drzew tworzyły nad ich głowami zielone sklepienie. A las pełen był ptasich głosów i szmerów przemykających się drobnych zwierząt. Czasem wśród liści załśniły czarne ślepka jakiegoś ciekawskiego zwierzątka — dzisiaj mogło nie obawiać się myśliwych.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy Unga zatrzymał się i wciągnął w szerokie nozdrza powietrze. Poczul zapach dymu. Odwrócił się i ostrzegawczym gestem położył dłoń na ustach. Teraz wojownicy poruszali się w milczeniu, uważając, by pod ich stopami nie trzasnęła sucha gałązka. Czujni i napięci przemykali się między drzewami niemal bezszelestnie, jak drapieżne zwierzęta. Zatrzymali się na skraju lasu, niewidoczni

wśród brunatnych pni drzew. Przed nimi otworzyła się rozległa przestrzeń. Bystre oczy myśliwych widziały skąd jaskinię wrogiego plemienia. Obcy zachowywali się beztrzesko. Nie spodziewali się napadu.

Myśliwi Usso wyskoczyli na otwartą przestrzeń. Bieгли przez porośniętą wysoką, gęstą trawą łąkę krzycząc i wymachując toporami. Zatrzymali się kilkanaście kroków przed jaskinią. Naprzeciw zwartą grupą stali uzbrojeni wojownicy obcego plemienia. Ani wzrostem, ani kolorem skóry nie różnili się od ludzi Usso. Tylko ich oszczepy ozdobione były kitami suchej trawy, a nie barwnymi piórami ptaków. Przez chwilę obie grupy stały nieruchomo. Ciemne, głęboko pod nawistłymi łukami brwi osadzone oczy spoglądały na siebie nawzajem z jednakową nienawiścią i lękiem.

Nagle powietrze rozdarł przenikliwy okrzyk. Z wysoko uniesionym toporem Unga skoczył na obcych. W palących promieniach południowego słońca mężczyźni Usso starli się z wrogim plemieniem. Z głuchym dźwiękiem zderzyły się ciężkie kamienne topory, wydłużone ostrza oszczepów głęboko wbiły się w ciała przeciwników. Słysząc było ciężkie oddechy walczących i chrapliwe jęki. Z nabiegłymi krwią oczami i pianą na ustach, Unga powalał wrogów jednego po drugim. Padali na ziemię z roztrzaskanymi czaszkami obcy i wojownicy Usso. W końcu jednak plemię Usso zyskało miazdzącą przewagę i nieliczni ocaleli obcy rzucili się do ucieczki. Ale nikt ich nie ścigał. Zwycięzcy stali na pobojuwisku oddychając z trudem. Unga rozejrzał się wokoło. Z tych, którzy wyruszyli o świcie ubyla niemal połowa. Lecz ani wśród zabitych, ani wśród pozostałych przy życiu nie było Itla.

Do jaskini wrócili wieczorem, zabierając ze sobą kobiety i cały dobytek obcych. Niewielka jednak była radość ze zwycięstwa — zbyt wielu dzielnych myśliwych nie powróciło. Itl czekał już na nich w jaskini. Powiedział, że ścigał obcych,

lecz uciekinierzy skryli się w gęstych zaroślach. Było ich zresztą zbyt wielu.

Unga rzucił na ziemię topór i ciężko usiadł przy ognisku. Podczas gdy kobiety przygotowywały posiłek, mężczyźni odpoczywali po walce i długim marszu. Wódz siedział w milczeniu ze zmarszczonym czołem. Co chwila spojrzenie jego bystrych ciemnych oczu padało na siedzącego w pobliżu Ibla.

— Gdzie twój kiel, łowco? — zapytał wreszcie.

Ibl spojrział na niego ze zdumieniem.

— Miałeś na szyi jeden i jeden kiel Pręgowanego Zabójcy. Teraz jest jeden.

Ibl opuścił głowę i spojrział na swój naszyjnik.

— Zgubiłem koło jaskini obcych, w walce — mruknął.

Unga podniósł się i sięgnął ręką za pas. Na ciemnej, twardej od topora dłoni załśnił bielą zęb drapieżnika. Wódz gwałtownym ruchem rzucił go pod nogi Ibla.

— Nie! — krzyknął drgającym z wściekłości głosem. — Zgubiłeś go koło ciała Hu-angi. Zabiłeś go!

Unga szybko schylił się po leżący na ziemi topór. Muskularne ramię zamierzyło się do straszliwego ciosu. Ale Ibl nie czekał na atak. Błyskawicznie poderwał się i uskoczył w bok. Potem równie szybko zniknął w ciemnym otworze jaskini. Z głuchym okrzykiem Unga skoczył za nim i obaj zanurzyli się w gęstej ciemności lasu.

Myśliwi Usso nigdy nie wyruszali samotnie nocą. Ciemny las był obcy i wrogi. W zaroślach czaił się Pręgowany Zabójca, czyhały na ludzi Złe Demony, aby wypić ich krew. Lecz wściekłość i żądza zemsty.. Ungi były silniejsze od strachu. Z uporem przedzierał się przez krzaki, wyteżonym słuchem łowiąc szelest liści i odgłos kroków biegnącego przed nim Ibla. Ścigający i ścigany biegli niemal w całkowitej ciemności. Mimo wysiłków Unga nie mógł dopędzić szybkiego jak jeleni Ibla. Wreszcie wybiegli na wielką polanę. Tutaj było znacznie

widniej niż w lesie. Itl zatrzymał się nagle obok zwartej gęstwiny krzaków. W tej samej chwili śmignął w powietrzu kamienny topór, wyrzucony silnym zamachem potężnego ramienia Ungi. Wódz nigdy dotąd nie chybiał. Ale lecący topór zatrzymał się nagle w powietrzu tuż obok głowy Itla, a potem powoli, miękko opadł do jego stóp. Unga ryknął wściekle, wyciągnął zza pasa ostry krzemienisty nóż i skoczył. Wtedy Itl zniknął, a wódz upadł na ziemię, odrzucony niewidzialną sprężystą przeszkodą. Zerwał się natychmiast szukając wzrokiem przeciwnika.

Polana była pusta. Nagle ciemność rozdarła krótka błyskawica. W powietrzu, tuż nad wierzchołkami zarośli kołysała się gęsta ciemnoczerwona chmura, przypominająca nieco ogromny kroplę. Unga opadł na kolana i skulił się przerażony. Z przenikliwym świstem chmura wznosiła się wyżej i wyżej. Przez chwilę na ciemnym niebie zalśniła druga, podobna do księżyca, srebrzysta chmura. Ciemnoczerwona wpłynęła w nią i obie zniknęły. Umilkł dziwny świst. W lesie zapanowała cisza, przerywana jedynie szelestem liści i głosami nocnych ptaków.

— Demony — wyszeptał Unga drżącymi wargami.

Zerwał się z klęczek i oszalały ze strachu pobiegł w kierunku jaskini.

Y-tholl pulsował niecierpliwie czekając w sferze przejściowej aż zwolni się jakiś kanał. Jak zwykle wybierał się w plener, aby realizować kolejny odcinek. Przez wiele tysięcy cykli emisji serialu Y-tholl zdobył sobie uznanie i popularność, a jego utwór został przedstawiony do nagrody Kryształowego Walca Nadprzestrzeni. Mimo to Y-tholl czuł się nieco znużony swoim wielkim serialem. Ostatnio zaczynało mu brakować pomysłów i kolejne odcinki ukazywały się coraz rzadziej. Myślał nawet, czy nie czas, by go już zakończyć. Oczywiście

ostatni odcinek musi być prawdziwym arcydziełem.

Od pewnego czasu Y-tholl zastanawiał się, czy kilka lub kilkanaście ładnie rozmieszczonych eksplozji jądrowych da równie olśniewający efekt, co wybuch Supernovej w najnowszym utworze Si-etha, groźnego konkurenta do Kryształowego Walca.

— Tak — pomyślał. — Najwyższy czas skończyć z tym serialem i zająć się czymś zupełnie nowym.

Nareszcie zwolnił się jeden z kanałów międzyprzestrzennych i Y-tholl bez pośpiechu wlał się do środka.

Teraz, po wielu tysiącach odcinków serialu, charakteryzował się w wyjściowej służbie kanału, a siłową sferę ochronną rozwijał już w momencie wejścia w przestrzeń. Doświadczenie nauczyło go, że zaniedbanie tych środków ostrożności mogłoby spowodować poważne komplikacje.

Skomplikował się też sam proces realizacji serialu. Y-thollowi wydawało się, że chwilami akcja zaczyna wymykać się spod jego kontroli. Wymagało to zastosowania dodatkowych środków technicznych, bowiem metody czysto artystyczne przestały już wystarczać.

Po opuszczeniu służby, otoczony sferą ochronną, Y-tholl nastawił celownik na dwa punkty układu planetarnego i włączył emitery na pełną moc. Skoncentrowane wiązki psychopatonów agresji popłynęły w przestrzeń. Dopiero teraz włączył antygrawy.

Porucznik Edward Yeattle wracał z kilkunastokilometrowej przechadzki. Jego wysoka postać w lekkim skafandrze była ledwo widoczna w tumanie unoszącego się przy każdym kroku pyłu. Yeattle zbliżył się do zabudowań bazy i skracając sobie drogę między kratownicami wyrzutni rakietowych, skierował się do bloku „D”. Przed wejściem zatrzymał się i podał hasło do mikrofonu. Drzwi służby otworzyły się bezszelestnie, wpuściły go do środka, a potem równie cicho wróciły do poprzedniej

pozycji. Pozbywszy się skafandra Yeattle zszedł dwa piętra w dół po spiralnie skręconych schodach — nigdy nie korzystał z windy, jeśli się nie spieszył. Zatrzymał się przed drzwiami kabiny, którą dzielił z porucznikiem Tomem Mortonem. Był to niezbyt co prawda przytulny, lecz najzwyczajniejszy, po ziemsku umeblowany pokój. Piloci jednak wszędzie poza Ziemią czuli się po trochu jak na statku. Zwłaszcza tutaj, w księżycowej bazie wojskowej.

— Porucznik Yeattle — powiedział niezbyt głośno i drzwi otworzyły się. Równie dobrze mógł na przykład recytować wiersze lub regulamin służby kosmicznej — automat reagował na głosy jego i Toma. Niektórzy, zwłaszcza młodzi oficerowie, otwierali drzwi swoich kabin wyłącznie za pomocą przekleństw.

Wbrew oczekiwaniom Yeattle'a pokój nie był pusty. Na łóżku leżał Morton z książką w ręku.

— Cześć! Co ty tu robisz? — zapytał Yeattle wchodząc.

— Witaj Ed. Odwołali mnie z urlopu. — Tom odłożył książkę i usiadł. — Nie wiesz czasem, co się stało?

— Przypadkiem wiem. — Yeattle podszedł do automatu żywnościowego i wcisnął klawisz. — Ogłosili stan pełnego pogotowia floty kosmicznej. Znowu mamy trochę kłopotów z koloniami. Chcesz kawy?

— Chętnie — odrzekł Morton. — Czyżbyś miał na myśli Marsa? Przecież trwają rozmowy z ich rządem.

— Trwały — powiedział Yeattle, podając Tomowi filiżankę. — Wczoraj wieczorem rozmowy zostały przerwane. Nie słyszałeś o tym?

— Przecież nie po raz pierwszy w tym roku Marsjanie zrywają rozmowy. Pogodzą się: człowiek z człowiekiem zawsze się dogada — rzekł Tom niefrasobliwie.

— Tym razem sprawa jest poważna. W gruncie rzeczy rządowi kolonii zależy na całkowitym uniezależnieniu się od

Ziemi. A na to z kolei my nie możemy się zgodzić.

Z filiżanką kawy w ręku Yeattle usiadł w fotelu pod oknem, a właściwie panoramicznym ekranem, przekazującym do podziemnego pomieszczenia obraz z powierzchni Księżyca. Yeattle i Morton nie korzystali z kaset z zarejestrowanymi ziemskimi krajobrazami. Pomysł stwarzania złudzenia przebywania na Ziemi uważali za niezbyt trafny.

— Myślisz, że może dojść do wojny? — Morton spoważniał. Odstawił do pojemnika odbioru pustą filiżankę i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Niedawno się ożenił i na razie wolał przebywać raczej na Ziemi, niż w bazie lub w próżni.

— Nie wiem — powiedział Yeattle. — Ale to bardzo prawdopodobne.

— A wiesz, to mi przypomina pewien fragment z historii Ziemi sprzed Zjednoczenia. Zbuntowana kolonia stała się później potężnym mocarstwem, znacznie silniejszym od byłej metropolii.

— Widzisz więc, że musimy bardzo uważać na kolonie. Żeby nas nie przerosły. I przestań wreszcie łazić, działasz mi na nerwy.

— Denerwujesz się? — Tom usiadł na łóżku.

— Jeśli wybuchnie wojna, zwolennicy zlikwidowania armii przestaną wreszcie hałasować. Bo jak dotąd, cała ta nasza baza nie miała sensu — powiedział.

— Zapominasz, że istnienie bazy zawsze było uzasadnione — sprzeciwił się Yeattle. — Założono ją na wypadek agresji cywilizacji pozaziemskiej.

— Obca cywilizacja! — roześmiał się porucznik Morton. — Obce cywilizacje na razie istnieją tylko w literaturze fantastycznej i w marzeniach uczonych. Zaczynamy już wychodzić poza układ słoneczny, a kontaktu jak nie było, tak nie ma — w głosie Toma było absolutne przekonanie.

— A ty wierzysz w Kosmitów, Ed?

Bo ja wiem... — Yeattle niezdecydowanie wzruszył ramionami. — Nie zastanawiałem się nad tym.

— W każdym razie, okazuje się, że wojna w przestrzeni kosmicznej jest możliwa i bez krwiożerczych Kosmitów.

— Boisz się, Ed?

— Cóż, wojna to nasz zawód. Braliśmy przecież udział w walkach.

— Tak — zaśmiał się Tom niewesoło, — w symulatorze. Powinniśmy nosić urojone ordery...

— Dobrze, że pensji nie płacą w symulatorze — mruknął Yeattle.

Zapadło milczenie. Po chwili Tom wziął do ręki swoją książkę.

— Wiesz, kupiłem niedawno książkę w antykwariacie. Drogo, bo In prawdziwy papier. Posłuchaj, co tu jest o wojnie.

Tom otworzył książkę i zaczął głośno czytać:

— ;)Wojna nie leży w naturze człowieka. Jest ona wynikiem złożonych czynników ekonomiczno—politycznych i terytorialno—kulturowych...”

— Czyżby? — porucznik Yeattle uniósł prawą brew, a w jego głosie zabrzmiała ironia.

W tym momencie zaśpiewał sygnał alarmu i z głośnika rozległ się monotony głos automatu:

— Porucznik Morton i porucznik Yeattle na stanowiska startowe.

Morton — lot patrolowy w sześcianie X–alfa–siedem, Yeattle — sześcian X–alfa–dziewięć. Zaobserwowano tam uzbrojone jednostki floty marsjańskiej. Uwaga! Ograniczyć się tylko do zwiadu, nie wchodzić w kontakt. Potwierdzić otrzymanie rozkazu!

Siedząc za sterami swojej „Clementine”, jednoosobowej rakiety zwiadowczej, porucznik Yeattle odprężył się. Wyciągnął rękę i przesunął wyłącznik kontaktu z bazą do

pozycji „zero”. Podniósł się z fotela pilota i niespiesznie zaczął zakładać ładunki. Następnie zdjął skafander. Jego ciało zaczęło się rozmywać, rosnąć. W końcu przybrało ciemnoczerwoną barwę i swoje właściwe kształty.

— Właściwie nie muszę kończyć tego serialu — pomyślał Y-tholl wypływając w przestrzeń. — Tematów starczy mi na następnych parę tysięcy cykli. — Otoczony sferą ochronną, w bezpiecznej odległości od porzuconej rakiety, wysłał impuls do detonatorów. Statkiem targnął potężny wybuch. Przez chwilę patrzył, jak fragmenty „Clementine” rozlatują się na wszystkie strony.

— Zniknięcie statku kosmicznego powinno być wystarczającym powodem do akcji odwetowej — pomyślał Y-tholl.

Włączywszy napęd antygravitacyjny, skierował sferę w stronę najbliższej śluzy kanału międzyprzestrzennego.

— Swoją drogą, z tymi Kosmitami, to całkiem niegłupi pomysł.

KONIEC ROZSZCZEPIANI

H.L.Adams — wysoko postawiony urzędnik szczególnie ważnej instytucji centralnej był tego dnia w złym nastroju. I miał ku temu całkowicie uzasadnione powody. Po pierwsze, zarówno forma jak i treść porannej kłótni z żoną wykraczały znacznie poza ramy rytualnych już niemal utarczek przy śniadaniu. Po drugie, spóźnił się do pracy zmuszony do godzinnego dojazdu zatłoczonymi ulicami starej części miasta, w wyniku nagłego zamknięcia Trasy. I po trzecie... To po trzecie było zdecydowanie najgorsze. Na jednej z kilkunastu kolorowych karteczek, wypełnionych przez sekretarkę podczas jego nieobecności, widniało nazwisko i funkcja osoby z którą zupełnie nie miał ochoty się spotkać. Nawet rozmawiać przez telefon. Ale ta osoba miała na to ochotę a on wiedział, że nie będzie mógł jej odmówić.

— Coś niedobrze? — zapytała sekretarka.

Podsunał jej karteczkę.

— Nie rozumiesz? — odpowiedział pytaniem.

W błękitnych oczach dziewczyny było zdziwienie. Adams patrzył na jej długie włosy spływające po niebieskim sweterku który tak lubił. „Jest to jedyna droga” — pomyślał. „Tylko jedna.” Przesunął stosik karteczek na brzeg biurka.

— Nie było nic? — zapytał wskazując głową zielony telefon. Było to jedyne niekontrolowane połączenie z ambasadą. Niestety, tylko w jedną stronę.

— Nie — odpowiedziała dziewczyna. Były za to inne ważne telefony. Wyciągnęła kilka karteczek i ułożyła je według ważności zapisanych na nich nazwisk.

— Nazwiska z pierwszych stron gazet — dodała.

U dołu każdej karteczki podkreślone czarną, grubą kreską widniało życzenie: osobista rozmowa.

— Nie telefon? — zdziwił się Adams. — O co chodzi?

— Byli bardzo mili — powiedziała Ewa. — Każdy ma bardzo osobistą i bardzo poufną sprawę.

— Weber też? — zapytał Adams, czując przyływ nadziei.

— Nie, ten chyba nie. Był bardzo zasadniczy i prosił o natychmiastowe połączenie po twoim przyjeździe.

— Weber ma mnie w ręku — powiedział wolno Adams. — Ma wystarczająco dużo dowodów, aby mnie wsadzić. Te pieniądze...

— Nie mów nic — przerwała mu. — Im możesz nie załatwić, ale nam...

— Nam? — ucieszył się Adams, — Zgadzasz się?

— Oczywiście — odpowiedziała szybko. — Zawsze tego chciałam. To co się dzieje, nie ma z tym żadnego związku.

— Ale co się dzieje? — wykrzyknął.

— Nie rozumiesz? Oni wszyscy chcą wiać. Każdy na własną rękę i niezbyt legalnie. Wierzą, że ty im to załatwisz.

— Chcą wiać? Dlaczego? — Adams nadal nic nie rozumiał.

— Zapewne nie z tego powodu co ty, ale bardzo im się spieszy. Za jedną wizę, byle w dniu dzisiejszym, obiecują majątek.

Na pulpicie migotały czerwone światełka.

— Są już następni — powiedział Adams, akceptując fakt, że Ewa nie podnosi słuchawki.

Zdecydował się nagle.

— Spróbuj z miejskiego — powiedział. — To najmniejsze ryzyko.

— Już próbowałam. Telefon jest stale zajęty. Albo wyłączony.

Nie zastanawiając się nad faktem, że próbowała podjąć

jakieś działania na własną rękę, podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. Rządowa linia. Niech się dzieje co chce.

— Tu Adams — powiedział usłyszawszy głos sekretarki. — Proszę z panem Malzackiem.

— Niestety, panie dyrektorze, szef jest nieobecny — odpowiedziała sekretarka.

— Nie zostawił nic dla mnie? — zapytał czując, że drży mu głos.

— Nie — odpowiedziała. — Co to miało być?

— Dwie. Dwie specjalne.

— Panie Adams — powiedziała wolno sekretarka, — chyba pan już wie. Będą ogromne trudności...

— Gdzie jest pan Malzack — przerwał jej podniesionym głosem.

— Jest na przejściu.

Odłożył słuchawkę, lecz zaraz musiał podjąć ją ponownie.

— Pułkownik Arendt, dyżurny operacyjny Rządu — usłyszał nieznany mu głos. — Pan dzwonił do ambasady.

Tak, dzwoniłem — odpowiedział siląc się na spokojny ton głosu. Niezwykle pilna sprawa, nie zdążyłem uzyskać zgody premiera. Jutro złożę wyjaśnienie.

Nie o to chodzi, panie dyrektorze — głos w słuchawce był przymilny. — Może to zostać pomiędzy nami, jeśli pan mi załatwi...

— Co?

Takie same jak sobie. Dwie.

— Człowieku! — wybuchnął Adams. — O co chodzi? Co się dzieje?

— To pan nie wie? Nie słyszał pan co się stało na Trasie? Będę u pana za godzinę i wszystko wyjaśnię, zgoda? Razem będzie nam łatwiej coś załatwić. Do zobaczenia.

Połączenie zostało przerwane zanim Adams zdążył zaprotestować.

— Za godzinę będą tu wszyscy — mruknął. — Może znajdzie się jakiś sposób na tego Webera?

— Chcesz czekać tupała godzinę? — wykrzyknęła Ewa. — Trzeba przecież coś zrobić! Możemy nie zdążyć!

Dopiero teraz, widząc jej zdenerwowanie, uświadomił sobie, że może istnieć inne zagrożenie niż Weber.

— Co się stało na Trasie? — zapytał.

Podeszła do okna i zmieniając kąt nachylenia przywróciła szybom przezroczystość. Panorama miasta była taka sama jak zwykle, tylko tam, daleko, gdzieś w okolicach mostu krążyły helikoptery. Podała mu lornetkę.

— Spójrz na most — powiedziała.

Stały na nim wozy pancerne i grupki żołnierzy w hełmach. Ale tylko od strony śródmieścia. Druga część mostu była niewidoczna. Przesłaniała ją mgła. Słup mgły oparty podstawą o powierzchnię rzeki i wzbijający się wysoko w górę. Krążące wokół niego helikoptery niknęły na chwilę, by pojawić się po drugiej stronie.

Zmienił powiększenie. Widział teraz jak helikopter przesuwają się tuż przy granicy tego, co wziął za mgłę. To nie była mgła. Wystrzeliwane przez załogę helikoptera petardy wybuchały na granicy słupa rozświetlając migotliwymi refleksami jego powierzchnię daleko od miejsca wybuchu.

— I tego tak się boją? — zapytał.

— Idioto! — krzyczała Ewa, bijąc go po piersi zaciśniętymi pięściami.

— Idioto! To jest już wszędzie. Trzeba uciekać! Natychmiast!

Chwilę później, już w samochodzie zrozumiał, że miała rację. Jechali w stronę przejścia, ale już na kilka kilometrów przed pierwszym punktem kontrolnym musiał zatrzymać samochód. Rozhisteryzowany tłum blokował jezdnię. Policjant któremu pokazał swoją legitymację, machnął tylko ręką.

— Nie ma żadnych szans proszę pana — powiedział. — Zresztą po co? I Jak nikogo nie wypuszczą.

Z przeraźliwym gwizdem syreny alarmowej nadjechał transporter wojskowy. Tłum ustępował przed nim, a ten torował drogę eleganckiej limuzynie ze znakami rządowymi. Pociągając Ewę za sobą, Adams rzucił się w stronę czarnego samochodu. Zaterkotał karabin maszynowy, a świetlista smuga pocisków przeleciała tuż nad ich głowami. Teraz lufa jednego z zamocowanych na transporterze karabinów wycelowana była w Adamsa. Jednak nie to go zatrzymało. Chciał się cofnąć, ale było już za późno. Z samochodu wyszedł Weber.

— Adams, chłopie, wsiadaj szybko! — krzyknął i zaraz się poprawił:

— Wsiadajcie!

Nie było wyboru. Weber uśmiechnął się szeroko, gdy po kilkunastu minutach dalszego przebijania się dotarli do ustawionych w kilka rzędów wozów pancernych z wycelowanymi w tłum lufami. Przejechali bez trudności przez pierwszą granicę. Dalej było już łatwiej.

— Jak szczury, jak szczury z tonącego okrętu — odezwał się Weber.

— O kim mówisz?

— Przecież nie o was, kochani — Weber poklepał go po dłoni. — Wy nawet nie pomyśleliście o ucieczce, prawda? Zawsze uważałem cię za porządnego człowieka, Adams.

— Czyżby? — mruknął Adams. Dzwoniłeś dzisiaj?

— Tak — odpowiedział Weber, patrząc mu w oczy. — Mamy taką drobną tajemnicę, prawda? Ale jeśli mi pomożesz...

— Pomogę ci? W czym?

— Trzeba przyskrzynić te szczury. Prawie cały Rząd. Żaden z nich nie może otrzymać żetonu na przejście.

— Oni są tam?

— Zaraz zobaczysz.

Dotarli do ostatniej bariery granicznej. Widać było budynki przejścia. Żołnierze z Dwójki w mundurach a nieco dziwnym jak na ich przyzwyczajenia kroju otaczali grupki ludzi sprawdzając ich tożsamość, a następnie kolejno prowadzili zweryfikowane osoby w stronę wieżowca. Wejście do budynku oznakowane było dużymi napisami.

— Ewakuacja — powiedział Weber. — To już chyba wszyscy. Reszta, jeśli nawet pozostała, nie przedrze się przez tamten tłum.

— Oni są z Dwójki? — zapytała Ewa.

— Tak — odpowiedział Weber. — Tylko tacy mogą przejść. Nikt od nas nie otrzyma żetonu.

Wskazał na barak stojący tuż przed oznaczającą granicę metalową siatką pomalowaną w niebiesko-żółte pasy.

— Tam są — powiedział. — Te szczury. Na kolanach proszą o żetony. Barak był otoczony samochodami. Wszystkie miały znaki rządowe. Ewa ścisnęła Adamsa za rękę.

— Patrz — pokazała głową. — Tam!

Gdzieś daleko, nad konarami drzew otaczających barak, połyskiwała w promieniach słońca gładka płaszczyzna ogromnej bryły szkła. Adams odniósł wrażenie, że bryła nie stoi w miejscu, tylko powoli się przesuwa. W ich stronę.

— Trzeba odnaleźć Malzacka — powiedział Weber. — Muszę z nim uzgodnić warunki dalszej ewakuacji i sprawdzić czy przypadkiem, rozumiesz...?

Podeszli do oszklonej budki strażniczej.

Dyrektor Adams z Urzędu do Spraw Kontaktów chciał rozmawiać z ambasadorem Malzackim — powiedział Weber.

Strażnik nacisnął klawisz. Na monitorze ukazała się twarz Malzacka.

— To ty, Adams? — zapytał.

— Ja, moja współpracownica i generał Weber z Urzędu Spraw Wewnętrznych. Mamy kilka tematów związanych z

ewakuacją. Możemy wejść?

— Proszę — odpowiedział Malzack.

Strażnik wyłączył monitor i podniósł barierkę a potem wskazał oddalony żółty budynek przejścia dyplomatycznego. Gdy przeszli połowę drogi po piaszczysto-zwirowej nawierzchni placu, Malzack wyszedł im na przeciw.

— Przepraszam cię — powiedział witając się z Adamsem.
— Nic już nie mogłem zrobić.

— Wiem — odpowiedział Adams, myśląc intensywnie. — Wiem. Weber przyglądał się im badawczo.

— Panie ambasadorze — powiedział. — Mamy informacje, że ktoś, jedna lub dwie z wysoko postawionych osób przedostała się przez przejście. To naruszenie porozumienia.

— To niemożliwe — powiedział Malzack. — Ewakuujemy tylko naszych ludzi.

— Panie ambasadorze — kontynuował Weber. — Przejście wprawdzie należy do was, ale geograficznie jest to teren Jedyнки. Czy możemy sprawdzić?

— Co?

— Chcemy zobaczyć przejście dyplomatyczne. Gdyby ktoś z naszych przeszedł zostawiłby ślad, prawda?

— Oczywiście — odpowiedział Malzack. — Komputer pokaże wam rejestr osób, które przeszły w ciągu ostatniego tygodnia. Nie ma tam nikogo od was. Proszę za mną.

Żółty budynek wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak tysiące innych standardowych domków na przedmieściach. Siedzący na schodach żołnierz podniósł na chwilę głowę by obrzucić całą czwórkę obojętnym spojrzeniem, a potem zsunął hełm na czarną twarz powracając do pozy leniwego czuwania. Malzack otworzył drzwi wejściowe i weszli do korytarza obwieszonych kolorowymi instrukcjami. Adams znał te instrukcje, ale Weber przyglądał się im z widocznym zainteresowaniem.

— A więc tak wygląda rura — powiedział. — Czy

zobaczymy ją także w oryginale?

— Proszę — odpowiedział obojętnie Malzack.

Rozsunął drzwi na końcu korytarza. Pomieszczenie za drzwiami wydawało się zupełnie puste. Tylko na przeciwległej ścianie rysował się owalny ciemny kontur.

— To tam — przypomniał sobie Adams przesuając się do przodu. Malzack zatrzymał go ruchem ręki.

— Proszę nie wchodzić — powiedział. — Komputer was zarejestruje. Dopiero teraz zauważyli, że obramowanie drzwi połyskuje setkami malutkich oczek. Adams szukał wzrokiem startera. Był! Małeńki kwadracik obok czarnego konturu, zablokowanej teraz rury. Wystarczyło przyłożyć żeton. Ale żeton miał tylko Malzack. Spojrzał na Ewę i wiedział, że myśli o tym samym.

Na ścianie pojawił się obraz. Komputer wyświetlał dane osobowe przechodzących.

— Wystarczy? — zapytał Malzack.

„Teraz — pomyślał Adams, przesuając się za obramowanie. Było jednak już za późno. Zaciskająca pęk kluczy pięść Adatnsa przeszła tuż nad głową Malzacka, gdy ten uderzony kantem dłoni w szyję osuwał się na podłogę. Ewa rzuciła się w stronę Webera lecz po otrzymanym ciosie kolbą pistoletu w głowę upadła na Malzacka. — Nie ruszaj się! — powiedział Weber.

Kłęcząc obok Malzacka zdjął z niego obnażone w całości nogi Ewy obmacał mu kieszenie, a potem wstał trzymając w dłoni błyszczącą płytkę.

— To tu, prawda? — zapytał, przykładając płytkę do kwadratowej plamki.

Owalny kontur poruszył się. Krawędź wysuwającej się ze ściany rury dotknęła pantofla Ewy i powoli uniosła jej nogę wysoko do góry. Dziewczyna drgnęła i w tym momencie Adams ujrzał ognik u wylotu lufy pistoletu. Nie usłyszał

strzału, ale Ewa już się nie poruszyła. Rura zatrzymała się. U jej pozostającej w ścianie nasady widoczne były zwoje mechanizmu wirówkowego.

— Teraz trzeba czekać dziewięćdziesiąt sekund i rura sama ruszy, prawda? — powiedział Weber. — Przykro mi, ale we dwóch się nie zabierzemy. Jak widzisz, będę jedynym człowiekiem który przeżyje koniec świata. Naszego świata, oczywiście. Przepraszam stary.

Adams znów zobaczył ognik u wylotu lufy i poczuł uderzenie w pierś. Upadł na wznak, głową za obramowanie drzwi. Weber rzucił na niego pistolet i wciskał się do rury opierając stopy o ciało Adamsa. To była ostatnia szansa.

Adams lewą ręką przyciągnął nogi Webera a prawą przełożył mu pistolet do kolana, które miał tuż przy twarzy i pociągnął za spust. Nie zważając na uciekające sekundy, z twarzą zalaną krwią i porysowaną odpryskami kości, wyciągnął wyjącego poza obramowanie rury i wystrzelił po raz drugi mierząc Weberowi prosto w twarz. Tu, za obramowaniem, prawa fizyki działały normalnie. W pomieszczeniu rury nie, ale na szczęście Weber o tym nie wiedział. Adams rzucił się nogami w głąb rury a potem wciągnął za ręce i włosy Ewę. Rura drgnęła. Z rozpaczą zauważył, że nogi dziewczyny pozostają nadal poza krawędzią rury i obracają się teraz, coraz szybciej, wraz z nią.

— Zostanie bez nóg — pomyślał zaciskając zęby na policzku Ewy. Dziewczyna krzyknęła i wciągnęła nogi do wnętrza. Adams stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał otaczała go białoszara mgła. „Nie udało się” — pomyślał próbując bezskutecznie dostrzec cokolwiek. Jednak wokół coś się działo. Usłyszał głosy. Spokojny, męski głos a potem gniewne popiskiwanie Ewy. Zrozumiał. Dotknął dłońmi twarzy. Podniósł się gwałtownie zrywając bandaż z oczu. Mężczyzna w białym fartuchu przytrzymał go za ramiona.

— Nie tak ostro, proszę pana — powiedział. — Powoli.

W niedużym jasnym pokoju, typowym gabinecie zabiegowym, były jeszcze trzy osoby: drugi sanitariusz w białym fartuchu, młody mężczyzna w okularach i ciemnym garniturze, oraz oczywiście Ewa z ogromnym astrem na policzku, piorunująca go wściekłym spojrzeniem.

— Na czym polegał ten wypadek? — zapytał drugi sanitariusz. — Bardzo rzadko zdarza się coś takiego.

— O wypadku pomówimy później — odezwał się słodkim głosem młodzieniec w okularach. — Chciałbym teraz prosić państwa o wyjaśnienie dlaczego nie przechodziliście pojedynczo. Proszę także o personalia.

Adams poczuł, że mu cierpnie skóra. Porażka od razu na starcie. Jeśli się zorientują, natychmiast ich odeślą. Zauważył jak Ewa, widząc że od niego niczego teraz nie można się spodziewać, szykuje swój popisowy numer. Oczy w słup, ręce we włosy, zaraz zacznie wrzeszczeć. Na szczęście powstrzymały ją uchylające się drzwi i znajoma twarz człowieka w ogromnej służbowej czapce.

— O, pan Adams! — powiedział człowiek w czapce. — Bardzo się cieszę, że pana widzę. Kiedy przechodzi mój szef?

— Wkrótce, panie Hamilton! — odkrzyknął wesoło Adams. Hamilton był kierowcą Malzacka i przez rok pracował w ambasadzie.

— Ewakuujemy ambasadę — dodał Adams już znacznie ciszej pamiętając, że Hamilton niedosłyszy.

— Jesteście pracownikami ambasady? — zapytał młodzieniec.

— Oczywiście — odpowiedział głośno Adams. — Prawda, panie Hamilton?

Hamilton skinął głową i to widać wystarczyło młodzieńcowi, gdyż zamknął teczkę zbierając się do wyjścia.

— Zaraz, zaraz — coś mu się jeszcze nie zgadzało. —

Powiedział pan, że ewakuujecie ambasadę. Dlaczego?

To było zaskakujące. Czyżby oni jeszcze nic nie wiedzieli?

— Tak mi się powiedziało — Adams uśmiechnął się do młodzieńca. — Jeśli nas zabraknie, rozumie pan? Służba specjalna. Jedziemy, panie Hamilton!

Teren przejścia z tej strony był nawet podobny, mimo tylu lat. Wprawdzie budynek z którego wyszli był trochę większy i bardziej nowoczesny, to jednak Adams nie miał wątpliwości, że fundamenty musiały pozostać takie same. Za to wieżowiec przejścia głównego był niemal identyczny. Stał przed nim autokar, do którego wyprowadzano grupki ludzi. Nie było natomiast ogrodzeń, barier ani baraku, a nad koronami drzew otaczających plac było tylko czyste niebo. Bez żadnych szklanych brył.

— Spory ruch dzisiaj, co? — wykrzyknął Adams.

— Nie — odpowiedział Hamilton. — Raczej normalny. Ostatnio tak jest codziennie.

Adams wymienił spojrzenie z Ewą. Oni jednak nic nie wiedzą. To dawało im szansę.

— Gdzie państwa zawieźć? — zapytał Hamilton otwierając drzwi samochodu.

— Do hotelu — powiedział bez zastanowienia Adams. — Potem zobaczymy.

Droga do miasta była zupełnie inna. Ale gdy dojechali do centrum, wszystko było już takie same. Wiekowe domy, ulice które tak dobrze znali, Adams rejestrował drobne różnice, inne oznakowania, inne wystawy sklepowe, mi inna nawierzchnia jezdni, Ewa natomiast poddała się nastrojowi.

— Czuję się tak, jakbym wracała do rodzinnego miasta po dwudziestu latach nieobecności — powiedziała.

Gdy podjechali pod biurowiec, miejsce ich wspólnej pracy, zaczęła płakać, chciała koniecznie iść na górę, mówiła że musi zadzwonić do matki, dopiero ostra interwencja Adamsa

przywróciła jej równowagę. Adams poprosił Hamiltona, aby skręcił w stronę Kępy i zatrzymał samochód przed małym hotelikiem. Powiedział mu jeszcze, żeby wracał na przejście czekał na Malzacka. Wydawało mu się, że tak będzie bezpieczniej. A potem biegł ciągnąc za sobą Ewę, ulicami swego dzieciństwa, wśród domków które tak dobrze znał i których tak dawno już nie było. Gdy dotknął dłońmi żelaznej kraty furtki przed ukrytym w liściach rozłożystych lip, drewnianym domem, ogarnęło go takie wzruszenie, że nie mógł powstrzymać łez.

— Co ci jest? — zapytała Ewa.

— To mój dom — powiedział wycierając łzy. — Mój dom.

Ewa patrzyła ze zdziwieniem jak mężczyzna, którego nigdy nie posądziłaby o takie reakcje, mający teraz minę bezradnego, małego chłopaka otwiera furtkę, biegnie ku siedzącej przed domem postaci, pada na kolana i całuje po rękach siwowłosego starca.

— Tato! — szlochał Adams. — Tatusiu!

Twarz starego człowieka pozostała nieporuszona, tylko w oczach zamigotało mu coś, jakby zrozumienie.

— Kim pan jest? — zapytał.

Adams podniósł się z kolan. Był wyraźnie zawstydzony.

— Przepraszam — powiedział. — Jestem z Jedyńki. Rozumie pan?

— Rozumiem — odpowiedział stary człowiek. — Kiedy się urodziłeś?

— W pięćdziesiątym ósmym.

Adams-senior przyglądał się Adamsowi-juniorowi, który nie był jednak jego synem.

— Osiem lat po rozszczepieniu — powiedział. — Twój ojciec nie żyje, prawda?

Adams-junior skinął głową.

— Umarł dziesięć lat temu. Nowotwór.

— A więc mnie też to grozi — powiedział Adams-senior. — Do dwudziestego roku życia mieliśmy wspólne ciało.

— Czy nigdy nie próbował pan?

— Nawiązać kontakt? Próbowałem. W latach osiemdziesiątych zaraz Po odkryciu, że świat się rozszczepił. Miałem szansę. Dostałem nawet zezwolenie na przejście. Przypadek jeden na sto milionów. Wtedy wszyscy chcieli. Nie zdążyłem jednak.

— Żelazna kurtyna?

— Tak. To wasza wina. Było to zupełnie niepotrzebne.

— Nasi politycy twierdzą, że to konieczność.

— Teraz mówią to samo również nasi. Czy twoja matka żyje?

— Nie.

— Jak się nazywała?

— Anna Morton. — Na twarzy starszego pana pojawiło się wzruszenie.

— A więc jemu się udało — powiedział. — Anna Morton rzuciła mnie, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Moje drugie ja było zatem lepsze ode mnie, a może lepsza była ta druga Anna Morton. Ożeniłem się z inną kobietą. Ernest urodził się w pięćdziesiątym dziewiątym.

— Ojczy — powiedział cicho Adams. — Czy możesz nam pomóc?

— Wasz świat się wali? — zapytał starszy pan.

— Wiesz o tym?

— Niektórzy wiedzą. Tylko niektórzy. Ja wiedziałem od początku. Teraz kolej na...

Nie dokończył. Przed furtką zatrzymał się samochód policyjny. Adams i Ewa patrzyli z przerażeniem na zbliżającego się ku nim wysokiego mężczyznę w mundurze. Ewa odetchnęła pierwsza. W rysach twarzy mężczyzny było coś, co nie pozostawiało wątpliwości, że jest to jeszcze jeden Adams.

— Dzień dobry, tato — powiedział Adams—policjant zatrzymując wzrok na Ewie. — Mamy gości?

Starszy pan podniósł się.

— Chodź do domu, Erneście — powiedział. — Państwo będą uprzejmi pozostać tu przez kilka minut.

Gdy odeszli, Adams uśmiechnął się do Ewy.

— Jest nieźle — powiedział. — Na pewno nam pomogą. Zawsze to rodzina.

— Znajdę również swoją? — zapytała Ewa.

— Później. Teraz będą musieli gdzieś nas ukryć. A potem coś się załatwi. Ostatecznie niczym się od nich nie różnimy. Co się stało?

Na twarzy Ewy wpatrzonej w gałęzie najbliższego drzewa było napięcie.

— Spójrz! — powiedziała. — Spójrz tam! Ja się boję.

Jedna z gałęzi była ucięta. I wisiała w powietrzu. Adams wyciągnął rękę. Między pniem a miejscem ucięcia nie było nic. Zanim zdążył zastanowić się nad tym co zobaczył, usłyszeli głosy wychodzących. Ernest uśmiechał się. Twarz Adamsa—seniora była bez wyrazu.

— Proszę za mną — powiedział Ernest. — Pojedziemy wygodnie i bezpiecznie.

Samochód, trochę staroświecki w swoim zewnętrznym kształcie, wewnątrz urządzony był komfortowo w porównaniu z ich przyzwyczajeniami z innego świata. Również kanapki wyjęte z barku wskazanego im przez Ernesta były jakby lepsze. Znakomite było także piwo, tylko kabłąkowate zamknięcia butelek świadczyły, że w dziedzinie opakowań Drugi Świat niewiele się rozwinął na przestrzeni bądź co bądź pół wieku.

— Kiepsko coś z waszym światem — powiedział Ernest. — Chyba będzie koniec. Ojciec twierdzi, że to było przesądzone już w momencie rozszczepienia.

— Dlaczego?

— Znasz teorię rozszczepienia?

— Jest ich co najmniej kilka. Wszystkie niepewne.

— Ale wszystkie opierają się na tej samej podstawie teoretycznej. Dualizm korpuskularno–falowy promieniowania i energii. — Plus czwarty wymiar — dodał Adams.

— Niektórzy twierdzą, że również piąty i szósty, chociaż nikt nie wie to znaczy. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia. Wszystkie teorie chociaż różniące się od siebie prowadzą do jednego wniosku. Musi nastąpić koniec.

— Dlaczego? — powoził pytanie Adams.

Ernest odwrócił ku niemu twarz.

— Świat jest jeden — powiedział. — Tylko jeden. Wszystko co nam się wydaje innym światem jest tylko złudą, igraszką materii. A złuda nie może trwać długo. Musi zniknąć.

— Takie poglądy doprowadziły do opuszczenia żelaznej kurtyny — powiedział Adams.

— Było to słuszne — w głosie Ernesta zabrzmiał twardy ton.

— Skutki łączenia rzeczywistości z iluzją były fatalne. Dziś razem z waszym światem mógł zniknąć nasz. Ten prawdziwy.

— My nazywamy nasz świat Jedyнкą — odezwała się Ewa.

— I to świadczy o waszej bezgranicznej zarozumiałości. Popatrzcie jak teraz wygląda wasza Jedyнка.

Boczna szyba samochodu rozjaśniła się niebieskim blaskiem a potem pojawił się obraz.

— Co to jest? — wykrzyknęła Ewa.

— Film z waszego I–szego niby–świata — odpowiedział Ernest. — Nie ma, jak wicie, możliwości transmisji telewizyjnej. Nakręcone u was filmy przesyłane są przez przejście i natychmiast po wywołaniu przekazywane wszystkim ważnym ośrodkom dowodzenia. Mój samochód jest takim ośrodkiem.

Na ekranie ginęło miasto. Wieżowce, ulice, mosty traciły swój trzeci wymiar. Spłaszczony dwuwymiarowy obraz jak

kolorowa tapeta nawijał się na ogromny, połyskujący szkłście w niezastłoniętych jeszcze miejscach walec. W zbliżeniach widać było ludzi. Uniesione w górę ręce, otwarte w bezgłośnym krzyku usta, zastygłe w przerażeniu oczy stanowiły fragment gigantycznego fresku o zmieniającym się ciągle wraz z nakładaniem nowych warstw obrazie.

— Co to za miasto? — wyszeptała pytanie Ewa. Nikt nie odpowiedział. Ernest przerwał projekcję.

— Rozumiecie teraz? — zapytał.

Zrozumieli gdy zobaczyli dokąd jada. Nie było sensu odpowiadać.

— Może to okrutne, ale nie mogę postąpić inaczej — usprawiedliwiał Ernest. — Wasza obecność tutaj zagraża naszemu istnieniu.

Ernest przytrzymał ramię Ewy, która już zdejmowała pantofel.

— Przecież nie jesteśmy jedynymi — próbował jeszcze negocjacji.

— W tej chwili może jeszcze nie — odpowiedział Ernest wskazując samochody policyjne podjeżdżające pod główny budynek przejścia. Z samochodów wyprowadzano opierających się ludzi i kierowano do wejścia.

— Mogę zrobić dla was tylko to, że będziecie ostatnimi, którzy wrócą do siebie — dodał zatrzymując wóz w pewnej odległości od budynku Otworzył drzwi i pomógł wysiąść Ewie.

Adams bez zdziwienia zauważył jak Ewa traci równowagę i próbując ją odzyskać przyciska się do Ernesta, a potem coś mu szepcze do ucha. To nie miało żadnych szans. Dla Ernesta oni nie istnieli. Byli złudą. Niematerialną złudą, która musi zniknąć podobnie jak cały ich niematerialny świat.

Ernest wyraźnie rozbawiony paplaniem Ewy, skinął mu ręką żeby szedł za nimi. W samochodzie za plecami Adamsa odezwało się radio. Nadawano jakiś komunikat policyjny.

Adams rozróżniał tylko pojedyncze wyrazy, zagrożenie, energiczna akcja, ewakuacja. Te słowa nie miały już dla niego żadnego znaczenia. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w oknach budynku przejścia i załamywały na jego krawędzi tworząc w lekkiej wieczornej mgiełce złudzenie, że tuż za tym budynkiem stoi drugi — taki sam. Adams wiedział, że drugi budynek jest po tamtej stronie i że już niedługo wraz z nim i z tymi co teraz wracają do swojego świata, zostanie sprasowany przez unicestwiający wszystko walec. Szedł zatem obojętnie za Ewą opierającą się desperacko dwóm mężczyznom w białych fartuchach, ciągnącym ją do drzwi wejściowych.

Policjanci nie zwracali na nich uwagi, gromadząc się przy samochodach i słuchając komunikatu. Daleko, przed budynkiem przejścia dyplomatycznego zatrzymał się otwarty samochód wojskowy. Wysiedli z niego jacyś ludzie.

— Jednak nie jesteśmy ostatni — pomyślał Adams wchodząc do wewnątrz budynku.

— Pan też? — zapytał operator w białym fartuchu, a Adams skinął głową.

Operator popatrzył na niego z uznaniem i podał mu szlafrok.

— Proszę to założyć, tak będzie bezpieczniej — powiedział.

Ewa stała już spokojnie owinięta szlafrokiem czy raczej kaftanem bezpieczeństwa. Twarz jej wyrażała rezygnację. Adams zakładał powoli szlafrok i patrzył w okno. Budynek przejścia dyplomatycznego wyraźnie się powiększył. Sądząc, że ulega złudzeniu wskazał go głową operatorowi który podał mu szlafrok. Ten patrzył przez chwilę a potem wszyscy z wyjątkiem Adamsa i Ewy rzucili się do okna. Gdy odsłonili na chwilę widok, Adams nie zobaczył już domku. Zamiast niego była chmura pyłu. Gazik jechał teraz w ich stronę.

— Jeszcze dwie osoby i ruszamy! — krzyknął ktoś od strony rozsuniętych w głębi pomieszczenia drzwi, za którymi widać było czarny owal ogromnej, o kilkunastometrowej średnicy rury

wypełnionej oczkami mniejszych rur, z których tylko dwie były jeszcze otwarte.

— Prosimy — jeden z operatorów popchnął Ewę w kierunku drzwi drugi zrobił to samo z Adamsem.

Za plecami Adamsa coś się działo. Usłyszał kroki biegnących, a potem zatoczył się popchnięty przez wysokiego młodego mężczyznę w obcisłym kombinezonie. Chłopak odbił się od betonowej podłogi i skoczył rai do przodu w czern otwartej rury. Następnie podał ręce podobnie jak on ubranej dziewczynie, która wsunęła się w ostatnie wolne oczko.

— Teraz to! — krzyknął Malzack rzucając pękate brezentowe woreczki.

— Reszta w samochodzie. Szybko!

Operatorzy wciskali woreczki za chłopakiem i dziewczyną, lecz niewiele dąto im się zmieścić. Malzack dał znak, założono pokrywy i zasunięto drzwi. Lekkie drżenie podłogi świadczyło, że rura ruszyła. — Film! — zakomenderował Malzack. — Ostatni jest sprzed pół godziny — powiedział jeden z operatorów.

— Puszcząć! — powtórzył rozkaz.

Na ekranie ukazało się przejście. To z tamtej strony. Adams rozpoznał re po barierkach otaczających główny budynek i piaszczystej nawierzchni placu. W zbliżeniu widać było grupkę ludzi, w większości ubranych jeszcze w białe szlafroki. Stali tyłem do kamery umieszczonej prawdopodobnie w oknie budynku przejścia. Poza nimi nie było nikogo jeśli nie brać pod uwagę licznych ciemnych plamek na pionowej, nie mieszczącej się w kadrze ścianie, zamykającej cały teren sto lub kilkaset metrów od budynku. Obraz na ścianie był podobny do tego, który już widzieli. Na rozrzucone bezwładnie figurki ludzi nakładały się ciemniejsze i większe plamy samochodów, których część stapiała się z przepasaną niebieskożółtą wstążką plamą baraku. Rozlane, zielone place pochodzące od tego co

niedawno było drzewami nadawały obrazowi oryginalny koloryt. W kolejnym zbliżeniu widać było, że ściana dotyka już budynku przejścia dyplomatycznego, który unosi się i powoli wpełza na ścianę znacząc się na niej żółtą barwą. Ekran zgasł.

— Następnego już nie będzie — powiedział ktoś.

Malzack skinął głową.

— Jeszcze jest tych dwoje — powiedział ktoś inny.

Malzack dopiero teraz zauważył Ewę i Adamsa. Podeszedł do nich i uśmiechnął się.

— Nie zdążysz nas wysłać? — zapytał Adams.

— To już nie ma znaczenia — powiedział cicho Malzack. — Wysłałem tamtych dwoje. Oni uratują świat. Nasze światy. W pewnym sensie — dodał widząc zdumioną minę Adamsa.

Podłoga drżała nadal i jakby trochę mocniej. Adams zauważył, że drżą także ściany. Przez wahadłowe drzwi wbiegł policjant.

— Proszę wychodzić! Szybko!

Adams pomógł Ewie wyzwoić się z szlafroka i przeciskając się w przejściu z ludźmi w białych fartuchach wypadli na zewnątrz.

To nie było złudzenie. Na boczną ścianę wieżowca przejścia naciskała boczna ściana takiego samego lub bardzo podobnego budynku. Wyłaniał się z mgły, której fala nadeszła nie wiadomo skąd i której czoło ostro przecinało z całym placem przejścia. Oba budynki drżały jak żywy organizm wstrząsany gorączką i wtapiały się w siebie.

W chwili gdy Adams zauważył znajome napisy identyfikujące niesamowitego przybysza jako budynek przejścia należący do ich świata, nastąpiło to, co zgodnie z kiedyś obowiązującymi prawami fizyki powinno nastąpić już dawno. W huku pękających konstrukcji, w obłoku czarnego pyłu, oba obiekty zmieniły się w ogromny stos czarnego gruzu, przysypujący stojące bliżej samochody.

— Łączymy się — powiedział Malzack. — Z budynkiem dyplomatycznym stało się przed chwilą to samo.

Opadająca chmura pyłu odsłoniła coś, co wyglądało jak ogromne powiększenie sprasowanej puszkki po konserwach. Brzeg puszkki był ozdobiony frędzelkami. Większość była biała lub biało-czerwona, dwie miały kolor srebrzysty.

— Wszystko na nic — wyszeptał Malzack.

Zbici w jedną grupę policjanci, sanitariusze, Malzack i tych dwoje z innego świata patrzyli teraz jak świat, który uważali za skończony przychodzi do nich. Mleczna ściana mgły nabierała barw. Widać było coraz wyraźniej zielone i czarne plamy różnej wielkości przesuwane się powoli z góry do dołu.

— Ten walec toczy się w przeciwną stronę — powiedział Adams, a Malzack skinął potakująco głową.

Ciemne małe plamki dotykając betonowej nawierzchni odrywały się od ściany i ożywały. A potem ruszyły! Kilka, kilkanaście, kilkaset. Ciemne postacie, kukły z rozpostartymi sztywnymi ramionami i martwymi bladymi twarzami szły teraz wolno i w milczeniu zmierzając konsekwentnie do swojego celu. Tym celem było połączenie.

Ernest rzucił się im naprzeciw waląc z pistoletu w najbardziej ku nim wysuniętą postać. Bez żadnego rezultatu. Ewa objęła Adama krzycząc histerycznie, a ten wpatrywał się w napięciu w straszliwą kukłę, w miejsce gdzie powinna być jej twarz. Ale nie było tam twarzy. Zlepione, jasne włosy częściowo przykrywały bezoką, czerwoną plamę połyskującą od dołu czymś białym i złotym. Patrzyli teraz w milczącym przerażeniu jak zatrzymana przez Ernesta kukła stapia się z nim w morderczym, unicestwiający uścisku. Jeszcze przez chwilę można było odróżnić oba ciała, Ernesta i Webera, przenikające się nawzajem w czworonożnej bryle a potem pozostał, już tylko szybko znikający ślad na zaczynającej już drgać betonowej nawierzchni placu.

Ludzie wrzeszczeli gnając przed siebie, aby dalej od zbliżającego się nieuchronnie czarnego mrowia. Malzack pobiegł w przeciwną stronę. Gdy Adams zrozumiał o co chodzi, rzucił się za nim pociągając za sobą Ewę. Do samochodu dopadli niemal równocześnie z pierwszą falą. Uruchomiony przez Malzacka gazik skoczył gwałtownie do przodu odrywając się od dziesiątek rąk, które zdążyły już zaczepić się o burzę.

Adams walczył. Nie mogąc oderwać zaciśniętych na szyi Ewy sztywnych dłoni kukły, wiszącej z tyłu pędzącego samochodu, walił gołymi pięściami w nieruchomą białą twarz o szklistych oczach. Bezskutecznie. Dopiero gwałtowny skręt wykonany przez Malzacka spowodował, że szpony znacząc krwawe ślady na twarzy Ewy oderwały się wreszcie od jej głowy i kukła opadła bezwładnie na beton, po to tylko by za chwilę podnieść się i kontynuować swój marsz do niespełnionego celu. Malzack wjechał na szosę i zatrzymał się. Tu przez kilka chwil mogli być bezpieczni, tak się przynajmniej wydawało. Adams patrzył w stronę miasta. Unosząca się nad nim chmura dymu była miejscami rozświetlana czerwonym blaskiem.

— Miasta już nie ma — powiedział Malzack, opatrując Ewie twarz wyjętymi z brezentowego woreczka środkami. — Wkrótce nie będzie niczego.

Łączymy się.

— Ty wiedziałeś? — zapytał Adams.

— Wiedziałem od dawna. Gdy zaczęło się u was, tu też pojawiły się zwiastuny.

Adams przypomniał sobie wiszącą w powietrzu gałąź.

— Nie ma żadnej możliwości ratunku? — pytał dalej. — A tych dwoje, po co ich wysyłałeś?

— Szykowaliśmy ich do czegoś innego. Naukowcy twierdzą, że rozszczepienie sprzed pół wieku jest rozszczepieniem wtórnym. Rozszczepieniem świata, który był sztuczny od

samego początku. Ten świat, który istniał przed rozszczepieniem, powstał kilka milionów lat temu jako wybryk natury. Swoista emanacja materii w inny wymiar. Teraz to się kończy.

— Czyli, że jest jeszcze inny świat? Ten prawdziwy?

Nie usłyszał odpowiedzi. Czarna fala była już kilkaset metrów od nich i rozlewała się szeroko do granic horyzontu. Ruszyli. Szosa była pusta. Malzack prowadził lewą ręką, przytrzymując prawą Ewę, której owinięta bandażami głowa opadała mu na ramię. Adams myślał. Malzack wierzy w jakąś szansę — to pewne. Może jest gdzieś miejsce, które ocaleje. Może zna jakiś cudowny sposób, żeby uratować siebie i przy okazji ich.

Przejechali pod podniesioną barierą obok pustych budek strażniczych. Pas betonu po którym jechali był teraz zaledwie dwumetrowej szerokości. Płaskie pustkowia po obu stronach drogi wywoływało wrażenie spokoju i bezpieczeństwa. Adams zauważył, że Malzack szepcze coś do Ewy a potem Ewa odwróciła się do niego i krzyknęła:

— Jest szansa! Malzack zna przejście do tego prawdziwego świata.

Dała mu znak żeby się zbliżył, a gdy to uczynił poczuł uderzenie w głowę. Widział, nie czując już bólu, jak Ewa wali go jeszcze dwukrotnie kluczem a następnie, przechylona przez fotel, otwiera tylne drzwi i mocując się z jego bezwładnym ciałem wypycha go z samochodu. Leżąc na miękkiej ziemi tuż obok betonowego pasa patrzył, jeszcze przez chwilę na oddalający się samochód i zamknął oczy.

Gdy je otworzył ziemia drżała. Teren wokół nie był już płaski. Z każdej strony wznosiły się wzgórza. Szosa pięła się wysoko na szczyt ogromnej góry, a gdzieś tam daleko, czerniał na niej mały punkcik. Ten punkcik Przesuwał się w dół. Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją, gdy gazik przeciął tuż

koło niego, raz a potem jeszcze kilka razy w wahadłowym bezwładnym ruchu po stokach przeciwległych wzgórz unoszących drogę. Gdy zatrzymał się wreszcie Ewa wrzeszczała rozdzierając bandażę na twarzy, a Malzack chwiejąc się wysiadł z samochodu i opadł ciężko na maskę. Twarz miał szerniałą. Lewa ręka zwisała bezwładnie.

— Koniec — wyrzucił z siebie chrapliwie. — Koniec. Musiał któryś mnie dotknąć.

Adams podniósł się ciężko i oparł o maskę tuż obok niego.

— Dlaczego? — zapytał. — Przecież nas też dotykali.

— Nie rozumiesz — rzeził Malzack. — Z wami nie mogą się połączyć. Jesteście z tego samego świata. Ja miałbym szansę, gdybym został u was. Ten walec prasował tylko waszą materię.

— A więc tych dwoje — powiedział Adams.

— Najbardziej wyselekcjonowana para, nosząca w sobie wszystkie najlepsze cechy ludzkości. Szykowaliśmy ich od lat na przejście do tego prawdziwego świata. Za późno zorientowałem się, że to przejście może być po waszej stronie i może otworzyć się tylko w takim dniu jak dzisiejszy.

— Ale szukałeś go również tutaj. Razem z nią.

Malzack upadł. Jego ciało kurczyło się. To co było nogami wyglądało teraz jak brudna wciśnięta w ziemię szmata.

— Jeśli nawet jest po tej stronie, to nie dla mnie — wychrapał. — Ale wam też się nie uda — próbował wskazać głową na podnoszące się już prawie do pionu ściany wokół nich. — Bo gdyby tak wy... Tam jeszcze może nie ma... — Rozbawiony ostatnią myślą wyszczerzył zęby w szyderyczym uśmiechu i umilkł.

Adams patrzył jak ciało Malzacka wtapia się w ziemię, a potem poczuł, że obejmują go ramiona Ewy. W jej uwolnionej z bandaży twarzy było coś, czego nigdy u niej nie widział. I nie widział nigdy u żadnej innej kobiety. Oczy jej lśniły.

— Kochany — szepnęła. — Przepraszam. — Dotknęła

wargami jego warg.

Wtuleni w siebie widzieli, już prawie w ciemności, jak unosi się naciskany sunącymi ku nim ścianami gazik. A potem świat zamknął się wokół nich.

Ho był zdolnym chłopcem. Potrafił złapać jaszczurkę, znaleźć gniazdo ptasie ze smaczными jajami, wiedział jak należy rzucić kamieniem, aby zabić jelenia. Zrozumienie tego, co zobaczył teraz, przekraczało jednak możliwości jego małego mózgu. Pojął tylko tyle, że te dwie skapowłose istoty nie są jego wrogami. One się śmiały, a to był dobry znak. Znak przyjaźni. Dlatego zapewne był nieuważny i dał się złapać. To było przykre uczucie. Podobnie przykry był widok błyszczących przedmiotów wyjętych przez mężczyznę z czegoś co przypominało mu zwiniętą, oprawioną skórę. Ale przykre uczucie wkrótce ustąpiło. Kobieta głaskała go po płaskim cofniętym czole i nie było to nieprzyjemne. Mężczyzna klepnął go po plecach i to też nie było nieprzyjemne. Ho nie rozumiał dźwięków jakie wraz ze śmiechem wydawały te istoty, ale dźwięki te także nie sprawiały mu przykrości.

— Będiesz moim zięciem, ty pitekantropie — mówił Adams zataczając się od śmiechu.

— Najbardziej wyselekcjonowana para nosząca w sobie wszystkie najlepsze cechy ludzkości — chichotała Ewa. Po policzkach ciekły jej łzy.

— To jest Ewa, matka ludzkości — rżał Adams z palcem wycelowanym kobietę. — A ja jestem Adam, pierwszy człowiek na ziemi, rozumiesz pitekantropie?

Niestety Ho tego nie rozumiał. I nie było żadnej nadziei, że zrozumie ktoś z jego plemienia. Dlatego biegł radośnie przed schodzącą w dolinę parą i gestykulacją oraz gardłowymi okrzykami informował plemię, że nadchodzą przyjaciele.

PIĘKNO I BESTIA

ZOPał wstrząsnął stalowymi skrzydłami, strącając z nich krople nocnej wilgoci. Poruszanie lotkami sprawiało mu taki sam nieznaczny ból jak wczoraj.

— Dyżurny mechanik! — ryknął w eter i dał lekki ciąg z głównej i bocznych dysz, aby rozgrzać podzespoły. Czuł przyjemne, syte napełnienie zbiorników paliwowych.

Czerwona plamka oderwała się od baraku Pomocniczej Kompanii Ludzkiej. ZOPał wyostrzył wiązkę radiolokacyjną — to Nert, młody mechanik, gnał skuterem na złamanie karku.

Błogie ciepło rozchodziło się od pracujących silników, ogarniając coraz rozleglejsze części pancerza i wewnętrznych mechanizmów. Pomimo tego jego wściekłość rosła. Niechlujstwo człowieka zawsze doprowadzało go do pasji.

Nert był już niedaleko. Aby umożliwić mu zbliżenie do korpusu, ZOPał wyłączył ciąg bocznych dysz, pozostawiając jednak ogień zapłonowy we wszystkich komorach. Czekał.

Mechanik gwałtownie zahamował pod ugąsienicznymi wspornikami, zdjął z bagażnika torbę narzędziową i właśnie odwracał się w stronę ZOPała, gdy dosięgnął go cios.

Oslona komory wysięgnika odskoczyła tak gwałtownie, że po pajęczej nerwów korpusu zewnętrznego przemknęło ostrzegawcze uklucie z ciemnej gardzieli wysunęło się szybkie jak myśl, stalowe ramię sieci bólu; i zadało uderzenie pięścią zaciśniętych hydraulicznych chwytaków. Z przeciągłym westchnieniem, w jakie zamienił się zaduszony w swoim zarodku krzyk, wyrzucone w powietrze ciało człowieka przekoziołkowało i legło bezwładnie, odcinając się jaskrawą plamą kombinezonu od szarzyzny lotniskowej płyty.

— Nieźle cię wzięło, ty sukinsynu — z uznaniem odezwał się ZOPak gdzieś z głębi hangarowego leża.

— Już ja pokażę tym gnidom, nierobom — warknął ZOPal, ruszając z jazgotem gaśienic w stronę znieruchomiałego na betonie ciała. — Dysze możesz sobie wypruć w służbie dla nich, a oni...

Lecz przytulonego do płyty człowieka osłaniały już żukowate korpusy dwóch medoków, rozglądających się jak zwykle niepewnie wziernikami umieszczonymi na węzowatych szypułkach.

— Nie niszczy ciała — w ich głosach można było wyczuć nutę prośby — ono przyda się jeszcze. Pamiętaj, może przydać się nawet tobie.

Zatrzymał wściekle falującą gaśienicę dźwigającą jego stutonowe cielsko tuż przed półkulistymi bryłami medoków, przypominającymi nieskazitelnie białe, naznaczone krwistymi krzyżami, monstrualnie rozrośnięte biedronki. Nie mógł sobie pozwolić na ich zniszczenie. Sycił się więc uczuciem pośredniej zemsty obserwując sprawną akcję automatów, wypreparowujących tkanę nerwową z ciepłego jeszcze ciała.

— Po co ta cała maskarada? — zadudnił ZOPus swoim kiepsko dostrojonym nadajnikiem. — Gówniarz, ale mógłby się jeszcze przyuczyć...

— Ty zawsze musisz wtrącić swoje — ZOPal skontrował ostro, żeby zamaskować niepewność. — Nie pozwolę, żeby dotykał mnie byle partacz!

Nagle rozpętało się piekło.

We wszystkich odbiornikach zagrzemiał wzmocniony do alarmowego poziomu głos ZOP-Pana:

„Zautomatyzowany Oddział Porządkowy — baczność!! Zarządzam natychmiastowy start w szyku bojowym!”

Na lotnisku nagle rozpętało się piekło. Jednostki stojące na płycie poderwały się jednocześnie, rzygając ze wszystkich dysz

białym ogniem. Pancerne wieka hangarów rozsuwały się z łoskotem, ledwie nadążając przed rozpędzonymi łbami startujących bezpośrednio z ich wnętrz pocisków. Wszystko zatoneło w skotłowanym odmiecie sepiowego dymu, przez który z rykiem przedzierały się pędzące w górę gejzery płomieni.

Pozorny chaos nie trwał dłużej niż trzy sekundy. Już w czwartej klucz dwunastu ZOPów mknął balistycznym lotem wskroś błękitu nieba i zawieszonych w tle pierzastych chmur lodowych, aby tam gdzie trzeba stanąć na straży porządku, praworządności i cnót obywatelskich.

„Cel akcji: rezerwat piąty, sektor A—siedem. Zmiana kursu natychmiast, lot w szyku po bezpośredniej trajektorii balistycznej. Wykonać!”

Znów krótki fajerwerk ostrych jak sztylety płomieni w niebiańskiej scenerii błękitu, a potem raptem cichy spokój, tylko trzynaście — bo ZOP–Pan dołączył do szyku — trzynaście czarnych stożków, bezgłośnie zdążających do celu.

ZOP–Pan był Panem, Władcą, Bogiem. On mógł wszystko i ZOPal wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Działa dowódcy miały zasięg trzykrotnie większy niż któregokolwiek z szeregowców kompanii, jego zbiorniki antimaterii zawierały ładunek zdolny do zniszczenia średniej wielkości kontynentu, a nieprzebijalny pancerz unerwiony miał tak gęsto, że natychmiast wyczułby nawet najmniejszy defekt układu. Wystarczyłoby jedno jego słowo lub myśl, a każdy z nich, ZOPów, mógłby przestać istnieć rozmontowany na części lub spalony w atomowym ogniu. ZOPal bał się go panicznie, a z tego strachu zrodziły się szacunek i podziw.

„Do rezerwatu wtargnęli niepowołani, prawdopodobnie Trupie Głowy. Rozerwali pole i obezwładnili straż, są więc uzbrojeni. Nie muszę wam wyjaśniać, jakimi środkami należy odpowiedzieć na tego rodzaju demonstracyjną prowokację. Ograniczenia objęte rozkazem: typu R z marginesem

bezpieczeństwa oraz minimum zniszczeń ekosystemu. Szyk: tyraliera bojowa. Wykonać!”

ZOPał poczuł gorące pulsowanie wokół korpusów dział laserowych wyrzutni pocisków, a pole widzenia zwięzło mu się z podniecenia. Dawano im swobodę wyboru sposobu unicestwienia przeciwnika! Dawno czekał na taką akcję. Gromko, chociaż nieregulaminowo ryknął w eter coś w rodzaju „Hurra!”, a inne śmiercionośne cielska, obniżające lot nad młodą puszcza, odpowiedziały mu podobnym okrzykiem, brzmiącym jak zew wilczego stada mknącego świeżym tropem.

Przez mięsiste powłoki pola przedostali się na chroniony teren rezerwatu na podobieństwo stalowych igieł, wnikających w żywą tkankę.

ZOPał wypalił kilka razy z bocznych dysz, zajmując miejsce wyznaczone mu w tyralierze. Gwałtownie machnął sterami aerodynamicznymi i znurkował tak głęboko, że wiotkie wierzchołki drzew niemal muskały rozgrzany kadłub. Nikły ból lotek nie docierał do jego świadomości, całkowicie zdominowanej głodem krwi i ekscytacją największego drapieżcy wszechczasów. Dziewicza puszcza, wyhodowana pod kloszem błony pola z dala od ludzkiego mrowiska, płynęła zieloną strugą, rozwidlała się na ciemne nurty zagajników, seledynowe płycizny leśnych szkółek, burzyła falami wielko—listnej gęstwy lub z nagłą bywała rozdzierana wypami bujnych łąk, niknącymi natychmiast w sienie mgły oddalenia. Gdzie oni są?! Już za chwilę będzie ich miał, a wtedy...

Czuł omdlewającą rozkosz unerwionych mechanicznych trzewi, gdy balansował graniczną, mocą wyzwalającą laserowy ogień. Nie, jeszcze nie teraz, trzeba odwrócić bieg myśli.

Są!! Noktowizyjne oczy wypatrzyły duże obiekty o wyraźnie podwyższonej ciepłocie, które przemknęły gdzieś z boku, pognały do tyłu z prędkością pędzącej rakiety.

Zadarł łeb, uderzył w strugę jasnego młodniaka wściekłą

lawiną gazów, świat nagle zawinał się w ciasnej, gniotącej przeciążeniem pętli: umykająca w dół linia horyzontu, błękit nieba, i znów przekraczająca się misa widnokregu, wypełniona po brzegi parującą, zieloną masą. Stabilizujący odpał ocznych dysz, stery przełożone do oporu, i ciąg, główny ciąg całą mocą!

Teraz wyostrzyć noktowizyjny wzrok, wzmożona czułość, powiększenie, znów nagła, wściekła beczka, i powrót na dawny kurs. Cholera! To były o zwierzęta. Stado ogłupiałych ze strachu, szaleńczo umykających cieni. Wytlukłby je wszystkie jedną salwą, gdyby nie wyraźny rozkaz, rozkaz był zawsze nienaruszalnym tabu.

Struga lasu płynie jak przedtem, lecz teraz jakby inna: migają jakieś przesieki, regularnego kształtu polanki, lazurkowe jeziora o sztucznych dnach. Noktowizyjne oczy ślepną od gejzerów promieniowania, pod którymi uwijają się drobne sylwetki ludzkie. Lecz nic z tego, trzeba zabezpieczyć działa i wznieść się wyżej — na tle pola obserwacji ostrzegawczo płonie czerwona litera „R”. Chuć mordu gaśnie nagle, stłumiona strachem zakodowanym w odruchu warunkowym.

Gna dalej pośród pokracznych masywów, wyglądających z góry jak pacyny gliny, które wypadły Panu Bogu idącemu naprzeciw dziełu Stworzenia. Lecz ZOPal nie widzi tego, nie widzi też gęstego boru, wypełniającego doliny i mozolnie próbującego wspinaczki na skaliste wzgórza; wyczuwa tylko pustynię obojętnej mu egzystencji i w jej labiryntach węszy upragnioną kroplę krwi.

Aż wreszcie dopadł ofiary. Nie mogło stać się inaczej, wszak po to został wyposażony w superzmysły i superbronie.

Stała na szczycie wzgórza, doskonale widoczna bez noktowizyjnych oczu, zupełnie jakby czekała tam na niego w swojej jasnoniebieskiej, wyraźnie odcinającej się od burych skał sukience, albo jakby wyszła trochę na słońce, obawiając się wilgotnego mroku lesistych dolin.

Zatrzymał się z rykiem przednich dysz, przetoczył cielsko wokół wzgórza stając niemal na łbie, dokoła kruchej człowieczej istoty wypalił laserowym ogniem wąż strzelającej bąblami lawy. Odwlekał moment szczytowania, bawił się powściągnięciem parzącej wszystkie nerwy żądz.

Na piersiach i plecach nosiła plakietki protestacyjnej sekty Trupiej Głowy. Miała białe włosy, bladą cerę i chude nogi. Lecz była piękna.

Znów dał ognia z dysz, zatoczył kilka coraz ciasniejszych kół, niemal ocierając się o skały i odstrzeliwując wierzchołki kamiennych halabard. Odpalił pocisk, który jak bąk zawirował wokół ofiary, lecz odleciał i wybuchł daleko w dolinie. Ta kobieta była bardzo piękna.

ZOPal nie wiedział, co to jest piękno. Lecz był tworem działającym logicznie, a jego konstrukcję przenikała gęsta sieć nerwów wyprutych ludziom. Nie mógł więc nie dostrzec czystego, harmonijnego piękna, uniwersalnego i rejestrowalnego przez wszystkie wysoko zorganizowane formy bytu.

Działo się coś dziwnego. ZOPal wyczuwał, jak w jego układzie nerwowym wytworzyły się inne, nie znane mu impulsy, również dające ekstatyczną przyjemność. Po raz pierwszy w czasie swojej długiej, życiowej służby był niezdecydowany.

Trzeba dotknąć, sprawdzić. Dotknąć ludzkiego obrzydlistwa?! Lecz ta kobieta jest przecież zupełnie inna od reszty człowieczego stada.

Wylądował opodal i wpełził na wzgórze z jazgotem gąsienic, łamiąc zawadzające świerki jak zapałki. Uniósł kobietę najdelikatniejszym chwytakiem. Tak, rejestrowany obraz zgadzał się bez wątpienia z jej prawdziwym fizycznym kształtem. Była tak piękna, że każde dotknięcie jej ciała sprawiał rozkosz równą rozkoszy strzelania do wrogiego

tłumu, przynajmniej pod względem natężenia ekscytacji. Co za dziwne doświadczenia, odkrywanie niewyobrażalnych źródeł przyjemności!

Z otchłani nieznanych doznań wrócił myślą do ZOP–Pana i innych ZOPÓW którzy przypuszczalnie już zakończyli likwidację dywersyjnej grupy. Natychmiast stanął na baczność, zapominając na chwilę o trzymanej w uścisku kobiecie.

A może by tak zgnieść ją na krwawą masę w plastycznej dłoni, doznając rażeń podwójnego szczytowania: mechanicznego strażnika praw i ludzkiego kochanka? Nie, bo jej piękno musi starczyć mu na dłużej.

Chwytał wraz z ofiarą znikł w opancerzonym brzuchu, a dzika salwa i laserowych dział ścierała wierzchołek wzgórze, wypełniając powstały krater wrzącą lawą. ZOPal poderwał się z grzmiotem, aby po upływie kilkunastu sekund dołączyć do klucza powracających towarzyszy.

Zawsze gdy była sama chodziła po mieszkaniu nago.

Rozpuszczała białe włosy i trzymała się prosto, jeszcze bardziej unosząc kredowoblade piersi. Niezmiennie sterczące, malutkie sutki miały pomarańczowy odcień.

Spoza zielonej wodnej tafli obserwował jej pośladki, które zdawały się obracać przy każdym kroku. Idąc miała zwyczaj zabawnie podkurczać palce stóp, wczepiając je w kędzierzawą mierzwę dywanu.

Gdy rzucała się na łóżko, podpływał zupełnie blisko do dzielącej ich dwa światy szklanej ściany i z pełną napięcia uwagą śledził każdy jej ruch przy zapalaniu papierosa, poprawianiu poduszek lub muskaniu łona końcami podwiniętych palców. W takich chwilach bywał agresywny wobec sąsiadów, mających nieopodal swoje rewiry. Nieraz staczał z nimi krótkie, zawsze zwycięskie walki, zwłaszcza gdy zmuszony był zająć dogodniejszy punkt obserwacyjny lub

opłynąć kepe wodorostów, za którą zwykle kryły się ciężarne samice.

Od kiedy zdecydował się uczynić prosty system nerwowy niepozornej akwaryjnej molinezji ostatnim percepcyjno-zmysłowym neuronem własnego układu, jego byt podzielił się między dwa krańcowo odmienne rodzaje istnienia. Na służbie był bezwzględny ZOPalem, pierwszym aktywistą w kompanii i najlepszym podwładnym ZOP-Pana. W chwilach wolnych od akcji i ćwiczeń, najczęściej wieczorami, przenosił się do sypialni najpiękniejszej kobiety świata, aby doznać ekstazy pod wpływem jej wdzięków.

Jego rybie ciało męźniało i nabierało tężyzny. Był już największym mieszkańcem akwarium i stale rósł, pożerając nieprawdopodobne ilości Pokarmu i narybku. W paszczy pojawiły się zęby, boki pokryły się kolczastą łuską, a obrzmiałe narządy rozrodcze były w stałej gotowości.

Lecz najdziwniejsze procesy dokonywały się w sferze wielokrotnie zhybrydyzowanej psychiki. Nierzadko wyobrażał sobie, zwłaszcza kiedy kobieta zasnęła w swobodnej pozie z niedbale rozrzuconymi nogami, że wpęłza lub wpływa na jej ciało, ociera swój łuskowy brzuch o rudozłoty góręk łonowy, aż wreszcie spryskuje biel rozwartych ud spermoidalnym rybim mleczkiem. I choć tych wrażeń nie doświadczyłby w żaden inny sposób, zawsze wtedy żałował, że puścił ją wolno. Niestety, po akcji w rezerwacie niewielki miał wybór: albo od razu w orgiastycznym szale zamęczyć piękne ciało, albo też dawkować przyjemność, rozciągając ją w czasie i ograniczając sensorycznie. Wybrał to drugie i na razie czerpał rozkosz wyłącznie zmysłem wzroku, spokojnie obmyślając następne posunięcia. Nie przypuszczał, że knuto przeciwko niemu spisek, i to ze strony, z której najmniej spodziewał się jakiegokolwiek zagrożenia.

Czasami budziły się w nim przedtem nie doświadczone

odczucia, których korzenie sięgały dna nigdy nie stymulowanej części świadomości. Gdy kiedyś jego piękna kobieta przyszła zapłakana, wiedział, że musi coś zrobić, pragnął to zrobić za wszelką cenę. W bezsilnej złości poturbował sąsiadów a potem schronił się w stutonowym, pancernym cielsku ZOPala. Najgorsze jednak było przeświadczenie, że ucieczką przyznał się sam przed sobą do pierwszej w życiu porażki.

Na szczęście zaraz po tego rodzaju rzadkich rozterkach następne wieczory wielokrotnie wynagradzały doświadczane przykrości. Znow podziwiał nagie piękno w codziennych, a także niezwykłych pozach, a jego samcze ciało prężyło się i rosło tak, że poruszanie się w niewielkim zbiorniku sprawiało coraz większą trudność. A ona pochylała się wtedy głęboko nad tęczowym zwierciadłem wody, jej piersi tłoczyły się do szyby jak ciekawskie ryby o wielkich oczach, zaś w szerokim lustrze ściennym nad łóżkiem przeglądała się wysoko uniesiona krągłość pośladków.

Aż do owego krytycznego dnia ani razu nie zastanowił się, dlaczego tak piękna dziewczyna samotnie spędza prawie wszystkie wieczory. Posłuszny prymitywnym odruchom uznał jej mieszkanie za swój rewir, za skrawek przestrzeni, którą władał. Każdą obcą wizytę uważał za naruszenie terytorium i rzucał się wtedy wściekle, burząc wodę i wyrywając rośliny, gotów do walki z intruzem.

Tego wieczora kobieta poruszała się nerwowo i niezgrabnie, i chociaż zaraz po zrzuceniu sukienki przeciągnęła się tak samo powabnie jak zwykle, to czar natychmiast prysł, wdzięczna linia pleców załamała się, a ona usiadła w kącie i paliła papierosa za papierosem. Potem ukradkiem spojrzała na zegarek i pośpiesznie naciągnęła wieczorowy kostium na nagie ciało. Trochę zbyt pośpiesznie, ale wtedy uszło to jego uwadze.

Był wściekły, co okazał dzikimi woltami w zmaconej wodzie. Oczekiwała kogoś! Może by tak wynieść się do

drzemiącego w hangarze ZOPala? Nie, przeczeka. Wizyta pewnie nie potrwa długo, no a potem pozostanie cała noc sam na sam, we dwoje.

Mężczyzna, który wszedł, był obrzydliwy jak wszyscy ludzie. Wszyscy — oczywiście z wyjątkiem jej jednej. Miał grube kudłate ręce, brodatą nalaną twarz, śliniące się wargi i niemal całkowicie łysą głowę, a na jej naznaczonej przebarwieniami powierzchni jakimś cudem trzymało się kilkanaście starannie przylizanych włosów.

Kobieta poruszyła nieznacznie wargami i wskazała na stojący w kącie aparat a przybysz otworzył torbę z narzędziami i bez słowa wziął się do naprawy, rozkładając na stole, łóżku i krzesłach mierniki i wymienne elementy holopamięciowe, zaś całą podłogę pokrywając płataniną kabli.

No tylko tyle — zaciskając użębione szczęki pomyślała rozwścieczona ryba będąca w jakiejś swojej części śmiertcionośnym pociskiem raketowym, policjantem i człowiekiem. Całą siłą rozwiosłowanych płetw przywarła pyskiem do granicznej szklanej tafli, a gdyby jej wzrok mógł palić, intruz stanowiłby już tylko garstkę gorejącego popiołu. Uwaga tej niesamowitej hybrydy była skoncentrowana wyłącznie na niechlujnym, brodatym mężczyźnie. I o to właśnie chodziło.

Wszystko rozegrało się w ciągu paru sekund, a na tym krótkim odcinku czasu nastąpiła, jak to często bywa, ogromna koncentracja brzemiennych w skutki wydarzeń, które potem przez długie lata już leniwie płynącego strumienia godzin, dni i miesięcy będą kształtowały byt jednostek lub całych społeczności. Lecz aby ów skumulowany ciąg nagłych zdarzeń mógł zaistnieć, potrzebne były poprzedzające go równie długie lata nieuchronnie następujących po sobie wypadków, spiętrzających przeciwieństwa podobnie jak przed wstrząsem w głębi skorupy ziemskiej narastają tektoniczne naprężenia.

Delikatne szklane ściany zadźwięczały — to mężczyzna upuścił ciężką torbę. Stał schylony po nią, zastygły w dziwnej, nienaturalnej pozycji, zupełnie jakby śmierć zaskoczyła go w połowie wykonywanego właśnie ruchu, w pełni życiowego wigoru. Lecz nie; nagle wyprostował się i patrzył okrągłymi, wychodzącymi z orbit oczami gdzieś ponad nim i jego akwaryjnym, równoległościennym światłem.

— Teraz! Już! — krzyczał obrzydliwy mężczyzna, bryzgając śliną pomiędzy wywiniętych, posiniałych warg.

Dopiero wtedy shybrydyzowany potwór odwrócił się jednym rzutem muskularnego ciała. Tuż nad błoną powierzchni wody zobaczył jej twarz i palce smukłych dłoni, obejmujące izolatory dwóch czarnych jak śmierć elektrod. Brakowało tylko centymetrów, a przez wodną klatkę przemknęłaby burza błyskawic, unicestwiająca wszelkie zawarte w niej życie.

Lecz ona trwała nieruchoma i bezbronna, tak samo bierna jak na skalistym wzgórzu w rezerwacie, gdzie otaczał ją wstęgami laserowego ognia. Jednakże jej bierność, zarówno tam jak i tutaj, cechowała niezwykłą intensywność istnienia, bo w każdym momencie nie dawała nic z siebie oprócz... samej siebie. Tylko tyle i aż tyle.

ZOPal wycofał się szybko, lecz bez paniki, wysączył świadomość z rybiego mózdzku, aby znów stać się niepodzielnym panem niszcycielskiego krążownika. I chociaż nie mógł już nigdy być taki sam jak dawniej, to przecież jeszcze raz przeistoczył się w monstrualnego mechanicznego drapieżcę. Wyryczał w eter sygnał alarmu i nocna cisza lotniska w okamgnieniu zamieniła się w piekło. Z raptownie rozwartych paszcz hangarów wystrzelały cielska stalowych kolosów, ciągnąc za sobą ogniste treny i otrząsając się z resztek sennego zamroczenia dopiero w lodowatych objęciach stratosferycznych wichrów. W ciągu paru sekund uformowały klucz i gnały pełnym ciągiem na spotkanie z wrogiem, czując gwałtowny

przyływ żądz wokół generatorów śmiercionośnej energii.

Mężczyzna wyłączył prąd i ciężko opadł na fotel. Głucha cisza zawisła w pokoju z centralnie usytuowaną bryłą akwariów. Lecz nagle, gdy spojrzał na kobietę, jego ściągnięte nerwowym skurczem rysy odtajały, a potem uśmiech nadziei w magiczny sposób odmienił tę zmęczoną twarz, na której cierpienie odcisnęło swój trwały stygmat.

Pomimo przygarbionych pleców, bezwładnie spuszczonej rąk, potarganych włosów i łez skapujących na kolana — wciąż była piękna. Stanowiła uosobienie czystego, uniwersalnego, ponadczasowego piękna. Nie miała innej broni oprócz piękna. Miała tylko tyle i... aż tyle.

STRZAŁ

Spojrzał na Sto Trzeciego. Ten siedział w kącie małej salki dotychczas służącej za magazyn. Więzień obejmował ramionami podciągnięte niemal pod brodę kolana. Zarówno jego postawa jak i twarz absolutnie nic nie wyrażały. „Twardy jest ten Sto Trzeci” — pomyślał Corel i położył na podłodze skąpą rację żywności.

— Masz tu swoje żarcie — mruknął.

Nie bardzo wiedział po co go jeszcze karmi. Mógłby go po prostu zagłodzić, ale nie zrobi tego. Może z poczucia obowiązku, a może dlatego, że więzień nr 103 był poza nim i prawie już martwym Colinem, jedyną w promieniu kilkunastu tysięcy kilometrów obrzydliwie pustej i zimnej przestrzeni istotą żyjącą.

Zamknął za sobą metalowe drzwi byłego składu na narzędzia, przeszedł przez sterownię i usiadł w fotelu na przeciw wygaszonego ekranu. Nie mógł teraz znieść widoku nieba i gwiazd. Wszystko przyszło tak nagle i było do tego stopnia niezrozumiałe, że potrzebował dużo czasu, by w pełni pojąć swoją sytuację. W całości pozostała tylko sterownia, ów nieszczęsny magazyn przemieniony w celę i mały fragment korytarza głównego ograniczony śluzą grodziową. Reszta statku zamieniła się w masę bezużytecznego żelastwa dryfującego bezwładnie poprzez otchłań czerni. Z ludzi — do niedawna załogi statku i eskortowanych przez nich więźniów — nie zostało już nic.

Do uszu Corela doszedł jęk, niemal zwierzęce skomlenie, które wyrwało się z gardła człowieka. To Colin leżący na prowizorycznej pryzy. Całe pomieszczenie wypełniał jego

szybki, chrapliwy oddech. Pogruchotaną czaszkę, ramię i kręgosłup kolegi Corel pozawijał jak mógł, lecz tutaj potrzebny był lekarz. Wstał i podszedł do leżącego. Spojrzał na skrwawioną i wykrzywioną grymasem bólu twarz Colina pokrytą kropelkami potu. Głębokie cienie pod oczami nadawały jej pozory martwoty, a jednak Colin spazmatycznie chwycił powietrze, parował gorączką. Palce jego prawej, całej ręki kurczowo ścisnęły koc.

— Jak... długo jeszcze — wychrypiał chory otwierając oczy. Jego szkliste źrenice patrzyły nieprzytomnie, czaił się w nich strach.

— Jeszcze trochę wytrzymaj — ponowiłem wezwanie. — Powinni, niedługo być. — Mówił szeptem by tamten nie usłyszał jak drży mu głos Silił się na uśmiech wiedząc że kłamie. Nic innego nie mógł zrobić. Łudził się, że powtarzając w kółko słowa otuchy, sam w nie w końcu uwierzy.

— Nie o to chodzi... Jak długo będziesz... stał nade mną. Jak długo... mam się męczyć... Jeden strzał, Corel... jeden strzał...

Po ciele Colina przebiegły drgawki, oddech rannego stał się szybszy.

— Nic nie mów, leż spokojnie — Corel podniósł się i nerwowo, dużymi krokami zaczął przemierzać sterownię. Wylot korytarza, sześć długich kroków, pulpity, zwrot, sześć kroków, zwrot... w tę i z powrotem. Wreszcie zmęczony do granic padł na fotel i... zasnął. Budził go co chwilę jęk Colina. Za każdym razem ogarniała go większa rozpacz, nie, złość na wszystko. Na to „coś”, które spowodowało katastrofę, na statek, Sto Trzeciego, Colina, wreszcie na to, że nie znalazł się po drugiej stronie śluzy razem z tymi, którzy mieli już wszystko poza sobą. Wiedział, że nawet najszybsze statki dotrą tu najwcześniej za tydzień. Nigdzie nie znalazł żadnych środków uśmierzających. Pozostało mu tylko patrzeć i czekać. Dziwił

się, że tamten jeszcze żyje, jest tak pogruhotany... Spadł na rury...

Cisza wypełniona tylko szybkim oddechem chorego wprowadziła go w stan dziwnego otępienia, drażnił go nierównomierny rytm, ale uważał, że każdy inny dźwięk byłby tu jakoś nie na miejscu. Poczłł nagle silny zawrót głowy, wydało mu się, że leci gdzieś w dół w bezdenną studnię. Przerażony tym poderwał się i rozpoczął na nowo swą wędrówkę po sterowni. Nie mogąc znieść widoku Colina otworzył klapę i wyszedł na korytarz. Zatrzymał się przed kończącą go śluzą. Długo wpatrywał się w grubą opancerzoną płytę. Po raz któryś z kolei sprawdził zamknięcie grodzi. Człł się jak w zbyt ciasnej ponurej klatce, gdzie zamknięto go wraz ze strzępem żywego człowieka i kryminalistą. Klatka była zamknięta — wskaźnik przy grodzi jednoznacznie mówił, że po drugiej stronie panuje próżnia. Nagle przyszła mu do głowy myśl, żeby jednak otworzyć obie grodzie śluzy i zakończyć męki Colina. Ten Sto Trzeci i tak jest już stracony, a on, Corel ma tylko jeden nabój w pistolecie i nie może nic zrobić. To wyjście rozwiązało by problem. Nikt nawet nie domyśli się, że on był mordercą, zresztą nie będzie to miało już znaczenia... Nie! Nie robi tego. Boi się zasłyszanych opowiadań o ciałach ludzi rozdymanych pod własnym ciśnieniem i pękających jak baloniki wypełnione krwią, która zamarza nim zostanie rozerwana na atomy. Bał się tego, uważał taką śmierć za zbyt straszną.

Przypomniał sobie jeszcze raz, jak to było. Poganiał ich. Był wściekły i zmęczony. Siedział w fotelu i niechętnie przyglądał się więźniom. Wreszcie wstał by zamknąć drzwi sterowni, odprawa była skończona. Wszyscy Już przeszli, gdy nagle ten z numerem 103 zawrócił w miejscu i ruszył biegiem w kierunku skąd przed chwilą szedł. Corel zastąpił mu drogę, chcąc go zatrzymać, ale więzień rzucił się na niego z jakimś dzikim

furiackim okrzykiem. Poczul uderzenie, lecz nie stracił przytomności. Leżąc na podłodze w sterowni zobaczył Colina, który idąc jako ostatni z eskortujących, ruszył mu na pomoc. Doskoczył do napastnika i wymierzył mu cios swą potężną ręką.

— Nic ci się nie stało? — spytał go Colin podchodząc do składu narzędziowego. Zdjął ze ściany zwój liny z wyraźnym zamiarem skrepowania nieprzytomnego więźnia.

Corel nie zdążył odpowiedzieć. Wstrząs jak kopnięcie olbrzyma targnął całym statkiem. Widział wszystko. Każdy szczegół jak na zwolnionym filmie, jednocześnie rozległ się dzwonek alarmu, huk zamykanej grodzi i krzyk Colina. On sam zdołał uchwycić się podstawy fotela. Bezwładne ciało Sto Trzeciego przejechało parę metrów i zatrzymało się na progu. Stojący Colin, targnięty niewidzialną siłą wyminął go, przeleciał przez otwarte drzwi, zatoczył łuk i głową wprzód runął w stronę, gdzie ze ściany wychodziła sieć rur chłodzenia... Corel nie pamiętał dokładnie co dalej robił, musiał działać w szoku... W miejscu gdzie Colin uderzył w ścianę, miał przed sobą, na podłodze czarną plamę skrzeplej krwi.

— Core...el — doszedł go ochryply głos z daleka. Zacisnął głowę w dłoniach. Nie mógł słuchać tego jęku, wiedział że tamten będzie go błagać o skrócenie męki. Miał tylko jeden nabój.

— Coorel — krzyk przedarł się przez zaporę dłoni. Powlókł się do sterowni.

— Corel, jesteś tu? — usłyszał.

— Tak — odpowiedział pokonując zmęczenie.

— Corel... ja nic nie widzę. Nic nie... widzę, rozumiesz? To... koniec... — szept docierał do niego jakby z daleka. Milczał.

— Jesteś tu? Odezwij się... nie chcę być sam.

Podszedł do pryczy i usiadł na jej skraju. Patrzył na widniejącą spod rozdartego kombinezonu, potężną pierś rannego, która wznosiła się w spazmatycznym oddechu. Dotknął niemal z lękiem zdrowej, nadal zacisniętej na kocu dłoni.

— Jestem.

— To dobrze — na twarzy Colina pojawił się jakby cień odprężenia, lecz w chwilę potem ta zdrowa dłoń chwyciła jego rękę i zacisnęła się na mej jak kleszcze. Leżący sprężył się cały.

— Słuchaj, powiedz jej że... Boli, okropnie boli — jęknął. — Powiedz, że zawsze... do końca chciałem... że szkoda... i żeby pamiętała... bo... — głos urwał się i przycichł. Corel pochylił się, poczuł na twarzy gorący oddech. — Powiedz... że zawsze... — wyrzucane z trudem słowa przeszły w niezrozumiały bełkot. Wyraźnie powtarzało się tylko jedno słowo: Lii, które było zapewne imieniem dziewczyny.

Ręka Colina jeszcze mocniej zacisnęła się na jego dłoni.

— Powiesz? — spytał dość wyraźnie.

— Powiem... — odparł cicho, wiedząc iż znów kłamie, że nie powie jej, nie wie nawet jak wygląda. A może gdy znajdzie się na Ziemi ona podejdzie do niego i spyta: Gdzie jest Colin? A on będzie mógł tylko powiedzieć że nie dowiózł go, że nie umiał mu pomóc. A ona? Może rzuci się na niego z krzykiem jak Sto Trzeci, może będzie milczeć, połykając łzy, albo, co jest bardziej prawdopodobne, wrzusi obojętnie ramionami i odejdzie. Nie wiedział, która z możliwości jest najgorsza.

Znowu poczuł, że zapada w otchłań bez dna. Miał ochotę wycić, walić głową w chroniącą ich pancerną osłonę. Tylko dłoń Colina wilgotna, gorąca i ogromna powstrzymywała go od szaleńczych czynów. Oczy tamtego nieruchomo patrzyły w przestrzeń spod zwojów bandaży. Tylko oddech świadczył o jego życiu. Przez najbliższe godziny chory rzucał się w gorączce, co pogarszało coraz bardziej stan uszkodzonego

kręgosłupa i powodowało nowe drgawki.

Kilka razy sięgał do leżącego obok na pulpicie pistoletu, ale za każdym razem odkładał go z powrotem. Chciał pozostawić sobie drogę wyjścia. Modlił się w duchu żeby pomoc przyleciała jak najprędzej, albo żeby wreszcie ten pechowiec o budowie Herkulesa wyzionął ducha. Według zegara pokładowego był już ranek, gdy szarpanina ustała. Znużony przysnął na siedząco.

Zbudził go wzrok, właśnie wzrok Colina pełen rozpaczony i strachu, zupełnie przytomny.

— Jesteś? — ledwie dosłyszalny bełkot.

— Jestem...

Szyja mu drgała, męczył się. Chciał coś powiedzieć. Wreszcie krzyknął zrozpaczonym łamiącym się głosem:

— Nie chcę! Nie chcę!!

Usiadł gwałtownie czepiając się zdrowym ramieniem jego szyi i spazmatycznie przyciągnął do siebie. Corel złapał go za ramiona i podtrzymał.

— Niece — szepnął Colin i zawisł mu bezwładnie na rękach. Ramię obejmujące jego szyję osunęło się. Corel ułożył martwego na pryczy. W piersiach czuł kamień. Ogarnęła go wściekłość. Nie żałował straconego życia — Colin był mu raczej obojętnym, wszystko co dla niego robił, robił bardziej po to by uświadczyc się w swojej szlachetności i z poczucia obowiązku. Zły był na los, który skazał go na samotność.

Zakrył kocem wykrzywioną twarz, potem nagle targnięty pasją chwycił jego końce i szarpnął. Ciało z łomotem stoczyło się na podłogę. Ciągnął je korytarzem jak goniony przez złe duchy. Otworzył wewnętrzną klapę grodzi, wepchnął do służby martwego Colina, zamknął ją i uruchomił mechanizm zewnętrznej. Przed oczyma miał widok rozrywanego w próżni ciała pomiędzy pogiętymi blachami rakiety. Zacisnął kurczowo powieki ale to nie pomogło, obraz nie ustąpił, wypełnił całą

świadomość. Zataczając się wybiegł do sterowni, chwycił pistolet, jednym szarpnięciem otworzył drzwi prowizorycznego więzienia.

— Wyłaż! — ryknął na całe gardło. — Wyłaż!!

Sto Trzeci podniósł się powoli z podłogi. Ledwie dostrzegalnie drgnął, gdy ujrzał wycelowaną w siebie lufę. Niewysoki, krępy, o szarej twarzy na tle jaskrawopomarańczowego kombinezону więźnia Pierwszej Grupy.

— No, wyłaż!! — powtórzył Corel, czując jak słabnie i jak prawa jego dłoń zaczyna drżeć. Przeraził się na myśl, że tamten może to zauważyć. Pokonał nagły ucisk w krtani.

— To twoja wina — wychrypiał nieswoim, płytkim głosem. — Ty, ty... — Nie znalazł odpowiedniego określenia. Przed oczami zawirowały mu czarne platy, poprzez które widział spokój Sto Trzeciego.

— Nie — powiedział nagle z szyderczym uśmiechem. — Jesteś zbyt cenny, dostarczę cię panu, morderco! Żywego. Jesteśmy tu tylko my dwaj... — Urwał. Resztą sił pchnął drzwi. Nie zdążył ich już zamknąć. Ogarnęła go nieprzenikniona, lepka ciemność.

Ocknął się leżąc na podłodze pod uchylonymi drzwiami. Zacisnął prawą pięść, była pusta. Zerwał się z podłogi i zajrzał do celi.

— Tu jestem — spokojny, cichy głos zmroził go. Odwrócił się i napotkał spojrzenie ciemnych źrenic. Teraz dopiero wyraźnie zobaczył jego twarz. O prostym, silnym nosie, upartych ustach i wyraźnych kościach policzkowych. Twarz pokrytą kilkudniowym zarostem. Pionowa zmarszczka między brwiami nadawała temu obliczu wyraz gniewnego skupienia, ale nic z tych uczuć nie można było znaleźć w jego oczach.

— Siadaj — Sto Trzeci wskazał na sąsiedni fotel.

— Kpisz sobie ze mnie?! — krzyknął Corel próbując dodać

sobie odwagi.

— Nie. Sam mówiłeś, jesteśmy tu tylko my dwaj. Siadaj — powtórzył. Na pulpicie obok fotela leżała porcja żywności i jego pistolet. Usiadł ostrożnie w miękkie obicie jakby miał pod sobą tonę trotylu.

— On umarł...

Pytanie będące jednocześnie odpowiedzią zabrzmiało dziwnie w ustach przestępcy.

— Tak, przez ciebie.

— Nie mogłem przewidzieć, że...

— Nie mogłeś!? — rzucił Corel głucho, czuł ogarniającą go znowu nasię. Sięgnął po broń.

— To nic nie da, nabój jest u mnie. Musiałem się zabezpieczyć. Poczul, że blednie, nagle zrobiło mu się zimno. Chciał coś powiedzieć, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

— Mogłem cię sprzątnąć — powiedział Sto Trzeci jakby odgadując jego myśli. — Ale to nic nie da. Dla mnie i tak nie ma odwrotu, teraz jesteśmy równi.

Corel nie powiedział nic. Po chwili spostrzegł, że cała jego nienawiść rozplynęła się w mieszaninie nieokreślonych wrażeń. Jeszcze nigdy nie czuł się tak dziwnie. Spojrzał jeszcze raz na więźnia, twarz tamtego wcale się nie zmieniła, mierzył go wciąż swymi ciemnymi źrenicami. Chyba się uśmiechał. Corel westchnął głęboko i wepchnął do kabury niepotrzebny już pistolet.

Cisza wwiercała się uparcie w mózg. Duszne, ciężkie powietrze z trudem wchodziło w zmęczone płuca. Wyczekiwanie stało się katogą.

— Wiesz, nigdy nie byłem w przestrzeni — rozbrzmiał nagle cichy, spokojny głos. Sto Trzeci siedział i wpatrywał się w ekran, na którym mdłym blaskiem świeciły tysiące drobnych iskier. — Zawsze chciałem. Szkoda że dopiero teraz... — nuta

zawodu w głosie.

— Ja mam tego dosyć, wyłącz monitor — odparł Corel pokonując zniechęcenie.

— Chcę popatrzeć.

— Wyłącz — powtórzył z naciskiem, ogarnęło go znowu podłe uczucie „nienawiści do wszystkiego dookoła. Miał wrażenie jakby cała kabina kurczyła się i zgniatała go w sobie, przed oczyma wciąż majaczyła mu plama krwi w korytarzu. Nagle serce skoczyło mu do gardła. Wyraźnie usłyszał głucho dudnienie, jakby ktoś walił od zewnątrz czymś twardym w poszycie statku. Zerwał się.

— Słyszałeś?!

— Co?

— To chyba Colin, obudził się! — krzyknął i pobiegł w głąb korytarza.

— Stój, Corel, stój!! — wołanie, które go dobiegło było poza jego świadomością. Ktoś pukał, trzeba zobaczyć kto. Rzucił się na klapę i bezmyślnie szarpnął za jej uchwyt. Nadbiegł Sto Trzeci, chwycił go mocno za ręce i pociągnął w tył.

— Wydawało ci się. Tam nikogo nie ma. Nikogo, rozumiesz? — mówił szybko, akcentując każde słowo.

— On tam jest!

— Kto?

— Colin!

— On nie żyje. Nie żyje, rozumiesz!

— Nie, nic mnie to nie obchodzi, mam już dość tego wszystkiego. Oni nigdy nie przylecą, nikt o nas nie wie. Oddaj mi nabój, albo pozwól otworzyć klapę! Puść, chcę się stąd wydostać! — szarpał się wściekle, lecz Sto Trzeci był silniejszy.

— Corel, uspokój się, pomyśl o Ziemi, pamiętasz Ziemię? Błękitne morze, trawa... Musisz tam wrócić.

— Po co? Nikt tam na mnie nie czeka. Puść mnie!!

— Czekaj, z pewnością ktoś czeka. Za ścianą nikogo nie ma, to halucynacja!

— Nie! — ryczał, a głos odbity zdawał się echem rozsadać korytarz. Zaczął mocniej się szarpać, chciał powalić tamtego na ziemię. W pewnym momencie poczuł okropny ból u nasady głowy. Stracił przytomność.

Gdy się ocknął, Sto Trzeci siedząc w fotelu dyszał jeszcze po stoczonej z nim walce. Na jego spoconej twarzy malował się dziwny grymas, jakby nadal z czymś walczył. W głowie Corela miarowo odzywał się ból w takt tętna, w oczach wirowała czerwona mgła, a w uszach rozlegał się huk. Dopiero po chwili zorientował się, że to nie tętno, że głosy pochodzą z zewnątrz. „Znowu” — pomyślał z rozpaczą.

— Słyszysz? — szepnął przez zaciśnięte gardło.

— Tak, ale to nic. Po prostu halucynacja.

— Halucynacja... — powtórzył bezwiednie Corel czując, że balansuje na granicy obłądzenia. Szalona pogoń myśli nie dawała się ujarzmić. Uniósł się z podłogi, ciężko powłókł do pryczy, usiadł na niej. Z całych sił potarł dłońmi skronie. Bez rezultatu.

Nie wiedział ile godzin tak siedzieli, niemal fizycznie odczuwając każdy następny dźwięk. Robiło się gorąco i duszno. Corel czuł spływające mu po twarzy stróżki potu. Czasem myślał, że to wszystko jest tylko obłądnym koszmarem i za wszelką cenę pragnął się obudzić. Wreszcie czując, że czaszka pęknie mu od tego łomotu, że nie wytrzyma i zacznie tłuc głową w ścianę lub zrobi coś jeszcze głupszego, zebrał całą wolę jaka w nim pozostała, wstał energicznie i wybiegł chwytając po drodze kilogramowy młotek. Nim Sto Trzeci zorientował się, Corel był już przy śluzie. Zamachnął się i uderzył w białą tabliczkę rozdzielczą mechanizmu grodzi. Gdzieś wewnątrz wywalonej dziury zasyczał łuk elektryczny. Zaśmierdziało spaloną izolacją. Wypuścił młotek z dłoni. Żelazo opadło z głuchym hukiem na podłogę. Tuż za ścianą

czaiło się Nieznane, do którego odciął sobie drogę raz na zawsze. Trzymając się ściany, powoli powrócił do sterowni i padł bezwładnie w fotel jakby w to uderzenie włożył wszystkie swoje siły.

Sekundy łączyły się w minuty, które być może były godzinami. Ciągłe zza grodzi dochodziły tajemnicze dźwięki drażące mózg, szarpiące każdym nerwem z osobna. Corel sam nie wiedział kiedy popadł w nerwowy sen. Zbudził się nagle pełen niepokoju. Coś się zmieniło. Z początku nie wiedział co, po parunastu sekundach spostrzegł, że to cisza. Piekielna, absolutna cisza. Nasłuchiwał długo, lecz nie usłyszał nic. Zdziwił się, bo ten brak dźwięków wcale nie przyniósł mu ulgi. Spojrzał na leżący w kącie roztrzaskany zegar. Nie bardzo wiedział czy zniszczył go podczas wywlekania ciała Colina, czy też może spadł on bez jego pomocy. Czas stał się niewymierny. Oszczędzał baterie, światło ledwo się tliło, nie uruchamiał radia a na naprawę zegara nie było go stać. Powietrze stawało się coraz gęstsze i gorętsze. Powinien był sprawdzić na ile starczy im powietrza i energii, lecz nie miał na to sił...

Chcąc ztrzeć laskoczące kropelki potu z nasady nosa natrafił na twardą szczecinę na policzku. Według zarostu mogło minąć najwyżej trzy dni. Poczul głód. Zajrzał do skrytki z żywnością, zostało jej już przeraźliwie mało. Walczył z myślą by gdzieś schować resztki jedzenia przed śpiącym Sto Trzecim i korzystać z nich samemu. W końcu jednak zatrzasnął skrytkę zostawiając całą jej zawartość, zadziwiony trochę swoją reakcją. Odgłos trzaśnięcia zbudził Sto Trzeciego.

Corel nabrał w płuca powietrza. Setki pytań cisnęło mu się na usta, najpierw jednak spytał:

— Zjesz coś?

— Nie, jeszcze nie.

— Słuchaj... Jak ci na imię?

— Po co ci imię? — zachnął się tamten. — Jestem więźniem

Sto Trzy, którego ty eskortujesz.

— Nie chcę tak. Numer jest jakiś... nieludzki. A ja, to wszystko jest ludzkie?

— Zrozum, nie ma już więźnia i członka Służby, są dwaj rozbitkowie.

— Teraz. A co będzie potem?

— Potem. Skąd wiesz, że będzie jakiś potem?! — mimowolnie podniósł głos. Coś dziwnego działo się w jego umyśle. Już ciszej dodał No, jak?

— Seran...

— Za co... — chciał zadać następne pytanie, ale głos uwiązł mu w gardle. Poczł nagle, że nie powinien go zadawać, że jest tak jak powinno być.

Że nie musi wiedzieć. Niezależnie od odpowiedzi ten człowiek poddany wyrokiem losu jego woli, na zawsze pozostanie dla niego kimś bardzo ważnym w życiu. Wiedział, że nie trzeba słów. Gdzieś w jego duszy otworzyły się dawno zapomniane drzwi ukazując mu gamę uczuć nie znanych dotąd. Poczł jak rodzi się w nim coś, co przetrwać może najcięższe próby losu, coś o czym słyszał ale nie spotkał nigdy, czego na ziemi już nie ma. Rozpoczęte zdanie wisiało w powietrzu. Powiedział więc tylko:

— Ile? Seran, jak długo?

— Na zawsze.

— Więc jednak... Myślałem, że...

— Nie, za to nie ma nadziei wolności. Zostaje cela taka jak sterownia i tęsknota za Ziemią.

— Dlaczego... nie, to niemożliwe... — Corel rozpaczliwie bił się z własnymi myślami. „Jak to? Te ciemne spokojne oczy miałyby być oczyma...”

— Nie miałem żadnego wyboru — szepnął Sto Trzeci.

— Nie mów nic, nie chcę — Corel niemal krzyknął, nie zdołał jednak powstrzymać słów Serana.

— Pięciu ludzi. Pięciu ludzi... To było okropne, wiesz? Nie chciałem tego... I tak nie ma już dla mnie życia. Kiedy tamten umarł, a ty wymierzyłeś we mnie pistolet miałem nadzieję, że skończy się to wszystko. Nie mogę sobie tamtego darować... Potem zabrałem twój rewolwer i chciałem sam, ale wtedy pomyślałem, że we dwoje jest zawsze lepiej, łatwiej. Ja mam możliwość wszędzie, już nawet tam... uciec od siebie. Ty byłeś inny od wszystkich i dlatego...

— Nie, wcale nie byłem inny. Gdyby na moim miejscu znalazł się ktoś z załogi powiedziałbyś to samo. Czysty przypadek.

— Ten ktoś... Chociaż może jest tak jak mówisz.

Oczy ich spotkały się. Serana emitowały dziwne błyski. Corel odpowiedział uśmiechem. W jednym momencie znikła przestrzeń napawająca strachem i szaleństwem, znikła ciasna duszna kabina. Nic nie miało znaczenia, teraz nie była ważna żadna sprawa. Cisza stała się cudowną muzyką. Czasem zamieniali kilka słów, krótkich, urywanych zdań. Przeważnie nie mówili jednak nic, nie potrzeba było. Odosobnienie było dla nich ucieczką przed powszednimi sprawami. Nawet problem ich przetrwania odpłynął gdzieś w dal. Corela nie przerażał już widok czarnego nieba. Dostrzegał w tym obrazie coś więcej. Fascynowała go nieskończona przestrzeń, lecz nie czuł wobec niej własnej nicości. Tu był jego dom. Wpatrzony w ekran, przepełniony przedziwnymi i wspaniałymi uczuciami zupełnie stracił rachubę czasu.

Statek zbliżał się z zapalonymi światłami. Po krótkim czasie wypełnił niemal połowę monitora. W końcu oderwała się od niego niewielka kapsuła ratownicza. Stali obaj przed ekranem bez słowa. Corel obok ulgi odczuwał dziwny i potężny smutek.

— To już koniec — powiedział. Pochylił się nad pulpitem, przycisnął odpowiedni guzik. Do pomieszczenia z szumem wpadł tlen z zapasowych butli. Od razu łatwiej było oddychać,

ale jego myśli nadal błądziły wokół jednego faktu. Koniec tego najtrudniejszego i najbardziej niezwykłego lotu w jego marnym życiu. Wpatrywał się w kapsułę raczej jak w widmo śmierci niż ocalenia. Nagle zdało mu się, że uległ złudzeniu, bowiem stateczek miał kierować się ku nim popłynął ku tyłowi rakiety.

— Co oni tam robią? — szepnął do siebie pochylając się nad pulpitem jakby chciał wejść w ekran. Włączył nasłuch. Uszkodzone anteny odbiorcze dawały same nieokreślone szumy. Na karku poczuł szybki oddech Serana.

Nagle głośnik zaskrzeczał:

— AD 5, AD 5 do Bazy, AD 5 do Bazy! Mamy rozbitków. Jak mnie słyszycie?

— Baza do AD 5, zrozumiałem.

„Jakich rozbitków? Czy ja zwariowałem?!” pomyślał i bez zastanowienia, odruchowo porwał mikrofon i krzyknął na całe gardło:

— Do AD 5! Do AD 5! Tu RK 110! Jesteśmy tutaj w sterowni! Oszłupiał, gdy usłyszał:

— AD 5 do Bazy. Mamy jeszcze jednych. Musiały zewrzeć się gro... Corel zerwał się i pobiegł do śluzy. Pomyślał, że zwariuje — ciśnieniomierz spoczywał na zerze. Ze zdławionym okrzykiem rozpacz i wściekłości uderzył go zwiniętą pięścią. Strzałka drgnęła jakby obudzona. Skoczyła i zatrzymała się w połowie skali.

Poczuł jak sufit korytarza wali mu się na głowę. „Więc wystarczyło tylko uderzyć w aparat. Statek jest cały. Tylko grodz się zawarła i zaciął ciśnieniomierz... Zniszczyłem mechanizm myśląc że ratuję sobie życie a tymczasem odciąłem się od reszty... A oni tam myśleli identycznie to samo...”

Ogarnęła go fala niepowstrzymanego śmiechu. Śmiał się głośno, chrapliwie, nerwowo. Zwijał się i rechotał nie mogąc przestać mimo, że wewnątrz wcale nie było mu do śmiechu, czuł idiotyzm sytuacji.

— Seran! — zawołał z trudem chwytając powietrze. — Spójrz tu! — wskazał zdumionemu Sto Trzeciemu. — Strzałka zacięła się, a ty...

Nagle spowaźniał. W oczach tamtego było coś, co kazało mu zamilczeć.

— Skończyło się, znowu jesteśmy po obu stronach barykady.

— Nie, nigdy...

— Przestań pleść głupstwa, przed tobą całe życie, mnie i tak nic już nie pomoże. — Sto Trzeci wyjął z kieszeni zapomniany już nabój i rzucił go na podłogę.

— Nie, nie... — Corel nie mógł powiedzieć nic innego, obezwładniło go poczucie bezsilności.

— Tak, to już koniec — głos tamtego był ledwo słyszalny i bezbarwny.

— Seran, zawdzięczałbym tobie życie gdyby nie ten przypadek. Ale liczą się intencje... — Urwał, czując jak coś dławiącego podjeżdża mu do gardła.

— Znowu wygadujesz bzdury. Ja chciałem ci tylko powiedzieć — Sto Trzeci mówił bardzo powoli. Jego niezmaczenie spokojne, stalowe źrenice zdawały się przenikać Corela na wskroś — że to były najpiękniejsze chwile mojego życia.

Wyciągnął dłoń. Była chłodna i mocna w uścisku. Corel patrzył mu prosto w oczy i pragnął, by ta chwila trwała wiecznie. Powoli, bardzo powoli Seran cofnął się i ciężkimi krokami poszedł do sterowni.

„Masz teraz!” myślał Corel starając zadać sobie wypowiedzanymi w myśli słowami jak najwięcej bólu. „Masz, czego chciałeś. Dowiozłeś go, teraz dostaniesz pochwałę za utrzymanie więźnia, a on, on rzuci się na któregoś innego strażnika by nie cierpieć samotności do końca życia. Ty byłeś szczęśliwy, a on... on i tak zginie. Zginie!” — powtarzał w duchu patrząc na błyszczącą obłą kroplę u swych stóp. Podniósł

ją z podłogi i włożył do magazynka. W jednej sekundzie podjął decyzję.

Nogi miał jak z ołowiu, każdy krok był walką. Metal rewolweru zdawał się ważyć tonę. Stał w drzwiach sterowni. Na tle ekranu rysowały się szerokie plecy więźnia obleczone w jaskrawy, obrzydliwy kombinezon. Zrobił nadludzki wysiłek by unieść rękę i uczynić jeszcze jeden krok.

— Seran... — niemal jęknął. Drżał na całym ciele. — Seran — powtórzył i szybko dodał — To jedyne co mogę dla ciebie zrobić!

Krępa postać odwróciła się. Corel czuł jak miękną mu nogi. Na twarzy Sto Trzeciego odbiło się jakby zdumienie.

Z bezgłośnym krzykiem nacisnął spust. Huk wystrzału rozdarł ciszę i odbił się echem pośród wiązań rakiety. Corel chciał zamknąć oczy ale nie zrobił tego. Widział jak w zwolnionym filmie każdy szczegół. Wyraz zdumienia na twarzy tamtego ustąpił grymasowi bólu.

— Dziękuję ci — szept zabrzmiał wyraźniej od wystrzału. — Warto było. Jaskrawo ubrana sylwetka zgięła się w pół i jak podcięte drzewo osunęła na ziemię. Obraz w oczach Corela zamazał się. Opuścił rękę, nie czuł ciężącego mu w dłoni metalu. Z rozpaczą myślał, oglądał oczami ducha jak gdzieś w jego wnętrzu coś rozpada się, z hukiem wali w gruzy. Wszystkie myśli uleciały gdzieś w pustkę a on wiedział, że stracił coś, czego już nigdy więcej nie spotka.

Stał długo. Lekko pochylony, z opuszczonymi rękoma. Tępo spoglądał na leżące ciało swego jedyne w życiu przyjaciela. W ciemnych otwartych oczach Sto Trzeciego zastygła, nuta zrozumienia. Pionowa rysa między uniesionymi lekko brwiami nie zakłócała dziwnego spokoju tej twarzy. W kąciку upartych ust czerwieniał wąski strumyk krwi. Seran nadal zdawał się przenikać tym swoim wzrokiem problemy tego świata. Chyba się uśmiechał.

Ogarnął Corela dziwny, niezmacony niczym spokój. Za jego plecami rozległ się specyficzny syk otwieranej śluzy.

— Ratunek — pomyślał bez żadnego uczucia.

Uniósł oczy znad ciała więźnia nr 103. Za szybą ekranu jarzyły się tysiące gwiazd, zawsze takich samych. Zimnych i obojętnych.

KONTAKT BEZPOŚREDNI

Felix zjawił się na dworcu zaledwie dwadzieścia minut przed odlotem. Mało brakowało, a byłby się spóźnił. Metro znowu nawaliło i gdyby nie kolejka napowierzchna... Całe szczęście, że bilet kupił wcześniej.

Teraz szybko przemierzał halę dworcową do wyjścia na startowisko. Zatrzymał się w sektorze odpraw zagranicznych. Po ostatnio wprowadzonych ograniczeniach paszportowych było tu znacznie mniej podróżnych niż w pozostałych sektorach. Stał w najkrótszej, jak mu się wydawało, kolejce do jednego z trzydziestu stanowisk odprawowych. Kolejka dość szybko przesuwała się do przodu.

Stojący przed nim mężczyzna o wyglądzie nosorożca tłumaczył coś gorączkowo dowódcy gwardzistów.

— Nie róbcie ze mnie idioty! — krzyczał mężczyzna do oficera. — Zawsze wystarczał podwójny paszport. Przepadnie mi moja rezerwacja!

Jak spod ziemi wyrosli dwaj masywni gwardziści, chwycili nosorożca za ręce i zabrali.

— Następny — powiedział oficer.

Felix szybko podał swoje dokumenty.

Gwardzista otaksował go wzrokiem i niedbale zaczął przeglądać plik plastikowych płytek.

— Jest legitymacja? — gwardzista dostrzegł ulgowy żeton przyklejony do płytki paszportowej.

— Tak, oczywiście — Felix sięgnął do kieszeni.

— Dziękuję — oficer machnął ręką. — Następny.

„Nie włożył nawet mojego identyfikatora do sprawdzarki” — machinalnie pomyślał Felix. Podszedł do stanowiska

celników.

Urzędnik wziął jego pojemnik podróżny i postawił na prześwietlaczu.

— Lecisz na Ziemię? — celnik nie odrywał wzroku od ekranu prześwietlacza.

— Tak, na kontakt bezpośredni — odpowiedział Felix zauważając, że zrobiło to spore wrażenie na funkcjonariuszu.

— Życzę powodzenia — celnik spojrział na niego zazdrośnie i oddał mu pojemnik.

Felix chwycił pojemnik i pobiegł tunelem zadowolony, że wszystko poszło tak gładko. Właściwie nie miał się czego bać, ale z gwardzistami nie było żartów — jakaś niedokładność w dokumentach i zwinęliby go jak tamtego. Wybiegł na startowisko. Spojrział na monitor informacyjny.

„Lot 216 Księżyc–Ziemia. Opóźniony start za 3 minuty. Wyrzutnia 5” — przeczytał.

Wskoczył na odpowiedni bieżnik. Jadąc wyszukał w kieszeni bilet i wsunął go do szczeliny magnetycznej kiedy znalazł się przy wejściu na wyrzutnię.

Wszystkie miejsca w kosmolocie były zajęte. Felix przecisnął się między ludźmi do członu pierwszej klasy i stanął na przedniej platformie. Było tu trochę luźniej niż z tyłu kosmolotu.

„Weekend” — pomyślał — „jak zwykle tłok”.

Próbował wczoraj załatwić rezerwację, ale wszystkie miejsca były od dawna wykupione. Gdyby nie perspektywa kontaktu, byłby pewnie wściekły — lot na Ziemię trwał prawie osiem godzin. Na platformie oprócz niego znajdowało się kilkanaście osób. Jedni inni siedzieli na swych pojemnikach podróżnych. Wszyscy wydawali bezbarwni i nieciekawi.

Felix oparł się o stalowosiną ścianę kosmolotu. Machinalnie rejestrował rdzawy brud na podłodze, widoczny w mdłym świetle rzucanym przez fotopromienniki. Miał za sobą dzień

ciężkiej pracy. Jeszcze jeden idiotyczny dzień. Ci sami ludzie, te same kłopoty. Praca — dom, praca — dom. Wiedział, że tak będzie do końca. Miał za sobą sześćdziesiąt lat życia. To niemal połowa. Ta lepsza. Był jeszcze młody. Ale to nie to samo, co trzydzieści lat temu. Czas Wielkiej Przemiany. Wtedy wierzył w przyszłość, nowy porządek, który miał zapewnić wspaniałą rozwój ludziom i ich cywilizacji. Jak absolutną prawdę przyjmował każde słowo Urskkiego płynące z videokaset rozrzucanych w metrze. Zresztą wszyscy wierzyli. Zostały wspomnienia...

Urskki nie żyje. O Wielkiej Przemianie nie wolno nawet mówić. Ziemia, mająca dość własnych problemów, nie interweniowała gdy gwardziści przejęli władzę i ogłosili niezależność Księżyca od Rady Planet. Od tamtego czasu Felix miał tylko jedno marzenie. Kontakt. Dowiedział się o nim na lekcji biologii, gdy był jeszcze dzieckiem. Kontakt był możliwy wyłącznie dla niezwykle wąskiego grona najlepszych naukowców i dostojników z Rady Planet. Jego marzenie nie miało najmniejszych szans realizacji. Do wczoraj. Doroczna Ogólnoksiężycowa Loteria. Zaryzykował aż dwieście kosmików. Wygrał główną nagrodę — kontakt bezpośredni! I oto teraz, zadowolony podążał na Ziemię. Był zmęczony. Usiadł na pojemniku. Zasnął.

Kosmolot wylądował na lądowisku międzyplanetarnym w Ułan Bator. Zieeiianie z reguły nie kontrolowali podróży przybywających z Księżyca — doskonale wiedzieli jakie rygory panują tam, od czasu gdy władzę objęli gwardziści.

Wszystkie potrzebne informacje dotyczące kontaktu Felix otrzymał na Księżycu, więc teraz nie tracił czasu. Z lądowiska zjechał wprost do pośpiesznego metra. Prawie sześć minut zajęła mu podróż, do położonej za miastem stacji Creteil. Zaraz po wyjściu z metra zauważył olbrzymi gmach. Znał dobrze ten

widok, z videokaset do nauki biologii — zielony, regularny sześcian liczący sto sześćdziesiąt pięter. W trzydziestopiętrowym prostopadłościanie wznoszącym się obok rozpoznał wytwórnię wody najwyższej jakości.

Dzień był pogodny. Słońce oświetlało równą, betonową powierzchnię, na której stały dwie kolorowe bryły.

„Więc tak wygląda jedyne miejsce, gdzie możliwy jest kontakt” — pomyślał Felix. Nie skorzystał z bieżnika. Ostatnie kilkaset metrów postanowił przejść pieszo. Chciał jeszcze raz wszystko przemyśleć, przygotować się psychicznie. Po drodze nie spotkał nikogo. Nie było w tym nic dziwnego. Dawno minęły czasy, gdy nogi stanowiły środek lokomocji.

Z bliska sześcian był dużo brzydszy i gdyby nie jego rozmiary, sprawiałby wrażenie czegoś pospolitego. Do piątej kondygnacji nie było żadnych okien. Na dole znajdowały się tylko jedne drzwi. W porównaniu z rozmiarami budynku wydawały się bardzo małe. Cały kompleks budynków otoczony był kilkumetrowej wysokości ogrodzeniem z czarnych, metalowych prętów. Felix szedł przez jakiś czas wzdłuż ogrodzenia, dopóki nie natknął się na furtkę. Zatrzymał się i wsunął do szczeliny sprawdzarki swój identyfikator, paszport i dwie specjalne płytki upoważniające do kontaktu. Czy tylko dwie? Może miało być więcej? Z wrażenia niemal wstrzymał oddech. Sprawdzenie jego dokumentów zajmowało komputerom ułamki sekund, ale Felixowi ta chwila wydawała się jedną z najdłuższych w życiu. Dlaczego nie otwierają? Nareszcie! Furtka otworzyła się ze szczękiem i Felix wkroczył na krótki, betonowy chodnik wiodący wprost do drzwi gmachu. W drzwiach czekał już na niego mały, łysawy człowieczek w białym fartuchu.

— Jestem doktor Geretz — zaczął bez żadnych wstępów. — Proszę za mną.

Weszli do windy i w milczeniu zjechali w dół. Przeszli kilka

korytarzy i w końcu znaleźli się w niewielkim, skromnie wyposażonym pomieszczeniu, z jeszcze jednymi drzwiami. Geretz przyjrzał się badawczo Felixowi, po czym rzekł:

— Co wiesz na temat kontaktu?

— Właściwie niewiele — odparł niepewnie Felix.

— Nie szkodzi. Za tymi drzwiami jest ciąg przygotowawczy do kontaktu. Maszyny rejestrują każdy twój krok, od momentu przekroczenia progu tego pomieszczenia. Postępuj zgodnie z instrukcjami. Naprzód!

Felix wszedł do następnego pomieszczenia. Niemal natychmiast spokojny ale zdecydowany głos popłynął z fonopromiennika:

„Faza pierwsza. Ultrafiolet. Rozbierz się, naciśnij dźwignię, przebierz się w zestaw z pojemnika A i przejdź do następnego pomieszczenia”. Felix zaczął rozpinąć swoją bluzę...

Kiedy po godzinie wyszedł z ciągu przygotowawczego, zaliczając szesnastą fazę, Geretz czekał już na niego. Obaj ubrani byli w przezroczyste hełmy i skafandry przypominające stroje pierwszych kosmonautów. Znowu kilka korytarzy. Winda. Teraz jechali do góry, szybciej i znacznie dłużej niż za pierwszym razem. Gdy wyszli z windy znaleźli się na skraju olbrzymiej hali. Jej rozmiary oszołomiły Felixa. Jak okiem sięgnąć, widać było skomplikowane instalacje błyszczące srebrem i niklem. Rzędy kolorowych rur, o wielometrowej średnicy, wznosiły się majestatycznie ku górze, niczym jakiś baśniowy las. Panowała głęboka cisza. Całość tonęła w delikatnej, niebieskawo–zielonkawej poświacie.

— Oto obszar kontaktu — Felix usłyszał w swoich słuchawkach głos Geretza, lekko zniekształcony przez łączność radiową — hala ma dwieście metrów długości i sto dziewięćdziesiąt szerokości. Wysokość: dwadzieścia pięter. To optymalne wymiary. Dach jest rozsuwany. Podłóże i ściany

wykonane z materiałów doskonale izolujących, przed wszelkimi bodźcami z zewnątrz. Cała hala jest amortyzowana hydraulicznie — zapewnia to absolutną neutralizację ewentualnych wstrząsów tektonicznych do pięciu stopni. Większość widocznych rur zabezpiecza obieg powietrza. Wszystkim sterują komputery. Chodźmy.

Podeszli do środka hali. Za potężnymi kratami stał tu przezroczysty pojemnik z ziemią najeżoną mnóstwem czujników i urządzeń. W gąszczu wszelkiego typu aparatury, dopiero po chwili Felix dostrzegł niewielką tabliczkę. „Pelargonja” — przeczytał na tabliczce, na której widniały jeszcze jakieś napisy i symbole. Nie czytał. Chłonał wzrokiem małą, zieloną roślinkę z czerwonym kwiatem. Maksymalnie przycisnął się do kraty. Odsunął przysłonę hełmu i z radosnym podnieceniem wciągał powietrze, czując wspaniały, nieznanymi zapachami. Stojący za nim Geretz dotknął jego ramienia.

— Trzeba już iść. Kontakt skończony — powiedział. — Na dole wpiszesz się do księgi pamiątkowej i odbierzesz okolicznościowe zdjęcia.

Felix odwrócił się powoli.

— Czy nie ma żadnej nadziei? — spytał.

— Pod nami, na stu czterdziestu kondygnacjach ponad dwa tysiące najlepszych naukowców prowadzi nieustanne badania — mówił Geretz. — Rada Planet daje nam praktycznie nieograniczone środki, ale wszyscy wiedzą, że nie mamy dotąd żadnych konkretnych rezultatów. Niekorzystne przemiany jakie wywołał człowiek w przyrodzie okazały się nieodwracalne. Jeszcze cztery lata temu mieliśmy tu dwie roślinki. Masz szczęście, za kilka miesięcy kontaktu może już nie być...

* * *

Felix powoli szedł do stacji metra. Myślał co będzie teraz robił. Teraz, kiedy zrealizował swoje największe pragnienie. Myślał o swoim bezbarwnym życiu, o niezrealizowanych ideach Urskiego. W uszach dźwięczały mu słowa Geretza.

Zapłakałby, gdyby potrafił.

KURACJA ODWYKOWA

Czarne, włochate zwierzątko wielkości królika już od piętnastu minut leżało nieruchomo na fotelu Szklane oczka wytrzeszczone, wpatrywały się uparcie w jeden punkt Zaczynałem się niecierpliwić.

Wypindrzona ekspedientka w sklepie zapewniała, że ta zabawka zastępująca jednocześnie psa i żonę(???) nigdy się nie psuje. Było to chyba tylko pobożne życzenie firmy podane jako jedna z cech charakterystycznych urządzenia.

Coś mnie podkusiło. Leży sobie teraz taki cybernetyczny idiota i ani myśli wywiązywać się ze swoich obowiązków. A w sklepie skamlało — „kup mnie, kup, ja jestem najlepsze”.

Nagle z fotela dobiegł jakiś dźwięk.

— Cooo? — rzuciłem się w tamtą stronę.

— ...

— Wyduszę coś z tego swojego mechanicznego ryja.

— ...

— O ty tandeto! Zapłaciłem za ciebie dwadzieścia doliców. Wiesz, że przez tydzień nie zajrzę do baru? Zrób coś do jasnej cholery!!! — walnąłem pięścią w stół.

— ...coś do jasnej cholery! — powtórzyło. — No — zapaliłem się.

— Ajajajajaj — złote kuleczki błysnęły, jakiś dreszcz przeszedł przez czarny kadłubek i nic. Znowu cisza.

Zaraz, zaraz, spokojnie. Czytałeś instrukcję bałwanie? No to zacznij od tego.

„Cybkudło jest nowoczesnym urządzeniem cybernetycznym, posiadającym szeroki wachlarz możliwości manualnych. Może służyć jako zabawka dla dziecka, jednocześnie spełniając

pewne obowiązki pomocy domowej. Zastosowanie krystalicznej pamięci pozwala na...”

Do diabła, dalej.

„...uruchomić naciskając guzik w tylnej części głowy...” To zrobiłem, co potem?

„...odłożyć urządzenie na okres 60 minut. Jednocześnie należy włożyć do końcówki czytającej (rys. 2) karty identyfikacyjne osób, które będą korzystały z zabawki. Uniemożliwia to wydawanie przez osoby postronne rozkazów przynoszących szkodę właścicielowi. Cybkudło reaguje na sprzeczne nakazy (jeżeli korzysta z niego więcej niż jedna osoba) pięciominutową przerwą w pracy, mówiąc przedtem słowo „sprzeczność”. Kartę należy umieścić w czytniku tak, aby pierwszy jej znak pokrywał się z czarną plamką (4 na rys. 3) na matówce (6). W tym celu należy suwakiem (5) umieścić plamkę na właściwej pozycji. Czytanie karty trwa ułamki sekund, tak więc po naprowadzeniu plamki, można kartę zdjąć i odczytać następną. Maksymalna ilość...”

Wyjąłem z kieszeni segregator. Wśród pogniecionych szpargałów znalazłem swoją identyfikacyjną i zacząłem rozglądać się za czytnikiem. Pomyślałem najpierw, że znajduje się on gdzieś w zwierzątku. Podniosłem je za kudelki i ze zdziwieniem stwierdziłem, że jest ciepłe i miękkie. Zrobiło to na mnie wrażenie. Kiedyś trzymałem w rękach prawdziwego, żywego kota. Też był włochaty, ciepły i mruczał. Cybkudło nie mruczało.

Rozgarnąłem ręką sierść. Nigdzie nawet śladu matówki. Wyraźnie jest napisane, że musi być i to nie malutka. Ma się na niej zmieścić kartka.

Nagle przypomniałem sobie. Pudło. Tak, w opakowaniu mogło być coś jeszcze. Ale ja postawiłem je na taśmie zsypu. Cisnąłem kudłacza i rzuciłem się do drzwi. W zdenerwowaniu raz po raz dotykałem zamka nie tym palcem co trzeba. Zanim

się zorientowałem było już za późno. Widziałem zbiegając do pomieszczenia zsypu, jak pudełko, moje pudełko, przechyliła się, wpada do leja i znika w nim raz na zawsze. Raz na zawsze? Popędziłem do windy. Była gdzieś na górze. Nie czekałem, tylko zbiegłem jak wariat po schodach. Dwadzieścia pięter pokonałem w ciągu minuty. Przez drugą budziłem dozorcę. Za pięć dolarów zgodził się otworzyć zbiornik.

Z dumą wracałem do mieszkania. Tylko dzięki szybkości mojego działania zdołałem uratować cenne urządzenie przed kompletnym zasypaniem śmieciami.

Opłacało się, straciłem piątkę, a tak całe dwadzieścia byłoby wyrzucone w błoto.

Otworzyłem opakowanie i zacząłem grzebać w leżących tam papierach. Mimochodem spojrzałem w bok i zdębiałem. Obok instrukcji, na stoliku leżało małe, czarne, prostopadłościenną pudełeczko. Tak... matówka, suwak, płamka — wszystko się zgadza.

— Ale z ciebie ciężki idiota — powiedziałem głośno.

— ...le z ciebie ciężki idiota — powtórzyło.

Teraz karta na matówkę, płamka na dziurkę i czekać.

Siedziałem cierpliwie, ale rosła we mnie złość. Kiedy minęła godzina byłem już porządnie wściekły.

— Co się tak gapisz!?! — zapytała nagle złym głosem.

Zdrętwiałem. W pierwszym odruchu chciałem je wyrzucić. Słowo daję.

— Dostyc tego — warknęło, wyraźnie bardziej wściekłe. — Może chcesz mnie jeszcze podotykać?

Poniosło mnie. Chwyciłem je i ruszyłem ku oknu. Wtedy stało się coś dziwnego. Tysiące mrówek od rąk po stopy przebiegło przez moje ciało. Szczęki zacisnęły się tak mocno, że niewiele brakowało a odgryzłbym sobie język. Straciłem chyba na moment przytomność.

Cyb siedział na szafie.

Podniosłem się z podłogi i usiadłem na łóżku. Wolniutko, nie spuszczać z niego wzroku kierowałem rękę w kierunku szuflady, w której miałem rewolwer. Wyjąłem go i powoli podnosząc w górę odbezpieczyłem. Zmrużyłem oko i... Na szafie zamiast cyba stała tarcza strzelecka. No bracie, pomyślałem, teraz stań się kobietą, piękną kobietą, a i tak wygarnę w ciebie cały magazynek.

Nie nacisnąłem spustu. Spłynęła z szafy jak papierowy ptak i miękko usiadła mi na kolanach. Prawie naga, okryta lekkim, przezroczystym szalem. Długie, czarne włosy...

Roześmiała się widząc moją głupią minę.

— Jestem. Długo czekałeś Mark!

— Nazywam się Iv.

— Długo czekałeś, Iv?

Miała przyjemny głos, łagodny, ale jednocześnie lekko schrypnięty, dosyć niski.

— Na co?

— Nie na co głuptasie, ale na kogo.

— Dobrze, więc na kogo?

— Na mnie, Mark.

— Nie nazywam się...

— Wiem, słyszałam, ale tobie jest ostatecznie wszystko jedno.

— Jeżeli ci na tym zależy...

— Och, jesteś kochany!

Przytuliła się do mnie i poczułem przez koszulę jej mocne, twarde piersi.

— Skąd ty, nagle... tutaj?

— Nie wiesz? Przecież chciałeś, żebym przyszła. Więc jestem. Jasne, banalna sprawa — chciałem. Chcę, żeby w nocy zaświeciło słońce, żeby słoń w ogrodzie zoologicznym chodził na uszach, żeby samoloty latały tuż nad ulicami. I co? Nic. A tylko pomyślałem o takiej babce i już jest. Wszystko idealne,

włosy, oczy, wymiary biustu. Nawet głos się zgadza. Tylko strzép myśli, ułamek sekundy.

Cyb był mały, a to normalna dziewczyna, wysoka, szczupła. Coś tu nie gra. Chciałem ją zapytać co wie o sobie, ale ona wcześniej podsunęła mi pod nos instrukcję.

„...na wyraźne życzenie słowne lub impuls myślowy materializuje się jako przedmiot marzeń. Pamięć zawiera 10 do potęgi 20 bitów informacji o ludziach, zwierzętach, przedmiotach...”

— Wstań — powiedziałem lekko ją odpychając — i wyjdź na środek pokoju.

Uśmiechnięta szła po dywanie dotykając go najpierw dużym palcem nogi, a dopiero potem opuszczając płynnym ruchem całą stopę. Odwróciła się.

— Zrzuć szal.

Ogarnęła mnie fala dzikiego podniecenia.

— Chcę — wychrypiąłem, — stań się dziesięciokilogramowym odważnikiem.

W miejscu gdzie stała błyszczał teraz metalowy walec ze spłaszczoną gałką na końcu. Podszedłem do niego. Rzeczywiście ważył chyba te dziesięć kilogramów. A dziewczyna?... nie, była normalna. Ile powinien ważyć człowiek — pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilogramów?

— A teraz kartką papieru.

Zwykła, biała, lekko chropowata powierzchnia.

— Gładsza — pomyślałem. Była błyszcząca, śliska.

— Wróbel!

Wyśliznął mi się z rąk i trzepocząc skrzydełkami uderzył o szybę.

— Stop — krzyknąłem.

Znieruchomiał i opadł sztywny na podłogę.

— Karabin — powiedziałem, przypominając sobie jednocześnie jak powinien wyglądać — z lunetą, tłumikiem i

nabity.

Podniosłem go do oka. Potem otworzyłem okno i stanąłem w przeciwległym kącie pokoju. Przez celownik widziałem okna sąsiedniego wieżowca. Było już ciemno i w niektórych paliło się światło. W jednym z tych nieoświetlonych zauważyłem jakiś ruch.

— Noktowizor — pomyślałem i ujrzałem w bladozielonym świetle parę tarzającą się w łóżku.

Okno to było o piętro lub dwa niżej niż moje, a łóżko stało niedaleko drzwi balkonowych. Wziąłem broń pod pachę i wyszedłem na klatkę schodową. Poszedłem na górę, dwa piętra wyżej. Kiedy zgasło światło, otworzyłem okienko i wymierzyłem w tamte miejsce. Na parapecie stała doniczka z kwiatem. Naprowadziłem na nią krzyżyk celownika. Takie ciche — plum. Nieduża dziura w szybie i roztrzaskany kwiat. Obserwowałem jeszcze chwilę jak zrywają się przerażeni i wybiegają z pokoju...

— Policja, otwierać!!! — głucho walenie w drzwi, jakieś przekleństwo.

— Chwileczkę — krzyknąłem — już idę!

Otyły facet w mundurze. Czerwona nabrzmiała gęba, pistolet, pałka.

— Iv Dalton?

— Tak, proszę wejść.

Zamyka za sobą drzwi i pcha się do pokoju.

— Może mi pan wyjaśnić o co chodzi? — pytam uprzejmie.

— Ja, ja mam wyjaśnić? Gdzie jest ta broń?

— Nie rozumiem.

— Zrozumie pan, zrozumie. Nie będziemy grali w ciuciubabkę. To pan strzelał przed godziną.

— Strzelał? Gdzie, kiedy, w co chcesz mnie zrobić!?

— Pytam jeszcze raz, gdzie jest ta broń...

— Nie mam żadnej broni, nie... to znaczy mam, o tu proszę
— rewolwer, zarejestrowany, legalnie, nic nie możesz mi
zarzucić.

— Siadaj!

— Co, co, dajcie mi spokój! — krzyczę histerycznie.

— Milcz do cholery!

— Dobrze, już jestem spokojny, o widzi pan, w porządku.
Siadam, nic nie mówię, tylko proszę mi wyjaśnić o co tu
chodzi.

— Ktoś strzelał z tego mieszkania, tam — wskazał ręką w
kierunku okna.

— Zaraz, jest pan pewien, że stąd a nie z sąsiedniego okna
na przykład?

— Powiedziałem. Tamci dookoła mają stuprocentowe alibi.

— A ja, ja nie mam? Skąd wiecie, że ja nie mam! Może nie
było mnie w domu...

— Byłeś, byłeś.

— Co za poufałość, od kiedy jesteśmy na ty?

Patrzę jak wyciąga pałkę i bierze rozmach.

— O sukinsynu, wolno bić? — piekący ból w łopatce.

— Wolno — odpowiada ze stoickim spokojem i zamierza się
jeszcze raz.

Uchyliłem się i walnąłem pięścią między ciemne, zdziwione
oczy. Poprawiłem kantem dłoni w ucho. Nie zdążył jeszcze
wstać, kiedy zacząłem go kopać.

— Ty grubasie, wstrętna opasła świnió — sapiałem w
przerwach między ciosami — napadasz niewinnego człowieka i
od razu bijesz, a wiesz kto ja jestem?!

Silny kopniak w twarz i zalewa się krwią. Wyrwałem mu
pałkę i tłukłem na oślep. Po plecach, głowie, tyłku, gdzie
popadnie. Z radością i pasją.

Przerwałem gdy zobaczyłem, że się nie rusza. Wetknąłem
mu gumowy pręt za poję munduru i roześmiałem się na głos. —

Zegar z kukułką — pomyślałem i gruby policjant zniknął. Na podłodze leżał stylowy niewielki zegar. Nawet godzina była ta sama co na innych.

Kogo u licha stać na tak szlachetny gest, żeby za dwudziestkę dać wszystko co można dostać za pieniądze. No, może nie wszystko, ale w każdym razie bardzo wiele. Wyobrażałem już sobie jak plajtują firmy samochodowe, elektroniczne, burdele i wiele innych. Nikt nie musi korzystać z ich usług, wystarczy, że kupi cybkudło.

Czy ja przypadkiem nie zwariowałem? Może to jakaś halucynacja? Coś tu jednak nie gra. Leży takie чудо w zwykłym miejskim sklepie, przychodzisz, kupujesz i masz, dajmy na to, samochód.

Było już późno, chyba północ. Powinienem iść spać, ale zdecydowałem się. Podniosłem zegar i zamieniwszy go w długopis schowałem do kieszeni. Starannie zamknąłem drzwi i wyszedłem na ulicę. Czasami przemykał tu i ówdzie jakiś samotny przechodzień czy samochód, ale dzielnica wysokościowców była o tej porze pusta. Dwie przecznice od mojego domu znalazłem właściwe miejsce. Mały parking otoczony drzewami. Cicho. Ani ludzi, ani samochodów. Wyjąłem długopis i położyłem go na płycie jednego ze stanowisk.

— Samochód — rzuciłem cicho.

Stanoło przede mną jakieś pokracczne pudło. Miało koła, drzwi, kierownicę. Były reflektory, szyby, ale wszystko bez ładu i składu. Przypominało trochę amfibię albo wóz pancerny z demobilu. Taka zabawka powiększona do rozmiarów prawdziwego samochodu. Stuknąłem się w czoło.

— Vodin P, niebieski, z kompletem dokumentów.

Jest, błyszcząca, nowiutki. Lśniące dekle, ciemne zderzaki. Lekko uchylone lewe drzwi, w stacyjce kluczyki, na siedzeniu

papiery. Ostrożnie usiadłem za kierownicą. Przypomniałem sobie, że ten typ ma tylko półautomatyczną skrzynię biegów. Dźwignia była w położeniu parkingowym. Silnik zaskoczył od razu. Powoli wycofałem wóz na ulicę...

Kiedy wróciłem do domu była czwarta. Powiesiłem cyba na ścianie jako zegar i poszedłem spać.

— Czyś ty zwariował Ivi, dziecku zabawkę zabierasz?

— Przecież nie zabieram. Zresztą nie tylko dziecko się nią bawi.

— Ty chyba jesteś chory, widziałeś żebym bawił się kiedyś zabawkami małego?

— No, takimi zwykłymi to może nie.

— A ta według ciebie jest wyjątkowa?

— Poi — powiedziałem tknięty przecuciem — masz instrukcję tego cyba?

— Po co ci ona?

— Wiesz, ostatnio interesuje mnie... tego... cybernetyka, szczególnie zabawki... to... jakiś nowy typ. Takie głupie hobby.

— Coo?! — był wyraźnie zdziwiony.

Tak, nigdy nie miałem żadnego hobby, może poza alkoholem i ten facet dobrze o tym wiedział.

— Ludzie zmieniają się, w końcu kiedyś trzeba — nie zwrócił uwagi na to co mówiłem. Stał ciągle wpatrując się we mnie. Potem potrząsnął głową.

— Nie, nie mam, chyba wyrzuciłem. Nie trzymam w domu śmieci.

— A czy ja..., no wiesz, czy mógłbym tam swoją kartę, tylko na chwilę, albo nie, wiem. Mógłbyś zawołać syna?

— Hej. Viko, przyjdź tu do nas na chwilę!

Pyzaty malec taszczący swoją zabawkę wsunął się do

pokoju.

— Wujek będzie się ze mną bawił?

— Tak Viko, chodź pobawimy się, może pójdziemy do twojego pokoju — spojrzałem na Pola.

Wzruszył tylko ramionami.

— To idziemy wujku, tylko nie zabieraj mi go.

Pokazywał jak jego zabawka jest posłuszna. Wydawał jej rozkazy i cieszył się kiedy je spełniała. Cyb skakał ucieszenie, turlał się po podłodze, biegał po krzesłach i stole. W końcu na rozkaz właściciela wskoczył mi na głowę. Chłopiec aż zanosił się ze śmiechu. Próbowałem strząsnąć pokrakkę, ale trzymała się mocno włosów. Po długich prośbach Viko dał się namówić i kazał jej zejść mi z głowy.

— Oj, bo zrobię to samo!

— A nie, a nie, on się wujka nie posłucha.

— Słuchaj, kiedy tatuś kupił ci tę zabawkę?

— Kiedyś, niedawno.

— Dobrze, a czy mógłbyś teraz powiedzieć jej żeby stała się, no... co byś chciał mieć?

— Pistolet — odparł bez wahania.

— To powiedz, żeby stała się pistoletem.

— Po co — dzieciak zaśmiał się — przecież się nie robi.

— Ale spróbuj, Viko. Zrobimy takie doświadczenie.

— Co to jest doświadczenie?

— Doświadczenie będzie wtedy jak Viko powie do zabawki, chcę żebyś była pistoletem. No ta jak?

— Dobrze — nie był jeszcze przekonany, — ale po co?

— A może się zdążyć, że się spełni twoje życzenie.

— Eeetam — pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Dostaniesz na lody — szepnąłem mu na ucho.

— Dobra — wyciągnął rękę. — Pięćdziesiątkę.

Zaśmiałem się i wręczyłem mu dolara. Schował go szybko do kieszeni.

— Chcę żebyś był pistoletem.

— Co tu się dzieje, co za głupstwa wygadujesz?

— Bo my tato robimy doświadczenie.

— Co takiego?

— Ja mówię, chcę żebyś był pistoletem i to jest doświadczenie.

— Iv, coś kręcisz dzieciakowi w głowie. Hej, Iv! Śpisz!? Wpatrywałem się z napięciem w zabawkę. Nic, nie drgnęła nawet.

— Nie, nie — powiedziałem. — Nic się nie stało. Nie będzie miał Viko pistoletu.

— Wiedziałem — zrobił minę jakby wiedział, że to było do przewidzenia.

— Mam dla ciebie tę instrukcję...

— Tak? Daj, daj — wyszarpnąłem mu papier z ręki i gorączkowo przewracałem kartki. Szukałem, szukałem, ale byłem pewny, że nic nie znajdę. Nawet słowa o tym. Żadnych materializacji, żadnych skrytych marzeń, rozkazów słownych czy myślowych. Nic z tych rzeczy. Zwykła mechaniczna zabawka.

— Gdzie to kupiłeś?

— W domu Helvey'a, a co, też chcesz sobie sprawić? Nawet sklep ten. O co tu chodzi?

— Pójdę już — westchnąłem, — czas na mnie.

— Wujku, będziemy robić doświadczenia? — Viko klepnął się znacząco po kieszeni.

Roześmiałem się.

— Jasne, wpadnę kiedyś do ciebie, cześć!

Więc co, jakieś zmiany w mózgu? Omamy? Może tylko sen? Gdzieś z tym trzeba pójść. I to jak najszybciej. Na policję? Pokazać to Polowi? Wtedy nie robiłby takich min.

Szedłem do domu z mocnym postanowieniem definitywnego rozwiązania problemu. Albo jestem wariat — wtedy do

psychiatry, albo to jest prawda i wtedy... może jakiś prywatny detektyw, nie już raczej naukowiec. Skąd wezmę forszę? Nie, pójdę jednak na policję. Tylko... kto ma rozstrzygnąć czy to przewidzenie czy rzeczywistość. Muszę komuś pokazać tego cudaka...

Cyk, cyk... tam i z powrotem. Jeszcze raz i jeszcze raz. Sekunda, dwie, dwanaście, trzydzieści. Minuta, trzy, sześćdziesiąt... godzina, doba, rok, stulecie...

Idiotyzm. Kręcą się kółka, ząb za ząb, wahadło dynda, struny dzwonią, kukulka kuka. Zabawka czy przyrząd pomiarowy?

Gapilem się na swój „zaczarowany” zegar i nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Chciałem uniknąć rozgłosu, to po pierwsze. Gdyby się rozniosło, mogła zacząć się krucjata różnego rodzaju rzezimieszków, amatorów łatwego życia do mojego domu. Powiem więc Polowi, ale czy on potrafi milczeć? A może tak — zrobię z niego samolot i rozbiję gdzieś w górach. Trochę szkoda. Ostatecznie wszystko jedno czy mam przewidzenia, czy rzeczywiście tak jest. Wystarczy, że jest dobrze. Mam przez to z głowy wiele rzeczy. Nieważne kto zrobił mi taki prezent.

Od kilku minut wodziłem oczami za wahadłem. Chyba od kilku minut, bo doszło to do mnie już w trakcie miarowego kiwania głową na boki. Teraz robiłem to świadomie. Z każdym ruchem narastała we mnie chęć niszczenia. Było to proste w realizacji. Nie dlatego, że łatwo mogłem wstać i trzepnąć w cyferblat ale dlatego, że mogłem to zrobić bezkarnie. Za chwilę miałbym już nowy zegar.

Pozwoliłem, żeby to pragnienie ogarnęło mnie do reszty i zerwałem się z okrzykiem z fotela. Zamachnąłem się i wtedy to przeklęte wahadło skontrowało mój cios. Tak do cholery! — skontrowało. Myślałem, że mam złamaną rękę. Spuchła w nadgarstku jak bania.

To był ułamek sekundy. Zdążyłem zauważyć jednak jak zmieniło kierunek ruchu, poderwało się i trzepnęło mnie po łapie. Zamurowało mnie na moment. A potem już nie myśląc, złapałem za spłaszczony krążek i wyrwałem je z „mięsem”. I waliłem, waliłem w pudło, aż kółeczka wyskakiwały z chrzęstem i rozsypywały się po podłodze.

Poszedłem do łazienki i owinąłem rękę wilgotnym bandażem. Więc nie jest tak pięknie jak myślałem. Coś w rodzaju buntu? Co jest u licha, czy ktoś chce mnie wykończyć? Przypomniałem sobie jak cyb poraził mnie prądem. Jasne, ktoś to ładnie zaplanował. Spowodował żebym tego cudaka kupić. Jakaś zмова z personelem czy coś w tym rodzaju. Maszyna ma jakiś program, usypia moją czujność i którejs nocy da mi w łeb. Zaraz... mogła to zrobić dawno. Było tyle okazji.

A może tak, jestem komuś do czegoś potrzebny. Jak przyjdzie czas przydusi mnie toto do ziemi i zaciągnie gdzie trzeba.

W nocy nie zmrzyłem oka. Właściwie to nieprawda, zapadłem w jakiś półsen, co chwila zrywałem się i rozglądałem ze strachem po ciemnym pokoju. Wreszcie nie wytrzymałem. Wstałem i pozbierałem rozrzucone szczątki zegara, wsypałem je do papierowego pudła na śmieci i ustawiłem na taśmie zsypu.

Stałem potem długo i gapiłem się przez okno na opustoszałe miasto.

W końcu udało mi się zasnąć. Miałem idiotyczny sen. Wyskakuję ze spadochronem z okna swojego mieszkania. Coś się zacina i spadochron się nie otwiera i kiedy już mam uderzyć o ziemię okazuje się, że znowu stoję w oknie po to by wyskoczyć. Skaczę i... w koło to samo. Za którymś razem postanawiam, że nie skoczę. Złazę z parapetu do środka. Wtedy w drzwiach staje policjant. Dziwny jakiś, czapka, mundur i jego ciało stanowią jedną całość. Duża ruszająca się lalka. Wyjmuje pistolet i strzela do mnie...

Przez cały następny dzień miałem wyrzuty sumienia. Nie byłem już tak pewny swoich przeżyć. Może to ja sam zaczepiłem się i wyrznąłem ręką w wahadło? Jednak wywaliłem na śmietnik kupę forsy. Czysta dwudziestka plus pięć stróżowi, nie licząc tego co mogłem jeszcze mieć.

Po pracy poszedłem do baru i nieźle sobie wypilem. Pożaliłem się przed kimś na pieskie życie. Nie wiem czy to był taki sam jak ja smutny samotnik, czy może szklanka, z której piłem, ale zrobiło mi się lżej. Wygadałem się i zadowolony na lekko rozkalibrowanych nogach wróciłem do domu.

Tylko wszedłem, gdy ktoś zadzwonił.

— Kto tam? — wybełkotałem.

— Poczta, jest przesyłka dla pana.

— Czego? — zapytałem jeszcze raz, już przez otwarte drzwi.

— Paczka. Gdzie można postawić? — odsunął mnie lekko na bok i położył na podłodze niewielki pakunek.

— Ile się należy? — wszystko oprócz głoski „ż” powiedziałem prawie wyraźnie.

— Nic, przesyłka na koszt nadawcy.

— W po-rzą-dku, pa, pa — zamknąłem drzwi.

I zwałem się jak długi na łóżko nie zdjawszy nawet butów.

W firmie nikogo nie obchodziło o której przyszło się do pracy. Trzeba było przepracować czterdzieści godzin w ciągu tygodnia. Pracownia czynna była całą dobę, dlatego nie martwiłem się specjalnie tym, że obudziłem się dopiero koło południa. Miałem niewielkiego kaca, byłem ostatecznie zaprawiony w takich bojach. Idąc do łazienki zobaczyłem paczkę. Stała w przedpokoju zawinięta w zwykły szary papier. Najpierw umyłem się i wypilem herbatę, potem nią się zająłem. Adresu nadawcy nie było, nie ujawnił się. Rozciąłem sznurek nożem, nigdy nie miałem dość cierpliwości by rozwiązywać węzły.

Nie wiedziałem czy płakać, czy śmiać się. W środku był cyb. Mój cyb, byłem pewny, że ten sam. I kartka.

„Przedsiębiorstwo oczyszczania przypuszczając, że zabawka znalazła się przez pomyłkę w zsypie oraz biorąc pod uwagę fakt, że знаła ona adres właściciela, pozwoliło sobie odesłać Panu kosztowny przedmiot. Z poważaniem Z-ca prezesa zarządu Cerood”.

Cholerny gnom. Wrócił, słowo honoru, wrócił. Małpo jedna, zaśpiewaj coś, zatańcz. Wyciągnąłem go za pysk z pudełka i postawiłem na podłodze. Wydarł mordę skrzecząc głośno. Ten sam, rany boskie, ten sam!

Pogłaskałem go z czułością.

Ubrałem się szybko i pobiegłem do pracy. Siedząc już w windzie zdecydowałem, że nie pójdę. Niech tam, odrobie zaległości potem. Ktoś na dole chciał wsiąść do windy, ale szybko nacisnąłem guzik. Słyszałem przez chwilę przeklinanie tamtego. .

Stanąłem przed drzwiami i sięgnąłem palcem do zamka. Wtedy stało się coś dziwnego. Usłyszałem jakieś tykanie, ciche jęklive dźwięki jakby elektronicznego budzika i męski głos: „...doktorze, jest przebicie na zewnątrz, przez tor słuchowy...” Potem jakiś trzask i koniec. Obejrzałem się, nikogo w pobliżu nie było. Może z sąsiedniego mieszkania?

Z cybem miałem spokój przez dwa dni. Na trzeci coś mu odbiło. Zamieniłem go w gosposię: kazałem posprzątać mieszkanie. To znaczy chciałem zamienić, bo stanął przede mną bokser. Tępa maska, rozplaszczony nos, rękawice, koszulka z numerem. Zrobił parę podskoków, przysiad, kilka ciosów w powietrze i doskoczył do mnie. Tak mi przysunął w zęby, że poleciałem do tyłu i walnąłem głową o ścianę. Zgłupiałem, zamiast zamienić go w coś innego zacząłem się bronić. Może dlatego, że był mały, najwięcej z metr pięćdziesiąt. Znowu chciał mnie uderzyć, ale zablokowałem i

lewą pięścią trzasnąłem go w podbródek a prawą między oczy. Nauczyłem się tego jeszcze w szkole. Powinien stracić przytomność. Upadł tylko i zaraz się podniósł. Zdawało mi się, że jest nieco większy. Ale nie zwróciłem na to uwagi bo zaczęła się zażarta walka. Praliliśmy się chyba ze dwie minuty zanim zwałem go z nóg. Wstał znowu jakby większy. Bił coraz lepiej. W pewnej chwili udało mi się kopniakiem w krok zmusić go do skłonu. Z całej siły kopnąłem w pochyloną głowę. Prawie wyleciał w powietrze. Padając połamał stolik. Gdy znowu stanął przede mną był mi równy wzrostem. A więc tak. Po każdym silnym ciosie z mojej strony podnosi się silniejszy i większy.

Znałem to z jakiejś bajki.

Byłem już porządnie zmęczony, z rozbitej wargi kapąła krew. Jeżeli teraz mi przywali to już się nie podniosę.

— Mysz!!! — wrzasnąłem — zamień się w mysz! Usłyszał. Śmignęła gdzieś pod szafę.

Więc wtedy miałem rację wyrzucając go. Niedźwiedzia przysługę oddało mi przedsiębiorstwo oczyszczania. Do licha, coś się w nim zacięło. A może... kiedyś czytałem książkę o podświadomości. Może reaguje na nią także. Cokolwiek by to nie było należało ostatecznie rozstać się ze zbuntowanym robotem.

— Mysz, do mnie!

Dwanaście kilometrów za miastem był las. Pojechałem do niego podmiejskim autobusem. Poszukałem ustronnej polany i rozpałem niewielkie ognisko. Zamieniłem chusteczkę leżącą w mojej kieszeni w suchy drewniany patyk i wrzuciłem go do ognia.

Licho wie dlaczego wyjechałem z miasta a nie przeprowadziłem doświadczenia, ja wiem, w domu czy parku? Błogosławiłem potem tę decyzję. Siedziałem jakiś czas przy ognisku czekając aż badył się spali, odwróciłem się sięgając do

torby po papierosa i wtedy mój patyk wybuchł. Czego ja się spodziewałem? Patykiem to było tylko z wierzchu. Gruchnęło tak mocno, że ocknąłem się kilka metrów od ogniska, w miejscu którego ziała teraz metrowej średnicy, głęboka wyrwa.

Koniec, kropka. Wykończyłem go na amen. Jak pięknie szumią drzewa. Gdzieś w oddali kuka kukułka. Naprawdę. Cóż mnie może obchodzić to, że las w połowie jest sztuczny a kukułka to pewnie tylko głos nagrany na taśmie.

Obejrzałem się dokładnie. Byłem cały i nienaruszony, jeżeli nie liczyć pogniecionej i zabrudzonej ubrania. Doprowadziłem się jako tako do porządku i ruszyłem w kierunku przystanku. Autobus miał przyjechać dopiero za godzinę. Usiadłem na trawie przy poboczu szosy i zapaliłem papierosa. Miałem przed sobą skrawek łąki, dalej jakieś zabudowania gospodarcze i całe hektary uprawnych pól pod szkłem. Za plecami z szumem przejeżdżały samochody. Nagle zapiszczały hamulce. Dźwięk ten wywoływał u mnie, od czasu gdy byłem świadkiem wypadku samochodowego, uczucie lęku. Też był taki wizg, ktoś krzyknął i zobaczyłem lecącą w powietrzu kobietę w zielonej sukience. Uderzyła z głośnym stukotem o jezdnię...

— Czeka pan na autobus!?

Odwróciłem się. Niemłody już mężczyzna, siwiejące skronie.

— Mogę podwieźć!

— To się świetnie składa — wstałem, otrzepując ubranie. Autobus będzie jeszcze nieprędko.

— Proszę usiąść z tyłu, na przednim siedzeniu mam pakunek. Ruszył ostrożnie, powoli. Taki stateczny, starszy pan, który robi wszystko z rozmysłem.

— Pan z lasu? — zapytał.

— Tak, lubię czasami połączyć, pooddychać innym powietrzem.

— Bawią pana takie namiastki prawdziwej przyrody?

— Podobno na południu są prawdziwe rezerваты, ale kto wie na ile.

— Co, na ile?

— Na ile są one prawdziwe.

Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu. Swoją drogą, pomyślałem, mógłby być jakąś przystojną babką, taką jak — zamknąłem oczy — Livia Forster. Zwykła sekretarka, ale jaka klasa. I jej głos. Kiedy mówi coś do mnie tylko dreszcze przebiegają mi po plecach.

— Masz ogień?

Zacisnąłem palce na kolanach. Serce zaczęło walić szybko, czułem jego uderzenia w gardle. Skąd tu ona? Bałem się, bałem się otworzyć oczy. Spokojnie Iv, spokojnie, jedziesz do domu, podwozi cię jakiś nieznamy facet, to niemożliwe. Ale wiedziałem już, że to prawda.

Za kierownicą siedziała Livia, to znaczy jej sobowtór.

— Zatrzymaj się — usłyszałem swój schrypnięty głos.

Pot zimnymi strużkami spływał mi po plecach. Ręce drżały.

— Zatrzymaj się dziwko!!!

Roześmiała się. Ten śmiech łudzaco podobny do oryginału wywarł na mnie niesamowite wrażenie.

Chwyciłem ją za ramię. Odrzuciła mnie z siłą o jaką bym jej nigdy nie podejrzewał. Dodała gazu. Nie mogłem teraz (czy to było jeszcze możliwe?) zmienić jej i samochodu. Jechaliśmy szybko i gdyby samochód zniknął leciałbym dalej z tą samą prędkością. Silnik wył na zwiększonych obrotach. Spojrzałem przez okno. Słupki pobocza zlały się w jedną białą smugę.

Wolniej, myślałem, jedź wolniej. Starąłem się skupić uwagę na tym rozkazie. Ale wręcz przeciwnie, bez przerwy przyśpieszała. Niedługo będą przedmieścia. A tam ulice —

zatłoczone, pełne ludzi i samochodów. Nie! Boże, co zrobić! Opadłem na siedzenie. Wydawało mi się, że nie ma już ratunku. Gdy wjeżdżaliśmy między pierwsze zabudowania, przyszła mi do głowy pewna myśl. Spróbuję odwrotnie, może zrobi na przekór? Chciałem, bardzo chciałem żeby jechała szybciej...

Wzięła jakiś ostry zakręt i wjechaliśmy w dość wąską uliczkę. Całkowicie wypadła mi spod kontroli. Domy migają za szybą. Drugi zakręt, zarzuciło nas i musiała przyhamować. Nie wiem jak to się stało, poczułem tylko że chwytam dłonią za klamkę, otwieram drzwiczki i wyskakuję na chodnik akurat w tym momencie gdy samochód prawie zatrzymał się na wirażu. Uderzenie nie było mocne, nie straciłem nawet przytomności. Usłyszałem huk rozbijającej się maszyny. Chciałem pójść i zobaczyć co się stało, ale nie dałem rady. Miałem chyba zwichniętą nogę. Ze zdartej skóry na dłoniach i twarzy sączyła się krew. Przysiadłem na krawężniku. Zrobiło mi się dziwnie, zacząłem się śmiać. Zobaczyłem jeszcze biegnących w moim kierunku ludzi.

— W porządku, to tylko szok — usłyszałem głos jak przez zasłonę z waty. Otworzyłem oczy. Leżałem na kozetce w małym gabinecie. Szafa, biurko, wieszak na ubrania. Nade mną stał człowiek w białym fartuchu. Uśmiechał się.

— Może pan mówić?

Skinąłem głową. Spojrzał na kogoś, kto stał za moim wezłowiec. W polu widzenia pojawił się drugi mężczyzna.

— Zostawiam pana sam na sam z chorym, panie kapitanie — powiedział człowiek w kitlu i wyszedł.

Kapitan stanął przy łóżku, potem przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Jak się pan czuje?

— Prawie dobrze — uniosłem się lekko — gdzie jestem?

— Proszę nie wstawać, wprawdzie nie było Z panem aż tak źle, żeby odstawić pana do szpitala, ale... zdąży pan jeszcze.

Teraz chcę się dowiedzieć co się z panem stało.

Miałem ochotę powiedzieć mu prawdę. Ale jeżeli zastanowić się przez chwilę, to jedynym miejscem gdzie mnie potem odeślą może być tylko szpital psychiatryczny.

— Porwano mnie — uśmiechnąłem się — wie pan, wracałem z lasu i długo miałem czekać na autobus. Jakiś... jakaś kobieta zaproponowała mi podwiezienie. A potem zwariowała.

— Zwariowała?

— Tak, pędziła jak szalona, coraz szybciej. Do miasta wjechaliśmy mając ze sto pięćdziesiąt na liczniku.

— Uciekała przed kimś?

— Nie wiem, nie odniosłem takiego wrażenia.

— Jak wyglądała?

— Stara, to znaczy ze czterdzieści, pięćdziesiąt lat, siwe włosy, ale silna baba. Miała duże czarne okulary na pół twarzy.

— Wyrzuciła pana z wozu w czasie jazdy? — zapytał z nieukrywaniem zdziwieniem.

— Nie, sam wyskoczyłem. Na zakręcie gdy musiała przyhamować. Zrobiłem to odruchowo, bezmyślnie.

I to pewnie mnie uratowało, pomyślałem.

— A co potem?

— Nic, słyszałem tylko hałas, jakby samochód za zakrętem się rozbił.

— To dziwne — zamyślił się. — Inni też słyszeli to co pan. A w okolicy nie znaleziono żadnego rozbitego samochodu.

— Może tylko trzepnęła w coś i pojechała dalej?

— Może. Ale byłyby ślady.

— Gdzie ja właściwie jestem?

— Na komisariacie policji. Za pół godziny, jak dojdzie pan już do siebie, odwieziemy pana do domu.

— Panie kapitanie, czy... czy moglibyście sprawdzić moje mieszkanie. Ja nie wiem czego ona ode mnie chciała, skoro

uciekła to... wie pan trochę się boję.

— Hm, dobrze, w takim razie przyślę technika, żeby zdjął panu odcisk palca. Spróbujemy tam wejść.

Po godzinie kapitan zjawił się i powiedział, że w mieszkaniu jest bałagan ale oprócz tego panuje spokój. Faktycznie zostawiłem rozbity stolik. Odpowiedziałem, że zaczępiłem się i upadłem.

— Są jakieś ślady krwi na dywanie — dodał.

— Rozbiłem sobie wargę padając — pokazałem mu szramę na ustach. Zastrużyła się i była wyraźnie wcześniejsza od innych zadrapań na twarzy.

— No cóż, chodzić to pan dzisiaj jeszcze nie da rady, przynajmniej nie tak daleko — spojrzał na zabandażowaną nogę. — Pojedziemy do domu.

W domu ogarnęło mnie jakieś dziwne przygnębienie. Ostatnio zdarzyło się to kilka razy. Jakby powód siedział gdzieś we mnie, w głębi. Niemożliwy do wykrycia, lecz ciągle obecny. To nie strach tylko trudny do określenia, bezprzyczynowy smutek.

Strach był obok. Bałem się niepewności — kto? dlaczego? Ostatecznie nie byłem nikim ważnym. Ktoś chciał mnie porwać czy wykończyć? Jedno i drugie można zrobić dużo prościej. Dlaczego mnie? Dlaczego w ten właściwie sposób? Dlaczego bawią się ze mną, zamiast... od razu?

Tych — dlaczego — było dużo więcej. Nie było natomiast żadnego sensownego wyjaśnienia.

Długo nie mogłem zasnąć. Nasłuchiwałem ciągle czy ktoś nie chodzi po mieszkaniu, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Każdy szmer, szum wody w rurach podrywał mnie z łóżka. Zażyłem środek nasenny i w niewesołym nastroju udało mi się w końcu zasnąć.

Zbudziłem się nad ranem, czując, że jest mi bardzo

niewygodnie. Leżałem na brzuchu z nosem wciśniętym w poduszkę. Ręce i nogi miałem silnie skrępowane. Spróbowałem się odwrócić. Nie byłem zakneblowany.

— Ratunku — jęknąłem. Nic, cisza.

— Jest tu ktoś? — był na pewno, podszedł do mnie z tyłu, chwycił za ramiona i postawił na nogi.

Trudno mi było stać ze związanymi nogami, dlatego musiał mnie podtrzymywać.

— O co chodzi, dlaczego, możecie mi w końcu powiedzieć?!

Nie odezwał się. Posadził mnie na krzesło, ręce przełożył przez oparcie. Siedziałem tyłem do okna, ale słyszałem jak je otwiera. Zaciągnął mnie ku niemu razem z krzesłem. Zacząłem się szarpać. Wtedy zacisnął mi palce na gardle. Charczałem, zrobiło mi się ciemno, przed oczami pływały różowe płatki. Ucisk po chwili zelżał trochę.

— Pomocy!!! — wrzasnąłem. — Ratunku!!!

Nawet nie usiłował mnie uciszyć. Chwycił za włosy i wychylił moją głowę za okno. Nadal nie widziałem jego twarzy.

— Patrz — wyszeptał — tam w dół. Jak daleko, daleko. Windą to prawie dwie minuty'. Będziesz szybciej, szybciej...

— Nie, człowieku, co ja ci... nie! nie! nieeee!!!

Widziałem jak brązowe kwadraty płyt chodnika robiły się coraz większe...

Cisza? Nie, jakiś przelewający się strumień szklanych kulek po porcelanowym talerzu. Bardzo cichy i bardzo wyraźny. Gdzieś daleko. Te dźwięki? Tak... to fortepian. Muzyka, dziwna bo wyraźnie słyszę progresywne wyciszanie a nadal brzmi tak samo głośno. Co to jest? Chyba Czajkowski. Nieważne. Taki spokój. Mogę już na pewno otworzyć oczy. Ale nie, jeszcze zaczekam. Wydaje mi się, że inne wrażenia zmysłowe zagłuszą dźwięki docierające do moich uszu.

Muzyka wsącza się we mnie powoli, zaczynam ją odbierać całym ciałem. To już nie drganie strun wprawionych w ruch drewnianymi młoteczkami, to emanacja siły, mocy, która tchnęła w moje ciało rozrasta się do granic możliwości i zamiera w wiarę. Wiarę w życie, istnienie. Mogę poruszyć palcami, mogę stać. Będę śpiewać razem z muzyką, będę tańczyć przy muzyce, będę muzyką.

Jakiś szeleszczący dźwięk. Jeden, drugi, trzeci... Czy coś oznacza, czy tylko zakłócenia odbioru? „Dalton... ton... on..., słyszysz... szysz... szysz...” Kto to? Nie, nie przeszkadzajcie mi teraz. „Jeżeli... eli... li... li, tak... ale... ale, to otwórz... órz, oczy... y.. y . Muzyka umilkła, nie, jest. „To bardzo ważne... ne... ne... ne . bardzo ważne... ne... ne... ne”.

Ostatnia sylaba gubi się uciekając gdzieś w dal. Ważne? Dla kogo? Teraz najważniejszy jest spokój, najważniejsza jest muzyka, najważniejsze... „Dalton, spróbuj uwierzyć... yć ... yć”. Dobrze — zrobię to, zrobię wbrew sobie.

Rozchyłam lekko powieki. Obraz jest niewyraźny, rozmywa się lekko. Tak jak przypuszczałem, widok kobiety w białym fartuchu zagłuszył strumień dźwięków. W porządku Dalton, możesz zamknąć oczy. Zamknąć? Nie, teraz już nie. Straciłem tło, muszę zyskać pierwszy plan. Otwieram je szeroko. Dziewczyna jest śliczna i uśmiecha się.

— Proszę nic nie mówić panie Dalton. Jeszcze nie teraz.

Ma ładne wargi, pełne seksu. Mówiąc składa je jak do pocałunku. Jasne włosy upięte na karku. Obraca lekko głowę.

— Niech się pan nie rusza.

Zrobiła taki ruch, jakby chciała odejść. Otworzyłem jeszcze szerzej oczy. Zrozumiała.

— Zostanę tutaj, niech się pan nie obawia, zostanę tak długo, jak pan zechce.

Oddycham głęboko, obraz jest już ostry, widzę wszystko

wyraźnie. Jasnozielone ściany, biały sufit. Naprzeciw mnie okno, za oknem drzewo. Prawdziwe. Poczulem zapach lasu, świeżego, czystego powietrza. Jest chyba ranek.

— Za chwilę pan zaśnie, będę tu cały czas. Gdy pan się obudzi będziemy rozmawiać, długo rozmawiać. O czym pan tylko zechce.

Głos cichnie, zmienia się w szept i zlewa się w jedno z muzyką.

— Teraz niech pan uważnie patrzy. To rysunki pozornie tylko bez związku i znaczenia.

Wpatruję się w ekran, nie, żadnych skojarzeń.

— Nie rozumiem, one nic dla mnie nie znaczą.

— Nie o to chodzi — uśmiechnął się — nic pan nie musi rozumieć, to nie jest test.

— Więc dlaczego mi to pokazujecie?

— Obrazy te podziałają na zakodowane w pańskiej podświadomości informacje. Są w pewnym sensie wyzwalaczami, stymulatorami. To klucz, którym otworzymy pańską pamięć.

Plany, wykresy, bez sensu. Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty. Żadnych nawrotów pamięci, zaczynam się niecierpliwić.

— Co pan odczuwa?

— Nie wiem, chyba nic, jestem trochę zdenerwowany.

— Więc jednak.

— To ma jakieś znaczenie?

— Oczywiście, „zaskoczył pan, mówiąc żargonem.

Seans skończony. Jeszcze kilka takich, ale... będzie już dużo łatwiej.

— Cóż profesorze Dalton, to już chyba wszystko. Najważniejszy etap zakończony.

— Nie do wiary, doktorze, nie wiem co powiedzieć. Podarował mi pan jeszcze wiele lat życia. Życia bez lęku.

— Wolalbym nie mieć takich pacjentów jak pan.

— Ale tu nie chodzi nawet o samo życie. Nie jestem już młody. Dano mi teraz świadomość piękna życia, piękna biologicznego istnienia.

Doktor wstał i podszedł do lady barku.

— Napije się pan?

— Chętnie — odpowiedziałem. — Jeżeli można, to z wodą. Alkohol przyjemnie szczypał w język. Westchnąłem.

— Dziwna rzecz, człowiek musi przeżyć coś takiego żeby zrozumieć, że nie miał racji.

— Mogłem to zrobić łagodniej, ale rezultat nie byłby pewny. Pańska silna depresja...

— Śmierć żony i syna... Wiem, że to nie miało najmniejszego sensu — podniosłem głowę i spojrzałem mu w oczy. — Teraz wiem. Ale wtedy nie widziałem dla siebie miejsca w tym świecie.

— Takie tragedie zdarzają się dosyć często. Wiem, to żadna pociecha — zamilkł na chwilę — ale teraz... teraz jest pan już absolutnie pewny swojego stanowiska. To potwierdzenie mojej teorii. Szczerze mówiąc pan oddał mi też wielką przysługę. Pracowałem nad jej wykorzystaniem wiele lat.

— Jak pan doszedł do tej metody?

— Współpracowałem kiedyś, dawne czasy, z socjologiem Ernestem Coghlem. Przeprowadziliśmy wywiady z niedoszłymi samobójcami. Coghle interesował się przede wszystkim przyczynami. Ja zauważyłem coś innego. Na stu badanych tylko jeden lub dwóch próbowało jeszcze raz. Statystycznie rzecz biorąc to nie przypadek. Trochę dziwne prawda? Pierwsza próba uruchamiała jakąś blokadę. Przeprowadziłem wiele sondaży, już sam. Ci ludzie bali się śmierci. Jeden z nich powiedział, że kiedyś wyskoczył z okna, gdy leciał z ósmego piętra, bardzo chciał zawrócić. Nie rozumiał dlaczego to zrobił. Wszystkie dotychczasowe powody przestały nagle istnieć.

Chciał żyć, byle jak i za wszelką cenę.

— Przeżył własną śmierć. Powiedział, że chciał zawrócić. Dlatego wybrał pan taki wariant?

— Strzał z pistoletu czy zatrucie nie dają tego czasu, który był panu potrzebny. I na stopniowe narastanie poczucia niebezpieczeństwa.

Dopiłem whisky.

— To było straszne, nie miałem żadnego wyboru.

— Teraz pan ma. I wie pan jak to naprawdę wygląda. Proszę tylko o stały kontakt z kliniką. Będzie mi pan potrzebny. Coś w rodzaju królika doświadczalnego — uśmiechnął się spoglądając na mnie znad okularów — za kilka tygodni usuniemy bliznę po elektrodzie i nie będzie żadnych śladów...

— Ja nie mogłem się zabić bo przerwaliście mi po prostu seans. A tamten człowiek, ten który wyskoczył z okna, jak on się uratował?...

AMULET

Steve, obiad — krzyknęła z kuchni matka.

Steve i pies wytoczyli się z pokoju na holi.

— Steve, zostaw ją i chodź tu.

Potargany dzieciak wpadł do kuchni.

— Mamo, lekcje odrobiłem, sprzątnąłem zabawki. Mamo, dlaczego ja muszę sprzątać zabawki? Jane mówi, że mama pozwala się jej bawić w całym mieszkaniu. Mamo kup mi kolejkę. Fred ma kolejkę i powiedział, że będę się mógł z nim bawić, to byłoby morowo gdybyśmy mieli dwie kolejki...

— Steve!

— Ale Fred mówi, że tata nie kupi mi kolejki, to lepiej ty mi kup, chociaż Fred mówi...

— Steve!

— Tak, mamo?

— Zjedz obiad. My z tatą idziemy do kina.

— Mamo, mogę iść z wami?

— Nie. Pójdiesz w niedzielę. Mama Jane dzwoniła i powiedziała, że zabierze was ze sobą.

— To fajnie. Mamo znowu kotlety? Ja nie chcę kotletów.

— Zjadaj i nie dyskutuj.

— Co to znaczy nie dyskutuj?

— To znaczy, że jedzenie ma stąd zniknąć — powiedziała wychodząc. — Jak przyjdę to ma go tu już nie być.

Biiipooop

Matka weszła do łazienki i puściła wodę. Po chwili wypłoszył ją przeraźliwy huk.

— O Boże. Steve. Coś ty zrobił? Tatuś się zmartwi jak przyjdzie. To jego ulubiony wazon.

— To Citty mamó. Powiedz jej, żeby nie machała ogonem.

— Steve — głos matki był poważny, — mówiłam żebyś zjadł obiad.

— Zjadłem, zjadłem, zjadłem, a powiedziałaś, że po obiedzie mogę się bawić z Gitty.

Matka zdecydowanym krokiem weszła do kuchni.

— Steve! — krzyknęła.

— Idę z Gitty do Jane!

Po paru minutach szcęknięły otwierane drzwi.

— To ty Harry? Jak dobrze, że już jesteś. Steve jest niemożliwy.

— Musi się wyszaleć — pocałował żonę w policzek. — Nie bądź dla niego zbyt surowa. Co to jest? — wskazał ręką na leżące koło śmietniczki skorupy.

— Wazon.

— Aha. To Steve?

— Nie. Duch święty. Pogłaskał żonę po włosach.

— Ubierz się. Za chwilę możemy już jechać.

— Jestem już ubrana!

— Chyba, że tak. Myślałem, że chcesz się przebrać.

— A ty się ogól — krzyknęła, gdy wchodził do łazienki.

— Dobrze, a gdzie moja maszynka?

— Na półce.

— Nie ma jej tam.

— Może zostawiłeś u Betty? — zapytała złośliwie. Wypadł jak oparzony z łazienki.

— Nie będę się golił. Daj mi święty spokój.

— Cześć, tato! — zabłocona kula zawisła u szyi mężczyzny.

— Steve, coś ty z siebie zrobił?

Ojciec ostrożnie zdjął chłopca z ramion.

— Uspokój się. Musi się jakoś bawić.

— Ale, nie taplać w błocie! Dość tego! — krzyknęła. — Steve nie wolno ci przez tydzień wychodzić z domu. Do szkoły i z powrotem!

— Anno...

— Nic z tego! Żadnego kina, żadnych meczów.

Chłopiec zaczął płakać. Roztarł łzy pięściami po twarzy zostawiając brudne smugi.

— Nienawidzę cię — wychlipał. — Nienawidzę.

Chwyciła go jak młodego psiaka za kark i powlokła ze sobą do pokoju.

— O Boże — Harry pogładził Gitty po łbie. — Chyba tylko my dwoje jesteśmy tu normalni.

— Coś ty powiedział?

— Zniknę cię, zniknę cię — rozległ się z pokoju zapłakany głos.

Ojciec wszedł do pokoju i usiadł obok rozżalonego dziecka.

— Nie płacz Steve. Kupię ci kolejkę. No nie maż się. Prawdziwy mężczyzna nie płacze.

— Taką jak ma Fred? — wychlipał.

— Nawet lepszą — uśmiechnął się ojciec. — I nie znikniesz mamy? — spytał zartobliwie.

— Zniknę!

— A kto nam zrobi w niedzielę dobry obiad, kto posprząta zabawki po Steve i papiery po tacie?

— Ty, albo ciocia Betty.

Harry usłyszał z kuchni przekleństwo i lekko się uśmiechnął.

— Ale ciocia Betty nie mogłaby z nami mieszkać, bo ma swój dom i swojego nieznośnego Steve a. A mamusia bardzo cię kocha i byłoby jej przykro, gdyby musiała zniknąć.

— Mnie też byłoby przykro, gdyby zniknęła, ale widzisz, Fred zawsze mówi, że trzeba kogoś ukarać jak on jest niegrzeczny, a mama była dziś niegrzeczna.

— Masz rację, Steve. Mamusia była bardzo niegrzeczna, ale

ty Steve jesteś przecież mężczyzną, a mężczyzna zawsze musi wybaczać kobiecie.

— Dlaczego?

— Bo kobieta jest po to, żeby się nią opiekować. Kiedy tatuś ma mało czasu, bo musi gdzieś wyjeżdżać albo siedzieć w biurze, to Steve powinien go zastąpić.

— Aha — zamyślił się. — A tak troszeczkę, ociupinkę. Nawet tyle nie mogę jej ukarać?

— Tak ociupinkę możesz — ojciec poklepał chłopca po policzku. — A teraz idź się umyj. My już wychodzimy. Kolację masz w szafce. Połóż się spać i nie czekaj na nas.

— Jasne tato.

Pobiegł do łazienki i wychylił się już rozebrany.

— Nie zapomnij o kolejce.

Gdy byli przy drzwiach wybiegł jeszcze raz. Tym razem ociekając wodą.

— Za karę zniknę mamie szlafrok.

— Najpierw znikniesz tę wodę z parkietu — rzekła matka zamykając drzwi.

Biiipooop.

Wrócili, gdy Steve spał przytulony do Gitty.

— Harry, ja już nie wytrzymam. Tyle razy mu mówiłam, żeby nie brał psa do łóżka.

Chciała wejść do pokoju, ale mężczyzna zatrzymał ją i zamknął drzwi.

— To jego jedyny przyjaciel. Zrozum to. Nigdy nie masz dla niego czasu, ja zresztą niestety też, a dzieciak musi się do kogoś przytulić...

— Och, daj mi już spokój.

Weszła do drugiego pokoju i włączyła telewizor. Harry wszedł do łazienki.

— Wspaniale — powiedział, gdy już wrócił do pokoju. — Mały schował ci szlafrok.

Przyciszyła telewizor.

— Nie wiem co w tym jest wspaniałego. Rozpuścił się jak dziadowski bicz. A ty jeszcze się z tego cieszysz.

— Ma charakter. Będą z niego ludzie.

— Tylko, że ja z tego powodu muszę cierpieć. Jutro znowu wyjeżdżasz, a ja zostanę sama ze Steve'm. On w ogóle się mnie nie słucha.

— Wiesz, że muszę jechać.

— Pennyhayer ciągle wyciąga cię z domu.

— Trudno. Obiecałem mu pomóc i muszę dotrzeć do końca.

— A co będzie jeśli Remington przegra?

Zasepił się.

— Wolę o tym nie myśleć. Byłbym spalony. Ale Pennyhayer uprzedzał mnie, że w razie klęski Remingtona możemy trafić nawet do więzienia.

— Nie mów tak. Rozpłakała się.

Pogładził ją po włosach i ujmując za podbródek zbliżył jej twarz do swojej.

— Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

Steve obudził się rano, gdy ojciec, który wcześniej wyjeżdżał jadł dopiero śniadanie.

— Cześć tato — powiedział zaspanym głosem wchodząc do kuchni.

— Witaj młody człowieku. Co robiłeś dziś w nocy? Czy polowałeś na dzikie mustangi, a może tropiłeś bandytów?

— Nie — odparł poważnie chłopiec. — Rozmawiałem.

— Pospiesz się Harry — w drzwiach pojawiła się matka.

— Cześć mamó.

— Dlaczego tak wcześnie. Steve? Mogłeś jeszcze pospać.

— Kazano mi się obudzić — odpowiedział.

Ojciec wychylił duszkiem szklankę mleka i ugryzł kawałek grzanki.

— A kto może rozkazywać młodemu dżentelmenowi? — spytał.

Steve podrapał się po głowie.

— Powiedział, że mama jest smutna, bo tata ma kłopoty. Ojciec spoważniał.

— Tak, to prawda, że tata ma kłopoty. Ale nie chciałbym, abyś mówił o tym w szkole Steve. Ani w ogóle nikomu.

— Nawet Gitty?

— Gitty możesz powiedzieć — odparła szybko matka. — A teraz idź już spać.

— Jakie masz kłopoty, tato?

— Widzisz — powiedział ojciec ocierając usta serwetką, — ty Steve bardzo nie lubisz jak mama robi na obiad kotlety, prawda?

Sięgnął po gazetę leżącą na stoliku i zaczął ją kartkować.

— Aha.

— No właśnie, tata też nie lubi pewnych rzeczy. A jeden pan będzie kazał robić te rzeczy, których tata nie lubi.

— Aha.

Ojciec znalazł jakiś artykuł i zaczął go czytać.

— Tak więc widzisz — powiedział wtopiony już w tekst — że tata i mama denerwują się czy nasz przyjaciel pokona tego niedobrego pana.

— Aha. A czy on może kazać mi jeść kotlety?

— Nigdy nic nie wiadomo — odparł zaczytany ojciec.

— Codziennie?

— Hm.

— Steve idź już spać — powiedziała matka.

Chłopiec poszedł w stronę swojego pokoju, ale w holu zawrócił.

— Tato!

— No?

— Przestań czytać!

— Tak? — ojciec opuścił gazetę.

— Czy ja mogę go zniknąć?

— Oczywiście Steve — rzekł ojciec.

— A czy jemu będzie przykro?

— Nie, on się czuje wszędzie dobrze. Obawiam się, że nawet jak będzie zniknięty, to nie będzie mu tak bardzo źle — odparł poważnie ojciec.

— Hm. Dobrze. Zniknę go.

— Harry, spóźnisz się.

— Poczekaj — rzekł ojciec wstając z krzesła, — przecież Steve musi go zniknąć — mrugnął do żony. — Zaczynaj synu.

— Muszę go widzieć — powiedział poważnie chłopiec.

— Może być zdjęcie w gazecie?

— Może — odparł Steve.

Ojciec rozłożył gazetę i położył na stole. Wskazał palcem na otoczoną dziennikarzami postać. Oto on.

— Dobrze — rzekł chłopiec.

Biiipooop

— Co to było, Steve? — rzekła matka.

— Czyżby młody człowiek był brzuchomówcą? — zaśmiał się ojciec. — Idź teraz spać synu. Masz jeszcze trochę czasu, a napracowałeś się. Zniknąć kandydata na prezydenta to wielki wysiłek, prawda, Anno? — zwrócił się do żony.

— Tak, Steve. Tatuś ma rację.

— Dobrze. Wybiegł z pokoju.

— Lecę. Przecież Gitty na mnie czeka.

— Dziękuję Steve — krzyknął ojciec.

Ojciec wrócił jeszcze tego samego dnia późno w nocy.

— Anno — krzyknął — musimy natychmiast jechać do Waszyngtonu. Za dwie godziny mamy samolot.

— Zwariowałeś? — przetarła zaspane oczy. — Co się stało?

— Tato, masz kolejkę?

— Kingside zrobił jakiś nowy chwyt. Nie słyszałaś jeszcze o tym?

— Nie włączałam telewizora. Strasznie boli mnie głowa.

— Tato, obiecałeś kolejkę!

— Przepadł. Ukrył się gdzieś. Remington wezwał nas do Waszyngtonu. Nie wiadomo jak długo to potrwa więc pojedziecie ze mną.

— Nie pojedę nigdzie — rzekł Steve. — Nie dotrzymujesz obietnic. Ojciec opadł na fotel.

— Chodź tu wodzu — rzekł ciągnąc syna za rękę. — Pamiętaj, że tata zawsze dotrzymuje przyrzeczeń.

Wyciągnął z kieszeni kluczyk od samochodu.

— Na tylnym siedzeniu — uśmiechnął się.

Steve jak strzała pomknął w kierunku drzwi.

— O Boże, Harry. Co mamy robić?

— Spakuj rzeczy i jedziemy. Kingside to wcielony diabeł. Rzucił wszystko na jedną szalę. Wszystko teraz zależy od tego jak to rozreklamują.

Odgarnęła włosy z czoła.

— Po co się w to wplątałeś, Harry? — szepnęła.

— Fenomenalna — krzyknął Steve od progu. — Dziękuję! Ojciec uśmiechnął się lekko.

— Skąd mały chłopiec zna takie trudne słowa?

— Śniło mi się!

Zaczął tańczyć wokół fotela trzymając pudło w rękach.

— Dość tego. Steve. Idź do pokoju i ubierz się. Zaraz wyjeżdżamy.

— Tata ma znowu kłopoty — powiedział poważnie chłopiec.

— Tak, niestety. Ten pan, o którym ci dziś rano mówiłem...

a zresztą — machnął ręką.

Steve zatrzymał się przed ojcem.

— Powinien zniknąć — rzekł.

Ojciec pokiwał głową.

— Sam chciałeś, żeby zniknął.

— Tak, Steve, oczywiście. Idź do siebie i ubierz się już.

Chłopiec podszedł do drzwi.

— Nie potrafię zrobić, żeby znowu był.

— Trudno, nic nie szkodzi Steve.

— Nie wiadomo co z nim się stało — rzekł do żony. — Był rano w gabinecie, a kiedy przynieśli mu kawę gabinet był już pusty. W każdym razie tak mówią.

— A policja?

— Dawno już nie widziałem tylu policjantów co dzisiaj. Podobno Waszyngton jest obstawiony, nie można się z niego wydostać.

— Tato, co to jest Waszyngton?

— Steve. Dlaczego nie jesteś jeszcze ubrany?

— Stolica naszego kraju — odparł ojciec. — Idź bo mama się gniewa. Za chwilę wpadł do pokoju całkowicie ubrany.

— Tato, gdzie jest nasz kraj? Pokaż mi! — sięgnął do wpuszczonego w ścianę biurka.

— Zostaw Steve — ojciec podniósł głos, — chyba wiesz, że nie wolno ci tu grzebać.

— Ubiorę się i trochę ogarnę — rzekła matka.

— Musisz wspaniale wyglądać, kochanie.

— Tato, pokaż mi.

Ojciec wyciągnął teczkę skąd wydobył kilka złożonych map. Rozpostarł na podłodze jedną z nich i uklęknął na dywanie. Steve przywarł tuż obok niego.

— To jest Ameryka — powiódł ręką. — Taka wielka, wielka wyspa. A na tej wielkiej wyspie jest nasze państwo. Właśnie tu — przejechał palcem po mapie.

— A co tu jest? — Steve wskazał na kawałek łądu w górnym, lewym rogu mapy.

Ojciec rozwinął drugą z map.

— To jest kawałek wielkiego państwa, które tu widzisz.

Poszedł do barku i napełnił szklanke alkoholem zostawiając syna przy geograficznych dociekaniach.

— I to jest cały świat, tato?

Ojciec przechylił szklanke do ust, a ostatnie krople z dna strzepnął na dywan. Pstryknął zapalniczką i przypalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. — Nie, Steve. To jest tylko część świata. Sięgnął w głąb biurka i wyciągnął globus. Postawił go przed synem.

— Cieszę się, że młody człowiek interesuje się tymi wszystkimi sprawami. Trzymałem wszystko tutaj właśnie dla ciebie. Kiedyś te rzeczy przyniosły mi szczęście, więc myślałem, że i dla ciebie będzie to dobry amulet.

— Co to jest amulet, tato?

— Coś, co przynosi szczęście.

— Wtedy jak jestem zadowolony to znaczy, że mam amulet?

— Odwrotnie synu — usiadł na fotelu i wziął go na kolana.

— Człowiek jest dlatego zadowolony, że jest szczęśliwy, dlatego, że ma swój własny, osobisty amulet. Bardzo wiele przedmiotów czy osób może być amuletami. Ludzie zawsze nazywali nimi te rzeczy, które pomagały im a w zamian za to opiekowali się nimi, dbali o nie, pilnowali ich.

Przerwał na chwilę.

— Teraz właśnie ty i mama jesteście dla mnie amuletami. Steve zeskoczył z kolan ojca.

— Jak to jest jak ktoś go nie ma?

— Wtedy jest bardzo nieszczęśliwy.

— A Gitty ma swój amulet?

— Na pewno — zaśmiał się ojciec i wstał.

Wyszedł na chwilę i wspiął się po schodach na piętro. Po

paru minutach zszedł na dół.

— No, Steve. Mamusia jest już gotowa. Zaraz jedziemy.

— Ja nie chcę jechać, tato. Chcę zostać z tobą i z mamą w domu.

— Niestety, Steve. Musimy jechać.

— Dlaczego?

— Musimy.

— Jak będę taki duży jak ty nigdzie nie będę jeździł. Zawsze będę w domu. Tylko na wakacje będę wyjeżdżał — dodał po chwili namysłu.

— Nikt nie robi tego co chce. Ja też nie chciałbym tak żyć, ale muszę.

— Dlaczego musisz tato?

— Ponieważ ludzie, którzy dają mi pieniądze każą mi to robić. Gdybym przestał z nimi pracować nie mielibyśmy pieniędzy, a wtedy musielibyśmy sprzedać dom, samochód, nie moglibyśmy jeździć na wakacje...

— Jak będę duży, to też mi ktoś będzie rozkazywał?

— Niestety, Steve.

— I będę musiał to robić?

— Tak synu.

— A jak ktoś będzie chciał, żebym zrobił coś złego to też będę musiał?

— Też — odparł ojciec.

— Ale ja nie chcę!

— Wierzę ci, Steve, że nie chcesz, ale świat już taki jest. Cholernie skomplikowany,

— Jak ty mówisz do dziecka? — matka pokręciła głową z niezadowoleniem.

— A amulet? — spytał Steve.

— Jaki amulet?

— Który by mi pomagał.

— Nie ma takiego amuletu — rzekł ojciec. — W tym nie

pomoże ci żaden amulet.

Steve zamyślił się.

— Tato — rzekł nagle. — Świat, znaczy to — wskazał na globus — jest zły, prawda?

Ojciec spojrział mu w oczy.

— Tak, Steve. Świat jest zły i trzeba abyś szybko się o tym przekonał, abyś o tym wiedział.

— I nigdy nie będzie dobry?

— Chyba nigdy synu.

— To jest cały, naprawdę cały świat? — zapytał podnosząc globus.

— Tak.

— Na pewno?

— Oczywiście, Steve.

Biiipooop

BIBLIOTEKA FAKTU — PRZEWODNIK

Skwar południa zastał Mąka na skraju miasteczka. Na moment przystanął i sięgnął do mapnika. Przez chwilę wpatrywał się w mapę, po czym spojrzał na przypięty do ręki kompas.

— Tak... — powiedział do siebie — to tu, no chyba, że tu.

Upewniwszy się, że znajduje się we właściwym miejscu schował mapę i ruszył w stronę centrum.

Szło mu się ciężko, całonocny marsz dał się mocno we znaki, tym bardziej, że większą część drogi przebył na skróty, klucząc po górskich wykrotach.

Po jakiś dziesięciu minutach znalazł się na niewielkim, otoczonym niskimi domami rynku.

Westchnął głęboko. Staął i rozglądając się ciekawie otarł dłonią mokre od potu czoło.

Nie spodziewał się tu zastać nikogo z mieszkańców. Wiedział, że miasteczko to, tak jak i wiele innych jest od dawna opuszczone, skazane na powolną zagładę. Mimo to był nieco zdziwiony, bo domy, choć stare i pochylone do przodu, trzymały się zupełnie znośnie. Pozamykane drzwi, lśniące w oknach szyby, nienaruszone zamki — wszystko to wskazywało, że albo mieszkańcy wynieśli się stąd niedawno, albo jakimś dziwnym trafem szabrownicy ominęli ten zakątek.

Poszukał wzrokiem skrawka cienia, który złagodziłby słoneczny żar. Już po chwili szedł w stronę drewnianego domku, chyba jedyne, który miał lekko uchylone drzwi. Styłowy ganek z daszkiem wyłożonym rozeschniętymi listwami dawał cętkowany jasnymi plamami cień. Za domkiem szumiało wielkie, na wpół uschnięte drzewo.

Stojąc przed drzwiami zrzucił z pleców ciężki plecak. Odetchnął z ulgą i poruszył zbolętymi ramionami. Do środka nie wszedł. Przysiadł na schodku opierając się o ścianę. Sięgnął po przywieszoną do pasa manierkę i przechylając ją mocno opróżnił prawie do końca.

— Teraz mogę odpocząć — stwierdził na głos. — A potem? Potem zobaczymy.

Z przyjemnością rozprostował zmęczone nogi.

„Najważniejsze, że jestem na miejscu. Teraz, tak, teraz trzeba czekać na tamtych”.

Przypomniał sobie scenkę sprzed dwóch dni.

Wezwany do Majora czekał na przyjęcie, zastanawiając się, czego on może od niego chcieć. Przecież wtedy wszystko dokładnie wyjaśnił.

W Bazie siedział od roku i prócz tej pierwszej i jak dotąd jedynej wizyty, podczas której streścił swoje koleje losu, nikomu nie był potrzebny. Miał swoją robotę z której się wywiązywał i to wszystko.

I teraz te nagłe wezwanie...

— Podobno przez rok włóczyłeś się po górach? — spytał wtedy Major. Przytaknął, gdyż tak było. Łaził po górach trudniąc się zbieractwem.

— Tak przynajmniej napisałeś — kontynuował. — Rok to dużo czy mało?

— Nie wiem — odpowiedział nie rozumiejąc do czego zmierza Major.

— Czy wystarczy by poznać góry? Milczał.

Nie wiadomo czy Major spodziewał się takiego obrotu sprawy, a może była to tylko jego dobra gra.

— Poszedłbyś w góry? Teraz! Dziś wieczorem? — pytał szybko.

— Co? W góry? Dziś?!

— Tak!

Wzruszył ramionami.

— Po co? — spytał.

Major przez chwilę wpatrywał mu się natarczywie w oczy. Potem zaczął tłumaczyć.

— Dwóch naszych przewodników trafił szlag — są w terenie. A tu okazuje się, że trzeba przeprowadzić kilka osób przez góry, na drugą stronę... — przerwał i przypalił sobie papierosa. — Tak... ściągnąć ich nie mogę, bo są za daleko, a tamci są już umówieni. Jeśli nie spotkają tam przewodnika to mają iść sami. A to oznacza... — zawiesił wymownie głos. — Rozumiesz o co mi chodzi?

— Chyba tak.

— Jeśli rozumiesz to pójdziesz. Oni liczą na nas. A ty jesteś jedynym w Bazie, który zna góry.

Tu Mak mu przerwał:

— To błędny wniosek Majorze. Co prawda...

— Ty jesteś jedyny! — teraz przerwał mu Major — I pójdziesz! To rozkaz!

Słyszac te słowa uśmiechnął się sceptycznie. W Bazie, gdzie wojskowych z prawdziwego zdarzenia można było zliczyć na palcach, nikt od dawna nie słyszał tego słowa.

Zresztą wiadomo, że dla takiego zleпка — cywilów, zdemobilizowanych szaraków, a i często dezertarów — stanowiących społeczność Bazy, pojęcie rozkazu było czymś zupełnie abstrakcyjnym.

Dlatego uśmiechał się, aż do chwili gdy Major powtórzył po raz drugi:

— To rozkaz!

I wtedy odezwały się w nim stare odruchy. Magiczne słowo „rozkaz” szarpnęło nim, wyprostowało, zmusiło do przepisowego trzaśnięcia obcasami i regulaminowego odkrzyknięcia: „tak jest!”

— Tak jest! — odpowiedział i wyprężony jak struna

oczekiwał na komendę: Spocznij! Odmaszerować!

Nic takiego nie nastąpiło. Wtedy coś w nim pękło. Znowu zaczął się uśmiechać. Spytał:

— To wszystko?

— Na razie tak.

Zrobił w tył zwrot i sprężystym krokiem podszedł do drzwi. Zamykając je spojrzął na Majora.

Ten patrzył na niego jak na rzecz. Wzrokiem szyderczym, obelżywym. To było jakby dostał w twarz! Wtedy powiedział sobie, że niech to szlag, że ich przeprowadzi— Pokaże mu, że rok w górach wystarczy!

— Rok w górach wystarczy? — spytałem sam siebie i nie doczekawszy się odpowiedzi sięgnąłem po manierkę. Upiłem łyk i odstawiłem ją na bok.

— No więc przyjdźcie — kontynuowałem monolog. — Przyjdźcie, a was przeprowadzę! Ma was być siedmioro? I chcecie na drugą stronę? Dobra, będziecie...

Cień przesunął się w bok. Słońce zaczęło prażyć nogi. Z trudem podciągnąłem je i przesunąłem w cień. Niewygodnie teraz było opierać się o ścianę. Przewyciężając otępienie wstałem. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła druga.

„Mają tu być o ósmej, można się przespać” — pomyślałem.

Z tym zamiarem wszedłem do domku. W środku panował mrok i przyjemny chłód. Stałem niezdecydowany na środku izby. Wówczas poczułem ten zapach — mdły smród, psującego się mięsa. Dolatywał zza sąsiednich drzwi.

— Co jest?! — byłem wściekły, bo jakieś rozkładające się ścierwo psa czy kota zmuszało mnie do szukania innego miejsca na odpoczynek.

Podszedłem do tych drzwi i rozwarłem je gwałtownym ruchem.

Zamarłem. Potem odruchowo cofnąłem się. Poczułem

niesamowity smród. Niemal równocześnie dotarło do mnie, że to co tam widzę to martwi już od dawna ludzie. Trzy trupy ułożone obok siebie i nakryte starym, podartym kocem spod którego wystawało sześć nóg!

Sześć sinych, nienaturalnie powykęcanych nóg!

Nagle nadszedł strach. Niczym nie tamowany, zwierzęcy strach o własny byt. Mocno wczepiłem się w futrynę drzwi.

Oparłem o nią głowę. Z niedomkniętych ust kapnęła ślina.

„Boże! Co ja tu robię?! Uciekać! Jak najdalej, byle nie patrzeć na te nogi!”

Odwróciłem się i lekko zataczając wyszedłem na zewnątrz domku. Fale świeżego powietrza obmywały mokre od potu ciało. Lepką dłonią pociągnąłem po twarzy. Sięgnąłem do kieszeni. Wyjąłem papierosa, usiadłem. Byłem zmęczony. Przymknąłem oczy, lecz zaraz rozwarłem je szeroko. Ten obraz wciąż tkwił w mej pamięci. Bardzo dokładny i wyrazisty.

Zaciągnąłem się mocno.

„Cholerny świat!”

Wewnątrz domu trzasnęły drzwi. Drgnąłem.

To przeciąg! — tłumaczyłem sobie, — to tylko przeciąg!

Z wielkim trudem narzuciłem sobie spokój.

„Cholerny świat! Cholerny...”

Ocknąłem się nagle. Słońce już zachodziło. Na rynek kładły się długie cienie domów. Przez chwilę szukałem w pamięci śladu ostatnich godzin. Dopiero wpatrując się we własne nogi przypomniałem sobie wszystko. Wzdrygnąłem się z obrzydzeniem.

„Pieprzyć to zasrane zadanie! Pieprzyć Majora! Wszystko!”
— kłąłem.

Po głowie chodziła mi tylko jedna myśl: wynieść się stąd jak najdalej!

Byłem już gotów, gdy pomyślałem, że trzeba sprawdzić co to za ludzie. Nastąpiła chwila rozterki. Jak zmusić się by tam

jeszcze raz wejść, zobaczyć te trupy, przezwyciężyć lęk i obrzydzenie.

„Co znaczy martwe, rozkładające się ciało człowieka? Nic! To tylko masa psującego się mięsa!”

Ociągając się pchnąłem drzwi. Nos i usta zakryłem rękawem. Podszedłem do ciała. Przykucnąłem. Wystarczyło pociągnąć. Mocno szarpnąć za róg koca!

Gwałtownie wstałem i wybiegłem przed dom. Zwymiotowałem. Potem zabrałem plecak i skręciłem w najbliższą uliczkę.

Była wąska i lekko opadała w dół. Zapewne prowadziła na skraj miasteczka. Postanowiłem iść dotąd, aż znajdę coś odpowiedniego na nocleg. Miałem wielką chęć odejść w ogóle, lecz powstrzymywała mnie myśl o tych, którzy mieli tu przyjść. Odwróciłem się za siebie. Słońce schowało się już za domy. Nad nimi jarzyła się czerwona poświata.

Splunąłem gorzką śliną i zamarłem w pół ruchu.

„A jeśli ci, w tym domu, to są ludzie na których czekałem?!”

Następna myśl wstrząsnęła mną jeszcze bardziej.

„Kto ich zabił?! Przecież nie umarli tak sobie i nie poukładali się równiutko w rząd. Zaraz, ale ich miało być siedmioro, więc gdzie reszta? Też martwi?! A jeśli, to dlaczego zostawili w takim stanie swoich towarzyszy? Cholerny świat! Co teraz zrobić? Szukać reszty? Spenetrować całe miasto? Teraz, w nocy? Nonsens! Więc co?”

— Pójść dalej i znaleźć coś do spania — odpowiedziałem sobie na głos.

Ulica skończyła się nagle. Dalej było zapuszczone, porośnięte wybujałymi chwastami pole. Pagórkowaty teren wznosił się coraz wyżej, zarastał wysokopiennym lasem i ginał u stóp spowitych chmurami szczytów.

— To nie tak daleko. Dzień marszu — oceniłem mimowolnie. Zrobiło się chłodno. Poprawiłem plecak i

pomaszerowałem w kierunku skrytej za pobliskim pagórkiem chałupy.

Domek miał szczelnie pozamykane okiennice. Drzwi wyglądały solidnie, lecz gdy po chwili nasłuchiwania napałem na nie, rozwarły się ze zgrzytem. Stałem w progu przyzwyczajając oczy do ciemności. Nagle usłyszałem jakiś szmer. Padłem i odczołgałem się w bok, znikając z jaśniejszego prostokąta drzwi. Plecakim zahaczyłem o jakiś sprzęt. Rumor przewracanego stołka zagłuszył czyjeś kroki.

Chyba kroki... Albo się przesłyszałem, może to jakieś zwierzę? — rozumowałem wsłuchując się w nastąpiła ciszę. — Ale nie...

Wydawało mi się, że słyszę czyjś płytki, nerwowy oddech. Uniosłem głowę i zacząłem się rozglądać. Rozróżniałem tylko zarysy sprzętów. Nagle wyczułem jakiś niebezpiecznie bliski ruch. Tego było za wiele. Poderwałem się i rzuciłem do przodu. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Uderzyłem o czyjeś ciało. Zwaliłem się na nie. Czyjeś drobne ręce zaczęły drapać mi twarz. Histeryczny krzyk wciąż się wznosił. Starłem się go dłońmi zadusić, lecz ręce zaplątały mi się w długich włosach. Wreszcie szamotanina ustała. Krzyk urwał się. Znieruchomiałem i wykrztusiłem:

— Kto ty?

Cisza. Ponowiłem pytanie. Bezskutecznie. Podniosłem się na kolana. Ściągnąłem plecak i odrzuciłem na bok. Nadal przygotowany byłem na atak. Lecz nic takiego nie nastąpiło. Natomiast zaczął rozlegać się cichy szloch. Poczulem jak ciało to drży targane spazmatycznymi skurczami.

Powoli docierało do mej świadomości, że leży przede mną kobieta. Wstałem i uzmysłowiłem sobie, że skoro po tym wszystkim nikt nie nadszedł jej z pomocą, to musi być sama. Na wszelki wypadek sprawdziłem. Dom składał się z dwóch pomieszczeń. W obu nikogo nie było.

Zamknąłem drzwi i po omacku zacząłem szperać w plecaku. Szukałem świeczki. Gdy ciemność rozświetlił jej blask, okazało się, że się nie myliłem. To była dziewczyna. Bardzo zmizerowana. Leżała skulona tak jak ją zostawiłem. Wstrząsały nią dreszcze, przeraźliwie dzwoniła zębami.

Przestraszyłem się. Próbowałem ją podnieść, ale bezwładne ciało leciało mi przez ręce. W odruchu rozpaczony uderzyłem ją po twarzy. Nie pomogło. Zacząłem uspokajać ją, zapewniać, że nic jej nie grozi. Chyba coś z tego, co mówiłem dotarło do niej, gdyż leżała już spokojnie.

Wtedy pomyślałem o swoim bezpieczeństwie. Jeszcze raz podszedłem do drzwi, sprawdziłem zamek. Usłyszałem za sobą gwałtowny ruch. Chciałem się odwrócić, ale nie zdążyłem. Coś twardego spadło mi na głowę. Poczułem jak nogi nagle robią mi się dziwnie giętkie, jak wszystko ucieka gdzieś w bok.

Szum w uszach narastał. Otworzyłem oczy. Ciemność. Zerwałem się i krzyknąłem. Ostry ból u nasady czaszki nie pozwolił wykonać następnego ruchu.

Przypomniałem sobie wszystko. Delikatnie odwróciłem się. Drżący płomień świecy słabo rozświetlał pomieszczenie. Od razu dostrzegłem jej skuloną postać. Siedziała na podłodze, zaszyta w mrocznym kącie izby.

Zacząłem macać głowę. Wyczułem rozległą opuchliznę i skrzep krwi we włosach.

„Ale mnie załatwiła” — jęknąłem.

— Kim jesteś? — spytałem.

— Ja? — padło, pytanie.

— Ty!

— Ja, ja? A ty? — zagadnęła przytomniej.

— Jestem przewodnikiem.

— Przewodnikiem, ty?...

— Tak! Ja! Jestem przewodnikiem! — powtórzyłem raz

jeszcze.

— Aha...

Nie chciała jeść, choć widziałem, że jest głodna.

— Więc nie jesz? — pytałem któryś tam raz z kolei.
Milczenie.

Wyszedłem na zewnątrz budynku. Ranek był słoneczny. Chłodne powietrze, przesycone rosą mile orzeźwiało. Szum w głowie ustał. Kompresy też pomogły, gdyż opuchlizna jakby się zmniejszyła.

— Cholerne życie! — przywitałem nowy dzień.

Na razie niewiele się od niej dowiedziałem. Tylko tyle, że należy do oczekiwanej przeze mnie grupy. Tamci martwi również. Lecz co dalej? Dlaczego, kto, jak? Odpowiedzi na te pytania nadal nie posiadałem. Trzeba poczekać aż dojdzie do siebie. Cierpliwości!

Wróciłem do środka. Siedziała na krześle z głową złożoną na stole. Spała. Zacząłem się jej przyglądać. Była bardzo młoda, gdyby ją porządnie ubrać to...

Przeszedłem do drugiego pomieszczenia. Było równie skromnie umeblowane. Stół, kilka krzeseł, żelazne łóżko z mocno wyciągniętymi sprężynami, jeszcze szafa, trochę rzuconych w kącie łachów. Lustro, jakiś wazon. Wszystko pokryte kurzem, który wzbijał się przy każdym ruchu, kotłując się w smugach światła wpadającego przez szpary okiennic. Usiadłem na stole. Podniosłem leżący na nim jej plecak i nie zastanawiając się wysypałem całą jego zawartość.

Trudno — usprawiedliwiałem swoje postępowanie. — Kto wie co ona tam ma?

Nie było tego dużo. Sweter, jakieś drobiazgi, puszka, trochę okruchów, mapa, gruby zeszyt. Przekartkowałem go. Był częściowo zapisany.

Pamiętnik? — przyszło mi na myśl. Zacząłem czytać.

„23.04. OAZA

W Oazie siedzę od roku. Sąsiadujemy z Miastem. Miasto jest opuszczone — tak jak wszystkie wielkie miasta. Jak mówi nasz opiekun — teraz w Mieście żyją tylko wściekle psy i zdegenerowani bandyci.

Psów się nie boję, a w bandytów nie wierzę. To po to tak mówią, żebyśmy bali się uciekać! Głupi.'

Czasem z miasta czuć smród. Dzisiaj też tak było. Chyba palą zwłoki... A może to bandyci pastwią się nad jakąś dziewczicą? Gwałcą na zmianę, a potem przypiekają żywcem?

Bo bandyci muszą być źli i odrażający — jak wojna co ciągle trwa i nic może się skończyć. Czy wyglądają tak samo?

Są czarni z pustymi oczodołami, w których widać ruiny domów, ze szczerzącymi się w okrutnym grymasie zębami i nieodzownym zgryzionym cygarem. Nie, to nie cygaro, a jakaś wielogłowicowa rakietka. Podpis też musi być: No more Hiroshimu!

26.04. OAZA

Przenieśli mnie do grupy zaawansowanych. Teraz mogę czekać na komisję.

30.04. OAZA

Pobitem Hatza — zaczął się dobierać do mnie w nocy. Nim się połapałem, dobrał się prawie całkiem.

Leży w szpitalu. Chyba ma złamane żebra. Szkoda.

Tu kończyła się pierwsza strona.

Czy warto czytać dalej? — myślałem — czy warto, skoro takie życiorysy nie są niczym nadzwyczajnym. Tak jak i te kilkaset tysięcy zdrowych sierot, które jakimś cudem ocalały, by potem zginąć w nowej połodze?

Cholerny świat! Przecież ja, gdybym był wtedy młodszy też tak bym skończył. Transport do Oazy — kilka lat separacji — to dla ochrony zdrowia psychicznego, dla uchronienia przed makabrą wojny. Potem hop! I już w mundurze, bo jesteś silny i

musisz bronić swych młodszych kolegów. A czy zginiesz, zdezerterujesz, czy będziesz walczył bohatersko to już nikogo nie obchodzi, bo nie masz Ojczyzny, Boga — są tylko mordujący się ludzie. Siła przeciw sile, kto mocniejszy ten przetrwa — wielkie, niezachwiane Prawo Natury!

A wszystko to upiękzone w wyuzdane, humanitarne apele — o prawie do wolności, nieingerencji, nienaruszalności...

Za coś przecież trzeba ginąć!

Tępo wpatrywałem się w zapisaną stronę. Coś mi mówiło: „Czytaj, czytaj! Przypomnij sobie kim jesteś!”

Cisza i tylko szelest wysypujących się z siennika wiórów.

„02.05. OAZA

Pomyślałem, że warto by uciec. Nie dlatego, że jest tu źle, ale po to, by być tam — za murem.

07.05. OAZA

Hatz wyszedł ze szpitala. Tłumaczyłem mu, że żałuję, że teraz nic takiego bym nie zrobił...

08.05. OAZA

Co jest za murem? Miasto, a dalej? Kto tam żyje? Opiekun mówi, że nikt, że tam śmierć! Idiota — myśli, że w to uwierzę.

09.05. OAZA

Powiedziałem opiekunowi, że jest kłamcą i niech idzie do diabła! Tylko spojrział na mnie. Myślę, że niedługo wezwą mnie na badania.

15.05 OAZA

Zabiję go! Zabiję i niech się dzieje co chce!

Jutro idę odebrać mundur Szluzb Pomocniczych. Dobrze, że nie liniowych. Ale i tak go zabiję!

10.10 LAS

Od pięciu miesięcy nie widziałem tego zeszytu. Od pięciu miesięcy nie napisałem w nim słowa.

Pięć miesięcy temu napisałem — zabiję go! Ale nic takiego nie zrobiłem. Za to jeszcze tej samej nocy ogłuszyłem strażnika

i uciekłem do miasta.

Od tej chwili byłem wyjętym spod prawa dezserterem — bandytą.

Jeszcze się tym nie przejmowałem. Dlaczego uciekłem? Teraz wiem.

Nie dlatego, że nie chciałem walczyć, że bałem się śmierci, nie! Nawet nie i dlatego, że miałem inne poglądy — to przyszło później. Ja bałem się tego co mnie będzie czekać w mundurze. Bałem się... I uciekłem. Zostałem wilkiem. I gówno was to obchodzi!

12.01. MIASTO

Zima. Zimę trzeba przeczekać. Z tego czekania załapałem syfa. Dobrze, że tej kurwy dotąd nie dopadłem!

W grupie jest nas sześciu. A właściwie pięciu, bo Flac powoli się wykańcza. Pluje krwią, nic nie je. Ma szkliste oczy i żółty nabrzmiały język.

Zaczynają mnie słuchać. To dlatego, że przy ostatniej obławie wyprowadziłem ich z zamkniętej dzielnicy. Są mi wdzięczni, więc pijemy jakiś strasznie śmierdzący samogon.

14...

Kiedyś zastanawiałem się skąd bierze się smród w mieście. Te śmierdzące ciemne dymy. Teraz wiem. To wojsko pali ciała wilków.

Oni nie są źli. Po prostu nie mają dokąd wracać. Wszystkie drogi odcięte. Wszędzie wyrok śmierci. I za co? No powiedzcie skurwysyny, za co?! Że żyją jeszcze? Tak jak najgorsze bydło nie żyje? Że śmierdzą, chorują, zabijają — bo ich zabijają? Za co?

20.01. MIASTO

Gdzieś we wschodniej dzielnicy strzelali. Oni w końcu oczyszczą to miasto. Źle mi się robi, gdy o tym pomyślę.

21... MIAS...

Ta strzelanina we wschodniej to zupełnie co innego. Poszliśmy tam wieczorem. To jakieś wilczki napadły na transport do Oazy. Tam były dupy! Trafila mi się jedna. Od kumpli dostałem po mordzie. To za nią. Tak w ogóle to mam przetrąconą rękę. Skurwysyn przejechał mnie prętem.

01.02. MIASTO

Czasami zastanawiam się, po co żyję. Chyba z przyzwyczajenia. To nawet budujące. Jeśli będzie więcej takich jak ja, co zębami i pazurami trzymają się tego zasranego życia — to nasz gatunek tak szybko nie zginie.

05.02...

Oblawa!

10.04. GÓRY

Z miasta musiałem spieprzać. Wszyscy się gdzieś pogubili. Jestem sam”.

To koniec. Dalej jest kilka wolnych stron, a potem ktoś już innym charakterem zanotował:

„Pamiętnik znalazłem przy rozstrzelanym. To było chyba jedenastego lub dwunastego. Już nie pamiętam. Wziąłem go i przeczytałem. Chciałem go wyrzucić, ale jakoś nie potrafiłem. Ciągle chodzi mi po głowie”.

— Po co to czytałeś?! — padły niespodziewane słowa.

Spojrzałem w stronę otwartych drzwi. Stała w nich dziewczyna. Zrobiło mi się głupio. Nie dałem tego po sobie poznać.

— O co ci chodzi? — spytałem. Popatrzyła na mnie i odeszła.

— Dał mi go na przechowanie — mówiła.

— Kto?

— On.

— To znaczy ten, co tam leży... —r— Tak, jeden z tych trzech!

— Czytałaś go?

— Nie, po co?

— Masz mi to za złe? Wzruszyła ramionami.

— Co mnie to może obchodzić! On i tak już...

— Słusznie.

— Słusznie? — spojrzała na mnie z ciekawością. — Mówisz słusznie? A co ty możesz o nim wiedzieć, o nas wszystkich! No co? Chcesz, to weź ten pamiętnik, tylko już nic nie mów! Słyszysz? Nic!

— Jak chcesz... — i po chwili milczenia dodałem. — A że nic o was nie wiem to prawda. I chciałbym się wreszcie czegoś dowiedzieć!

— Po co?

— Po co, po co? Czy tylko tyle potrafisz?! — zdenerwowałem się.

Rozmowa ciągle się rwała. Tak jak wszystko dotąd. Miałem ich przeprowadzić i nie mam kogo, chcę się czegoś dowiedzieć i nie mam od kogo! Cholerni ludzie!

— Było was siedmioro? — zagadnąłem.

— Tak... — odpowiedziała niezbyt ochoczo.

— Troje z was nie żyje — zacząłem wyliczać, — ty jesteś czwarta, gdzie reszta?!

— Poszli.

— Jak to poszli? Gdzie? — wykrzyknąłem.

— No poszli. Po tym co się stało już ich nie widziałam, wtedy mnie z nimi nie było. Tak myślę, że poszli.

— Dziewczyno, gdzie?

— Jak to? Na tamtą stronę.

— Sami, bez przewodnika? — byłem zupełnie zdruzgotany.
— Ale dlaczego?

— Tak się umówiliśmy. Ja miałam zostać i czekać. Oni mieli iść.

— Dlaczego?!

— Nie wiem, spieszyło się nam.

— Przecież byliście umówieni, mieliście czekać!

— Za późno, to wszystko było za późno.

— Za późno — powtórzyłem i nagle zacząłem krzyczeć. — Tak? Tak?! Czy ty głupia wiesz, że to dla was śmiertelne niebezpieczeństwo? Że to głupota! O Boże jaka głupota! Czy wy jesteście normalni? Iść w góry, których się nie zna, w ogóle się nie zna gór... I co teraz?!

— Nic.

Zapadło milczenie, którego jednak nie potrafiłem długo utrzymać.

— A jak to się stało z... z tymi, tam...? — spytałem.

— Nie wiem. Łaziłam po mieście. Potem wróciłam. Nikogo już nie było. Ich trzech znalazłam następnego dnia, zupełnie przypadkowo.

— I?...

— Uciekłam tu. A potem ty i... — przerwała.

— Skąd wiesz, że poszli, że nie spotkał ich ten sam los?

— Może, ale czy to cokolwiek zmienia? A poza tym umówiliśmy się, że gdyby coś się przytrafiło to każdy idzie na własną...

— Na własną śmierć — wyrwało mi się.

To czego się teraz dowiedziałem całkowicie zbiło mnie z tropu. Zupełnie się pogubiłem. Żebym był jeszcze pewien, że na pewno poszli, a tak? Nie wiadomo kto ich zabił i za co. Nie wiadomo dlaczego ci idioci pchali się w góry. I co robić? Czekać? Przeszukać miasto z nadzieją, że gdzieś w jakiejś piwnicy znajdą się następne trzy trupy? A może wyjść i krzyczeć: Hej mordercy! Gdzie jesteście! Przyjdźcie i powiedzcie ilu ich zabiliście, bo nie wiem co robić!

— Kiedy to się stało? — spytałem.

Milczała. Dopiero gdy ponowiłem pytanie odparła:

— Dzisiaj będzie czwarty dzień.

— A więc cztery dni przewagi — głośno rozumowałem, —

to wystarczy by być po drugiej stronie. Ale założmy, że nie znajdują drogi, więc ile? Potrzebują sześć, siedem dni? Nie dogonię, no i skąd ta pewność, że pójdą tak jak ja. A jeśli zбочą? Przynajmniej znali drogę?

— Aha — przytaknęła.

— No i co robimy?

— Pójdę — stwierdziła jakby to chodziło o przechadzkę po parku.

— Dokąd? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tam!

— Ty też?! — wykrzyknąłem.

— Tak, i co z tego?

— Człowieku... — zupełnie przestałem rozumieć jakimi pobudkami może się kierować ta dziewczyna. Może ma tam kogoś? — Dobra, przeprowadzę cię — stwierdziłem. — Przecież po to tu jestem.

Coś odpowiedziała, lecz słowa jej zagłuszył przeciągły grzmot. Zerwałem się i podszedłem do drzwi. Zajęty rozmową nie zauważyłem, że zbliża się wieczór. Nie zwróciłem też uwagi na to, że już od południa wiatr zmienił kierunek i zaczął naganiać w stronę gór chmury. Teraz mroczna, granatowa, kłębiąca się opoka szczelnie przysłoniła niebo. Góry tonęły w mętnej ciemności.

Zamknąłem drzwi. Zapaliłem świecę i dopiero wówczas stwierdziłem:

— No to nas uziemiło. Nigdzie nie idziemy.

Padło przez całą noc.

Pamiętnik znalazłem przy rozstrzelanym. To było chyba jedenastego lub dwunastego. Już nie pamiętam. Wziąłem go i przeczytałem. Chciałem go wyrzucić ale jakoś nie potrafiłem. Ciagle chodzi mi po głowie.

Dlaczego? Przecież to w sumie kilka stron, bardzo

lakonicznych i mało komunikatywnych, bo pisał je człowiek dla siebie. Kim był? Dlaczego powracam ciągle do tego o czym pisał? Przecież widziałem go raz w życiu. Ten jedyny raz, gdy go rozstrzelowano.

To było straszne i może dlatego w jakiś sposób stało się częścią mej osobowości?

Było gorąco, bardzo gorąco. Drelichowa bluza lepiała się do pleców, usta pękały, język kołkowaciał, broń ciężka jak nigdy. Szliśmy na zwykłej trasie obchodu obozu. Dowódca patrolu klął strasznie, bo przepadło mu wolne. Ktoś tam dostał biegunki. Wtedy pojawił się On. Wyszedł zza załomu skalnego prosto pod lufy naszych automatów. Zachowywał się tuk, jakby nas w ogóle nie widział. A potem, potem stał pod skalną ścianą — skrepowany, z zawiązanymi oczami. Oficer zarepetował, a on stał spokojnie jakby nie świadom tego co za chwilę ma nastąpić. Lufa automatu uniosła się na wysokość piersi. Jakby to wyczuł. Szarpnął się, zatoczył i zaczął krzyczeć: „Zdejmijcie mi opaskę, zdejmijcie skurwysyny! Słyszycie?! Jestem wilkiem! Zdejmijcie!”

Wtedy obaliliśmy go, a on bezsilny w swej wściekłości zaczął wyć. Strzał i charkot wydobywający się z jego ust, jeszcze konwulsyjne drgawki, głowa uderzająca o kamienie i... Było po wszystkim.

Oficer dostał trzy dni wolnego. Przez trzy dni laził pijany, aż go przymknęli.

Kim był? Co myślał? Pisał o sobie jak o kimś złym. Był zły? Może nie zdawał sobie sprawy z tego co robi... Ale dlaczego ja go usprawiedliwiam, próbuję rozgrzeszyć, znaleźć coś dobrego i jasnego w tym wypaczonym przez los człowieku. Czyżbym się czuł odpowiedzialny za to bydłę?! Bezmózgie ciało powolne atawistycznym instynktom. Co ja pieprzę! O czym ja piszę, w ogóle po co? Ja chyba naprawdę czuję się odpowiedzialny za niego. Albo za siebie, istotę wcale nie lepszą! Zło... Na czym

ono polega? Na tym, że walczył o swoje istnienie w warunkach, gdzie nie tylko przyroda, ale i ludzie byli mu przeciwni? Czy nie mógł czuć się jak ten praczłowiek sprzed stu tysięcy lat? Czy to co robił nie było walką o byt w swej najczystszej formie?

Wszyscy jesteśmy ofiarami losu, który sami sobie zgotowaliśmy. Homo homini lupus est!

Jak więc można mówić o jakiegokolwiek winie. On znalazł się w innym wymiarze i innymi kryteriami należało go osądzać.

Zginąć rozszarpanym przez zwierza, od kuli rozwścieczonego kompana, a może od jakiejś epidemii — to kara natury.

Coraz ostrzej uwydatniają mi się zarysy tego co nazywaliśmy kiedyś cywilizacją. To straszne! Przecież w tym szalonym biegu ku przyszłości pogubiliśmy się tak bardzo, że nie wiadomo było po co, na co, komu to, dlaczego?

Od pewnego czasu mam wrażenie, że ktoś zwraca na mnie szczególną uwagę. Głupie to i bardzo męczące uczucie. Chyba niedobrze ze mną, nerwy, nerwy!

Dawno już nie pisałem. To śmieszne, ale dopiero teraz to zauważyłem, że to co robię w tym zeszycie to swoista kontynuacja tamtych zapisków. Teraz ja przejąłem pałeczkę w tym biegu donikąd.

Życie jest cholernie puste. Albo nie, tak przepelnione, że już wszystko jedno, i tak nie ma sensu zagłębiać się w nie, bo i po co? I tak nic nie dojrzymy.

Organizm, który był odbiciem każdej jednostki i nazywał się cywilizacją, pękł. Tak więc i my jesteśmy spękani, tylko czekać, aż rozsypiemy się w proch.

I ujrzałem, gdy została otwarta szósta pieczęć. Oto stało się wielkie trzęsienie ziemi i słońce stała się czarne jako wór

włosienny, a cały księżyc stał się jako krew. A gwiazdy spadały z nieba...

Jesteśmy błędem. Cały ten zafajdany świat na szczęście rozpadł się. Jak mógł istnieć skoro był monstrualnym wypaczeniem na skalę wszechświata?

Cywilizacja techniczna prowadząca donikąd. A raczej do naprostowania błędu jaki gdzieś tam w głębokiej przeszłości popełniła Ewolucja. No i stało się. Tyle tylko, że nikt nie może tego pojąć. No bo jak to? Mamy odrzucić to z czego byliśmy i nadal jestem), lak dumni? Cała nauka, technika, coraz to nowsze technologie, lepsze osiągi, ciągle dalej i dalej — wszystko to na nic?! Na nic, ponieważ wszyscy z tym jednym bitem Informacji więcej będą nadal tak samo tępi, niemrawi, bezduszni! Jak zwierzęta!

JESTEŚMY BŁĘDEM!

Udoskonalamy świat, podporządkowujemy go sobie wbrew wszystkiemu, ale dusze nasze są tak samo prymitywne jak były. Czy najdoskonalszy z nas potrafi odczuć coś więcej niż malarz naskalnych dzieł z Lascaux?

Trzeba zrozumieć Inteligencję Życia. A jest ku temu sposobność. Stanęliśmy na rozdrożu. Możemy wybierać — brnąć dalej w to, co z całą swą okrutną wyrazistością ukazało nam swój bezsens, lub skierować się na nową drogę. Ale to wymaga poświęcenia dorobku wszystkich pokoleń. Tylko to da gwarancję powodzenia.

Musimy powrócić do stanu wyjścia i pójść zupełnie inną drogą. Drogą rozwoju, ale bez zbędnego balastu techniki uwieczniającego tylko nasze możliwości, ho te z całą pewnością w nas tkwią!

Otrzymałem anonim: POMŚCIMY GO — WILKI.

To było chyba przed pięcioma miesiącami. Zapomniałem o tym. Dzisiaj sytuacja la powtórzyła się. Wtedy zignorowałem tę

groźbę, nie brałem jej serio, ule teraz... Oni osaczają mnie. To kompani tamtego wilka chcą mścić się za to, że odebrałem mu pamiętnik.

Muszę to napisać właśnie tu. Dotąd tego nie robiłem. Spisywałem tylko swoje refleksje, spostrzeżenia, ale ten właśnie fakt muszę odnotować, bo jest częścią tego co zapoczątkował ten wilk.

Moje zamysły czy teorie nabierają konkretnych kształtów. Co najważniejsze, że nie jestem sam.

Niedobrze. Oni są coraz bliżej, są wszędzie. Oni czekają!

Tego dowódcę patrolu, który do niego strzelał, wczoraj znaleźli z przestreloną głową. Samobójstwo?

Odchodzimy. Jest nas siedmioro. Idziemy za góry — na tamtą stronę. Mam mało czasu. Chcę żyć!

Ktoś idzie za nami— Nie widziałem go, ale jestem tego pewien. Wilki złapały trop, czują żer!”

Zamknąłem zeszyt. To było tak, więc tak... Zrobiło mi się duszno. Otworzyłem drzwi. Wciąż padało. Równe strugi wody monotonnie padały na przesiąkniętą ziemię. Wąskie strumyki wiły się wśród kamieni, wymywając korzenie roślin.

Wróciłem do stołu. Poszukałem w kieszeni ołówka i otworzyłem zeszyt na wolnej stronie. Zapisałem:

„Zginął idąc na tamtą stronę. Zabił go wilk mszcząc się za kogoś, kto już bardzo dawno zginął. Razem z nim zabito jego dwóch towarzyszy”.

Sięgnąłem po następnego suchara. Zacząłem go gryźć rozmaczając w ustach wodą z manierki.

Bezczytność irytowała mnie coraz bardziej. Żeby się stąd wydostać, jak najszybciej. Mieć już za sobą zabawę w przewodnika, dobrotliwego opiekuna zbłąkanych owieczek.

— Już nie jesz? — zagadnąłem Jug.

— Nie, najadłam się — odpowiedziała i wsiadła od stołu. Zaczęła nerwowo się przechadzać.

— Musisz tak krążyć? — spytałem rozdrażniony, Wzruszyła ramionami.

— Wiesz? Myślę o tamtych.

— No i co?

— Nic. Ciekawe czy doszli — odpowiedziała.

— Narażać życie w zupełnie bezsensowny sposób, bo komuś tam...

— Żadnemu komuś, tylko Wolfowi. To był wielki człowiek! I nic nie mów o nim złego!

— Dobrze, już dobrze — ustąpiłem jej szybko widząc z jakim zacietrzewieniem broni swego byłego przywódcę.

— To on wpadli na pomysł by iść na drugą stronę?

Przytaknęła.

— I po co? Przecież tam jest tak samo jak tu.

— Nie wiem...

— Więc dlaczego poszliście? — atakowałem.

— Bo był wielki! Bo go kochaliśmy! Tam miał powstać nasz świat!

— W siedmioro?

— Nie, w Za... Osiedlu mieliśmy wielu zwolenników. My byliśmy zwiadem. Oni poszliby za nami, na pewno by poszli!

— A teraz? — spytałem i zaraz pożałowałem swych słów. Po co zabijać w kimś jego nadzieje? Tym bardziej, gdy nimi żyje, gdy wszystko obraca się wokół nich. Zresztą co mnie to obchodzi, mam ją przeprowadzić... Tylko po co? Po co ma tam iść? Zupełnie sama. Gdyby wiedziała tyle co ja, gdyby wiedziała dlaczego ten Wolf uciekał aż za góry. Co by wtedy

zrobiła? Może jej powiedzieć? Albo nie, niech sama przeczyta pamiętnik. Tak.

Nagle Jug krzyknęła. Poderwałem się i przyskoczyłem do niej.

— Co jest?

— Tam! — wskazała za okiennicę. — Człowiek!

— Głupoty...

Przerwałem nagle. Pociągnąłem ją na podłogę. Sam też przysiadłem. Zbliżyłem się do drzwi i lekko je uchyliłem. Nic. Deszcz mżył lekko, spadająca z dachu woda pluskała w kałużach. W wąskim polu widzenia nikogo nie dostrzegłem, dalej świat się kończył ukryty za nieprzenikliwą powłoką mgieł. Ucho nie rejestrowało żadnego obcego dźwięku.

Dopiero teraz zdjął mnie strach. Przecież to mogły być wilki! Już chciałem się wycofać. Przy zaryglowanych drzwiach poczułbym się pewniej. Niespodziewanie lekki powiew wiatru przyniósł z sobą obcy zapach. Taki specyficzny zapach wydzielają z siebie wilgotne wojskowe kurtki! Ktoś musiał być niedaleko. Nagle zrozumiałem. On stał za drzwiami! Przestałem myśleć. Wycofałem się cicho, wstałem, sięgnąłem do kabury i wyciągnąłem pistolet. Zupełnie zapomniałem, że i tak nie mam do niego naboju. Z rozpędem kopnąłem drzwi, a te otwierając się na zewnątrz z impetem uderzyły w coś miękkiego. Odbiły się i natrafiły na mój bark gdy wyskakiwałem na zewnątrz.

— Nie ruszać się! — krzyknąłem, lecz nie było to potrzebne. Stojący za drzwiami człowiek zwijał się z bólu zakrywając twarz dłońmi. Spomiędzy palców kapłała krew. Wciągnąłem go szybko do środka.

Był oszołomiony. Jug na jego widok krzyknęła i zaczęła coś szybko mówić. Dopiero po chwili zauważyłem, że zwraca się do niego po imieniu. Czyżby go znała?

Okazało się, że tak. Był to jeden z tych trzech, którzy poszli w góry. Nazywał się Web. Gdy go opatrzyliśmy i przebraliśmy

w jakieś suche łąchy zaczął opowiadać o tym jak zaczęli uciekać, jak doszli do podnóża gór i już chcieli się przez nie przedzierać, *gdy* zaskoczył ich deszcz. Wtedy postanowili wysłać kogoś z powrotem aby odszukał Jug.

Spytałem go dlaczego postępowali tak nielogicznie, zupełnie bez sensu. Nie odpowiedział mi. Najwyraźniej coś ukrywali przede mną. Wiele niejasności wynikało również z ich postępowania. Zachowywali się nierozważnie jak dzieci, które nagle wyzwoliły się spod opieki starszych. Może to tylko gra, która w konsekwencji ma służyć im tylko znanemu celowi?

— Mówisz, że gdy tylko przestanie lać mają ruszyć? — dopytywałem się natarczywie.

— Tak — odpowiedział Web.

— I nie mają czekać na ciebie i Jug?

— Nie, po co?

Zamilkłem. Zupełnie się pogubiłem. O co im chodzi? Do czego dążą?

Było późne popołudnie. Niebo jakby przejaśniało i choć jeszcze kropiło, to od czasu do czasu przez chmury przebijało się słońce.

— Jutro będzie pogoda — prorokowałem na głos zastanawiając się co dalej robić... „Może wyruszyć już dziś? Przez noc dogonilibyśmy tamtych. Wówczas miałbym nareszcie wszystkich w kupie.”

— Zbieramy się! — rozkazałem.

Spojrzeli na mnie zdziwieni.

— No, zbieraj ciuchy! — krzyknąłem na Jug. — Idziemy w góry!

— Tak? Dobrze — odparła.

Kilkanaście minut później byliśmy gotowi. Wyruszyliśmy. Na razie droga prowadziła po ścieżkach, te choć zdziczałe i tak dawały gwarancję szybkiego poruszania się. Gorzej będzie, gdy się skończą — pomyślałem, martwiąc się o słabnącego Weba.

Nie dość, że miał gorączkę to szedł w wilgotnym ubraniu. Od czasu do czasu pokasływał krztusząc się flegmą.

Wieczorem natknęliśmy się na wygaszone ognisko. Jak zapewniał mnie Web oni go nie rozpalili. Więc kto? Czyżby wilki? Nagle przeraziłem się na myśl o tym, że gdy dojdziemy do tamtych okaże się, że są już martwi. Przyspieszyłem, lecz nie na długo. Jak na złość zaczęły się wykroty, a ciemności nocy jeszcze bardziej pogarszały sytuację.

Odczuwałem narastające zmęczenie, było mi na przemian gorąco to znów zimno. Wilgotne od przelotnych deszczów ubranie nie chroniło przed powiewami lodowatego wiatru.

Zarządzałem coraz częstsze postoje. Odpoczynki przedłużały się i gdyby nie zimno, prawdopodobnie nikt z nas nie miałby siły wstać i iść dalej. Po północy natrafiliśmy na szałas. Postawiono go zupełnie niedawno, może dwa dni temu. Nie wiem dlaczego, ale moje obawy, pogłębiały się z każdą chwilą. Myśl o grasujących gdzieś w pobliżu wilkach nie dawała mi spokoju.

Świt nadszedł niepostrzeżenie. Najpierw poblady gwiazdy, potem niebo pojaśniało, a zarysy gór stały się ostrzejsze. Nastął dzień.

Byliśmy tak zmęczeni, że zupełnie nas to nie obchodziło. Wreszcie Web rwącym się głosem ogłosił:

— To już tu, za zakrętem...

Musieliśmy ich długo budzić. Nareszcie miałem ich wszystkich w kupie.

Staliśmy na przełęczy. Pod nami rozciągała się wielka równina. Otarłem pot z czoła.

No to jesteście — stwierdziłem. — Dalej możecie iść sami. Tylko uważajcie na osuwiska...

Przytaknęli. Byli zmęczeni, ale chyba szczęśliwi.

No to żegnajcie — powiedziałem i chciałem odejść.

Zaczekaj! — zatrzymała mnie Jug. — Weź to na pamiątkę,

od nas... zdjęła z szyi niewielki medalik. Założyłem go i schowałem pod koszulę.

— Dziękuję... — wymamrotałem.

— Cześć Mak.

— Cześć Jug.

— Cześć! Pomachałem im ręką.

Cztery ludzkie sylwetki mały w oczach. Gdzieś tam na równinie, o jakiś dzień drogi jest osada do której mają dojść.

„I ja postanowiłem napisać coś w tym pamiętniku. Jestem zmęczony. Dobrze, że już po wszystkim. Jutro będę w Bazie i to będzie już koniec”.

...drzwi otwały się szeroko. Usłyszałem Jego głos:

— Wejź Mak, czekam. Wszedłem, usiadłem, a On rozpoczął:

— Prawdę mówiąc nie spodziewałem się, że wrócisz. Myślałem, myśleliśmy — poprawił się — że zginąłeś!

— Ja?! — wykrzyknąłem zdziwiony. — Nie rozumiem...

Staralem się spojrzeć mu w twarz, lecz ta ginęła w cieniu. Jakbym rozmawiał z manekinem bez głowy.

— Dlaczego nie przeprowadziłeś tej grupy, dlaczego się z nimi nie spotkałeś?!

— Co, co? — wykrztusiłem. — Pan żartuje...

— Nie! Przed tobą siedział tu przewodnik, który zrobił to za ciebie! Przed chwilą zdał mi z tego relację.

O co mu chodzi? Jak to nie przeprowadziłem tej grupy, czy on kpi? Nie miałem siły myśleć. Byłem oszołomiony.

— Mógłby Pan wyjaśnić to, to... nieporozumienie?

— Radziłbym ci zachować powagę, chyba wiesz co ci grozi za niewykonanie rozkazu? Zastanów się! I wytłumacz!

— Pan Major myśli, że ja, ja tak niepoważnie?

— Przecież nie chcesz mi wmówić, że ich przeprowadziłeś!

— Ależ tak, tak!

— Posłuchaj Mak, czy mam wezwać tego przewodnika?

— No to kogo ja przeprowadziłem?! — wykrzyknąłem.

— Czy w ogóle kogoś przeprowadziłeś? Zastanów się! Zastanów się! — grzmiał w uszach krzyk.

Przecież nie przyśniło mi się to wszystko! Mam pamiętnik, medalik! — chciałem wytłumaczyć, bronić się jakoś przed tym krzykiem, ale słowa więzły mi w gardle. — Pamiętnik i medalik!

Zerwałem go z szyi i zacząłem obracać w rękę, był to niewielki prostokąt z nierdzewnej stali. Wygrawerowano na nim krzyżyk, a po drugiej stronie napis:

JUG ROLLINS

Zakład dla nie zrównoważonych psychicznie

BTX — 3271b

Długo, aż do bólu szeroko rozwartych powiek, wpatrywałem się w nieprzeniknioną ciemność. Sen! To był tylko sen i nic więcej! — przekonywałem sam siebie. Daremnie. Wizja ta była zbyt wyrazista, zbyt prawdziwa bym mógł przypisać ją sennym rojeniom. A jednak!

Serce mocno biło, oddech był przyspieszony, ciemność pomieszczenia jakby naigrywała się z mej bezsilności.

Wsunąłem rękę pod koszulę i wymacałem ciepły prostokąt metalu. Gładząc go, starałem się Wyczuć wyryte na nim znaki, Wyobraźnia podsuwała wyśnione słowa. Dręczący niepokój, który dopiero teraz wypłynął ze mnie, stawał się nie do zniesienia.

Świerszcze głośno grały. Suche powietrze i zapach kurzu pokrywającego podłogę drażnił nozdrza. Poruszyłem się niepewnie. Chciałem wstać i wyjść przed dom, lecz przypomniałem sobie, że drzwi tarasuje legowisko tamtego.

Świtało gdy odważyłem się spojrzeć na medalik. Był na nim krzyżyk i nic więcej. Dopiero wówczas nadeszło odprężenie. Wstałem. Przeciągnąłem się i podszedłem do niego. Spał. Szturchnąłem go nogą. Natychmiast się obudził. Jego twarz zamarła w niemym grymasie zdziwienia. Zawładnęło inną obrzydzenie, tym większe, że widziałem w nim siebie,

— Idę — stwierdziłem.

— Co? — spytał nic nie rozumiejąc.

— Nic! Wstał.

— Nigdzie nie pójdziesz! — zdobył się na stanowczy ton.

— Tak? — udałem zdziwienie.

— Tak! Nie przeprowadziłeś swojej grupy, nie wykonałeś rozkazu! Musisz wrócić do Bazy!

— Nie!

To go zaskoczyło.

— Zatrzymasz mnie? — szydziłem.

Zacząłem się pakować.

— Nigdzie nie pójdziesz! — odezwał się nagle.

— Bo?

— Bo... — sięgnął ręką do stołu na którym leżał pistolet. Wyszarpnął go z kabury. Lufę nakierował na mą pierś.

Roześmiałem się.

— Strzelaj sobie, strzelaj! — powiedziałem i wziąłem plecak. Ominąłem go i wyszedłem. Odchodziłem wolno, demonstracyjnie.

— Poczekaj! — Usłyszałem za sobą. Odwróciłem się. Stał na progu, bawiąc się nieszkodliwym pistoletem.

— No?

— Co powiedzieć w Bazie? — powiedział uśmiechając się.

Wzruszyłem ramionami zaskoczony jego nagłą odmianą.

— Idziesz w góry?

— Nie wiem, może na przełęcz...

— Wiesz, że to co robisz to dezercja?

Parsknąłem śmiechem.

— A wiesz co za to...

— Gównu mnie to obchodzi! — zacząłem odchodzić.

Nagle rozległ się huk wystrzału. Szarpnęło mną do przodu.
Zdziwienie...

„Albo początek. Tamta noc... Nie wierzę w sny, ani żadne proroctwa, nie chcę w nic wierzyć! Chcę być!

Długo się wtedy zmagalem. Długo. To wszystko przyszło tak nagle, nieoczekiwanie. Trudno przybrać w słowa, zmienić na zdania, to o czym wtedy myślałem.

Widziałem wiele. Dom — taki zwykły podmiejski domek, nieco zniszczony, skąpo otoczony zielenią, przytłoczony ogromem miasta. Zobaczyłem twarz Matki, Ojca, widziałem siebie jako rozwrzeszczane go chłystka, brudnego i zapoconego dzieciaka.

Źle robią takie wspomnienia, a jeszcze gorzej gdy się o tym pisze. Pisze... Po co?

Nie wiem, to nieważne, NIEWAŻNE!

Wtedy zrozumiałem jak jestem ubogi, jak bardzo! Dotąd byłem żołnierzem, nieważne, że w cywilu, byłem nim, wykonywałem rozkazy, nawet jeśli były bardzo cywilne. O nic nie pytałem, o niczym nie myślałem, nic mnie nie obchodziło. A jeśli nawet, to nie na długo.

I co? Pozostały śmieszne wspomnienia ex wojaka, jego nienawiść do sierżanta — sadysty, strach przed ogniem, przed... Dzika radość kanonad, ryku tysięcy gardel dających upust wściekłości, strachowi, zagubieniu. Tępota oczekiwania i raz, raz, raz! — złożone ruchy, wytrenowane do perfekcji, bezmyślne.

Widziałem...

Góry są piękne. Nawet nie przypuszczałem ile w nich spokoju i majestatu. One potrafią obdarzyć tym wszystkim,

czego było mi dotąd brak. Gdy wstaję i rozgrzebuję skostniałymi dłońmi legowisko, gdy wychodzę przed szalasy i widzę ranek, czuję chłodny powiew wiatru, jestem sobą — z nimi.

Może tak chciał los? Może dobrze się stało tak jak się stało?

Patrzyłem na nich długo, aż znikli, rozplynęli się w zieleni kosodrzewin. Potem długo odpoczywałem. Wtedy na przełęczy pojawił się ON. Już wówczas poczułem, że coś jest nie tak. Wilk? — nie. Był przewodnikiem. Wracał z tamtej strony. Przeprowadził moją prawdziwą grupę. Nie tych rozbitków, którzy przysporzyli mi tyle kłopotów i zrobili ze mnie durnia, ale tych prawdziwych, oczekujących na mnie w miasteczku tak jak się umówiliśmy — wieczorem. Nie mogłem uwierzyć. Ale tak było. Pomyłka na skalę... CZEGO?

A może nie?

Śniło mi się morze. Olbrzymie fale przewalające się monotonnie jedna za drugą, jedna za drugą, bez końca. Gorące słońce wesoło świeciło, a morze szumiało. Potem chciałem w nie wejść, a ono rozstępowało się, uciekało. Potykałem się o jakieś zmurszałe kości.

TERMINUS A QUO

Długo, bardzo długo wylaniała się zza jednostajnej linii horyzontu mała, czerwona tarczka. Nie wiedział dlaczego, ale lubił czas wschodu tego starego, powoli wygasającego, termojądrowego reaktora układu. Może to echa atawizmów z zamierzchłych czasów, kiedy w rytmie szybkich, o wiele szybszych niż teraz obrotów planety żółty, jasny krąg odbywał swoją wędrówkę po nieboskłonie dając energię i życie... Wiele razy myślał, próbował sobie wyobrazić, jak tu wtedy było. Przekazy mówią o niebieskim niebie, białych obłokach, lustrach wody, zieleni, o spokojnej tonacji barw. Właściwie dlaczego jego praprzodkowie poświęcali tak wiele uwagi barwom? No tak — ta ograniczoność i niedoskonałość zmysłów. Próbował przypomnieć sobie ile ich mieli Ci sprzed Wielkiej Migracji. Sześć, czy siedem zaledwie. Cóż mogli wiedzieć na przykład o feerii radiacji powstającej Gwiazdy. Jednak wielokrotnie podczas czuwania, obserwując przez ekrany ochronne martwość lodowej pustym, starał się z fragmentów wyobrażeń złożyć mozaikę zielonej planety otulonej w płaszcz atmosfery... i nigdy w pełni to mu się nie udawało. No bo jak na Przestrzeń może wyglądać chociażby niebieskie niebo bez gwiazd.

Czasu aby bawić się myślami miał dużo. Nawet zbyt wiele. Jego czuwanie na Ostatnim Posterunku trwało już dwieście dziesięć okresów, a miało trwać jeszcze blisko dwa razy tyle.

Co mogło się dzieć w tym starym, umierającym świecie? Jaki jest cel jego czuwania? Jaki był cel czuwania poprzedników? Czy to sentyment do Ojczyzny gatunku? Czyżby rasa, która opanowała już nieomal połowę galaktyki

kierowała się tak nieracjonalnymi pobudkami?

Zdawał sobie sprawę, że jego procesy myślowe również momentami dalekie były od racjonalnych i optymalnego wykorzystania danych mu możliwości. Winił za to specyficzną atmosferę, jaka otaczała go, nieomal dotykała na tej dawno umarłej planecie. Niestłyszalny szept przeszłości.

No i samotność.

Raz na dziesięć okresów komunikat dla Centralnego Koordynatora. Sprawozdanie z postępującej niezmiernie powoli, ale nieuchronnie agonii układu. Dawniej jeszcze informacja o wymieraniu najprymitywniejszych, najbardziej odpornych form życia na planetach wewnętrznych. Ciągłe o spadku radiacji, o stygnięciu tych zgęstków materii na peryferiach galaktyki.

Jego poprzednik miał trochę szczęścia. Ostatnia planeta strefy zewnętrznej zadeła powoli odchudzić. Zdarza się — spadek sił grawitacyjnych w układzie. Trzeba było temu zapobiec. Nie można przecież pozwolić na uszczuplenie tego galaktycznego skansenu. Poprzednik snuł więc nitki sztucznej grawitacji, przyszywał odpruty kawałek ukradli. Pracował jak ostrożny archeolog zapobiegający rozpadnięciu się świadka dawnych, prawie zapomnianych wydarzeń, naruszonego upływem kolejnych wycinków wieczności. Wzbogacił tą pracą czas czuwania przez całe półtora okresu. Wszystko robił sam, obliczał, sterował manipulatorami, chociaż wystarczyłby sam AKUN. AKUN, a szerzej artykułując Automatyczny Kontroler Układów Niezamieszkaných i tak właściwie wszystko może zrobić za nich, bez nich. A oni, kolejno czuwające istoty, trwają na Ostatnim Posterunku od milionów okresów, wypełniając obowiązek dawno temu ustanowionego hołdu dla kolebki ich rasy.

Czerwony karzeł oderwał się od horyzontu obserwował go

nieustannie czuwając. Z monotonnego szumu informacyjnego kosmosu jego receptory wyłowiły informację istotną. Nadchodzi rój pozaukładowy. Zareagował. Dobrze i to. Trzeba sprawdzić, czy w roju nie idzie coś większego, co mogłoby spowodować perturbacje i naruszyć stabilność układu. Sprawdzić, czy nie zbliża się zgęstek antymaterii. Ewentualnie, czy Wielkiej Statystyce nie spодoba się postawić na drodze meteorom akurat „Trzeciej”, na której znajdowała się baza Ostatniego Posterunku. Co prawda poważnie zagrozić bazie mogłoby tylko bezpośrednie trafienie większą planetoidą, ale trzeba wszystko sprawdzić — obliczyć, zanalizować. Tak trzeba. Wreszcie — tego chciał, pragnął żeby coś się działo.

Po czasie, w którym czerwony krążek wzniósł się o połowę swojej średnicy wiedział już wszystko, ... prawie wszystko. Wiedział, że rój składa się z niewielkich okruchów materii, że jeśli się jej nie przeszkodzi kosmiczna chmura zahaczy flanką o trzecią planetę.

Wiedział jeszcze jedno — to nie był zwykły rój pozaukładowy, jakich wiele krąży po galaktyce. To był wędrowiec spoza granic galaktyki. Zdarzenie praktycznie niemożliwe było faktem. Nie mogło być mowy o błędzie w obliczeniach. Były zbyt doskonałe. Przedłużenie trajektorii, po jakiej przybył gość niezaprzeczalnie ginęło w pustce kosmosu poza galaktyką.

Niepodważalność wyliczeń umacniał fakt, że układ leżał na peryferiach i był właściwie pierwszym większym skupiskiem materii, do jakiego dotarł rój po wejściu w obszar poznanego świata. To była poważna sprawa.

Oczywiście odpowiedni meldunek dla Centralnego Koordynatora przemierzał już przestrzeń z szybkością światła. Jednak rój będzie wielokrotnie szybciej tu, niż informacja o nim tam. Decyzję trzeba podjąć samemu, lub zlecić to AKUNowi.

Gdyby to był zwyczajny galaktyczny wędrowiec, nawet bliskie zeru prawdopodobieństwo, że zagrozi zniszczeniem, czy tylko uszkodzeniem tego planetarnego sanktuarium, bądź samej bazy skazałoby go na unicestwienie, a przynajmniej dezintegrację. Ale na Przestrzeń! To był pierwszy gość pozagalaktyczny, jakiego spotkał przedstawiciel ich cywilizacji.

W tej chwili uświadomił sobie, że gdyby decydował sam AKUN, wyrok na rój już by zapadł. Miał przecież otrzeć się o najważniejszą „Trzecią”. Mogłaby nadwierzona skorupa, dawno pozbawiona ochrony atmosfery nie wytrzymać. Bzdura! Jednak automat miał zaprogramowaną szczególną troskę o ten pomnik ze zwiertzałej skały i lodu. Nadszedł tak upragniony czas, kiedy czuwanie miało wzbogacić się o działanie. Po raz pierwszy od kiedy istniał, wahał się. Podświadomie wiedział, że zniszczyć gościa nie potrafi. Bardzo chciał przyjrzeć mu się z bliska. Ostatecznie, czy może zrobić krzywdę garść okruchów rzucona przez bezmiar pustki starej, zahartowanej w odwiecznej podróży planecie. Jednocześnie analizatory tej zwiewnej mgiełki, jaką jest przyszłość dla terażniejszości, szeptały mu, że wędrowiec niesie ze sobą coś dziwnego, niepokojącego, lecz i pięknego zarazem.

Trwał w stanie nieuchwytnego podniecenia. Było w tym coś z odczuć myśliwego, który sam może stać się zwierzyną. Nie pierwszy raz mieszkaniec galaktyki stawał wobec nowego. On zdawał sobie jednak sprawę, że to co się z nim w tym ułamku wieczności dzieje znane było jedynie tym, którzy u nasady pnia ich cywilizacji, tu, na tej planecie istnieli na długo przed pierwszym Progiem. Tym, którzy aby przeżyć swoje przerażająco krótkie kosmosekundy musieli walczyć, bać się, przegrywać, czasem zwyciężać, nie umiając praktycznie niczego przewidzieć.

I było mu z tym dobrze.

Skarlałe słońce dobiegło zaledwie połowy mozolnej

wędrowki, kiedy rój wszedł w układ.

On czekał. Sytuacja była niezwykła, więc wybrał niezwykły dla swej rasy sposób postępowania — bierne czekanie. Dawno odłączył AKUNa, który molestował go ciągłym impulsem 0,0001 zagrożenia. Mógł już bez wzmocnienia, bezpośrednio swoimi receptorami obserwować zgodne z pierwotną diagnozą zbliżanie się meteorowej chmury do „Trzeciej”. Wyzwalał się w nim teraz jakiś szczególny stosunek do Tej, którą kiedyś nazywano tyloma imionami. Stawała się dla niego czymś więcej niż martwym pomnikiem. Przedtem też wiedział, że ma Ją szanować, jako piastunkę niemowlęcego wieku gatunku. Wiedział, że powinien, ale czy szanował? Czy wiedział w ogóle co się zawiera w tym określeniu? Teraz, wobec nieznanego czuł się za Nią odpowiedzialny, była mu bliska. Tym bardziej, że było to NIEZNANE. W miarę zbliżania wędrowca coraz mocniej krzyczała cała jego zdolność pojmowania, że jest on gościem niezwykłym. To nie była kupa kosmicznego gruzu. Nie obłok przypadkowych okruchów materii, którym gdzieś, nawet w wielkiej, niepojmowalnej odległości przestrzennej i czasowej jakaś perturbacja, czy katastrofa kosmiczna nadała przypadkowy kierunek i prędkość. To było COŚ — inaczej TEGO nie umiał określić, chociaż różne nadawał MU miana.

Kiedy karzeł w zwolnionym tempie zsuwał się po biliony razy odbywanej drodze, gość zapukał do bram Ostatniego Posterunku. Zapukał bezgłośnie, drobnymi wstrząsami powierzchni „Trzeciej”. Werbel upadków wprawiał go w drżenie. To było drżenie oczekiwania. Na co? W zasięgu najbliższego rozpoznania w zmurszały grunt wbiło się kilka okruchów.

Analizatory start!

Każdy okruch: powłoka i jądro — zjawisko w kosmosie dość częste. Nietypowe wiązania atomowe — ale, na Wieczność! przecież to rój spoza galaktyki.

Promieniowanie: szczątkowe — tyle, co złapał po drodze.

Gęstość: ...

Masa: ...

Parametr x 1: w normie

Parametr x 2: w granicach dopuszczalnych przez prawa fizyki poznanej przestrzeni.

Parametr x 3: na normalnym poziomie.

Uczucie niespełnienia.

Ale... cóż za kosmiczna indolencja! Przecież gdyby prosto na górny ekran ochronny spadł mu nawet mózg jakiegokolwiek istoty w stanie całkowitej anabiozy, to dane analizy fizyko—chemicznej też nie wskazałyby odchyień od praw i rzeczy poznanych.

W tym momencie ostatek tarczy gasnącego słońca zniknęła za horyzontem.

W tej chwili zrozumiał na co czekał, a czego nie szukał.

W tej sekundzie setki malutkich słońc zapłonęło nad kraterami, w których spoczywali przybysze. Zalśniły i zwały się w dół wielobarwnymi wodospadami. Ich rozbryzgi zamiast opadać tężały i pięły się w górę. Stara skorupa jęknęła. To był jęk porodu. Zapłodniony grunt wzdymał się i falował, rozrywany potężną siłą oszałamiająco barwnego kiełkowania. Proces wzmagął się, przybierał na sile, aby osiągnąć punkt kulminacyjny wzejścia posiewu.

Ekran nie wytrzymały pod naporem pędów.

Nie ewakuował się. Chciał być przy zmartwychwstaniu do końca. Ginał miażdżony siłami, które dawały planecie, jego „Trzeciej”, nowe życie, barwy, przyszłość i nadzieję.

Był im wdzięczny.

LIKAON

Asfalt wysechł i wykruszył się, w niektórych miejscach wypuścił roślinki. Wrosnięte w ziemię słupki miały kilkaset lat. Ile mil jest stąd od zburzonego miasta? Cyfry zatarły się. Cyfry tamtych lat. Cyfry wojny. Dobrze im tak — myślał mężczyzna. Szedł cicho. Stopił się z lasem, czuł jego drzenie, Drzewa tętniły, drzewa śpiewały, drzewa rozmawiały, a człowiek czuł to i smutny uśmiech gościł na jego twarzy.

Zrobiło się jaśniej, tu las kończył się. Hen, po horyzont, ciągnęła się sawanna. Bliżej jej środka rośło samotne drzewo. Odwiedzał je dwa, trzy razy w miesiącu.

Tyle zmieniło się na świecie. Dziwne. Nadal jestem astronomem. Muszę doglądać moich urządzeń. W gałęziach światłoczuła aparatura notuje temperatury gwiazd. Za dnia drzewo rozciąga się, liście rozwijają najszerzej. Powój rozrasta i wije się dosłownie w oczach. Małe urządzenia znikają w zielonej masie. W nocy zieloność cofa się, kurczy, wystawiając fotokomórki na światło wschodzących gwiazd. Tak. Drzewo od lat pracuje dla mnie, podobnie jak inne rośliny w ogrodzie.

...Szmer powtórzył się, niewyraźny, jednak instynkt podpowiadał mu, że coś krąży w pobliżu. Rozejrzył się szybko. Nic. Tylko trawy kołysały się łagodnie. Przyłożył ucho do ziemi. Wyszuszonej ziemi, która nie chłoneła deszczu od prawie pół roku doskonale przewodziła dźwięk. Teraz wyraźnie już usłyszał, jakies wielkie zwierzę szło w jego kierunku, trąc brzuchem o podłoże. Dziwny dźwięk bładził wśród wysokich łądyg, odbijał się od nich i powracał z innej strony. Blisko. Mógł go wydawać tylko okrutny, pustynny potwór, o którym tyle nasłuchiwał się legend. W tej chwili wydawało mu się, że

ciepły sirocco szczypie teraz mrozem jego policzki. Powoli wyprostował się. Zdjąć karabin z pleców, uwolnić się od jego ciężaru, wprowadzić nabój do lufy, zatrzasnąć zamek... nie, nie, te obrazy z przeszłości podrzucała mu wyobraźnia, dawno, dawno nie nosił broni, czuł do niej wstręt. Ohyda czarnej, popalanej twarzy ojca, z policzkami po których zamiast łez spływały wyciekłe oczy. Wypuścił gwałtownie powietrze. Koszmar uleciał. Pomyślał o drzewie. Gdyby nie on, byłoby już martwym kikutem, sterczącym na pustkowiu. Pół roku gorący wiatr pożerał sawannę. Człowiek nosił drzewu wodę w bukłakach przytwierdzonych do pleców. Czasem trzy razy tygodniowo. Teraz drzewo, rozgniewane w końcu mechanicznym brzemieniem, którego ani wchłonąć, ani wyrzucić z siebie nie mogło, zapomniało o wdzięczności. Zesłało pustynnego potwora.

Mężczyzna zobaczył go wreszcie. Leżał płasko w niewielkim zagłębieniu, dziwny dźwięk zamienił się w rozpaczliwe kwilenie. Ten okaz Pupo był niski, za to tułów miał nieproporcjonalnie długi Gadzi, ale nie pokryły łuską, tylko sierścią. Łapy tylne skoczne i umięśnione. Przednie, opatrzone mocnymi, rogowymi pazurami były łapami drapieżnego płata. Cały śmierdział. Człowiek poczuł obrzydzenie, ale przez chwilę nawet współczuł stworzeniu — tak żałośnie wykrzywiało kocią mordę, tak boleśnie lśniły kły na słońcu. Lśniły kły na słońcu? Bzdura! Co za straszna bzdura. Zreflektował się. Za późno. Zwierzę już biegło za nim, nieefektywnymi, ale sprawnymi ruchami. Odległość między nimi zaczęła się zmniejszać.

...Uciekał. Zamknął oczy. W powietrzu chwytanym haustami coraz wyraźniejszy był zapach docierający od strony drzewa. Uciekał jednocześnie w przeszłość. W tej chwili, na pograniczu życia i śmierci zobaczył uśmiechniętą twarz Ewy-malowniczkii. Obrazy, które malowała, pachniały kwiatami. Gdy zawieszała je na zewnątrz swego małego, drewnianego

domku, wydawało się, że ogród się w nich przegląda. Ewa wykluła się z jajka, może przyniósł ją wiatr, a lak naprawdę była zawsze swobodna i piękna.

To było tego dnia, w którym jezioro pogńiewało się na nich. Ewa koniecznie chciała, aby fosforyzujące rybki wyszły w nocy z jezuitą i przedelfowały po ogrodzie. Oburzenie na kaprys dziewczyny było powszechne. Rybki nie mają czasu ciągle bawić ludzi. I właśnie z tego powodu jezioro nie chciało falować łódka stała nieruchomo. Ewa, pieszcząc palcami stopy jego udo, opowiadała o zwierzętach pustyni;

— Świt. Cała pustynia wzdryga, się. To Wielki Likaon wyje. Wtedy wszyscy wiedzą, że wyrusza ze swoim siadem na lowy. Uciekają lwy, pierchają gepardy. Wielki nigdy nie poluje samotnie. Zawsze w gromadzie. Czuje siłę wszystkich Likaonów— Czuje ich wolność. Wiesz, piszą o nim, że jest to faszysta w przyrodzie. Dziwne słowo — faszysta. Ciekawe swoją drogą, kto jeszcze dziś pisze książki...?

— Widziałś go kiedyś? — spytał Piotr.

— Likaona?

— Tak.

— Widziałam — przeciągnęła się, aż łódka się zakołysała. Deski trzeszczały nagrzane słońcem. — Był samotny. Zobaczył sympatyczne zwierzę, chciał podejść, porozmawiać. Szukał przyjaźni, uspokojenia, przytulenia zamiast śmiertelnego uścisku. Tym razem nie. To był Pupo. Wykorzystał podstępnie zbliżenie wszystkich zwierząt, wielki powrót do natury. Upodobnili się do psów, kotów, krów, koni, całymi watahami ciągnących do lasu. Piszczą, budzi litość, zaufanie, a gdy zaciekawione zwierze podejdzie bliżej...

— Zabija! — wyszeptał Piotr, żeby nie gorszyć jeziora.

— Tak. Zabił Likaona. Jedno dziwne zwierzę zabiło inne. Lecz jestem pewna, że Wielki Likaon upomni się kiedyś o

śmierć swego brata...

...Pupo przegryzał powalonemu człowiekowi kołnierzyk koszuli.

„Nie udała mi się ta podwójna ucieczka” — pomyślał Piotr. Zdziwiony patrzył na ręce. Ożywione jakimś własnym, wewnętrznym duchem rozpaczliwie odpychały mordę bestii. Instynkt walki silniejszy od każdej idei. Nawet idei pogodzenia w przyrodzie. Chwycił potwora za ten wstrętny łeb, ciągnął, aż kręgi zwierzęcia zatrzeszczały. Nagle zobaczył, że zamiast prawego nadgarstka ma tryskający krwią strzęp ciała. Nie poczuł, tylko zobaczył. Potem przyszła fala bólu i długa, długa podróż w ciemności...

...Najpierw dotarł do Piotra ten sam przyjazny zapach, ku któremu niedawno w półobłąkaniu biegł. Zmieszany z bólem, po chwili zintensywniał i zamienił się w coś ciepłego, miękkiego. Dotknęło mu dwukrotnie twarzy. Podrzucił głowę. Likaon! Obok znajomego pnia drzewa stał Wielki Likaon, duma Przyrody. Podobny do psa, tylko znacznie większy. Sierść miał koloru jasnożółtego, z brązowymi plamami na boku. Uśmiechał się. Kochana, cudowna mordą. Zawdzięczał jej życie. Nie bojąc się wcale Piotr przytulił kanciasty, długouchy pysk. Daleko rozległ się bolesny skowyt. To stado dopadło Pupo dopełniając zemsty.

Wracali razem. I Piotr i Likaon nie chcieli rozstać się. Wdzięczność mieszała się z podziwem. Likaon zostawił stado, żeby pójść z tym długim, niesamowicie inteligentnym zwierzęciem. Pragnął zobaczyć słynny ogród, w którym rośliny nie tylko rosły, ale i żyły. Chciał też poznać tajemniczą mieszanekę ogrodu — Ewę. Piotr nakarmił Likaona mięsem z zapasów. Teraz szli obok siebie, jak równy z równym, a las wtórował ich krokom.

Wieczór zapadał, gdy znaleźli się na rubieżach ogrodu.

Suchy step nagle eksplodował roślinnością. Przedzierali się przez kolorowe mury pospłatywanych fikusów, podkarpai, lian, wyrosniętych storczyków i wielu nowych, nieznanych roślin. Wszystko wokół falowało, zmieniały się kształty. Cienie wirowały. Od powietrza aż nabrzmiałego tlenem zakręciło się wędrowcom w głowach. Upał zaczerwienił oczy. Piotr prowadził, z mieszkańców ogrodu on najlepiej znał jego ścieżki i tajemnice, chociaż czasem mylił się. Ogród w zasadzie nie był niebezpieczny, jednak zablądził w nim już nieraz.

Krętą ścieżką przeciskali się przez zarośla bambusowe. Teren lekko podchodził wodą, pod nogami i łapami chlupało. Blisko musiało być jezioro...

Zarośla skończyły się. Wyszli na równinę. Gdzieś zaśpiewała palma, mocnym, wieczornym głosem. W cieniu skał krzew kawowy rozmawiał z bananowcem. Ucięli sobie taką pogawędkę przed snem.

Teraz droga stała się uciążliwsza. Wszędzie piętrzyły się skały, porośnięte dziwnymi mszakami o szerokich, raz rozszerzających się, raz kulących liściach. Szli tunelem z głązów, a właściwie nie tunelem, tylko kamiennymi altankami. Słońce zaszło, lecz trochę dnia utrzymywało się jeszcze. Wreszcie zobaczyli jezioro. Piotr znał je dobrze, była to ta sama woda, którą lubił odwiedzać z Ewą. Cichą. Połyskująca.

— Przenocujemy tutaj — powiedział do dyszącego Likaona. — Twardziel z ciebie, odpocznij teraz trochę. Wyruszenie rankiem daje pewność, że dojdziemy do obserwatorium nie błądząc.

Obudziło go mokre łaskotanie. Nie to, żeby nagle zalała go woda, czy poczuł, że leży w wodzie, tylko właśnie łaskotanie. Otworzył oczy. Gwiazdy świeciły. Strużka wody, łaskocząca mu twarz brała swój początek w jeziorze. Wyglądało to tak, jakby dziecko z jego miejsca wyżłobiło dojście do wody, bawiąc się w tamę. Zrozumiał, że to właśnie Jezioro go

obudziło. Nagle popłynął przytłumiony potok słów, który raptem wyrównał się i stał zrozumiały: „Odejdź teraz, nie wpuszczaj Likaona do obserwatorium, odejdź, sprowadzi na ciebie nieszczęście, nie wpuszczaj...”

Piotr zignorował słowa jeziora. Rano wzruszył w duchu ramionami, poczytując ostrzeżenie za złośliwość. Jezioro mogło nadal chować dawną obrazę. Spojrzał na śpiącego jeszcze Likaona. Futro połyskiwało pięknie, był naprawdę wspaniały.

Poszli. W tej części ogrodu znać było działalność człowieka. Ścieżka z krótko przystrzyżoną trawą, grządki równe i utrzymane. Na wzgórzu błyszczało obserwatorium. „Bramę wjazdową” stanowiły dwa drzewa, rosnące tak blisko siebie, iż można było zawiesić hamak. Piotr miał miłe wspomnienia związane z tymi drzewami. Zaczepiały jego i Ewę zielonymi chwytnikami w pasie i poruszały miarowo w górę i w dół. Nagie ciała ocierały się delikatnie. Pojękiwali cicho ze wzruszenia i zadowolenia.

Ewa przywitała Piotra z radością. Likaona chłodno i z rezerwą. Niespodziewanie rozpadało się. Deszcz z sykiem parował na rozgrzanym tygodniami dachu obserwatorium. Jedli łapczywie, wygłodzeni po długim marszu. Uśmiech znikł z twarzy dziewczyny. Patrzyła teraz tak jakoś dziwnie, z tłumionym błyskiem przerażenia, może niechęci w oczach. Na skrwawioną owiniętą leczniczymi liśćmi rękę Piotra, to znowu na Likaona. Na rękę i na Likaona.

Następnego dnia znikła z ogrodu, w podobny sposób jak pojawiła się kiedyś. Nie zobaczyli jej już nigdy.

Dzień zszedł im na zwiedzaniu ogrodu. Wieczorem wyjaśniał Likaonowi rzeczy, zjawiska zaobserwowane w ogrodzie, których nie rozumiał. Napalili w” kominku. Na dworze ochłodziło się, mogło lunąć lada chwila. Nadeszła pora deszczowa. Burza czaiła się za ciemnymi, postrzępionymi

chmurami.

Piotr opowiadał właśnie o rozwoju drzewa. Błysnęło. Prawie natychmiast po skałach i drzewach potoczył się grzmot i dotarł nad obserwatorium. Trwało to zaledwie sekundę, kilka pisków przestraszonego Likaona. Za rozświetloną szybą zobaczył ludzi; dopiero gdy huk odpłynął, usłyszał ich łomotanie w ramy okienne. Ludzie! Oprócz Ewy nie widział człowieka od zakończenia wojny. Otworzył drzwi, mężczyźni weszli szybko, zamykając je za sobą. Niski, barczysty rozglądał się ciekawie po pokoju, zdeptując wielkimi buciorami podłogę. Wyższy, ubrany w skórzaną kurtkę taksował Piotra zimnym, bladoniebieskim spojrzeniem. Obaj nosili na piersiach emblemat — skrzyżowane błyskawice, w środku łeb jakiegoś zwierzęcia.

Ze zdziwieniem skonstatował, że jest to metalowy wizerunek jego przyjaciela Likaona.

— Jestem Hornst — wycedził przez zęby wyższy. — Zapamiętaj sobie to nazwisko. A to Glinsky — skinął głową w kierunku barczystego. — Glinsky!

Glinsky strzelił obcasami.

— A ty jak się nazywasz?

— Piotr — odpowiedział zaskoczony.

— Jakie nazwisko?

— Nazwisko?... Nie pamiętam już. Witajcie. Kiedyś mówili na mnie Piotr — astronom, lub po prostu Piotr.

— Słyszałeś? On nie pamięta... Po prostu Piotr — Hornst zaśmiał się nieprzyjemnie do barczystego, spoglądając na skulonego w kącie pokoju Likaona.

Za oknami burza słabła. Deszcz przestał padać, wiatr uspokoił się. Tylko wciąż jeszcze groźnie błyskało. Piotr nie zauważył, że wokół pierścienia Glinskiego uformował się szary obłoczek.

— Wiesz, co to jest? — spytał dziwnie wibrującym,

podniesionym głosem.

— Nie — odrzekł Piotr zgodnie z prawdą. Na podetkniętym pod nos pierścieniu zauważył identyczne insygnia jak na emblematach — skrzyżowane błyskawice i pysk Likaona.

— Nie — powtórzył.

— To sam nie wiedział kiedy ręka Glinskiego zatoczyła łuk w powietrzu. Trafił go tuż za uchem. Pamiętał jak kiedyś ktoś zrzucił na niego piłkę futbolową z trzeciego piętra. Teraz wydało mu się, że nie piłka, ale cegła i nie z trzeciego, ale z dziesiątego piętra spadła i trafiła go w tył głowy. Głowa — ogień. Podłoga. Zapach kurzu. Drgała, jakby kryła w sobie wielkie serce. Zebrał myśli i przypomniał sobie. Kastet pola. Pierścień wytwarza małe pole, gdy tylko właściciel zaciśnie pięść. Pole dopasowuje się do dłoni, twarde i lekkie, zastępując ciężkie narzędzie. Chroni jednocześnie przed obiciem kostek.

Myśli Piotra błędziły. Zastanawiał się, kiedy kastet wyprodukowano. Kiedy wyprodukowano?

— To na początek — Glinsky mówił przez mosiężną tubę zatkaną ręcznikiem. Zobaczył ironicznie uśmiechniętego Hornsta. Wzięli go pod ramiona i osadzili na krześle.

— Mów teraz — wycodził Hornst w charakterystyczny dla siebie sposób. — Co znaczy astronom?

Nie od razu odpowiedział. Spojrzał na obojętnego Likaona. Kapka śliny spływała mu po wargach. Leżał na własnym ogniu, wygrzewał się.

— Zawód. — Starał się, żeby nie wyczuli drżenia głosu, starał się mówić spokojnie: — Obserwuję gwiazdy, planety, planetoidy. Wyciągam wnioski, kreślę, obliczam. Gwiazdy i słońce mają znaczny wpływ na biosferę naszej planety. Zauważyłem, że aktywność Słońca w ostatnich miesiącach zmalała. W przyrodzie nastąpiło rozluźnienie, postęp. Zwierzęta obcuja i rozumieją się z roślinami. Natura ożyła i złagodniała jednocześnie. Tylko człowiek nie nadąza za przemianami. Ja

sam często boję się pokazać po sobie zachwyty — nad czymkolwiek. Albo zasnąć bez obawy w ciemną noc wśród kołyszących zapachem kwiatów ogrodu. Człowiek nigdy nie zespoli się z naturą. Jest zbyt obłudny. Uważa, że właśnie słabość i wrażliwość są jego słabościami. I dlatego miota się, piętrzy przed sobą górę żelazobetonu, dlatego sprawia ból i zabija. Tak jak wy, domyślam się, ludzie z równiny...

— Skończyłeś ojczulku? Wygadałeś się wreszcie — Hornst nadal uśmiechał się ironicznie a Glinsky oglądał sobie ręce. — Czasy się zmieniają. Tak. Przyszliśmy z równiny, z miasta...

— Z miasta? — zdziwił się Piotr. — Przecież miasto dawno już nie istnieje.

— Ty głupcze! Siedzisz tu jak szczur w norze, nie wychodzisz na równinę... Skąd możesz wiedzieć co się dzieje na świecie. W mieście są ludzie. Gnojki takie jak ty. Rozklejeni, bawiący się całymi dniami. Utrzymują kontakty z tą całą zielenizną.

„To o roślinach” — pomyślał Piotr.

— Ale na szczęście jesteśmy My. Młodzi, energiczni ludzie. Stworzymy na nowo miasto — z kominami i wspaniałymi maszynami. Wychowamy nową rasę ludzką — odważną i pracowitą. Podźwigniemy cywilizację!

Na twarzy Hornsta ukazały się rumieńce.

— I co zrobiliście dla tej waszej cywilizacji? — spytał Piotr.

— Na razie usunęliśmy tego ich tłustego przywódcę Freda...

— Fred—poeta nie żyje — łyzy zakreśliły się Piotrowi w oczach. — Wy dranie, wy wstrętne dranie — chciał się rzucić na Hornsta, ale Glinsky przytrzymał go mocno za ramiona.

— Nie denerwuj się ojczulku — Hornst poklepał go po ramieniu.

— Dla ciebie też mamy zadanie. Musisz się sprawdzić. Cholera wie czy nie knujesz przeciw nam jakiegoś spisku. Ordnung muss sein. Podaj mi atlas

— zwrócił się do barczystego. Glinsky podał atlas. Hornst otworzył na ostatniej stronie, skupisko gwiazd zaznaczone było białymi punkcikami.

— Masz czas do jutra rana — powiedział. — Musisz mi powiedzieć, jaka konstelacja jest tu widoczna.

— Ależ to jest mapa nieba niesklasyfikowanego. Jak mogę znaleźć konstelację, która pewnie nigdy nie została naszkicowana.

— Nic nas to nie obchodzi. Dajemy ci 10 godzin. Jeżeli rzeczywiście jesteś taki sprytny może się domyślisz.

Powiało zimnym powietrzem. Wyszli trzasnąwszy drzwiami.

Całą noc czytał w rozgorączkowaniu stare księgi astronomiczne, przrzucał sterty ilustrowanych pism. Kartkował atlasy gwiazdowe i opracowania naukowe. Nic z tego. Nigdzie nie było takiego gwiazdozbioru. Odrysował go sobie na kartkę. Pisakiem próbował różnych połączeń i kombinacji między gwiazdami. Wszystko na nic.

— To bluff — myślał Piotr. — Chcieli mnie nastraszyć. To niemożliwe. Tu nie ma żadnej konstelacji. To niemożliwe. Niemożliwe.

Przyszli tuż przed świtem. Likaona nigdzie nie było. Tylko na świeżo wyczyszczonych emblematkach na ich piersiach. Błyskawice lśniły czerwonym blaskiem. Zastali go śpiącego na fotelu. W bezwładnej ręce trzymał za—smarowaną kartkę. W drugiej — pisak. Brutalnie wyrwali go ze snu. W oczach miał przerażenie.

— No i jak ojczulku — drwiąco powiedział Hornst. Glinsky uderzył pięścią o otwartą dłoń. — Znalazłeś?

— Nnie... Ja nie wiem! Nie ma... nie — bełkotał w kółko. Słowa poplątały mu się.

Hornst wyjął Piotrowi z ręki pisak. Z dzikim wyrazem twarzy pociągnął nim po atlasie. Złączone gwiazdy utworzyły

błyskawice. Krzyżujące się ze sobą błyskawice! Zamigotały czerwono. Odpowiedziały im te na emblematach, rozjarzając się do czerwoności.

— Znak. Godło. Konstelacja — odezwał się po chwili milczenia wzruszony Hornst. — Wszystko to my. Najpiękniejsze. Wszędzie. — Przewracał kartki i zarysowywał błyskawicami. Tam gdzie była pocziwa Wielka Niedźwiedzica teraz lśniły błyskawice. I gdzie odległa Andromeda, gdzie wirujące w biegu Psy Gończe, gdzie Strzelec również. Wszędzie.

Piotr patrzył osłupiały na dwóch ludzi, którzy zamalowywali cały pokój skrzyżowanymi błyskawicami. Zamalowywali na kolanach, na palcach, wykrzywiając tułowia, podtrzymując się wzajemnie. Likaon na ich piersiach ryczał. Ściany, szyby, meble... Wszystko. A kiedy chcieli narysować mu te błyskawice na czole, zaczął bronić się zaciekle. Szare obłoczki zakwitły wokół ich palców. Bili do nieprzytomności...

...Powoli wracała świadomość. Budziło się szaleństwo. Dźwignął się na rękach i wstał. Sztywne kroki — jeden za drugim — raz i dwa. Wszystko boli. Drzwi. Ciemny pokój. Światło. Otworzył szafę. W głębi leżała żelazna skrzyneczka. Wyciągnął ją i dotknął zamka. Otwarła się bezszelestnie. Chwila wahania. Wyjął dwie metalowe części. Szczęknęły połączone ze sobą. Przetarł szmatką wizjer laserowego celownika...

Zbliżał się świt i było jeszcze chłodno. Podkuliwszy uszy, bez zdobyczy Likaon wracał do domu.

Trzasnęło, jakby ktoś złamał wielką gałąź. Strzał wyrzucił Likaona w powietrze. Lecąc z rozoranymi kulą wnętrzościami, jeszcze przez chwilę widział twarz swego pana — była mokra od łez.

MY WSZYSCY, RAZEM

„Przegapiliśmy słońce, przegapiliśmy deszcz. Możemy liczyć tylko na noc”.

(Azy)

Ahoj, królewno Śnieżko, ahoj!... hojeżko, hojeżko — podchwyciły góry. Stali na okazałej skale. Trzech chłopaków w czapkach krasnoludków. Nawoływali od dobrych kilkunastu minut. Ściemniało się.

— Ciszej — powiedział ktoś wiercąc się niespokojnie. — Tu gdzieś mogą być Nowi. — Przestraszeni, rozejrzeli się wokoło. Cień kładł się powoli na Zamkowe Skały. Zrobiło się okropnie późno i nieprzyjemnie.

— Nie masz zbyt pewnej miny — burknął Darek do Freda. Uśmiechnął się złośliwie i już był gotów do sprzeczki, ale... nagle poczuł ten zapach. Zapach wieczoru, rozgrzanej ziemi, igliwia.

— Śnieżko, no wyłaż wreszcie, musimy wracać — krzyczał Fred. — Koniec zabawy.

Jeśli nie wyjdiesz za chwilę

będziesz świnką, a nie wilkiem — wyrecytował cicho.

Uśmiechnęli się. Być świnką to cholernie głupia sprawa. Wilk to co innego — przy dobrym dechu — zdmuchniesz każdą chatynkę. Masz kondychę — kilka kilometrów pogonisz świnkę. Pod górę, kamiennym żlebem, albo w dolinkę. Fred jest dobry. Nazywamy go poetą.

Pewne, że Śnieżka zaklepana jest na fest. Jeśli zaraz się nie zjawi, dostanie karniaka. Jutro będzie świnką. Oczywiście my wszyscy wilkami. Darek zerknął kątem oka na kolegę. Piotr zatroskany patrzył w niebo. Gwiazdy.

— Może zabłądziła — ni to stwierdził, ni zapytał. — Ale poszła przecież tylko na Szklaną Górę. — Spojrzał na odległe o jakieś dwa kilometry zalesione wzgórze. Szklana Góra... Chłopcy bardzo lubili to miejsce. Właściwie nie wiadomo za co, nie było w niej nic nadzwyczajnego, żadnej magicznej historii. Tak zwyczajnie, gdy któryś chciał przeżyć jeszcze jedną, fajną przygodę wyprawiał się na Szklaną Górę. Miał do wyboru dwa podejścia: łatwe, turystyczne i to karkołomniejsze — pełne romantycznego niebezpieczeństwa. Darek podchodził zawsze stroną zasadzek. Kto wie, czy Śnieżka nie wybrała tej drogi i nie przytrafiło się jej coś złego? Darek wierzył jednak w dobrą siłę. Siłę bajek i legend.

— Gwiazdy powinny ją' odprowadzić — Piotr zeskoczył ze skały. — Uczyłem ją tego — dodał dumnie. Darek posłał mu kąśliwy uśmiech jaszczurki.

— Mówiłem od razu, żeby bawić się dziś w małego księcia. Na dachu chaty zrobiłoby się ze srebrnej folii planetę...

— E, ty Darek ciągle tylko z tym małym księciem. Czub jesteś, czy co? A może Nowy?! Alibaba i sezam, to jest to — stwierdził autorytatywnie jasnowłosy Fred. — Tajemnicze drzwi, skarby... — Od pewnego czasu działo się dziwnie w ich gronie. Może dlatego, że wszyscy kochali Śnieżkę. Przedtem Dorotę, ale ona zadała się z Nowymi, zdradziła ich. Co widziała w tych szpanerach? Imponowali jej? Zastanawiali się czasem nad tym, przy okazji długich, smutnych nocy z poezją. Lubili wiersze.

Nowi... dobrze ubrani, w najlepsze szmatki, z kupą szmału i cynicznym uśmiechem. Silni, zawsze pierwsi. Ach, ach. Synalkowie miasta. Żelazne oczy. Nienawiść. Do ich ojców, a przede wszystkim do nich samych — wiejskich mięczaków. Oni przywłaszczyli sobie nawet Likaona, zrobili z niego symbol swojej siły, brutalnej siły. Pobłaznali im. Ale kiedy Nowi zaczęli zajmować ich ziemię, nie było już do śmiechu. Odtąd

musieli się wstydzić samych siebie.

Nie sposób było dłużej czekać i nawoływać. Czarodziejskie kule, które chłopcy przypięli do pasa, rozsiewały wokół słabe refleksy magicznego światła. Ruszyli na poszukiwanie zagubionej dziewczyny. Bezksiężycowa noc osłaniała marsz. Zapanował bardzo ponury nastrój. Pobiegli. Pierwszy Fred, jego kula oświetlała ścieżkę. Miała najintensywniejszy blask. Ścieżka pokryta cichymi kamieniami opowiadała o płynącym tu kiedyś strumieniu. Niektóre kamienie wystawały jak ostre zęby, wbijały się boleśnie w stopy.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Darek, przerywając nieznośną ciszę.

— Jakies cztery kilometry na południowy zachód od domu — z trudem odczytał Piotr.

— Tak, tu się kończą Zamkowe Skały — Fred wzmocnił światło kuli. Ujrzeni zamki ze skał. Dzieła Siły, które nigdy nie zginą. Głazy miały kształt wież zamkowych. Oświetlone minerały zamigotały. Piękna księżniczka płakała i wzywała pomocy. W oknach zamkowych zapaliła smolne łuczywa... Kula przygasała. Czar prysnął.

— Jest! — krzyknął radośnie Fred. Idziemy! Tam, na wysokości kilku metrów kryła się wąska szczelina, a dalej to już ta jedyna w swoim rodzaju droga. Na Szklaną Górę. Rozpoczęli wspinaczkę. Zerwał się wiatr, który towarzyszył im odtąd w wędrówce.

— Spadam — potoczył się krzyk po skałach.

— Darek, trzymaj linę, trzymaj moc...

— Dobra... jest... mocno, uważaj...

— Szarpnie!

Szarpięcie wyrzuciło Piotra i Darka z ich skalnych siedzisk. Zaparli się nogami o wystający blok. Trzymając linę wszystkimi siłami, pochylili się trochę do przodu. Fred wisiał,

rozpaczliwie uczepony końca liny, bo węzeł oplatający go w pasie widać puścił przy upadku. Naprężona lina drgała.

— Fred!

Cisza.

— Fred, nic ci się nie stało?

Cisza. Wiatr.

Zaciągali linę, aż oczy nabiegły im krwią, a ciężki oddech zrównał się z przerażeniem.

— Chłopaki, dłużej nie wytrzymam. Mam przetarte ręce — dobiegł z dołu słaby głos Freda.

— Żyje! Żyje! Dzięki, metr w górę, ci — jeszcze jeden — Boże, wyżej. Dzięki... wyżej, siłą — jeszcze kawałek.

— Wyrzucam prowiant — wrzasnął Fred.

— Nie, nie, jeszcze chwilę, jeszcze kilka metrów!...

Po chwili ciężar zmaleł, dotarło do nich to charakterystyczne „uff” człowieka, który rozminął się ze śmiercią.

Fred stał na niewielkim podeście skalnym. Całym ciężarem przywarł do ściany. Patrzył gdzieś w bok.

— Co jest, odpoczywasz? — zawołał Darek.

— Chłopaki, wiem, że mi się podwinęła nóżka, ale tu jest droga, jak kocham kopciuszka — Fred załapał już humor, chociaż sytuacja jego nie była jeszcze wcale dobra.

— Człowieku, tam nie ma żadnej drogi — Darek wyczuł wyraźnie zaniepokojenie w głosie Piotra.

— Ale tu fajnie, idę tędy, widzę światło, tu jest wyjście — krzyczał Fred — odcinam linę, spotykamy się na górze.

— Ciągnij — syknął Piotr.

— Co się dzieje?

— Ciągnij, nie pytaj — rzucił szybko Piotr.

Wciągnęli Freda na skalny pomost.

— Kto? — spytał Fred nie patrząc na nas, gdy już siedział obok.

— Ja — głos Piotra drżał.

— Yhm...

Teraz można było odetchnąć, rozbić namiot, tak, jak uczyli się tego od wczesnego dzieciństwa i tak jak najlepiej się dało. Byli znowu razem.

Sen kleił oczy. Tuż przed zaśnięciem Darkowi zdawało się, że widzi w czarodziejskiej kuli jakieś nieznane światło.

— Nowi, tutaj — przebiegło mu po zmęczonej głowie.

Rozległ się przytłumiony głos: „pamiętaj o dobru... pamiętaj”. Wyrzwał z przytulnego namiotu. Góry, o tej porze, normalnie, nie zamierzały się nim interesować. Nikogo. Tylko wiatr huczał w dolinach.

— A gdybym poszedł tamtędy, stałoby się coś? — spytał Fred.

— Wiesz, to po prostu nie była ta droga, rozumiesz?

— Tak.

Wszystko. Zrozumieli się. Ciemna noc już minęła, a teraz wstał dzień, pogodny dzień. Podzielili się kawałkiem stwardniałego chleba z serem. To dodało sił. Łatwiej było przemierzać labirynt kosodrzewiny okrywającej zbocze.

— Już blisko chłopaki, zaraz dojdziemy do chatynki — pocieszał Fred. Chatynkę wzniesli własnymi siłami na samym czubku Szklanej Góry.

Kochali ją. Była miejscem ich zabaw i ucieczek.

— Śnieżka pewnie przenocowała na górze — odezwał się Piotr — dojdźmy już prędzej.

Wszyscy wiedzieli, że nie przeszli jeszcze nawet trzech czwartych drogi, nie minęli Polany. Słońce przesunęło się. Powietrze aż drżało od upału. Góry wstrętnie parowały. Nawet wiatr ucichł. Nastąpiła cisza.

— Prędzej!

— Nie mogę, pić mi się chce — Darek przystanął i usiadł. Zawrócili i pomogli przyjacielowi wstać.

— Za tym wzgórzem jest już Polana — powiedział Fred

patrzac Darkowi prosto w oczy. I nie wiem jak to sie stalo, jak kocham kopciuszka, nie wiem, wyplywa ze wzgorka strumien. Nigdy go nie bylo. Chodz!

Ugasili pragnienie i obwiazali rozpalone glowy zmoczonymi kawalkami podartych rekawow. Teraz mogli spokojnie podziwiac slady dzialania siły. Wlasnie o tej porze, w samo poludnie, gory sa najpiekniejsze. Obloki kryjace szczyty. Widac wszystkie cienie, chowajace w sobie tajemnicze przejścia, pieczary, doliny bez wyjścia. Krzyk orla, zapach owczego mleka. Szare czapy sniegu w miejscach, gdzie slonce rzadko dociera. Gory... I wspaniala woda.

Ochlapywali sie woda, parskali wesolo. Nagle blysnelo nad gorami. Zrodla swiatla nie bylo widac. Promien-blyskawica wystrzelil nie wiadomo skad podazajac z wielka szybkością w ich kierunku. Rzucili sie na ziemie.

„Swietlne strzaly Nowych... Taki sobie koniec” — pomyslal Darek. W tym momencie wiązka swiatla uderzyla go w pierś. Zamknal oczy, ale otworzyl je zaraz, stwierdzajac, ze sa gory, jest slonce, jest zapach kosodrzewiny. Szum potoku. Swiat zyl, a wiec i on zyl. Dwa posagi wpatrywaly sie w niego, jakby przed chwila ujrzaly bazyliszka. Fred i Piotr mieli najbardziej zdziwione miny w historii krasnoludkow.

— Co? — spojrzal za ich wzrokiem. Czarodziejska kula zamienila sie w male slonce u jego boku. Nie parzyla go, ale nie smial jej dotknac. Wnet w czerwieni uformowala sie rozsa. Wiedzial juz czyja to sprawa. Tej samej osoby, ktora wolala go dzisiejszej nocy. W kuli zaszlo teraz jakies magiczne przeobrazenie. Refleksy zmienily sie i... nastapilo odbicie. Promien uderzyl w wode i tak wszystko zastyglo. Gory znow milczaly.

Darek blyskawicznie schyil sie do miejsca na wodzie, gdzie przed chwila operowal promien. Zanurzyl reke w toń. Wyjal cos z wody i z mina triumfatora pokazal kolegom. Nachylili sie

ku niemu z zaciekawieniem.

— Wiecie co to jest?

— Jak kocham kopciuszką — pierwszego odmurowało Freda — grzebień Śnieżki! Ale skąd on... tu? — patrzył na Darka jak na czarodzieja.

— Właśnie. Trzeba trochę pomyśleć — Darek wykorzystał w pełni chwilową przewagę nad przyjaciółmi.

— Ona chyba tu była — niemrawo wyciągnął wniosek Piotr.

— Brawo, brawo krasnoludek Piotrek! Śnieżka uciekała tędy przed ludźmi znaku Likaona i Błyskawic.

— Przed Nowymi?

— Tak. Rzuciła za siebie grzebień, a ponieważ miała ze sobą czarodziejską kulę, wytrysnął spod ziemi potok. Odgrodził ich od Śnieżki. Nowi cofnęli się. Grzebień został w wodzie, a ona prawdopodobnie uciekła. Należy pójść teraz wzdłuż potoku, aż do jego źródła. Znajdziemy Śnieżkę! Źródło bije, chodźmy szukać, spieszymy się; wiem, że bolą ręce i nogi, ale trzeba spróbować, jest nadzieja, zdążymy przed nocą...

— Czego ty właściwie szukasz? — zapytał nagle Fred — Przecież to wszystko jest pewnie fantazją, nie ma żadnych Nowych, ani Zamkowych Skał, Dorota jest nadal w naszej paczce, siedzi w domu i gra w warcaby z Ewką.

— Nie o to chodzi, Fred — wtrącił się Piotr.

— A o co? Po co się tak męczymy? Czego szukamy? Nikt mu nie odpowiedział. To trzeba czuć.

Umilkli i milcząc zrobili kolejny krok do krainy baśni.

— Skąd ten zapach? — pociągnął nosem Piotr — to wszystko nie podoba mi się. Trzeba mieć się na baczności.

— Pachnie spalenizną — rzekł Fred — wejdźmy na wzgórze, będziemy mieć rozległy widok na Polanę.

Stanął na szczycie zielonego wzgórza. Słońce zachodziło. Błysk ognia odbił się w zdziwionych oczach. Chatynka płonęła. Właśnie dopalała się już. Czarny dym szczypał w oczy. Zaczęli

płakać.

— Słuchajcie — głos Freda był drżący i uroczysty — nie mamy już domu. Ojców naszych i matki na pewno już aresztowali. Ale jesteście wolni — i to jest najważniejsze. Musimy trzymać się razem. Złożmy ślubowanie wierności sprawie ostatnich ludzi i Dobra. Przybili dłońmi w blasku słońca i w blasku ognia. — Teraz oddajmy ostatni hołd naszej chatynce. Zeszli na polanę.

— Panie Hornst, mamy ich — zdyszany mężczyzna zeskoczył z konia. Koń, cały spieniony, szarpnął się w bok, ale został przechwycony przez gwardię przyboczną wysokiego, przystojnego chłopaka. Siedział na „tronie”, który utworzyły ze swych łap dwa roboty. Miał na sobie skórzaną kurtkę i ciężkie, wojskowe buty.

— Dobrze się spisałeś, Glinsky — posłał lekki uśmiech przybyłemu — dawaj ich tu... zaczekaj, opowiedz mi najpierw jak ich przechwyciłeś.

— Panie, wiesz, że nie jestem mocny w gębie, ale krótko mówiąc było tak: zgarnęliśmy ich koło tego rozlatującego się gówna, tej chatynki czy jak oni tam ją nazywają. Patrzą na nas, a ja mówię do robotów: brać ich!

A „mięczaki”, kurwa, spierdalają. Tylko jeden, ten ich poeta postawił się i rzucił w nas świecąca kulą. A moje roboty — grr, brr — zadymiły i stanęły. Wtedy już się wkurwiłem porządnie — i dawaj w nich — z lasera, po nogach. Padali jak podcięci. Roboty wzięłem na ręczne, sieć i mamy ich.

— Doskonale Glinsky, przyprowadź mi tego najbardziej buńczuczного.

— Jakiego?

— No, tego Freda.

— OK szefie, robi się.

Pozdrowili się, pozdrowieniem Likaona i Błyskawic. Było to jedno z wielu pozdrowień, jakie można zobaczyć na świecie.

Zdecydowanie, mocno wzniesli ręce do góry.

Fred stał przed człowiekiem w skórze i czuł się bardzo podle. Głowę zwiesił na piersi, słuchał wynurzeń Hornsta, pewnie wyuczonych na pamięć.

— Zapamiętaj sobie „mięczaku” — tylko my jesteśmy wybrani do burzenia i wznoszenia. My, Nowi. Wszędzie jesteśmy i zawsze. Jesteśmy dla samych siebie i gówno nas poza tym obchodzi. Jesteśmy tacy silni, bo jesteśmy ludzcy. Jeżeli zechcemy, o wszystkim zapomnisz, a teraz wynoś się — Hornst machnął łapą uzbrojoną w kastet, jakby od niechcienia, na odlew. Ze zmiążdżonego nosa rzuciła się krew. Rozumiesz! Rozumiesz! Spierdalaj! — zaczął krzyczeć.

— Nie, nie rozumiem — odparł spokojnie Fred.

Twarz Hornsta wyrażała wahanie. Ręka z kastetem uniosła się, ale zaraz opadła bezsilnie.

— Glinsky!

— Rozkaz!

— Zabierz ich do „Gliniaka”.

— Tak jest!

Buda–transporter wierzgała na wertepach jak ranne bydło. Przewracali się z kąta w kąt, starając się przytrzymać czegokolwiek, co mogłoby zapewnić względnie statyczną pozycję. Na poobijanych twarzach wykwitły siniaki i ohydne krwiaki. Przed odjazdem Hornst nakazał usunąć z budy wszelkie zbędne sprzęty. Zabronił też rozmawiać. Przy jakiegokolwiek próbie ucieczki zaprogramowany robot — strażnik musiał strzelać. Ten stary automat pamiętał jeszcze czasy wolności, nie mówił jednak o niej nigdy. Program nie przewidywał. Jechali teraz asfaltową szosą i już nie trzęsło. Siedzieli spokojnie. W pewnej chwili Fred poruszył się gwałtowniej. Zaczął mówić, łagodnie i melodyjnie nie starając

się nawet przekrzyczyć warkotu silnika: — „Czuwaj — kiedy światło na górach daje znak — wstań i idź Dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę Powtarzaj stare zaklęcia ludzkości’ bajki i legendy bo tak zdobędziesz dobro, którego nie zdobędziesz...”

Głos mu się załamał i wtedy znowu zaczęli płakać. Płakali kilkadziesiąt słupków milowych. Stary robot milczał. Wydawał się nasłuchiwać. Motor warczał.

— Chłopcy — odezwał się strażnik — chłopcy, człowiek z szoferki powiedział, że płakać nie wolno.

„Gliniak”... Dziwne to miejsce. Ludzi kręci się tu dużo, każdy zajęty własnym odcinkiem pracy. Chociaż naprawdę to nie ma tu żadnego człowieka. Wszyscy działają w jakimś nienaturalnym śnie. Straszne miejsce. Chłopcy nigdy nie wyobrażali sobie, że mogą trafić do czegoś takiego. Ale „Gliniak” był stworzony właśnie dla nich — „mięczaków”. Miał ich nauczyć właściwego życia. Blok, w którym spali mieścił się na ósmym piętrze. Co pewien czas ktoś wyskakiwał oknem, a że piętra były wysokie, trzeba było faceta zeszkrobywać. Praca ciężka i nadliczbowa, a halę i tak trzeba było odrobić. Hala była blisko — wręcz przylegała do bloku. Zgłaszali się do pracy o świcie, kiedy wróble spały jeszcze na obozowych dachach. Pokazywali przepustki, odwrócone jak zwykle do góry nogami, żeby zaspany strażnik mógł udać, że umie czytać. Czasem mogli się spóźnić i przyjść po syrenie. Kierownik–oficer był bardzo wyrozumiały — nigdy nie bił po twarzy.

Kierownik–oficer był naprawdę miły, jeżeli ktoś dobrze pracował, zapraszał go do swojego gabinetu, tak sobie go zapraszał. Cały pokój miał wytapetowany fotosami gołych dupci.

„Gliniak” robił różne pożyteczne przedmioty z gliny.

Pewnego dnia kierownik nakazał, żeby trzy hale bloku na ósmym piętrze rozpoczęły produkcję liter. Domysłów i gadania było co niemiara. Pewnie znów szykuje się jakieś święto. Zarządzono reorganizację. Fred, Piotr i Darek przy tej całej reorganizacji przydzieleni zostali do innych hal.

Lepili wielkie litery z mokrej gliny. Wykonujemy z nich słowa — przechwalał się kierownik. Pracowali bez przerwy kilkanaście godzin. Darka bolały oczy od intensywnego światła jarzeniówek. Jego hala lepiła litery od A do K. Kiedy zaczynali robotę dowcipkowali na jej temat i śmiali się, trwało to jednak krótko. Stawało się nużące. Rozmowy cichły, żarty ulatywały. A potem zostawała tylko ta bezsensowna, monotonna praca. Zasnęta glina za paznokciami, krew na obtartych wnętrzach dłoni i ból w mięśniach. Obojętność zmęczonych twarzy. Jarzeniówki.

— Pracować skurwysyny!

Tak do końca dnia. Z Fredem i Piotrem widywał się teraz bardzo rzadko. Właściwie raz jeden spotkał Freda. Błąkał się po gmachu zakładu i marzył o spotkaniu Śnieżki, w którymś z rozlicznych korytarzy. Spotkał Freda.

Wszystko się kończyło. Pozostały jeszcze cztery litery na hali Piotra. Rozeszły się pogłoski, że ci, którzy wyróżnili się w pracy będą zwolnieni z zakładu i adoptowani przez rodziny Nowych. Darek bardzo się starał, żeby nie wypaść gorzej od innych. Przy tej okazji robił różne małe i większe świństwa.

Alfabet został ustawiony w największej hali. Każdy dźwigał swoją literę. Stali równiutko. Od A do Z. I drugi rząd. Od Z do A. I jeszcze jeden.

— Fred, Adam, Grisza, Piotr, Darek — skrzekliwie wyróżniał głos kierownika.

Wyczłapali z szeregu, ledwie trzymając się na nogach, pod przygniatającym ciężarem liter. Ułożył się chwiejny napis:

PRACA WSZYSTKO PRZEZWYCIĘŻA

Darek nażył się już dosyć ze swoją przybraną rodziną.

Uciekał. W tę dziwną noc, rozdmuchaną wiatrem huczącym w pustych ulicach. Miasto głęboko spało. Wygasłe neony, milczące na parkingach pojazdy. Nigdy tu nie wróci. Nie chce mieć nic wspólnego z „Gliniakiem”, ani ze swoją rodziną.

Mniejsza o krzywdy i upokorzenia, których doznał tak wiele — nie będzie ich rozpamiętywać. Serce jest jednak pełne buntu. Bunt narastał w nim każdej nocy. Późnym wieczorem, obserwował z „dziadkiem” jak słońce schodzi z gór. Wtedy podjął decyzję. Ucieknie.

Patrz, „dziadku” — wskazał palcem ponad górami. Mały księżę przybywa do mnie na swej planecie.

Rzeczywiście, jakieś światło rozproszyło na chwilę wieczorne mgły. Widział już kiedyś takie światło. I słyszał głos, który go nawoływał.

„Mały księżę czuwa nade mną — pomyślał.

— Nie pleć bzdur. To meteoryt. Idź już spać. Jutro też jest dzień. Poszedł do swojego pokoju. Bardzo chciał wierzyć, że to nie był meteoryt.

Jednak mały księżę do niego nie przyjdzie. Musi odwiedzić więcej samotnych ludzi. Kiedy Darek był samotny, było mu bardzo zimno. Starał się wtedy rozgrzać ciepłą kąpielą w wannie, albo schować pod grubą pierzyną. Wcale nie pomagało. Postanowił, że znajdzie małego księcia. Żył nadzieją powtórnego zobaczenia światła nad górami.

Peryferie miasta. Miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Tu nie ma szklanych domów o szybach, których nie da się zbić. Tu nie ma betonowych wieżowców. Tylko małe wille w cieniu drzew, na wzgórzach. Oddalone’ od siebie, oazy bogatych ludzi.

— „Siło, moja siło, dopomóż mi” — pomyślał chłopiec, gdy

stanął na otwartej przestrzeni, pod gwiazdami. „Boże, pomóż mi znaleźć małego księcia, Śnieżkę, odzyskać czarodziejską kulę. Pomóż mi wreszcie odnaleźć siebie. Proszę cię o to, Boże”.

I nagle ziemia zakołysała się. Poczul, jak wiatr wydyma mu wiatrówkę niczym żagiel, zobaczył wirujące gwiazdy i malejące wzgórza. To, na czym stał okazało się małą planetą. Leciał z ogromną prędkością nad wierchami, we mgle. Pęd utrudniał oddychanie. Przycisnął głowę do trawy i ukrył twarz w ramionach. Trwało to jakiś czas. Dopiero, gdy pęd planety zmalął, odważył się otworzyć oczy. Słońce!

— Cześć — powiedział mały książę bujając się na słomkowym fotelu. — Nie mogę sobie z tym poradzić — starał się rozczesać splątane włosy.

— No co się gapisz — pomóż mi!

— Ty jesteś małym księciem? — spytał Darek, usiłując rozplatać kołtun.

A jak, ale to nie znaczy, że masz mnie szarpać za włosy, auu — podskoczyła. Fotel rozhuśtał się niebezpiecznie. — Dosyć! Wiem co ci leży na sercu

— powiedziała, patrząc figlarnie. Oczy jej się śmiały, to znów były poważne.

— Uwierz mi, pusta droga, która oddziela ludzi od siebie nie jest taka pusta.

Trzeba tylko szukać. Śmiało! Nie bądź oklapły. Rób cokolwiek. Śpiewaj, popisuj się, skacz, a przede wszystkim śmiej się. Nie daj się zepchnąć. Pamiętaj o sile. Aby tylko wszystko co robisz miało swój wyraz. Swój fason. Kapujesz? — zaniósła się śmiechem. — Umiesz tak? — podskoczyła do góry robiąc śliczny szpagat w powietrzu.

— Nie.

— No to nauczę cię, chodź — chwyciła go za rękę. Kiedy już wyśmiali się tak, że aż brzuchy zaczęły boleć, mały, piękny

książę spytał Darka, czy chce zobaczyć jego różę. Darek poczuł się szczęśliwy. Całą drogę przebiegli.

— Gdzie ona? — rozglądał się wśród chwastów.

— Tutaj, tutaj — pokazała — cieszysz się?

Była to zwyczajna róża z kroplami rosy na płatkach. Wokół niej ktoś wyciął krąg chwastów. Róża rosła samotnie.

— Kocham ją za to, że jest — powiedziała dziewczyna.

— Jak to, chyba kochasz ją za coś, powiedzmy za to, że jest taka piękna.

— Właśnie nie, niczego od niej nie oczekuję. Chciałabym tylko móc zawsze ją zobaczyć. Ona potrzebuje opieki i miłości, to wszystko.

— Ale czy to prawda? Może róża wcale nie...

— Ja zawsze mówię prawdę — zmrużyła oczy. — Goń mnie — krzyknęła, uciekając po powalonym pniu drzewa. Dogonił ją dopiero na samym szczycie. Miała tu wśród liści swój domek. Ciepły powiew rozwiął jej włosy. Poprawiła je odruchowo. Przykucnęli na gałęzi patrząc się na siebie z zainteresowaniem.

— Jak ty się właściwie nazywasz? — spytał chłopiec.

— Mów do mnie Mała. Dlatego, że mało kto mnie zauważa. Ale to jest nawet fajne...

— Słuchaj, dlaczego nie zapytasz czarodziejskiej kuli o to, co czuje do ciebie róża?

— Coś ci opowiem... To jest bardzo poważna tajemnica. Łapa! — rozkazała.

— Co?!

— Wyciągnij!

Uniósł ramię, a Mała zakreśliła jakiś znak w powietrzu. W rękę zaciążyła mu lornetka.

— Popatrz tam — nakierowała na równinę. — Co widzisz?

— Nic szczególnego. Sawanna i trawy. Wszędzie trawa, o tam dalej... drzewo, chyba baobab...

— A obok drzewa jest ktoś?

— Nie wiem... zaraz. Siedzą jakieś psy, jeden taki duży, niespokojny.

— To jest Likaon — powiedziała dziewczyna. — Prawowity władca równiny, miasta i Zamkowych Skał. Zawsze miał wszystko, czego zapragnął. Jednego tylko mu brakowało — miłości. Bardzo kochał pewną dziewczynę. Likaon był człowiekiem posiadającym najwięcej Siły ze wszystkich stworzeń na ziemi. Postanowił przy jej pomocy wywołać uczucie u tej dziewczyny, której imienia nie pamiętam. Gdy przyszła i powiedziała, że go kocha, nie wiedział, czy to było szczere, czy wywołane Siłą. Od tego czasu trawiła go niepewność i jakiś rodzaj poczucia winy. Sam nałożył na siebie pokutę — zamienił się w psa. Dał początek nowej rasie. Teraz przewodzi stadu dzikich psów...

— Ty byłaś tą dziewczyną — przerwał niespodziewanie chłopak.

— Tak — przyznała się szczerze. — Nie myśl sobie, że skłamałam. Wtedy byłam zupełnie inna...

— To bardzo smutna historia — Darek miał łzy w oczach.

— Nie przejmuj się... dam ci różę. — Mała zerwała kwiat i wręczyła go Darkowi.

— Nie, nie mogę przyjąć.

— Czy zauważyłeś podobieństwo ludzi do gwiazd? Błyszczą, potem umierają i są tak oddaleni od siebie... dlatego chroń różę, niech będzie zawsze przy tobie.

— Dziękuję.

Przytulili się. Nie zwracali uwagi na śnieżycę, która nagle się zerwała, ani na wybuchy rakiet. Ocknęli się dopiero gdy jeden z pocisków eksplodował bardzo blisko.

— Uciekaj — szepnęła. — Uciekaj. Nowi mnie nie znoszą. Strzelają raketami z ziemi. Siła jest blisko.

Szaleństwo rozpełtało się na dobre. Las trzeszczał i pękał z hukiem. Z nieba spadł popiół — śnieg nabrzmiął kurzem.

— Lecimy nad górami. Skacz! Ja się schronię w moim domku.

— Nie zostawię cię!

— Daj spokój! — przez chwilę mocował się z drewnianymi drzwiczkami.

— W moim domku jest bezpiecznie — zanuciła, a następnie zwinęła się na liściach jakby układając się do snu. — Skacz!

— Mała! Mała!

...Pomyślał, że taka cisza możliwa jest tylko w górach. Zewsząd otaczała go biała masa — z boku, na górze, na dole, wszędzie. O dziwo poruszał się w tej mazi, choć dużo wolniej niż by to wypadło z gwałtownych wymachów ramion. Brakowało powietrza. Na szczęście śnieg miękł i topniał w kontakcie z oddechem.

Wy pływał z niego, ku plamie światła, gdzieś wysoko...

ZRÓB IM PA, PA

Bawmy się! — wrzasnął przez okno i uklonił się.

To go uratowało. Seria poszła górą, ukąsiła okiennice, posypała kawałkami szkła. Wyjrzał ostrożnie. Źródła ognia nie było widać, ale był prawie pewien, że strzały padły z dachu szkoły. Tam kryli się wrogowie, w odróżnieniu od przyjaciół, którzy strzelali zza barykady zbudowanej z kiosku, tramwaju i kilkunastu żelaznych kubłów na śmieci. Bal trwał.

Uśmiechnął się delikatnie i ścisnął mocniej granat. Nasłuchiwał. Seria nie spowodowała kanonady. Barykada milczała. Sięgnął po lornetkę, przyłożył do oczu i wtedy... dostrzegł. Metalowy pręt powoli wysuwał się zza barykady. Trochę wyżej zachodziło słońce. Chmury zszarzały, zieleń wyostrzyła się. Przeniósł wzrok na budynek szkolny. Również z okna sali gimnastycznej wystawiono antenę. Nie miał już wątpliwości. W niewygodnej pozycji, skulony pod parapetem, rzucił okiem na zegarek. Pięć minut. Opuścił pięć minut! Zerwał się i doskoczył do telewizora. Dwunastocalowy ekran pojaśniał prawie natychmiast. Odpreżony zasiadł wygodnie w fotelu. O tej porze, w piątek, o zachodzie słońca, zawieszamy broń na czym się da. Idzie Pszczółka Maja.

Po Pszczółce miał jak zwykle kaca. Nie dlatego, że nie grała z rzeczywistością. Wręcz odwrotnie. Zastęp szerszeni, usiłujący użądlić biednego Gucia, działał budująco i jednocześnie uspakajająco. Spotkał się z takim zdaniem, że zaczarowana łąka, pełna życia, kwiatów, koloru, odlatuje gdzieś hen, razem z widzem, daleko. Kto ją tam wie?

Po Pszczółce Mai miał kaca, bo wypił jak zwykle dużo w czasie projekcji. Butelka leżała pod fotelem w podobnej pozycji

jak wtedy, kiedy przyszli z dołu po jego wspianały dwunastocalowy i na dodatek kolorowy telewizor. Pamiętał to dokładnie. Musieli wejść po schodach bardzo cicho, bo usłyszał ich dopiero wtedy, gdy zgrzytnął zamek w drzwiach. Dobierali się wytrychem. Potem wszystko odbyło się tak, jak w koszmarnych snach, które miał ostatnio dosyć często. Pobiegł do drzwi i w ostatniej chwili je zamknął. Znow zaczęli majstrować i zasuwą powoli zaczęła ustępować. Przytrzymał ją silnie obiema rękami. Szczęk odbezpieczanego karabinu... Uskoczył! Zasuwa, wybita strzałami, odskoczyła kilka metrów. Posypały się drzazgi. Echo poniosło huk po klatce schodowej i już go trzymali z lufą przy żołądku.

— Co jest — wycharczał.

— Zamknij się. — Lufa docisnęła go do ściany. Zwymiotował. Dwóch innych facetów wynosiło telewizor.

— Zaczekajcie! — zawołał — On nie będzie grał bez anteny. Zatrzymali się.

— Nie twoja rzecz — warknął mężczyzna w skórze, o którym wiedział, że nazywa się Gliński.

— Ten telewizor wymaga specjalnej, stacjonarnej anteny. Jeszcze jej nie zamontowałem. Jest w drugim pokoju — pokazał uchylone drzwi. — Idź z nim Hornst. — Siwy mężczyzna wyprężył się na baczność. Jego również znał. Był mu coś winien.

Weszli do pokoju. Wyczekał momentu, kiedy znajdą się poza zasięgiem wzroku dwóch pozostałych. Jedną ręką odbił automat, żeby zejść z linii strzału, a drugą wymierzył silny cios w grdykę. Ciało Hornsta osunęło się bezwładnie. Nie wydał krzyku.

„Należało ci się” — pomyślał. Wspomnienie dawnych czasów i rola jaką odegrał w nich Hornst, ścisnęły Piotrowi gardło.

Teraz należało działać szybko. Mężczyźni mogliby

zorientować się, że coś nie jest w porządku. Wyjął spod szafy futerał ze sztucerem. Zarepetował. Przymierzali właśnie, jak zmieścić telewizor w drzwiach, kiedy pojawił się w progu ze sztucerem w ręku. — Spokojnie, postawcie go, a nic się wam nie stanie — powiedział. Postawili. Wtedy strzelił temu nieznanemu mężczyźnie prosto w czoło. Gliński nie poruszył się. Patrzył zimno i trochę ironicznie.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Pas! Pas z rewolwerem. Pas znalazł się na podłodze.

— Teraz kastet. Wiem, że zawsze nosisz go przy sobie. Gliński rzucił mu kastet pod nogi.

„I co?... Ach te błyskawice” — pomyślał. Cofnął się kilka kroków i jedną ręką przytrzymując sztucer drugą sięgnął do szuflady. Wyjął mapę, rozpostarł, mimo ograniczonej swobody ruchów. Na mapie były gwiazdy.

— Co to za konstelacja? — spytał spokojnie. Po twarzy Glińskiego przebiegł błysk.

— Ty jesteś... Piotr Astronom?!

— Właśnie. A to — „Konstelacja Likaona” — powiedział Piotr i strzelił. Ciała zaciągnął na klatkę schodową. Było tu czysto, a nawet przejrzyste.

Na schodach ani śladu papierka, ogryzka, nie mówiąc o butelkach. Szerokie okna, ściany pomalowane na różowo, nie zabrudzone, z równiutko położonym tynkiem. Schody, o lśniącej czernią poręczy kręciły w dół tworząc jakby studnię pośrodku.

Przerzucał ich przez poręcz i salutując za każdym razem, strącał w czeluść. Później wrócił do pokoju. Zamek był przestrzelony, więc zastawił drzwi szafą.

Jeszcze później, siedząc w wygodnym fotelu, opróżnił do końca butelkę, więc upił cię. Myślał o przeszłości. O Likaonie, Dorocie i Krainie Baśni, w której urodził się i dorastał. Wspominał ojca. Zamknął oczy. Pod powiekami przesuwaly się

bajecznie kolorowe widoki morskich głębin, trawy na prerii kołyszące się miarowo, szczyty i doliny gór zalane słońcem...

Już długi, długi czas czekał. Wiedział, że to czego szuka może nazwać Królestwem albo Prawdą, odnalezieniem się lub... inaczej. Piotr czuł, że czas jest właśnie ten, i to co niespełnione, może wkrótce się spełnić. Niektóre sekty ogłosiły, że ma nastąpić powtórne przyjście Chrystusa na ziemię. Inne raz po raz obwieszczały triumfalnie, że Jezus czeka na wybranych w Lourdes, lub też w jakimś innym „eksponowanym miejscu”. Wielu ludzi opuściło swoje mieszkania, podejmując pielgrzymkę do ziemi świętej, niektórzy do Kolebki Buddy, Kraju Proroka czy gdzie indziej. W mieście Piotra wybuchły regularne walki pomiędzy Gabrielistami tzn. tymi, którzy uważają, że Archanioł Gabriel poprowadzi wojska niebieskie do walki z szatanem, a Michalistami, uważającymi za wodza zastępów niebieskich archanioła Michała...

Zwłókł się z fotela, potknął o pustą butelkę, zatoczył na regał z książkami. Jakiś Buch wypadł, ale nie zwrócił na niego uwagi. Podczołgał się do okna i wyjrzał ostrożnie. Walka trwała. Nie słyszał jej odgłosów, widział tylko sylwetki żołnierzy. Wyglądało na to, że Michaliści „wzięli górę” nad Gabrielistami. Ucieszyło go to. Nie lubił archanioła Gabriela.

Kiedy się budził, odemknął najpierw prawe oko, później lewe, bojąc się pogorszyć ból głowy gwałtownym zerwaniem. Przeciągnął się. Posypały się stare czasopisma. Przypomniał sobie, że z braku pościeli usiłował się nimi okryć. Usiadł. Jakiś ciężar ustąpił z brzucha, coś spadło z głuchym klapnięciem na podłogę. To była Biblia. Wziął ją bezmyślnie i otworzył na chybił—trafił. Znalazł tam takie słowa: „Królestwo Boże jest pośród was...” Niewątpliwie to sygnał. Piotr doznał wrażenia, bardzo nieuchwytnego jak przeczucie deszczu, jak za chwilę wypowiedziana myśl, wrażenia przybliżającej się prawdy.

Zaczął się modlić, ból głowy ustąpił. Oto stał przed bramą, albo na chwilę przed śmiercią. Szansa wyboru, wystarczy zdobyć się na to, by wejść do rzeki, a skończy się Twoja eschatologijka.

— Teraz Panie, uwolnij mnie — powiedział głośno. Potem, lżejszy już, zaczął cichutko prosić anioła, bo podobno aniołowie są bliżsi ludziom. Gdy usłyszał bicie dzwonów, ocknął się. Dzwony zamieniły się w hałaśliwy dźwięk dzwonka u drzwi. Miał gości lub gościa.

Doświadczenie nauczyło go, żeby nie ruszać się bez karabinu nawet do sracza. Załadował sztucer, oparł o przedramię i lewą ręką gwałtownie otworzył drzwi. Dziewczyna uśmiechnęła się, na jej twarzy nie było widać przestachu. Pierwszą młodość miała już za sobą. Poznał to po lekkich zmarszczkach pod oczami. Włosy upięte na głowie, nie tak jak kiedyś, rozwiane na wietrze. Ale ten sam sweterek i wytarte dżinsy. I ten sam uśmiech. Nigdy nie kochał Ewy, ale lubił z nią być. Teraz pojawiła się tak nieoczekiwanie, jak kiedyś zniknęła.

— Wejdz — otworzył szerzej drzwi. Sztucer odstawił pod ścianę. Rozsiadła się w fotelu. Zwrócił uwagę na jej buty. Wydały mu się znajome. Pionierki, z lekko rozpląszczonymi czubkami. „No tak” — przypomniał sobie.

Pożyczyłem jej zanim wyruszyliśmy na włóczęgę z Likaonem. Zauważyła, że przygląda się butom.

— Pożyczyłeś mi w Zakopanem, pewnie już nie pamiętasz? — powiedziała.

„W Zakopanem. Może”. Nie wiedział, jak nawiązać rozmowę. Za długo nie widzieli się. Zabrał się do robienia herbaty. Ewa lustrowała wnętrze. Musiała być zdziwiona bałaganem, jaki panował w pokoju. Porozrzucane książki, gazety, butelki. Telewizor przykrywała czarna szmata, dopiero na czas Pszczółki Mai następowała odsłona. W powietrzu pachniało jeszcze prochem i wódką. Unosił się zapach alkoholu.

— Nie malujesz już? Pracujesz gdzieś? — zapytał.

— Tam gdzie zawsze. Z dziećmi, w szkole. Ale będę musiała to zmienić. Sześć osiemset to nie jest pensja...

— Nigdy nie dbałaś o forszę...

— Nie dbałam! Nie dbałam. A ty co? Siedzisz tu i nic nie robisz. „A tak dobrze się zapowiadał” — jak mówi twoja mamusia. Wielki asystent astronomii systematycznej — prychnęła.

— Przecież jest wojna — odparował.

— Jaka wojna?! Zwariowałeś człowieku. Polsko-polska?! Dawno skończona!

Rzeczywiście. Nie słyszał żadnych strzałów ani wybuchów. Podszedł do okna i po krótkim wahaniu gwałtownie rozsunął zasłonę. Na ulicy panował zupełny spokój i bezruch. Ani śladu wojska. W przeciwległej kamienicy musiał być sklep, bo od bramy aż do kiosku stała kolejka. Zdyscyplinowanie i nieruchomo.

— I co, nie miałam racji?

— Pewnie po zdobyciu karnie... szkoły przenieśli się gdzieś dalej — powiedział. — Zresztą — dodał już pewniej, spoglądając na zegarek — zaraz będzie program. Pszczółka Maja!

Począł, aż telewizor rozgrzeje się i dopiero wtedy zdjął okrycie. Na ekranie dowódca mrówek pojedynekował się z szerszeniem. Spojrzał wymownie na Ewę.

— Zwróć uwagę — powiedziała miękko, patrząc mu w oczy. — To nie owady pojedykują się, ale ludzie. — No tak. Ten większy, którego uważał za króla szerszeni, nie miał na sobie chitynowego pancerzyka, ale jakiś płaszcz. Dowódca mrówek, zamiast charakterystycznego hełmu nosił kapelusz z piórkiem. Nie wierzył własnym oczom!

— Co to za film? — zapytał zrezygowany.

— To powtórka animowanego serialu „D Artagnan i trzej

muszkietero—wie ‘. Pszczółka nie leci już od wielu lat... na szczęście — roześmiała się.

— Co ty mówisz! — wybuchnął. — Przecież chcieli mi ukraść telewizor! Właśnie po to, żeby oglądać Pszczółkę Maję...

— Kto?

— Hornst i Gliński!

— Ale widać nie dałeś sobie odebrać...

— Zabiłem ich! Leżą na klatce schodowej.

— Chodź, zobaczymy — wzięła go za rękę. Wyszli. Piotra ogarnął strach, nagły nieopanowany. „A jak ich tam nie będzie? Nie, muszą być. Nachylili się nad poręczą i spojrzeli w dół. Zakołysał się i cofnął do tyłu.

— Byli jedynie projekcją twoich marzeń — powiedziała Ewa. — W istocie, nigdy ich nie było.

„Nigdy ich nie było. Tak.” — Starał się uzmysłwić sobie, skąd znał Hornsta i Glińskiego. Nie wiedział, skąd ich znał. Ale zawsze byli tacy sami. Ciemni i jednowymiarowi. Dał się poprowadzić Ewie do pokoju. Posadziła go w fotelu.

— Widzisz — mówiła, zbliżając twarz do jego twarzy. — Jesteś już dorosły, najwyższa pora porzucić dziecięce i młodzieńcze raje. Zapomnieć o „piekielnych pieklach”. To było raczej głupie, niż piękne. Nie chcę być brutalna, ale nigdy nie wędrowaliśmy przez sawannę, nie widziałam i ty także nie widziałeś Likaona, nigdy nikogo nie zabiłeś... nigdy... rozumiesz?!

Zapalił papierosa i zrozumiał. Swiuu — zerwał się wiatr, porwał ze sobą kartki, karteczki, książeczki, rozwlóczył po pokoju, Wywiewając i rozwiewając.

— Zamknij okno — powiedział. — Nie znoszę przeciągów.

Wiatr ucichł. Ewa przytknęła nos do szyby. „Wygląda ślicznie — pomyślał.

— Muszę już iść. Zajął kolejkę. Rzucili wykładziny

podłogowe. Tobie też radzę kupić, ten dywan jest w opłakanym stanie — potarła nogą. — Idziesz?

— Tak, tylko znajdę forszę — podszedł do biblioteczki. Szukał na górnej półce, pomiędzy książkami. Oszczędności trzymał zawsze pomiędzy książkami. Szukał coraz bardziej gorączkowo, rozglądając się bezradnie, aż wzrok padł na leżącą na podłodze Biblię.

„Tutaj”. Przekartkował. „Jest”. Koperta z pieniędzmi była tam, gdzie ją włożył, między 17 a 18 rozdziałem 2 Królewskiej. Ale kilkadziesiąt stron dalej było coś jeszcze... Poczul, że oczy mu wilgotnieją. Była zwiędła i pomarszczona. Wyschnięta łodyżka pękła i odpadła od korony. Leżała oddzielona, jak głowa od ciała... Róża, którą dostał od Darka. Róża Małej Księżniczki. Podniósł ją do góry, wciąż patrząc na Ewę. Nie zmieszała się pod jego wzrokiem. — Tak — powiedziała. — Idziesz?

Wtedy coś w nim pękło, w brzuchu, nie, gdzieś wyżej i rozlało się po całym ciele falą spokoju. Przeszedł obok regału z książkami, gdzie wisiała mata i tam przyszpilił różę obok zdjęcia Kojaka, startującej rakiety kosmicznej i orzełka.

— Idę.

IMIENINOWE PRZYJĘCIE

Zanim wahadłowe drzwi odepchnięte w biegu, powróciły na swoje miejsce, poczułam, że część niebezpieczeństw zostawiłam za sobą. Miały one kształt okrągłych kolumn ze szlifowanego piaskowca podpierających sklepienie wejścia do nowoczesnego bloku, kolor ciemniejszego, wieczornego nieba i burzy, której należało się spodziewać. (Oto jestem ja, bezcielesny proszek przestrzeni, głowa przytwierdzona do czterech kółek od dziecinnych wrotek, w perspektywie nieskończoność sztywnych filarów, malejących aż do piasku w oczach. Koła rozpędzają się celując w najbliższą kolumnę. Poruszam się zygzakami, rozpędzając się zrazu, w szyi pulsuje turkot metalowych kółek, ostry skręt — i rośnie następna kolumna...)

Wybiegłam z podcieni do obszernego i czystego hallu, gdzie czekały cztery windy. Jedna właśnie miała odjeżdżać, ale ktoś przytrzymał zamykające się drzwi. Wbiłam się z trudem w ciepły tłok szczęśliwa, że pomniejszyłam niebezpieczeństwo.

Jedziemy. Co chwila winda staje, ludzie wsiadają i wysiadają, ale w końcu zostaje sama. Windziarka, którą dostrzegłam dopiero teraz, gdy wszyscy wysiedli, patrzy na mnie oczami sowy. Okrągłe oczy — nie oczy, wszystkowiedzące, wszechobojętne, rozpędzona śnieżna równina (papierosa, butelkę, cokolwiek, żeby to znieść!).

— Które piętro? Mówię:

— Dwudzieste czwarte. (Dlaczego właśnie dwudzieste czwarte?) Tak naprawdę, to nie wiem które, ale boję się do tego przyznać. „Wiemy kim jesteśmy, ale nie wiemy, co z nami będzie”. Nieprawda. Nie wiemy kim jesteśmy, ale wiemy, co z

nami będzie. Człowiek powinien wiedzieć skąd przychodzi i dokąd zdąży. W każdym razie jest to winien innym, bo ci mają zawsze prawo żądać od niego odpowiedzi nawet wtedy, gdy jest im potrzebna wyłącznie jako kryterium klasyfikacji.

— To nie ta winda — odpowiada windziarka — tą dojedziesz tylko na dwudzieste piętro. Potem trzeba przejść do innej, jeżeli akurat będzie.

— Proszę w takim razie na dziewiętnaste — mówię bez sensu i poprawiam się za chwilę — nie, na dwudzieste. (— Skoro jest to dla was ważne, proszę, oto moje ustępstwo. Wiemy kim jesteśmy).

Oczy sowy ogromnieją, starzeją się, pokrywają się siecią zmarszczek i blizn, topnieją płatki śniegu na brudnej równinie. Nie ma już windziarki, stoi obła, bezwstydnie nienaruszalna kolumna, a ja powstrzymuję z całej siły turkot wrotek, aby w nią nie uderzyć. Nie chce topnieć zamrożona nieuchronność, winda jedzie z powrotem w dół i kolumna znowu jest windziarką.

— Czekam, aż zdecydujesz się całkowicie i nieodwołalnie, spontanicznie i szczerze, nie tylko dla innych i pod presją — mówi — a na razie zabierzemy tych, którzy czekają na parterze. Nie pomyślałaś o nich, prawda? Tylko błędy świadczą o nas, tylko pomyłki są szczerze. Nie kochasz bliźniego tak, jak powinnaś — dodaje. — Ludzi należy cenić, szanować; to nie są mrówki na pędzącej jezdni.

— Ja sama jestem mrówką — tłumaczę się nieśmiało. Nie tylko autostrada zabija mrówki, one też to umieją same, bez niczyjej pomocy. Wystarczy im zapyłone zmęczenie, trochę rekwizytów, parę reguł i zwyczajów... I wytyczony cel. Jedyne, najświętszy i słuszny.

— Jakaż z ciebie mrówka? — pyta pogardliwie windziarką. — Nikt cię jeszcze nie rozjechał, ani nie zagryzł. Gdybyś była prawdziwą, niefałszowaną mrówką, dawno zostałabyś

zmiażdżona.

— Ja tylko się bronię — zaprzeczam gorąco. — Włączam się i wyłączam, choć milczę, kiedy czuję obcość. Jestem mrówką tylko trochę, choć bez znaczenia, odmienną, srokatym kasztanem mrowiska, to wszystko. A teraz właśnie jadę na imieninowe przyjęcie — jak inne mrówki.

— Każdy tak może powiedzieć. Każdy tak mówi. Każdy tak myśli. Każdy w końcu uwierzy. To jest obiektywny proces. Każdy się tłumaczy, oszukuje najpierw innych, potem siebie. Dlaczego właśnie ty masz być wyjątkiem? Obłudne i śmieszne tłumaczyć to wpływem koloru.

Boli mnie głowa. Mdli rrinie. Ale ona, niezrażona, ciągnie dalej:

— Udowodnię ci fałsz. Czy miewasz radosne zapomnienia? Założę się, że nie. Udajesz więc lub może, co gorsza, wmawiasz sobie, że to nie ma znaczenia, że są rzeczy inne, ważniejsze, że wreszcie to jest całkiem inaczej... A może i jedno i drugie? W przeciwnym razie nie byłoby ciebie tu, w tej windzie...

Oburzona, chciałam jej odpowiedzieć, że istnieją rzeczy, których posiadanie nieuchronnie niszczy obecność innych. Nasza wolność to nie spontaniczna bezsila, to trudny wybór, tym trudniejszy — im więcej zawiera w sobie możliwości z przypisanym do każdej określonym prawdopodobieństwem osiągnięcia odmiennego rezultatu. Nie jest niewolą zamknięcie w klatce, z której nie ma wyjścia, tak jak nie jest nią przymus ominięcia zwałonego w poprzek drogi drzewa. Dopiero gdy na drodze narysują nam ulotne linie, które można, choć nie wolno przekroczyć, gdy zasnują ją żółtawą mgłą, ustawią sygnalizatory dla ułatwienia, zsynchronizują nasz czas — wówczas wzięto nas do niewoli. Czyż mamy więc pozwolić, aby narzucano nam i nasze odczucia, nadając im nazwę nie z naszego nawet słownika wziętą? Nazwanie rodzi zobowiązanie,

sama więc będę nadawać nazwy, jeśli zechcę się nimi związać; na razie różnorodność imion i ich odmienność — to moja wolność.

Nie powiedziałam jednak tego, bo przewidywała moja odpowiedź, choć nie pojęła jej sensu, a ja przeraziłam się jej pomarszczonych oczu. Uznała to widać za swoje zwycięstwo, bo triumfalnie zaskrzeczała:

— Tak po cichu, dla siebie, masz inne tłumaczenie, nieodświętne, nie noszące pretensji do logiki czy zręcznej konstrukcji. Gdybyś umiała zapominać! Ale już odkryłaś, że to nie takie proste. Rozbłysły w oczach fioletowe koła i nic... Zrozumiałas, że to skaza, kalectwo, siła wyższa. Pogodziłaś się więc z lenistwa i rozwagi, przyjąłas, że nadfiolet nie jest dla twoich oczu przeznaczony. I kiedyś obudziłaś się w nocy i poczułaś, że wiesz, co to znaczy. Przypomniałaś sobie wtedy, że dawno to widziałas jeszcze będąc dzieckiem. Ale wtedy temu dziecku wytłumaczono, co jest podłe w jego naturze i jak to rozpoznać. I od tej pory samo sobie tłumaczy, choć w swoje tłumaczenia nie wierzy. Fakty się zmieniły, a poglądy zostały. Rozdwoiły się tylko po drodze, inne dla głębi, inne na płyciznę...

— Ja tylko śniłam o kosmyku włosów na czole...

— To tylko biologia. Kosmyk włosów? Ucieczka. Sublimacja. Szczegół zamiast ogółu. Fałszywa świadomość. Hipokryzja i tchórzostwo leży w twojej naturze! Dlatego wsiadłaś do tej windv. Widzisz, wszyscy wysiedli — tylko ty zostałaś. Oszukujesz wszystkich udając, że uciekasz, podczas gdy sama chcesz się rozbić o tę swoją, pozał się Boże, wydumaną kolumnę! Nikt inny, tak jak ty nie potrzebuje tej windy. I nikt inny nie będzie umiał tak mało z niej skorzystać...

— Dlaczego? Skąd pani to wie?

Odpowiedzią był głośny śmiech. Zapanowała cisza. Windziarka znowu była kolumną, prowokującą, milczącą

groźnie pustką, twardszą od wszystkiego, co znałam, nieustępliwą jak codzienność. (— Jak można czuć radość, jeśli inni nie chcą cię nią obdarzyć? Demonstrują przemyślny kunszt, a wewnątrz nich mały czarny kleszcz zabrania im chcieć dać. Zamknięte oczy, usta skrzywione w grymasie goryczy, ale mówi skóra, mówi to, co było kiedyś wolne, a teraz stało się tylko gniazdem kleszcza, krzyczy powietrze dookoła. A ja ze swoimi oczami, których nie umiem zamknąć, bo straciłam dziecięce powieki, wybrałam inną drogę. Wbudowałam sobie inny sygnalizator: zamiast czerwonego — fiolet, zamiast żółtego — róż, zamiast zielonego — nie ma takiej barwy w całej tęczy. Czy muszę przebudować teraz i windziarkę? A jeżeli obie mamy rację? Czy między prawdą a fałszem musi być nieciągłość?).

Winda stanęła. Dwudzieste szóste. (Miała jechać tylko na dwudzieste czwarte. Więc i oni się myślą częściej, niż przypuszczają! Ale to i tak nie ma znaczenia, bo do swoich omyłek nie przywiązują wagi.) Wysiadłam zastanawiając się, gdzie i czy mam się przesiąść. (Czy muszę być konsekwentna, skoro nie ma już windziarki?)

Korytarz był obszerny i widny. Wszystkie drogi jednakowo widoczne i proste. W prawo i w lewo, na wschód i na zachód, na północ i na południe. Innych nie było. Nie było zwykłego bezdroża. Z okien padał blask słońca, a palące się jarzeniówki dodawały mu połysku i pewnej, wyrafinowanej i subtelnej świetlistości. Dreptałam w kółko nie mogąc zdecydować się, choć zdawałam sobie sprawę, że tylko mogę zawrócić. Żadna z dróg nie pociągała mnie. Zbyt były proste i widne, żeby im zaufać. Ich świetlistość przerażała mnie, zdawała się sztuczna i zagadkowa jak eleganckie opakowanie z metalicznej folii; uzależniona od sił, na które nie mam wpływu, a które potrzebują mnie przez przypadek dla swoich nieznanych celów. Mogła w każdej chwili zniknąć, wręcz dziwnym byłoby, gdyby

nie stała się nagle przerażającą czernią.

Jednym z korytarzy nadchodził otyły mężczyzna. Był średniego wzrostu, miał z lekka już przerzedzone, siwiejące na skroniach włosy, garnitur uszyty na miarę, stosowny krawat i spokojny, dystyngowany sposób bycia. Z powiększonych cylindrycznymi szklami oczu przebijała łagodna prawość, choć miałam świadomość, że prawości tej dodaje blasku oświetlenie, że jest ona ekspozycją prawości raczej, jej ekstraktem, niż prawością autentyczną, nigdy w pełni nie doskonałą. Wydawał się jednak dobroduszny i zrównoważony w dość naturalny i niewymuszony sposób. Z uprzejmym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę trzymając coś w zaciśniętej dłoni.

— Dlaczego nie ma pani znaczka? — spytał. — Zapomniała pani? A może nie umiała pani dotrzeć? Lub może przestraszyła się pani? Albo jeszcze tkwi w pani wahanie myślącego człowieka? Chętnie pomogę, zawsze posiadam zapasowy...

Stałam nie wiedząc co odpowiedzieć. Odgadł widocznie, że nie bardzo go rozumiem, odchylił więc klapę marynarki i pokazał przypięty do niej emblemat. Na sztandarowym polu, w metalowym trójkącie widniało ogromne, przerażające oko. Kiedy spojrzałam, było na wpół przysłonięte ciężką powieką, ale natychmiast uniosła się ona, a z oka zaczęły spływać na wszystkie strony złociste, kłujące promienie. Odwróciłam z trudem spojrzenie od oka i spytałam:

— Pan należy do...?

— Jestem uczciwym człowiekiem — odpowiedział mi z dumą. Ton głosu zmienił mu się, gdy z głębokim przekonaniem dodał:

— Z tej pozycji mam prawo z tobą rozmawiać. Wybacz, to co powiem będzie gorzkie, ale uczciwe. Jesteś złą matką. Twoje dzieci powinny wiedzieć, co się dzieje i dlaczego my, uczciwe szare mrówki jesteśmy jedynymi, którzy mogą zmienić ich życie, nadać mu blask, skończyć z oszustwami, zakłamaniami i

manipulacją.

— Boże, chroń moje dzieci! — zawołałam. — Wychowałam je, trzy operacje miały, wyrostek, migdały i jeszcze coś; gorączkę i drgawki; nie miałam gdzie mieszkać; jak byłam w ciąży najechał mnie samochód, tak z żartów podjechał bliźniutko, żebym się utaplała w błocie... Biegunki, zielone kupki, pięćdziesiąt złotych do końca tygodnia... Zostaw w spokoju moje dzieci! Nie ty sprzedawałeś krew, żeby kupić mleko w proszku, nie ty rzucałeś się z pięściami na staruszkę— inwalidkę w mięsny sklepie, bo wyrzuciła ze złości wózek na ziemię... Dziecku zeszyli główkę, ale to nie ty grzywnę płaciłeś za chuligańską napaść, nie tobie w piersi wysychał pokarm...

Oko pulsowało kulami dezaprobaty.

— Jakaś ty prymitywna! Bierzesz szczegóły za ogół, system za los.

Dzieci powinny żyć ideałami. Trzeba wpajać za młodu. Czym skorupka. A ciebie obchodzi co? Forsa i śmierzące ciepłko. Pieluszki, kupki, też coś! Dzieci powinny wiedzieć co Kraj i Ojczyzna, co Uczciwość i Wola Większości, co My i Wy, co Bóg i Grzech!

— Nie chcę takiej wiedzy! (— Haniu, Haneczko— Biedroneczko, powiedz co ci? Śliczną Hanię szpeciła dziura w czole głęboka na dwa palce. Założyła kiedyś czerwony krawat. Po mszy chłopcy rzucali w nią kamieniami. Stale mdlała. Mówiła nam, że widzi wszystko na czerwono i, żeby nas za bardzo nie martwić, dodawała ze śmiechem: — ale w czarne kropki. Haneczka—Biedroneczka biegła ulicą, przerwał się sznurek przy koszyku, poleciała na chodnik szminka, puder i indeks. Zbierała to wszystko, a wiatr zwiewał włosy na oczy i usta, rzuciłyśmy się jej pomóc, gdy nagle wstała; miała troje oczu, jedno puste, drugie i trzecie okrągłe, białka były niebieskie... Nie zdążyłyśmy nawet odwiedzić jej w szpitalu. Po prostu była, przeszła, minęła. W imię czego?).

Oko patrzyło obojętnie, ze zdumieniem.

— Upiększasz wspomnienia. Była dziewczyna, w dodatku ładna i umarła. Wszyscy muszą kiedyś umrzeć, pomarszczeni, przygarbieni. Rak, gruźlica, zawał. Co do tego ma idea? Twoje dzieci powinny wiedzieć do czego ludzie są zdolni. Same powinny rzucać kamieniami, jeśli będą to robić w słusznej sprawie. Muszą wiedzieć co to jest wolność. Wolność czynu. Poczuc oddech śmierci, by nie dać się zdeptać jak karaluchy. A jak ci źle z tą prawdą niepodważalną, idź do księdza, on ci wytłumaczy.

Ścisząc głós konfidencyjnalnie, dodał:

— Dają też paczki, olej i mąkę, cukier i buty. Trzeba tylko, żeby dziecko przyniosło podpisaną torebkę. Dają zaś po to, żeby dzieci mogły żyć w bojaźni bożej i poszanowaniu najświętszych spraw, nie martwiąc się o mdłe ciało.

Zbuntowałam się. Stałam w pozycji obronnej i wrzasnęłam:

— Biologia ma rację! Ewolucja niesie śmierć temu, kto nie ma racji, choć może mieć słuszność; choć to, co oznajmia pięknie nazywa i jeszcze piękniej tłumaczy, a dla jego poparcia przytacza coraz to nowe autorytety. A Wielki Wybuch trwa nadal ignorując idee, za nic mając uzasadnienia z tego i tamtego świata, gwiżdżąc na autorytety. Przez tysiąclecia wołamy: Bóg i Ojczyzna, Wolność Równość i Braterstwo, Miłość albo Rozum, Ład i Porządek, Każdemu Według Potrzeb; a naszą siłą zawsze były wady i grzechy, nie cnoty. Z lenistwa wymyślono pralki, samochody, telefony; z zawiści baby zaglądającej w cudze garnki rewolucje społeczne, z troski o własne dziecko, na pohybel cudzemu, uświęconą prawem rodzinę. Idee potrzebne są po to, by porządkować nasz wewnętrzny świat, nie zaś aby burzyć inne światy innych ludzi. Im piękniejsze hasło, tym silnkj i skuteczniej nas niszczy. Dla Boga zapalano stosy, nożem z obsydianu wycinano serca, dla Ojczyzny urządzano

krwawe jatki, dla Wolności podkładano bomby, dla Równości przydzielano garstkę ryżu i samicę. Chroń nas Boże przed Zaspokojeniem Wszystkich Naszych Potrzeb!

Zawstydzona swoim wybuchem powiedziałam już spokojnie:

— Na razie idę na przyjęcie. Nie muszę do kościoła. Pójdę w gości, wypiję sobie, pogadam z ludźmi, że to i tamto, popatrzę jak tańczą i przejdzie mi.

— Jesteś krótkowzroczna — powiedział na to. — No dobrze, pójdziesz na to przyjęcie i co? Wystukasz palcem na blacie stołu swoje SOS, a oni doleia ci wódki. Rozpijanie narodu. „Na dole, na dole, szklanka wódki i razowy chleb na stole”. Powiedz: „Pragnę” — a oni odpowiedzą ci tak samo jak ja: „Masz dzieci”. Nic nowego pod słońcem; jesteś odpowiedzialna za to życie któremu dałaś początek. Cóż chcesz zrobić lepszego nad to, ca ja ci proponuję? Sprzedać dzieci swoim popędom i walkom, zamiast ideom? Czyż nie uczciwiej poświęcić je dla wartości ogólnoludzkich, jedynie słusznych, przez wszystkich akceptowanych mimo, że tak daleko od nich odeszłaś? Ale Pan przyjmie na piersi swoje wszystkich grzeszników, którzy chcą zasłużyć na Królestwo Niebieskie. Daj dzieciom świat nadziei! Pozwól poniżyć i zdeptać wszystko co dookoła godne pogardy! Daj im światło i ciepło najświętszego uniesienia. Daj sobie — poczucie siły, przynależności i radość ze spełnionego obowiązku.

Zatkałam ręką uszy.

— Nie chcę tego słuchać! Jeżeli coś jest słuszne lub potrzebne, nie nazywaj tego obowiązkiem, nazwa nic nie uzasadnia. To tendencyjny wybór słusznych zasad i wygodnych bzdur. Wiem, że kłamiesz. Jeszcze nie wiem, jak to robisz, jeszcze nie ustaliłam, gdzie jest błąd, ale musi gdzieś być, bo nie masz racji! (Jakie mam prawo, żeby twierdzić, że on nie ma racji, a ja ją mam?)

— Kretynko — na to on — to wszystko niskie instynkty,

twoja cała biologia. One ci przeszkadzają rozwinąć skrzydła, spojrzeć szerzej i jaśniej. Pamiętasz pochylenie głowy, kosmyk włosów, pulsowanie żyłki na szyi? To też instynkt. Pamiętasz mrowienie twoich warg, skurcz palców obejmujących powietrze? A co powiedziałaś wtedy, hipokrytko? „Cześć, Cześć, żegnajcie piękne panie, mówią, że sowa była córką piekarza...”

Wyrwałam się. Wskoczyłam do otwartej gościnnie na moje przyjęcie samoobsługowej windy i postanowiłam zjechać na parter. Może zaczynając podróż od początku, trafię. Winda stanęła na piątym piętrze. Za oknami pociemniało. Burzowe chmury jarzyły się błyskawicami. Uchyliłam drzwi. Kobieta ze szczotką i ścierką powiedziała:

— Winda jest w remoncie. Klatka schodowa też. Musi pani próbować zjechać po poręczy. Na schodach pracują robotnicy, jeśli się pani uśmiechnie do kogoś, może podstawią pani deskę i zrobią coś w rodzaju kładki. Ale proszę nie zdradzać się ze swoimi poglądami, to może zaszkodzić. Najlepiej, niech pani przypnie to...

W wyciągniętej ręce podała mi coś, co przypominało plastikowy krajacz do jaj. Popatrzyłam na nią zdziwiona i spytałam wymijająco:

— Gdzie się to przypina?

— Jak to gdzie? Do sukienki, w tym miejscu, gdzie jest kieszonka na serce.

— Ale po co?

— To symbol. Oznacza naszą wolność i naszą jedność.

— Nie rozumiem. Opornik — bo się opieramy, kondensator — zbieramy ludu słuszny gniew, ale krajacz do jaj?

— Nie pojmuje pani? Jajko Kolumba. Dają nam problem: jak postawić — Sugerując rozwiązanie. Ale my się nie poddamy, my nie będziemy tak stawiać jajka, my się nie boimy, my je raczej pokroimy...

— Nie chcę takich symboli. Każdy powinien mieć tylko swoje symbole i nosić je schowane głęboko, skrywać przed nieprzyjaznym światem, połówkę orzecha pokazywać tylko wybranym, cokolwiek mieliby z nią potem zrobić, może się nie omylą, może nie zechcą się omylić...

— Jak pani chce — powiedziała z niechęcią — jestem pani szczerze życzliwa, żal mi pani. — I dodała szeptem: — niech pani nie zapomina, że przy pani rosną cztery wysokie topole. Pamięta pani, jak koledzy rozwieszali na ch antenę radiową? Jeden z nich popatrzył na panią chłodno i powiedział: „Tam jest pani miejsce. Na wietrze i burzy, na kawałku linki. Jak wszystkich tych, którzy podpisali cyrograf. Byt określa świadomość — czyż nie tak właśnie mówiliście?” Czarne kawki na brudnym, skołtunionym trawniku, pochmurne niebo z sylwetką dźwigu, brudne baraczki, cegła, obłazący szary tynk. Lekarz obmacując zimnymi palcami pani piersi i plecy powiedział: „Do szpitala”. Protestowała pani: „Panie doktorze, to przejdzie, to chwilowe, czy panu grozili, że pana powieszają? To powinno się dopisywać na wykresie EKG. Na to proszki nie pomogą, trzeba tylko trochę czasu.” Lekarz patrzył na panią — siwy staruszek, niebieskie, sympatyczne oczy, czerstwa postać — i powiedział po chwili: „Ja nie należę do kliki, ja jestem uczciwym człowiekiem, ja śpię spokojnie, ja nie muszę się nikogo bać. Dziewięć dni zwolnienia proszę wypisać tej pani.”

Przypomniała mi to wszystko we właściwym momencie. Wzięłam więc od sprzątaczkii krajacz do jaj i zaczęłam schodzić po schodach. Miałam tylko jeden cel. Trafić do Gospodarzy. Oni mi pomogą. Należą do kieliszka, puszcza z taśmy adagio, nie będą pouczać. Zdejmą mi piekące buty. Będę mogła z nimi usiąść na podłodze i słuchać. Gospodarze wszystko rozumieją. Gdy odpocznę, Gospodyni mi powie: „Przyjdzie czas, gdy on zaśnie, a ja wezmę mały jasieczek, co leży w rogu łóżka, przycisnę mu do twarzy i uduszę go.” Gospodarz będzie się

śmiało. Jemu wszystko można powiedzieć. Mnie przepelnia najlepsze uczucia do wszystkich dookoła i powiem Gospodyni: „Jakie to miłe, że umiesz skoncentrować się na jednym człowieku! Odświeżająca, cudowna spontaniczność!” Pogłaszczę ją po włosach i zacznę tłumaczyć: „Moja droga, powinni cię nosić na rękach, rozpieszczą, obdarzą radością, a oni tymczasem ani trochę cię nie rozumieją. Uczą cię nienawiści, a ty jesteś jeszcze zbyt słaba, żeby im się oprzeć.” Gospodarz na to odpowie: „Uczę ją, żeby nie była bezbronna. Wstawiam jej ostre zęby, przygotowuję drapieżne pazury. Mogę i tobie sprawić taki komplet.” Podziękuję im ślicznie za troskę o mnie. Zapomnę o sobie siedząc na dywanie w kąciu, po ciemku przeciągając rękę nad płomieniem świecy, aby poczuć, że ból może być także rzeczą całkiem zwyczajną, codzienną — orzeźwiający ból ręki sparzonej o patelnię z wiejską jajecznicą, skaleczonego na wakacjach kolana, zaciętego nożem palca przy krojeniu gorącego, pachnącego chleba.

Z nowymi siłami wkroczyłam na schody. Krajacz do jaja sprawiał cuda. Deski same układały się przede mną w kładki. Jakie proste jest to życie, gdy idziesz ze wszystkimi! Chybotliwa kładka staje się pewna i oczywista, nawet nie myślisz, że pod tobą majaczą we mgle rozebrane schody. Moje napięcie zelżało. Głowa przestała boleć, odetchnęłam swobodnie.

— Kochanie moje, czy pamiętasz przewrócone drzewo? — szepcę cichutko do siebie, próbując odegnać piętno krajacza do jaja i ścielących się usłudze kładek. (Mgła o gorzkim zapachu dymu, szelest suchych liści). — Kochanie moje, jesteś tą drugą połówką orzecha, nie identyczną, choć tak podobną, zrosniętą prawie z moją. Chodź więc, pójdziemy na upalne wzgórze z falującą suchą trawą, a pierzasty chmur rozczapierzy przed nami ręce i zanurkujemy w górę ślizgowym lotem, odarci z ubrań, ciała i siebie.

Dotarłam do drzwi. To tu. Chwile stałam, aby odpocząć przy drzwiach obitych tłumiącą hałasą dermą. Cichuteńko dobiegały tu wesołe śmiechy i rozbawione głosy. Przez dziurkę od klucza sączył się słodki dym.

Drzwi otworzył mi młody, uśmiechnięty człowiek w bawelnianej, kolorowej koszulce z napisem okalającym ziemski glob.

Świetnie, że przyszłaś — powiedział, choć się nie znaliśmy. Zrobiło mi się ciepło i swobodnie. Upchnęłam gdzieś w kącie krajacz do jaj. Tu go nie potrzebuję. Tu mogę być sobą. Na bluzce nie było śladu, to dobrze, że tak ostrożnie go przypięłam. Z pokoju dobiegała głośna muzyka. Piosenkarka śpiewała, że wie, gdzie jest jej miejsce, chociaż wcale tego nie chce.

— Zawsze powtarzam wszystkim, że nie można opuszczać rąk, trzeba uczyć się na błędach i działać — mówił chłopak ciągnąc mnie jednocześnie do tańca. — Nie można wyszukiwać sobie problemów, wewnątrznie emigrować. Musimy pracować. Tylko tyle będziemy mieli, ile sami zapracujemy.

Zaczęliśmy tańczyć, zanim zdążyłam spytać o Gospodarzy. Chłopak tańczył bardzo dobrze, płynnie i rytmicznie, był pewny siebie i silny. Dowiedziałam się, że jeśli z Wielkiego Przeobrażenia nic nie wyjdzie, to przez niedowiarków i wygodnickich skrupulantów, bezmyślnych ciołków i mądrali rozszechpiających włos na czworo.

— Nie perorować, tylko działać — ciągnął chłopak rozprawiwszy się z kolejnymi przeszkadzaczami. — Prognoza, program, plan. Logika zastąpi wiarę. Sens trzeba zrozumieć i wtedy wszystko jest oczywiste. Jasne jak słońce, proste jak drut. Bilansowanie efektów, przywracanie równowagi; popyt, podaż, ceny; mocne, zdrowe oparcie. Wymierzone, odliczone, teraz tylko nie zbaczać z drogi, Tak trzymać. Brać się do roboty, nie szukać dziury w całym. Mądrzy sami myślą, za głupich myślimy my. Współpraca, współdziałanie, współ—

porozumienie, akceptacja i jedność...

Z trudem uwolniłam się od niego i poszłam szukać Gospodarzy. W pierwszym pokoju nie było ich. W przejściu między pokojami, na poduszce ciśniętej na dywan, siedziała czule objęta para. Usiłowałam ich wyminąć, ale mężczyzna chwycił mnie za rękę i zatrzymał:

— Szukasz Gospodarzy? Wyszli na chwilę, ale zaraz wrócą. Napij się tymczasem.

Zrobił mi miejsce na poduszce. Dziewczyna mile uśmiechnięta, odsunęła się z drugiej strony i dodała: ,

— Zmieścimy się doskonale we troje.

Kiedy usiadłam, mężczyzna odezwał się niespodziewanie gwałtownie:

— Kłamiesz. Oszukujesz. Dziwaczysz. Filozofujesz. Dramat układasz.

Dziewczyna, zupełnie niewzruszona obelgami, z uśmiechem sączyła zawartość kieliszka. Spojrzałam na nią zdziwiona, że nie reaguje na ostre słowa, przeciwnie, dalej trzyma mężczyznę za rękę czule i z oddaniem. Zrozumiała widać moje nieme pytanie, bo powiedziała:

— On nie do mnie mówi, tylko do ciebie... Może ciasteczko? Zaatakowałam ją, sama nie wiedząc czemu:

— Jesteś drobnomieszczanką. Dziękuję ci za ciastko. Chciałam odejść, ale jej chłopak zagroził mi drogę:

— To byłoby zbyt proste, tak stąd odejść. Musisz przedtem wybrać: ten pokój, albo tamten. Słyszę twoje sprzeczności, chrzęszczą, chroboczą, a to jest nieznośne i niemożliwe do wytrzymania.

Dlaczego właśnie ja mam wybierać, skoro sami tego nie uczyniliście? Siedzicie na progu i przeszkadzacie mi... Zresztą, nie chcę nic wybierać! Nie przeszkadzajcie mi tylko, a nie będę musiała wybierać...

— My nie musimy. My mamy poduszkę, my mamy wódkę,

my mamy siebie. My wiemy co mamy. A ty co masz? Nic. Dlatego musisz się zdecydować: tu albo tu.

— Puście mnie więc, pójdę do tamtego pokoju.

— Więc to tak? I czego się tam spodziewasz? Gospodarzy? Mówiliśmy przecież, że ich nie ma. Jeśli przyjdą, to będą tu.

— Tu, to znaczy, gdzie?

— Przecież nie na klatce schodowej. Tam jest remont. Zresztą to oczywiste: tu, to tu; tam, to tam.

Wycofałam się. Stałam niezdecydowana na środku pokoju, gdy zbliżył się do mnie mężczyzna ubrany w kraciatą koszulę.

— Chodź ze mną do kuchni — zaproponował. — Tam jest piwo. Napijemy się. Kiedy przyjadą Gospodarze, zjawią się przede wszystkim w kuchni. To ich obowiązek i tam ich wszyscy oczekują.

— Szkoda — odparłam. Wolałabym teraz porozmawiać z kobietą. Na razie mężczyźni mnie nudzą. Matriarchat nie oznaczał wcale dominacji kobiety. Był tylko triumfem zdrowej spontaniczności, życiowego sensu i czułości. Nie musiałyśmy przystosowywać się do cudzych wyobrażeń o nas, o naszej roli, nie przez nas nazwanej głupio powołaniem, bo instynktownie wiedziałyśmy, na czym ona polega; uprawiałyśmy ziemię, pilnowałyśmy dzieci, nasi mężczyźni polowali; wszystko było tak samo jak przedtem i potem. Tylko my mogłyśmy żyć w zgodzie ze wszystkimi swoimi piętrami.

— Ja cię nie zanudzę — odpowiedział. — Nie interesuje mnie zawartość czarnej skrzynki, tylko to, co na wejściu i na wyjściu. Ale z matriarchatem nie masz racji. Przypomnij sobie Amazonki...

— Wiem, znam ten argument. Amazonki, to już nie matriarchat, to jego wynaturzenie. Podjęcie walki oznacza zawsze przegraną, w tym, czy w innym sensie, w najlepszym wypadku mimowolne przyjęcie za punkt odniesienia (obojętnie, czy zgadzamy się z nim, czy sprzeciwiamy) stanu poglądów —

przeciwnika. On nas zaatakował, my nie chcemy się poddać, on wojuje mieczem, więc my ujmujemy także broń, obcinamy nasze piersi, żeby nam było jego mieczem wygodniej wywijać. On piersi nie ma — więc zwyciężył już wtedy, gdy my swoje obcięliśmy. Czasami stosujemy w walce nasze własne sposoby — ale kryterium ich skuteczności jest już ocena przeciwnika, a nie nasza własna. Na koniec przyjmujemy jego słownik i jak podbity naród buntujemy się, chcemy używać mowy ojczystej w łóżku i na trybunie, bo tylko w niej możemy wyrazić i zrozumieć siebie, ale nasze dzieci i dzieci ich dzieci mowy tej już dawno zapomniały, zostało im tylko niejasne wrażenie, że kiedyś taki słownik był, więc z trudem, ze szczątków wyrwanych z głębi siebie, z gruchania matki z niemowlęciem, wstydliwie nieartykułowanego, z chichotu podlotków w strugach deszczu, rekonstruują niezbyt wiernie to, co im się jeszcze uda, patrząc, jak zwycięzcy żartują z babskiej paplaniny. Język podbitych był zawsze dla zwycięzców prymitywny.

— Nie przejmuj się tym. To nie jest tak ważne, jak sądzisz. Nie mówmy zresztą o tym, wywierasz na mnie psychiczną presję, choć twierdzisz, że jesteś od tego daleka. Mówmy o czym innym, ja cię nie znudzę, a w razie gdyby jednak, zawsze możesz wyjść.

— Gdzie? — spytałam.

— Choćby do łazienki — powiedział poważnie — jeżeli pokoje cię męczą, a kuchnia nudzi.

— Dobrze — zgodziłam się. — Idziemy na piwo.

Kuchnia była ładna i czysta. Rząd polerowanych, drewnianych szafek, boazeria, lśniące rondle. Na oknie przyozdobionym czerwoną, kraciastą zasłonką, wykończoną angielskim haftem, szczyrzyła zęby doniczka z kolczastym kaktusem. Rząd mrówek wędrował po przekątnej. Ciemność oblizywała szybę paskudnym jęzorem. Na szczęście była

daleko.

Mężczyzna objął mnie i zaczął całować. Wcale nie miałam na to ochoty, ale nie chciałam narzucać mu tematu rozmowy, później zaś coś we mnie silniejszego od woli sprawiło, że nie umiałam wyzwolić się z jego ramion. W głowie jaskrawa oczywistość sąsiadowała z zamętem, czułam się, jakbym tonęła, brakowało mi oddechu, a lewa noga drgała spazmatycznie. Nic w tym nie było dobrego, obłądnie przerażająca niesamodzielność, niewola ciemnych mocy. Tymczasem on powtarzał:

— Dlaczego ciebie tak pragnę, skoro takim jesteś potworem? Obnażani cię swoim pragnieniem, bo pragnę cię zdusić i zniszczyć, ukształtować na nowo, uczynić z ciebie chodzące piękno i dobro. Kiedy już to osiągnę — nie będę z tobą spółkować, będziesz zbyt wielką wartością, żeby cię wówczas poniżyć. Ale na razie muszę to zrobić, muszę nauczyć cię nienawiści, aby spaliło się w tobie to wszystko, co nie jest pięknym bólem i oczyszczającym dobrem.

Nie umiałabym się sama wyrwać, ale pomógł mi w tym kaktus. Zawadziłam plecami o stojącą na oknie doniczkę i wrzasnęłam z bólu. Przewróciliśmy się oboje. Biegając na czworakach, jak pies, usiłowałam uciec mu, skryć się pod stołem. Weisnęłam się w najdalszy kąt, ale lewa noga, dalej drgająca jak mechaniczna zabawka, nie zmieściła się. Zaczęłam się śmiać. Jak wszystko inaczej wygląda z kaktusem wczepionym w plecy i z perspektywą podłogi. Śmieszne, nędzne, odrażające. Biologia. Kopulacja, wydalanie, żarcie. Patriarchat to wymyślił, z takiej właśnie perspektywy. Brzuchem po piasku. Sperma cieknąca po nogach, kolce w plecach, wąsy karalucha wystają ze zlewu, puste miejsce obok. Powinnam czuć się upokorzona, ale wcale tak nie było. Byłam radosna i odprężona, jakby właśnie teraz dotknęła mnie iluminacja, jakby w nagłym błysku wszystko stało się proste i

zrozumiałe, choć gorzkie. Ja i mój brat karaluch. Nie było już żadnej tajemnicy.

— Daj mi trochę piwa — poprosiłam.

Chwileczkę, jest w lodówce — odparł. Pochylił się, ujął lodówkę od spodu, przyciągnął do stołu i przycisnął nią moją nogę, wystającą na zewnątrz. Zawylałam z bólu.

— Masz piwo — powiedział podając mi butelkę. Wzięłam machinalnie szklanę. Odechciało mi się już wszystkiego. Uwięziona noga trochę bolała, ale nie na tyle, aby krzyczeć w głos i wzywać ratunku. Miałam zresztą nadzieję, że uda mi się samej ją uwolnić. Niestety, nie mogłam dać rady.

Mój przygodny kochanek poczekał, aż wypiję piwo, wyplukał starannie szklanę i odstawiając ją na stół, powiedział:

— Sądzę, że potrzebujesz czasu na refleksję. Zawołaj mnie, kiedy zaakceptujesz moje propozycje.

W kuchni ze dwa razy pojawiła się jakaś dziewczyna. Szukała czegoś na półkach i w lodówce. Za pierwszym razem wstydziłam się poprosić ją o pomoc, za drugim zaś była tak zaaferowana, że nie zwracała uwagi na błagalne prośby płynące spod stołu.

Wtedy do kuchni wszedł Gospodarz. Ogarnięta nagle wspaniałą, upajającą radością, zerwałam się machając ptasimi skrzydełkami, nie ulatując w błękitne niebo tylko z powodu przykutej łańcuszkiem do muru łapki i wołając perlistym szczęściem:

— Cześć, cześć, to ja! Nareszcie się ciebie doczekałam!

— Witaj! — odpowiedział mi. — Co u ciebie słychać?

— Muszę z tobą porozmawiać, koniecznie. — Sama się przeraziłam tonu swojego głosu, tak był najeżony okruciami stłuczonej, szklanej wazy.

— Zdzwonimy się, dobrze? Tu, w tych warunkach, wiesz...

— Dobrze, naturalnie, oczywiście, jak najbardziej; tylko

proszę, odsuń teraz tę lodówkę... Przyciska mi nogę.

Stał w drzwiach, rozglądając się z roztargnieniem.

— Za chwileczkę, muszę jeszcze coś z kimś załatwić, zaraz wracam...

— Ale noga mnie boli... Tylko odsuń tę lodówkę, o nic więcej nie proszę.

— Rozumiem, niewygodnie ci. Poczekaj, zaraz zdejmę ci buciki. Wszedł Pod stół, odpiął pasek od pantofla wolnej nogi, pogłaskał i ucałował moją stopę, Po czym wyczołgał się spod stołu.

— Lodówka... — jęknęłam.

— W lodówce masz piwo, weź sobie, czuj się jak u siebie w domu, zaraz wracam — zawołał w progu i poszedł. Rozplakałam się.

— Myślałam, że jesteś moim przyjacielem — chlipałam połykając łzy.

— A może to jednak moja wina, że nie umiałam ci wytłumaczyć, o co mi chodzi? Dlaczego mnie nie zrozumiałeś? To przecież takie proste, takie oczywiste... Daj mi tę szansę, proszę, zaczekaj chwilę, nie odmierzaj mi czasu, musisz mnie zrozumieć. Postaram się być logiczna i komunikatywna. Będę mówiła konkretnie. Może trafię na słowo — klucz...

Opanowałam się jednak. Gospodarza nie było, moje próśby nie mogły do niego dotrzeć.

W kuchni znowu ktoś się pojawił, gasząc w progu światło. Spytałam więc tego cienia:

— Gdzie jest Gospodarz?

— W łóżku.

— A Gospodyni?

— Przyszła z Gospodarzem z drogi i zaraz wyszła.

— Słuchaj, imieninowe przyjęcie jeszcze trwa?

— Och, to trudne pytanie...

— Możesz mi wyświadczyć przysługę?

— Naturalnie.

— Przesuń tę lodówkę w drugi kąt, dobrze?

— Potrzebne ci to do czegoś?

Zawahałam się przez moment.

— Nie, tak dla draki — powiedziałam.

— Oczywiście, już się robi.

Odetchnęłam z ulgą. Uwięziona stopa paliła i pulsowała. Rosły i nabrzmiewały wrotkowe kółka, kształtując się nieporadnie z wewnętrznej, bulgocącej plazmy. Musiałam jęknąć, bo cień zapalił światło.

— Co się stało z twoją nogą?

— Stała na niej lodówka.

— Rozumiem. Nikt nie odsunął... Ale to normalne, trudno się dziwić. Musiałaś dać im odczuć, że ci na tym zależy. W takiej sytuacji każdy się pięć razy zastanowi, zanim podejmie decyzję. Najczęściej nie podejmie jej wcale, jeśli zdoła sprawić...

Przyjrzałam mu się bliżej. Był prawdziwym Cieniem. Nie znałam go jeszcze, może przyszedł już po mnie, a może gdzieś się zawieruszył, gdy wchodziłam.

— W czym ci mogę jeszcze pomóc? — spytał.

— Nie wiem... Rób, co uważasz...

— Dobrze — odparł, po czym wziął mnie na ręce i zaniósł do łazienki. Napuścił do wanny zimnej wody i położył mnie na jej dnie. Chwilowe uczucie ulgi zmieniło się w zimne dreszcze. Bałam się, że chwyci mnie kurcz.

— Może już starczy kąpieli? — spytałam. — Zmarzłam.

— Sądzę, że jeszcze nie mogę cię wyjąć. Nie miej do mnie żalu, ale upoważniłaś mnie wcześniej do podjęcia decyzji w twoim imieniu.

— Może... Ale nie przewidziałam skutków... Teraz cofam upoważnienie.

— Moja droga, jesteś niekonsekwentna. Sama stwierdziłaś,

że to tylko dla draki. Baw się więc razem ze mną i nie myśl o konsekwencjach.

— Zakręć tę cholerną wodę! — wrzasnęłam wypadając ze swojej przyjętej dobrowolnie roli.

— Zbyt ci na tym zależy. Mam więc nad tobą władzę. To przyjemnie rządzić innymi. Taka sama dobra zabawa, jak wszystkie inne, ale o wiele moralniejsza. Rządzonym też wygodniej. Rozwiązujemy ich dylematy, chronimy przed zgubną utratą wewnętrznej równowagi... Baw się razem ze mną.

— Moralniejsza? Czyś ty oszalał!?

— Robię to przecież dla twojego dobra. Noga cię boli — więc potrzebny ci kompres. Zimna woda zdrowia doda. Zobacz, jak ci noga spuchła... Kąpiel jest lepsza od kompresu, woda ma stale potrzebną temperaturę, nie ogrzewa się tak szybko. Oddziałuje jednocześnie korzystnie na twój mózg i unerwienie, pojędrnia mięśnie. Istnieją wewnątrz człowieka sieci neuronów...

W drzwiach łazienki stanął Gospodarz.

— Dłaczego kąpiesz ją w wodzie? — zanurzył rękę i skrzywił się z niesmakiem — w dodatku w zimnej? Coś ty wymyślił?

— To tylko dla jej dobra — odparł Cień. — Mogę ją wyjąć, jeśli tak proponujesz...

— Też pytanie, ona jest dla mnie wszystkim! Wyciągnij ją z tej wody, o ile nie robi ci to różnicy. Zawołaj może też Gospodynię, niech da jej jakieś suche szmatki. Ja poszukam czegoś gorącego do picia.

Zawinięta w kąpielowy ręcznik w chwilę później siedziałam w pokoju na dywanie. Cień się gdzieś ulotnił, Gospodyni nadal nie było, a Gospodarz, zapomniawszy o obiecany napoju smacznie chrapał. Po cichutku, aby go nie budzić, wstałam i obeszałam całe mieszkanie. Nikogo nie było. Nie znalazłam też

żadnych ubrań ani zapasowych prześcieradeł, zawinęłam się więc ciasniej w ręcznik. W kącie odnalazłam porzucony krajacz do jaj, szczęśliwie zaopatrzony w zapinkę i spięłam nim na piersiach ręcznik. (Życie się zawsze samo jakoś uładzi, wszystko się przyda, choć może do innych celów, niż przewidziano poprzednio, nie można dramatyzować, lepiej tłuc orzechy mikroskopem, niż umierać z głodu...). Zachowałam się widać nie dość cicho, bo obudziłam Gospodarza. Usiadł na łóżku, przetarł oczy i spytał:

— Mam już iść?

— Nie rozumiem — odpowiedziałam. — Przecież to twoje mieszkanie. Jesteś tu Gospodarzem. To ja powinnam ciebie o to spytać.

— Dziewczyno, coś ci się pokręciło. To my przyszliliśmy do ciebie na twoje imieninowe przyjęcie. Wybacz, że nie wręczyłem ci kwiatka, ale nie mogłem cię znaleźć... A teraz leć, cześć, pa, zdzwonimy się.

— Zaczekaj chwilę, co się dzieje z Gospodynią?

— Poszła sobie gdzieś. Nieważne. Grunt, że zostawiła mi klucz od dzieci. Jutro z samego rana muszę je ponakręcać. Stanowczo zbyt mało czasu im poświęcam... Patrzę tylko, czy chodzą, ale nigdy nie mam czasu sprawdzić, czy śpieszą się, czy późnią... I muszę jutro kupić skarpetki. Tak więc wybacz, cześć, pa...

— Zaczekaj — zawołałam już ze złością w głosie. — Jeżeli to moje imieninowe przyjęcie, to chyba wolno mi prosić o spełnienie moich życzeń. Zostań więc jeszcze chwilę, albo przyprowadź Gospodynię, Windziarkę, Sprzątaczkę, kogokolwiek. Wołam i wołam was, a wy nie odpowiadacie, a jeśli już was do tego zmuszę, mówicie coś zupełnie bez sensu...

— Cicho... — Gospodarz podszedł do okna i wyjrzał. Na horyzoncie świeciło. Szare i liliowe pasma obejmowały niebo. Przed blokiem, w białej sukience, od której odcinały się

opalone ramiona, z rozwianymi złocistymi lokami stała Gospodyni, z rozkoszą zanurzając nogi w ciepłym błotku. Nawet z daleka błyszczał perłowy lakier na paznokciach jej stóp gdy wynurzała poczerwione nogi.

Gospodarz objął mnie delikatnie i zsunął ze mnie ręcznik, całując odkryte piersi. Było mi przykro i gorzko, ale nawet za taką cenę chciałam przedłużyć ten wieczór. Niemożliwe przecież, żeby nie przyniósł on rozwiązania. Ale Gospodarz odsunął się po chwili ode mnie i powiedział stanowczo:

— Muszę już iść. Zobacz, jakie piękne błotko. Gospodyni już się chłapie, muszę się spieszyć, bo nie zdążę się pomoczyć. Kałuża wyschnie i po wszystkim. ..

— Nie przyszło ci do głowy — spytałam zebrawszy w sobie całą odwagę — że powinienes przed odejściem powiedzieć wreszcie, czy prawdą jest, że sowa była córką piekarza...

— Tego nie mogę. Jeżeli tak, to tak; jeżeli nie, to nie.

Zostałam sama. Siedziałam naga na dywanie z brodą wspartą o kolana i myślałam. Odpięłam od ręcznika krajacz do jaj i zawiesiłam na ścianie. Powinnam się zbierać. Oni się omylili, to nie było moje mieszkanie, to nie były moje imieniny, ani nie moi goście. Skąd się tu wzięłam? Po co tu przyszłam? Co się stało z moim ubraniem?

Wyprostowałam się z godnością, siłą woli stworzyłam na sobie nieprzenikliwą sukienkę i wyszłam na klatkę schodową. Promienie wschodzącego słońca oświetlały korytarz i cztery windy. Teraz, rankiem nie było już Sprzątaczkki ani Windziarki. Zjechałam na parter. Za wahadłowymi drzwiami oświetlone słońcem stały obłe kolumny. Nie przerażały mnie już. Właściwie nic mnie nie przerażało. Zeszłam bocznymi, wstydliwie ukrytymi schodkami do piwnic. W kącie jednej z nich leżała sterta trocin. Zagrzebałam się w nią głęboko i zamknęłam oczy. Odchodził w dal zewnętrzny i wewnętrzny ból, jego miejsce zajmował spokój i ukojenie.

— Kochanie ty moje — mówiłam w przestrzeń — chodź ze mną na upalne wzgórze z falującą suchą trawą, a pierzasty chmur rozcapierzy przed nami ręce i zanurkujemy w górę ślizgowym lotem, odarci z ubrań, ciała i siebie.

TWIERDZA TRZECH STUDNI

Płaskowyz Imselv był jedną skalną płytą, do której nie miały dostępu niemal żadne rośliny. Otoczony górami Irgelhart, zdawał się być wymarzoną miejscem do obrony. Rozciągał się już ponad linią chmur i nocne niebo było prawie czyste. Pomimo, że księżyc nie było widać, nie było wcale ciemno. Na równinę padał różowawy blask, precedzony między bezimiennymi szczytami Irgelhartu, blask który nie był świtem.

Valhar zagłębił palce w miękkim futrze konia i jeszcze raz spojrzął za siebie, na wschód, na czerwoną łunę wstającą zza masywu. To Szakale — Harane. Harane, którzy spadli z nieba. Harane, którzy palą miasta, którzy zabijają kobiety i dzieci. Którzy strzelają w plecy. Harane, którzy trują ziemię. Harane, którzy niosą śmierć.

Wąwóz Esgel był na tle czerni gór po prostu czeluścią. Wypełzał z niego nieskończony, chrzęszczący korowód wojska wszystkich szczepów i państw. Vahnorczyków było rzecz jasna najwięcej.

— Valhar! — Sventhor przepchnął konia przez szereg muskularnych wojowników, porośniętych czarnym, gęstym włosem i odzianych w skórzane stroje. Podpierali się grubymi włóczniami, które lśniły w blasku łuny, tylko dowódca miał lśniący, nowy smasher produkcji vahnorskiej, przewieszony przez pierś. Wyszczrzył kły i prychnął coś ostro w swoim języku. Zielonkawe oczy załśniły spod głębokiego, czarnego hełmu. Sventhor warknął coś pogardliwie z wysokości swojego konia i podjechał wolno, ze stukotem kopyt.

— Szukałem cię — powiedział.

— Byłem w straży przedniej — rzekł Valhar. Nie odrywał

wzroku od korowodu czarnych wojowników. W mroku wydawało się, że ich twarze składają się tylko z gorejących oczu i lśniących kłów.

— Co to za jedni? — spytał Sventhor.

— A skąd mam wiedzieć? — wzruszył ramionami Valhar.
— Jakiś północny lud. Wyglądają groźnie.

— A jednak, jak na nich, są dla nas uprzejmi. Gdybym był, dajmy na to, Koboldem, ten ich dowódca odgryzłby mi rękę.

— Ustąpili ci i co z tego? Jeszcze jesteśmy najpotężniejsi, jeszcze mamy autorytet, ale cała potęga i sława Vahnoru jest jak na razie bezsilna.

— Ale oni nam wierzą — powiedział Sventhor. Machnął ręką w kierunku sunącej wolno kawalkady. — Rangellowie, Celverowie, Sverskjolowie, jakieś dzikie plemiona pustyni Kreshan, Unkuri, czy jakoś tak, ludy północy, Kobołodowie. Wszyscy walczyli u naszego boku, a teraz wszyscy dobrowolnie chcą je zamknąć w twierdzy Virgengaard, skąd nie będzie wyjścia. Nawet Nortekowie, z którymi od wieków toczyliśmy wojny i wyrósł między nami mur nienawiści, stanęli ramię w ramię i chcą razem z nami umrzeć.

— Wszyscy rozumieją, że to nie jest sprawa Vahnoru. W każdym razie nie tylko. Gdyby chodziło wyłącznie o nas, nie kiwnęliby palcem. To sprawa całego Verangenu. Harane nie chodzi wcale o nas. Chcą całej planety. Byłem przy rozmowach z ich posłami. Bardzo trudno ich zrozumieć. Mają dziwne obyczaje. Na przykład chcieli, żebyśmy oddali broń i przestali walczyć. „Jak to?” — pytamy. — „Więc odjedziecie?”

„Wcale nie odjedziemy” — oni na to. — „Ale dalsza walka z nami nie ma sensu”. Oni chcieli, żebyśmy oddali im się w niewolę. I wydawało im się to normalne.

— To zakrawa na obelgę — przyznał Sventhor. — Ale podobno Nortekowie kiedyś tak robili. To może po prostu taki obyczaj.

— Norteków zawsze podejrzewało się o różne nieprawdopodobne podłości. Połowa z tego to bajki. Przynajmniej to były bajki do tej pory, bo Harane dorównali wszystkim mitom. Na Goora, dlaczego musimy zginąć? Przecież do tej pory zwyciężaliśmy! Przecież prawda jest po naszej stronie! — Valhar zamilkł, zachowując kamienny wyraz twarzy, wściekły że dał wyraz uczuciom. Żadna klęska nie usprawiedliwia tego rodzaju rozluźnienia wewnętrznej dyscypliny.

Myśl jednak nie dawała się zagłuszyć, więc zamilkł na wszelki wypadek. Dlaczego to wszystko ma ginać? Beztroskie życie wśród szczęśliwego ludu na południu, rozrzucone rzadko skromne, jasne domy. Smukłe, piękne kobiety i widok, jaki miał za oknem. Stok niewielkiej góry, po którym spadał mały wodospad, rozpryskujący się na kilku progach i karłowate, powykręcane drzewka, wyrastające niemal prostopadle do ściany. I odbłask słońca w tle.

Kamienne domy na północy. Srebrne miasta Rangellów, smukłe okręty Sverskjollów. Pieczary Koboldów. Tajemnicze i piękne krainy dookoła, kultura i mądrość czterech tysięcy lat. Wszystko to ma zostać spalone? Zastąpione przez monotonną roślinność szarego, omotanego stałą plemienia, które wyszło z lodowatej pustki sięjąc zniszczenie?

— Dlaczego? — powtórzył Sventhor — Przeminięły nasze czasy. Spełnia się przepowiednia: „Aerskjoll w ręce wroga wpadnie”. I miecz zaginął. Razem z nim przepadła szczęśliwa gwiazda Vahnoru. Pozostaje nam tylko godnie umrzeć.

— Twój brat, Erik, nie był najlepszym powiernikiem Aerskjella. W pierwszej potyczce utracił miecz i sam poległ. Był zbyt lekkomyślny, zarozumiały i pewny siebie. Wiedziałeś o tym. Powinieneś sam być przejąć powiernictwo.

Oskarżenie. A więc Sventhor go oskarża. A skoro on, to inni także. Przez niego Aerskjoll wpadł w ręce wrogów.

— Erik był moim starszym bratem. Był pełnoprawnym powiernikiem Aerskjolla. Nie mogłem po prostu odebrać mu...

— Mogłeś zwołać Radę. Ona zdecydowałaby, komu przyznać miecz, ale ty bałeś się odpowiedzialności. Mówię ci to dlatego, że jesteś moim przyjacielem.

— Co Aerskjoll mógłby sprawić wobec faktu, że Harane są silniejsi? Że mogą podróżować między światami? Że mają Krankaary, które mogą zabijać z powietrza, niszczyć i palić z ogromnej odległości? Że mogą roztopiać skały, zapalać jeziora, zamieniać miasta w pogorzelniska, przesiąknięte zarazą, która ścina krew i sprawia, że ciało się rozpada? Czy mogłaby temu zaradzić moc jednego miecza? I czy ona w ogóle istniała?

— Coś takiego może powiedzieć tylko mieszkaniec Południa. Ale ja nocowałem w skałach pustyni Kershan. Byłem w pieczarach Koboldów Wysokich Gór. Przeszedłem bagna Moongar i widziałem takie rzeczy, że moc miecza jest dla mnie oczywista. Zresztą już nic nie poradzimy. Za pół roku nie zostanie po nas już nawet pieśń. Chyba, że Virgengaard Tirien się utrzyma — to najsilniejsza twierdza.

— Nie, Sventhorze. To już nie jest twierdza. To kurhan. Nie łudź się. Idziemy umrzeć.

Od tej pory nie odzywali się obaj. Zalany blaskiem łuny korowód wojowników posuwał się w niemal zupełnym milczeniu. Poza cichym pomrukiem, kiedy ktoś mówił półgłosem, bezładnym szuraniem tysięcy podszew, szczękiem broni i stukotem kopyt.

Valhar czuł, że bolał go ścięgna w udach obejmujących szeroki grzbiet konia, że hełm ciąży mu na głowie. Jego koń wyglądał nie lepiej: potykał się co chwila, a z pyska kapłała mu piana. Przystanąć, zejść z konia, rozprostować obolałe nogi, zdjąć hełm. Słabość, słabość. Nie ma o czym mówić, trzeba myśleć o czymś innym. Oczy piekły go od wpatrywania się w horyzont.

Monotonny stukot kopyt konia Sventhora zmienił nagle rytm, kiedy kłusem zjeżdżał ze szlaku i stanąwszy z boku zaczął wypatrywać czegoś w tyle. Valhar szarpnął cugle i uderzył konia nogami. Zmaltretowane zwierzę spojrzło z wyrzutem odwracając łeb i zrobiło dwa chwiejne kroki szybciej, a potem wróciło do normalnego tempa. Podjechał do Sventhora.

— Chcę zobaczyć, czy straż tylna wyszła już z wąwozu. Szkoda, że nie wolno zapalać pochodni. Nic nie widać — rzekł tamten.

— Natychmiast wypatrzyłyby nas Krankaary — odpowiedział Valhar.

— Póki twierdza Zegen Kjagee Tirien utrzymuje gardziel wąwozu, żaden Krankaar nie śmie pokalać nieba po tej stronie gór.

— Twierdza Złamanych Lanc nie wytrzyma ani jednego silnego ataku. I oni wiedzą o tym. Mieli utrzymać gardziel wąwozu, dopóki nie dojdziemy do Virgengardu, ale mogą przecież paść wcześniej.

Sventhor nie odpowiedział. Spojrzał wzdłuż szeregu. Ktoś jechał galopem od końca korowodu, odcinając się czarną plamą od zalanej krwawym blaskiem płyty płaskowyżu.

— To Haakon — rzekł Sventhor. — Żaden inny koń by tego nie wytrzymał.

— Szuka nas — zauważył Valhar. Haakon gwałtownie zawrócił konia i podjechał do nich. Spieszył się. Uniósł prawą dłoń w geście powitania. Sventhor i Valhar zasalutowali do prawych ramion i skłonili się.

— Nie zatrzymujcie się przy kurhanie — rzekł Haakon. — Postoju nie będzie.

— Zwierzęta tego nie wytrzymają — powiedział Valhar. — Od trzech dni nie miały wypoczynku.

— Muszą wytrzymać. Twierdza Zegen Kjagee Tirien upadła.

W tej chwili Harane mogą już wchodzić do wąwozu. — Oczy Haakona były po prostu wilgotnymi plamkami w szczelinie hełmu, lśnącymi w blasku nieba. Żadnych uczuć na zewnątrz, w żadnych okolicznościach.

— Spójrzcie — powiedział, wskazując na niebo. Gwiazd prawie nie było widać. Za blisko był świt i za blisko byli najeźdźcy. Jednak płonął tam pojedynczy świetlny punkt. Płonął ostrym, zielonym blaskiem, kreśląc z wolna gigantyczne kręgi i zygzaki, jak sęp albo skrzydlaty upiór, których nazwę otrzymał

— Krankaar.

Sventhor wyjął z kabury przy siodle smasher.

— Zostaw — machnął ręką Haakon. — Jest za wysoko. Zresztą nie zaatakuję! A póki nie wejdzie w obręb dział Virgengaardu, nie pozbedziemy się go. Trudno, już wiedzą o nas. Pozostaje mieć nadzieję, że nie zdążą. Jeśli dogonią nas na płaskowyżu, nie będzie nawet jak się bronić. — Uniósł niedbale dłoń w rękawicy i odjechał. Sventhor patrzył przez chwilę za jego czarną, otuloną płaszczem sylwetką.

— Jest znacznie lepszym wodzem niż Sigurd — rzekł.

— Sigurd był stary, nie wiedział, co się wokół niego dzieje — odpowiedział Valhar bez zainteresowania.

Korowód posuwał się dalej, bez słowa. Valhar i Sventhor jechali obok czarnego szeregu północnego szczepu, który był przednią strażą. Nie odzywali się. Szli absolutnie płaską i dziką okolicą, na której czasem tylko, gdy gdzieś w szczelinach skały zachowało się trochę ziemi, wyrastały drobne, białe kwiatki.

Szereg wijąc się, jak olbrzymi, pancerny wąż, omijał głębokie szczeliny. Wzrok spadał w nich niepowstrzymanie w mroczną czeluść, w której można było czasem dojrzeć czerwone oczy smoków. Z czeluści buchały siarkowe wyziewy i wszyscy odskakiwali gwałtownie. Czasem mijali bulgocące, wrzące źródła i powietrze nappełniało się gorącym wilgotnego

oddechu pary. Zdawało się, że im bliżej do twierdzy, tym okolica bardziej dzika i wyjałowiona.

— To musi być potworne mieszkać tutaj na stałe — odezwał się Sventhor.

— Żeby stąd dostać się do świata, człowiek musiałby samotnie przejść przez ten płaskowyż, być może nocować tu, a potem przez trzy dni przedzierać się przez wąwóz Esgel, gdzie niebo jest tylko jasną kreską w górze, a ze wszystkich stron wyciągają macki czeluści jaskiń i tuneli.

— Twierdza Trzech Studni wcale nie jest mniej ponurym miejscem — odparł Valhar. — Są przyzwyczajeni. — Mijali właśnie olbrzymie pęknięcie, które ziało w skalnej płycie piorunowym zygzakiem, długim na setki stóp, a szerokim co najmniej na pięć końskich długości. Przerzucona przez nią była linowa kładka, napięta między wbitymi w skałę metalowymi kołkami. Szereg stanął. Haakon już tam był. Na swoim czarnym koniu, otulony czarnym płaszczem. Zeskoczył z rozmachem na ziemię.

— Zawiązywać koniom oczy! — krzyknął. — Przeprowadzać je. Piechota, przechodzić jednym szeregiem! I na miłość Goora nie tupać, żeby nie rozchwiać pacholków! Nie marudzić! Szybciej! Nie patrzeć w dół! — Szereg ścieśnił się znacznie, aż przednia straż nie zaczęła przesączać się przez gardziel kładki.

Rozlegało się skrzypienie skór, szcęk broni, dudnienie kopyt po belkach i krzyki oficerów. Valhar zeskoczył z siodła napinając mięśnie, aby nie ugiąć nóg. Owinął zwierzęciu głowę własnym płaszczem i ujął uzdę tuż przy pysku. Weszli na drgający pomost. Valhar nie wytrzymał i spojrział. Wzrok runął w dół, ześlizgując się po gładkich ścianach i spadając tak głęboko, że trudno było to sobie nawet wyobrazić. Zachwiał się i chwycił linę poręczy. Zwierzę parsknęło i potknęło się. Poprowadził drżącego konia ostrożnie, słuchając bezradnych,

drobnych kroków jego kopyt i patrząc na swoją dłoń w czarnej rękawicy, sunącą po kosmatej, starej linie poręczy. Twarda skała pod nogami wydała mu się niemal piękna w swojej pewności.

— Nie stawać za kładką! — Uderzył go krzyk Haakona. Wepchnął nogę w strzemień i skoczył znów na siodło.

Był to jeden z tych marszy, które, wydaje się, że trwają w nieskończoność. Toteż gdy Valhar zobaczył najpierw punkt na horyzoncie, a potem kanciastą bryłę twierdzy, nie mógł uwierzyć, że to jest właśnie cel podróży, który wydał mu się wręcz mityczny. Jednak od ujrzenia twierdzy do końca wędrówki było jeszcze daleko. Dalej był uporczywy ból mięśni brzucha i ud, zmęczenie i głód skręcający jelita. Jednakże to był dla Valhara chleb powszedni, więc trapił się tylko swoim biednym koniem, który jeżeli się nie przewracał, to tylko dlatego, że od czasu do czasu podpierał się uszami.

Kawałek dalej koń Sventhora potknął się i upadł na kolana przednich nóg, a potem zwałił się na bok. Sventhor wyleciał z siodła unikając zmiążdżenia nogi, przekoziółkował i legł bez ruchu. Valhar zeskoczył z konia i podbiegł do niego. Sventhor podciągnął nogi i wstał ciężko, pomagając sobie rękoma. Haakon był przy nich już po chwili. Koń zarżał cicho i żałośnie, usiłując dźwignąć swoje cielsko na udręczone nogi. Uniósł się trochę i znów padł.

— Nic z tego — rzekł ze współczuciem Haakon. — Musisz go dobić. Takie jest prawo. — Okuta hełmem, kanciasta twarz Sventhora nawet nie drgnęła, ale Valharowi wydało się, że gdzieś na dnie jego oczu zobaczył nikły błysk bólu. Sventhor miał tego konia od dziecka. Wierne zwierzę wyniosło go w niejednej bitwie i nie raz uratowało mu życie. Kucnął przy siodle i zaczął odpinać pasy juków. Szereg przesunął się koło nich, lśniąc i podzwaniając bojowym ryszunkiem.

— Weź tylko to, co najpotrzebniejsze — rzekł Valhar. —

Usiądziesz za mną.

— Tylko broń i koc — odpowiedział Sventhor. Wstał. W dłoni lśnił mu smasher. Zwierzę popatrzyło na niego z takim zalem i niedowierzaniem w oczach, że mogłoby się wydawać, że wie o co chodzi. Valhar odszedł do swojego konia, nie chcąc przyjacielowi przeszkadzać w chwili, gdy musiał się skoncentrować. Rozległ się suchy trzask wyładowania i po kamieniach przemknął jaskrawy odbłask błyskawicy. Wzdrygnął się. Śmierć od miecza byłaby o wiele bardziej honorowa, ale miecz podniesiony na przyjaciela musiał ściągnąć na właściciela klątwę. Sventhor zbliżył się i zarzucił zwiniętą derkę na grzbiet ich wspólnego konia. Milczał. Valhar uszanował to milczenie.

Virgengaard Tirien był olbrzymią, kanciastą budowlą, murowaną z topornie ociosanych na płasko głazów. Mury były szare i wyjątkowo długie, ale największe wrażenie robiła ich wysokość. Jakby stało się u stóp skalnej ściany wąwozu Gdzieś za nimi bodła niebo okrągła, smukła baszta, widoczna dopiero z daleka, bo gdy stało się u podnóża samych murów, trzeba było dobrze zadrzeć głowę, żeby ujrzeć ich kraniec. Płaskowyz leżał za wysoko dla ptaków, lecz wokół szczytu baszty wirowało kilkanaście hodowanych przez załogę orłów. Z dołu były tylko ledwo widocznymi punktami, lecz docierało tu ich przytłaczające krakanie.

Wokół zamku biegły dwa potężne pęknięcia w skale, spotykające się po jego jednej stronie i połączone sztucznie wykutą przed wiekami szczeliną. Tak więc, twierdza stała jakby na trójkątnej wyspie, otoczonej wąskimi przepaściami.

Przednia straż stanęła naprzeciw prostokątnej, kutej bramy, która przy ogromie murów wydawała się wręcz maleńka. Zamek był jak wymarły. Poza krakaniem orłów nie było tam żadnych oznak życia. Haakon zeskoczył z konia i stanął na krawędzi fosy. Przyłożył dłonie w rękawicach do ust i krzyknął:

— Ingareth! Ingareth Assatur!

— Co to znaczy? — spytał Sventhor. — Znasz starocelverski. Valhar pokręcił znacząco głową. Zakłębć nie wolno wymawiać bez powodu. Gdzieś wysoko, na czymś w rodzaju skalnej półki, pojawiła się sylwetka.

Wyglądała podobnie, jak wojownicy Północy. Rycerz ów stanął w bezruchu na krótkich, krzywych nogach. Spojrzał na stojących, a potem daleko, na nieskończony wąż wojska, który wciąż maszerował, gdy czoło już stało. Zawołał coś chrapliwie przez ramię i z głębin czarnego hełmu błysnęły kły. Pojawił się drugi, postali chwilę, a potem obaj zniknęli. Rozległ się metaliczny zgrzyt i spod bramy zaczął wysuwać się szeroki, kuty ze stali i wybijany ogromnymi nitami pomost. Wysunął się na całą długość i stanął z głuchym dudnieniem, gdy pięć olbrzymich zębów na końcu mostu wsunęło się w pięć olbrzymich otworów wykutych w skale i wyłożonych stalą. Coś szczęknęło i most znieruchomiał. Jednocześnie z turkotem i zgrzytem brama uniosła się, ukazując mroczną czelusć. Z ciemności wynurzył się siwobrody starzec okryty płaszczem. Uniósł prawą dłoń do lewego barku i skłonił się.

— Witaj Haakonie — rzekł. Haakon uniósł dłoń.

— Witaj Elmarze.

— To dla mnie wielki zaszczyt — ciągnął Elmar. — Mury Viregengaardu nie gościły jeszcze nikogo tak znamienitego. Przywiodłeś poza tym znaczne Siły.

— To garstka, Elmarze. To garstka, bo to armia całego Verangenu. C; i świat, od krain Północy do kraju Rangellow na południu jest tu z nami. Takżr Nortekowie. To wszyscy, których zdołaliśmy zebrać przeciw Najeżdźco ,

— Wejdzmy więc — rzekł cicho Elmar i cofnął się. Haakon ujął swego konia za uzdę przy pysku i przeprowadził przez pomost. Z ciemnosu wynurzyło się jeszcze kilku wojowników z lśniącymi czerwono oczyma Nareszcie można było im się

przyjrzeć. Porośnięci sierścią, przypominali ludy północy. Mieli krótkie pyski, lśniące szeregiem białych kłów. Ubrani byli w długie kamizelki z czarnej skóry, z czerwonym smokiem na piersi, czarne opończe, obcisłe spodnie, długie, podkute buty i hełmy. Z wojowników tych składała się prawie cała załoga twierdzy. Uzbrojeni byli zresztą bardzo różnie. Od mieczy i toporów, po nowoczesną broń ciepłą.

Korowód znów ruszył, z chrzęstem wszedł w czarny tunel bramy. Szli przez nieskończenie grube mury, pogrążeni w zupełnej ciemności. Setki kroków odbijały się echem od sklepienia i gasty. Setki par oczu, czerwonych i zielonych zapalały się gdzieś w czeluści i też gasty. Coś zaskrzypiało, potem z turkotem uchyliła się kolejna brama, wpuszczając blade półmrok świtu, który wydawał się blaskiem.

Wyszli na dość duży, wybrukowany kamieniami podwórzec, który był częścią wewnętrznego dziedzińca. Całe wnętrze muru podzielone było na kilka mniejszych części niższymi, wewnętrznymi murami, schodzącymi się do podstawy centralnej wieży. Dopiero tutaj można było naprawdę docenić jej wysokość.

— Co to za lud? — spytał nieco głośniejsz Haakon, tak że Sventhor i Valhar idący z tyłu usłyszeli to z pomruku cichej rozmowy.

— Zallowie — odpowiedział Elmar. — Dzielny, górski lud, choć niepiękny.

Na dziedzińcu panowała gorączkowa krzątanina. Wewnętrzne ściany głównych murów pokryte były wnękami, krużgankami i galeryjkami. Czerniały na nich dziesiątki wysokich sylwetek. Najwyraźniej mieszkała tam załoga twierdzy. Słysząc było rytmiczne szczekanie młotów, dochodzące ze zwykłej kuźni, a z wąskich okienek, których rząd widniał u nasady wieży, nad samą ziemią, sączyło się błękitne światło, świadczące o obecności nowoczesnego

warsztatu.

— Nie stawać — zawołał Haakon. — Nie robić zatoru. Oddawać Zallom konie i przechodzić dalej. — W wewnętrznym murze otwarto ze skrzypem kute wrota i przednia straż zaczęła przesączać się przez nie. Valhar zdjął ekwipunek z konia i oddał zwierzę jednemu z Zallów, jak inni. Sventhor stał obok i patrzył za odprowadzanymi końmi.

— Valhar i Sventhor! — krzyknął przez ramię Haakon. — Chodźcie ze mną.

Ruszyli za nim i za zgarbioną sylwetką Elmara. Weszli po schodkach na wewnętrzny mur, przeszli po nim na okrągły taras i wyminawszy jeszcze jedne okute stałą drzwi, znaleźli się w mrocznym wnętrzu wieży. Elmar poprowadził ich po spiralnych, kamiennych schodach, potem przez pusłe korytarze do okrągłej komnaty. Vahnorskim obyczajem był tam tylko długi niski stół i honorowy tron pod ścianą. Sala była jasna i pogodna. Mimo surowych, prostych sprzętów, można było odczuć potęgę gospodarzy. Broń wisząca na ścianach musiała przechodzić z pokolenia na pokolenie od wieków.

Ritnar stanął niezdecydowanie, po czym odwrócił się do stojących. Machnął ręką w kierunku tronu.

— Siadaj Haakonie. Teraz to miejsce tobie się należy. — Haakon strzepnął ze zniecierpliwieniem dłonią i jednym ruchem zdjął z głowy hełm. Położył go z trzaskiem na stole i podszedł do wąskiego okna.

— — Siadajcie, na miłość Goora i nie zwracajcie uwagi, czy stoję czy siedzę i czy jestem do was z przodu czy z boku. Dajcie mi trochę pomyśleć i zostawcie etykietę w spokoju. Starożytne zasady są mądrością, ale nie można przesadzać. — Oparł się o parapet i spojrzał na pustkowie. Popatrzyli po sobie niepewnie i przyklękli wokół stołu. Valhar i Sventhor zdjęli hełmy.

— Valharze — rzekł jakby z wahaniem Elmar. — Czy

prawdą jest straszliwa wieść, jaka do mnie dotarła? Czy Aerskjoll dostał się w ręce wrogów?

— Brat mój, Erik — rzekł surowo Valhar — ostatni powiernik zaklętego miecza, godny syn rodu Gjärsel, poległ bohaterską śmiercią. Aerkjoll był przy nim.

— W tym mieczu zaklęta była cała potęga Vahnoru. Stał na straży sprawiedliwości od czasów Galda — Młota.

— Czy mamy wobec tego usiąść i płakać? — Haakon gwałtownie odwrócił się od okna. — Czy bez pomocy sił tajemnych nie potrafisz walczyć? Nie chcę więcej słyszeć o utracie tego miecza. A jeżeli któryś powie coś takiego przy żołnierzach, to sam rozplątam mu gardło.

Na korytarzu rozległ się tupot i wysoki Zali z dystynkcjami oficera wpadł do komnaty.

— Panie. — Zobaczył Haakona i zamarł w skłonie z ręką na lewym ramieniu.

— Mów — warknął Haakon.

— Panie. Krankaary nad pustkowiem. Jest ich coraz więcej.

— A więc stało się — rzekł Haakon, podnosząc ze stołu i zakładając hełm. — Czy armia zdążyła wejść?

— Wszyscy na murach, panie. Musieliśmy otworzyć wszystkie bramy i część koni została na zewnątrz. Gród jest pełny.

— Więc na mury — rzekł Haakon.

Zielone punkty Krankaarów płonęły kilkoma szeregami w poprzek całego nieba. Oprócz nich wróg się nie pojawił. Nie było żadnego ruchu, tylko ten zimny blask od kilku rzędów zielonkawych gwiazd. Kiedy stanęli na murach, owiewani ostrym wiatrem, płomienie Krankaarów na moment zmieniły barwę na różową. Rozległ się suchy grzmot rozpalonego nagle Powietrza, kiedy artyleria Virgengaardu bluznęła strugami ognia, zalewając blaskiem okolicę. Ziemia drgnęła, ale Wrogowie byli za daleko.

Potem coś się stało. Najpierw spadł na wszystkich gigantyczny ciężar, Przyduszając do ziemi, potem lekkość a potem słabość. Valhar nagle stracił czucie. Broń wypadła mu z brzękiem na ziemię. Wyciągnął ramię, chcąc oprzeć się o flankę muru. Jakby poruszał ręką obcego człowieka. Ujrzał, jakby patrząc przez strzelnicę, jak ramię niezdarnie uderza w mur uginającymi się palcami. Opadł na kolana i resztą świadomości spojrzął w bok muru, a potem na dół. Mury wewnętrzne i główne, tarasy, odległe dziedzińce, wszystko zawalone było dziesiątkami tysięcy ciał, bezradnych i bezbronnych. Dlaczego nie mogli zginąć w walce? Do tego dążyli, nie było już innego wyjścia, ale tak... Przypomniał sobie srebrne miasta Rangellów stratowane nalotami, zatopione łodzie Sverskjollów, smukłe kobiety zastrzelone w progach domów, bo nie chciały wyjść witać najeźdźców, krater w miejscu domu. Śmierć zadawana z daleka. Zwalił się na ziemię, nie chcąc tej śmierci takiej, szamocąc się w rosnącym bezwładzie i bezsilności. Potem czarny hełm stuknął w nagłej ciszy, wsparty o głaz flanki. Niewidzącymi oczyma Valhar wpatrywał się w rosnące sylwetki Krankaarów. Nad Twierdzą Trzech Studni wstawał świt.

Olej wyciekał bezpowrotnie z plastikowej butelki, bulgocąc i tworząc opalizujące kręgi na powierzchni płynu. Valhar zaklął i poderwał butelkę. To była jedna z trzech ostatnich w tym sezonie, a zmarnował prawie połowę. Jeszcze zimny płyn utrzymywał się bezkształtną, białą plamą, zawieszoną w bursztynowej cieczy. Póki nie zagrzeje się i nie zmieni koloru na złotawy i przejrzysty, jest szansa. Złapał łyżkę i dalsze parę minut upłynęło na wyławianiu i odczadzaniu. Uratowany olej wlewał przez lejek, bo ręce trzęsły mu się bardziej niż zwykle. W ogóle dzień był nieudany. Klientów było mało, gruby sierżant policji Briggs znów był pijany, przewrócił dwa stoliki,

wylał coca—colę i rozbił jedyny automat muzyczny. A potem stał i walił pięściami w falistą blachę ściany, zanim nie udało się nakłonić go do wyjścia. A na odchodnym jeszcze rzucił butelkę po coli w lampę przed wejściem, oświetlającą szyld. Straty wynosiły co najmniej z pięćdziesiąt soi. O skardze nie ma nawet co marzyć. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Vahnorczyk, a zwłaszcza właściciel nędznej, blaszanej budki snack—baru wygrał sprawę z człowiekiem, — a zwłaszcza z policjantem. Nawet tak kiepskim, jak sierżant Briggs. Valhar westchnął.

Nagle przypomniał sobie, dlaczego omal nie wylał oleju. Coś w rodzaju snu na jawie, tylko snu mówiącego o czymś, co kiedyś było. Dlaczego, po tylu latach, w środku dnia, nagle przeżył to jeszcze raz? Było to coś dziwnego. Te wspomnienia, odgradzone do tej pory jakąś przeszkodą, odpychane ze strachem (mówienie o takich rzeczach może tylko wciągnąć w paskudną aferę z agentami PSC „Z kim rozmawialiście o tym? Jak się ustosunkował? Gdzie mieszka?”) wspomnienia nagle znów powróciły i znów wróciły gorzkie pytania. Tylko teraz już wiedział. Już rozumiał, dlaczego nie zabili ich wtedy. Nie potrzebowali stosów bohaterских trupów. Potrzebowali żywych i spokojnych sprzątaczek, śmieciarzy, kamerdynerów, górników, dokerów i barmanów. Zrobili coś gorszego niż zabicie ich. Po przebudzeniu nikt nie mógł już nigdy wziąć do ręki noża, zwykłej wiatrówki, popchnąć nikogo. Ba. Nawet podniesienie na kogokolwiek głosu przychodziło z trudem. Mogli tylko słuchać i potakiwać. Nienawidzić sobie mogli. W duszy.

Co jest, co mu się stało? Żeby ktoś przyszedł i przerwał tę samotność, wypełnioną przeszłością, wypełnioną bezsilnością, wypełnioną słabością.

Przetarł ścierką powierzchnię blatu i spojrzął przez okno koło drzwi na zachodzące nad płaskowyżem Imselv słońce.

Płaskowyżem Lonneya, do diabła.

Było beznadziejnie pusto. Spojrzał przez okno po lewej, w kierunku Spiderton, które zaczynało się na szczycie wzgórza i było beznadziejną miejsciną, z całymi kilometrami skleconych z blachy Vahnorskich przedmieść.

Z dołu wyszedł jakiś Vahnorczyk w uniformie pomocnika na stacji benzynowej, niosąc w objęciach skrzynkę piwa. Poszedł w kierunku miasta, nawet nie spojrzawszy. Valhar popatrzył za nim bezmyślnie i dojrzał daleko na płaskowyżu sunący po drodze obłok kurzu. Samochód! Jeżeli jedzie tędy, to za kilka minut musi przejechać przed jego barem. To pierwsze miejsce na drodze do miasta, gdzie można coś zjeść, więc powinni tu stanąć. Wydobył spod szynkwasu stertę plastikowych kubków i zdarł z nich foliowe opakowanie. Umocował je przy automacie z napojem pomarańczowym, kiedy samochód pojawił się na wprost okna. Był to poobijany, farmerski pick-up z dwoma zapasowymi kołami na dachu szoferki i stalową kratownicą przed długą maską. Zwolnił i skręcił z szosy na betonowy podjazd. Trzasnęły drzwiczki. Z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni i wymijając wystawione przed budką stoliki, weszli do środka. Obaj byli ludźmi. Pierwszy ubrany był w poplamione spodnie i rozchełstana na piersi koszulę. Valhar widywał go czasem. Był to Stanter — nadzorca Vahnorczyków w pobliskiej kopalni. Podszedł do szynkwasu, oparł się łokciami i spojrzał z obrzydzeniem na skwierczące w oleju frytki. Drugi wszedł po dłuższej chwili. Był to „wytworny mężczyzna w średnim wieku. Musiał jechać z bardzo daleka. Ubrany był wytworniej niż mieszkańcy Spiderton. Nawet poruszał się jakoś dyskretniej.

— Nareszcie — rzekł do Stantera. — Od rana nic nie miałem w ustach. Gdyby mnie pan nie podwiózł, to nie wiem, co bym zrobił w tym pustkowiu.

— Drobiazg — mruknął tamten. — Co pan zje? Tu nie ma

nic specjalnego, to vahnorska buda.

— Nie wiem... — rzekł przybysz, zaglądając do parujących, niklowanych niecek, w których bulgotały dziesięciocentowe, vahnorskie potrawy. Jednemu tygielkowi przyjrzał się uważniej.

— To hevgas? — spojrzał na Valhara.

— Haevgas — poprawił Valhar. — Wymawiało się: haevgas, proszę pana. Ale ma pan rację, to właśnie ta słynna, vahnorska potrawa.

— Proszę jedną porcję.

— Proszę. Trzydzieści centów. — Tacka, szczypce, opakowanie sprawdzonych rządowo sterylnych sztućców, tu rozedrzeć, dziękuję, proszę, kasa, czek, szufladka, drobne, reszta. Wrzucił monety do przegródki, z przyjemnością słuchając ich obiecującego brzęku. Nadzorca patrzył na towarzysza ze zdziwieniem i ledwo maskowanym obrzydzeniem.

— Chyba nie będzie pan tego jadł?

Przybysz odniósł tackę do jednego ze stolików i zaczął jeść.

— Dlaczego? To bardzo smaczne. Z ryby. Może pan skosztuje?

— Piękne dzięki — odpowiedział Stanter. — Mam ich dość na co dzień, dzikusów. Z ich dziwactwami. Jeszcze bym jadł ich tysiącletnie paskudztwa. Diabli wiedzą, jak oni to przyrządzają. W to powinien wejść rząd. W te ich zwyczaje, barbarzyństwa.

— Chyba pan przesadza. Oni stworzyli wspaniałą kulturę. Bardzo ciekawą. Takie zwyczaje, potrawy, sposób życia, wszystko było logicznie urządzone. To bardzo ciekawy naród.

— Nie zna ich pan tak, jak ja. Swoje wiem na ich temat. Dla mnie parówki. Tylko żebyś ich nie brał łapami, brudasie.

— Tak, proszę pana. — Głupi tępy prymityw. Obelgi przychodziły do głowy z trudem, tracąc po drodze znaczenie.

Westchnął niedostrzegalnie, wziął do ręki idealnie czyste, srebrne szczypce i wyłowił z wody dwie jędrne, różowe parówki. Z tuby pociekła musztarda, pozostawiając jasnobrazowy wężyk na każdej z nich. Smugi pary uniosły się w górę, wessane przez okap. Sterylne sztucce, świeża bułka szczypcami.

— I piwo.

— Przykro mi, ale nie mam koncesji na sprzedaż alkoholu, proszę pana.

— Nawet piwa?

— Niestety, takie są przepisy.

— Nawet jednego?

— Po prostu nie mam.

— Dzikus cholerny. — Stanter zgarnął tackę z lady i podszedł do stolika. Przez chwilę obaj ludzie pracowicie żuli w milczeniu.

— Pan jest archeologiem? — spytał StaTiter.

— Kimś w tym rodzaju — odparł tamten. — A dlaczego?

— Tak myślałem, czego mógłby pan szukać w tej dziurze.

— Istotnie, interesuje mnie twierdza. Zboczyłem z drogi do Moonley, kiedy zepsuł mi się samochód.

— Z tego w ogóle można żyć? Z jakichś starych śmieci dzikusów?

— Coś panu pokażę. Wiozę to do Moonley. Chwileczkę — odłożył widelec i wyszedł. Wrócił dosłownie po dwudziestu sekundach, niosąc płaski, czarny neseser. Położył go na stole i zaczął manipulować szyfrowym zamkiem.

— W środku jest stare, jaszcz przedvahnerskie dzieło sztuki. To miecz, ma chyba z pięć tysięcy lat. Odnalazłem go z wielkim trudem. To właśnie mój zawód. Sprzedaż i kupno takich rzeczy. Pytał pan, czy z tego można żyć. Muzeum Astroarcheologii w Moonley zaferowało mi półtora tysiąca soi.

Stanter wypluł świeżo odgryziony kawałek parówki do talerza i wolno uniósł głowę. Żle ogolona, długa szczeka z wolna odchyliła się, jak obluzowana pokrywa śmietnika. Oczy miał okrągłe jak guziki.

— Pół... tora tysiąca soi? — wyszeptał.

— O, to wcale nie jest najwyższa cena. W zeszłym miesiącu przewoziłem hełm i pierścień, warte okrągłe pięć tysięcy każdy.

— I tak to pan przewozi, w walizce? Bez obstawy, bez...

— Rany boskie, człowieku, przecież to nie sztaba złota. Przypuśćmy, że dałby mi pan teraz po głowie i zabrał to. Otóż złapałoby pana w pierwszym miejscu, w którym by pan się z tym pojawił i chciał to sprzedać. A żaden paser by tego nie wziął. Każda taka rzecz jest skatalogowana i ubezpieczona. I zapisane jest tam nazwisko właściciela. O każdej transakcji zawiadamia się ich na bieżąco i wypisuje akt własności. Ten miecz jest jakby przypisany do mnie, dopóki nie przyjmie go muzeum w Moonley.

To zresztą bardzo ciekawy okaz. Na przykład, świeci w ciemności na czerwono. To świecenie czasem przygasa, czasem się wzmacnia, ale nie wiadomo, co je powoduje. Jest absolutnie nierdzewny, a niech pan pamięta, że wykuto go przed kilkoma tysiącami lat. Poza tym ma całą masę dziwnych właściwości. Fizycy muzeum mają się nim zająć na serio. Poza tym jest to absolutnie unikalne dzieło sztuki. Na klindze znajduje się napis, który nie został jeszcze odczytany.

Trzasnął szyfrowym zamkiem i otworzył neseser.

Valhar czuł się bardzo dziwnie. Miał dreszcze, czuł jakieś niesamowite zdenerwowanie i szumiało mu w głowie. Stanter zuł wolno parówkę i wpatrywał się w towarzysza, który jednym ruchem wyciągnął miecz na światło dzienne. Był długi na jakieś pół metra i szeroki na dłoń. Klinga lśniła różowawym blaskiem. Na rękojeści znajdował się wizerunek smoka Sallga, poniżej oplatały ją gadzie świętego drzewa Gnarla, które sięgały aż do

jelca. U nasady klingi wprawiony był Galjall — kamień ziemi Izell. Wzdłuż klingi biegły starocelverskie zakłęcia. O dwie szerokości kciuka od jelca, na ostrzu, znajdowała się jedyna szczyrba, która powstała, kiedy Gald — Młot uderzył mieczem w kamień na Srebrnej Górze, biorąc ją i okolicę w posiadanie. Był to Aerskjoll.

Valhar stworzył ruchomą część lady i wyszedł przed nią. Obaj mężczyźni pogrążeni byli w kontemplacji miecza.

— Proszę pana — odezwał się Valhar — słyszałem, że to pana interesuje, mnie uczono podobnego starożytnego pisma, kiedy byłem dzieckiem, więc może...

— Wynoś się — ryknął Stanter. — Zielonoskóry bydlaku.

— Niech pan poczeka — uspokoił go tamten. — To naprawdę może się przydać. Oni mogą być bardzo pomocni w badaniach.

— Niech pan w to nie wierzy — burknął Stanter. — Gdyby nie to, że nie może dotknąć żadnej broni, to rąbnąłby go panu przy pierwszej okazji.

Valhar wyciągnął powoli rękę w kierunku miecza. Nie drżała. Była spokojna jak skała i zaskakująco silna. Ostrożnie — pomyślał z nienawiścią o Stanterze. Nienawiść była zimna i mocna. Jednym szybkim ruchem chwycił chłodną rękojeść i uniósł miecz oburącz, ostrzem przed twarz. Stanter otworzył szeroko oczy, pełne bezbrzeżnego zdumienia. Valhar uderzył go otwartą dłonią w klatkę piersiową. Stanter wyleciał z taboretu, rozrzucając szeroko ramiona, odrzucił plecami drugi stolik i wyrznął w blaszaną ścianę. Uwalił się na podłogę i nie drgnął więcej. Drugi zerwał się na równe nogi i odskoczył w tył z twarzą bladą jak płótno. Wyszarpnął spod marynarki czarny rewolwer. Valhar jednym ruchem nadgarstka uderzył go końcem ostrza w szyję. Rewolwer upadł z trzaskiem na ziemię. Człowiek zwałił się obok, obejmując szyję rękami.

Valhar wyprostował się. Po raz pierwszy od czterdziestu lat.

Wyszedł przed bar i uniósł miecz do góry. Ostrze bluznęło ostrym, czerwonym blaskiem. — Ingareth Assatur! — krzyknął. Tysiące sprzątaczek, śmieciarzy, kamerdynerów, górników, dokerów i barmanów stanęło w swoich domach, dokach, kopalniach i barach, przemieszani z bezbronnymi, zaskoczonymi ludźmi, znieruchomiali nagle i nienawidzący.

Po drugiej stronie ulicy jakiś Vahnorczyk klęczał na ziemi i zbierał na ziemi rozsypany złom. Znieruchomiał, a potem sięgnął między śmieci po wyszczerbiony nóż myśliwski, patrząc w stronę ludzkiej dzielnicy. Jego dłoń miękko ujęła rękojeść. Zacisnęła się na niej pewnie i bez najmniejszego drżenia. Słońce już zaszło. Nad Virgengaardem zapadał ciepły, letni wieczór.

U ŹRÓDŁA NOCY

Działo się to w roku Xiang. I rzekł im Pauzoliusz: — Nie wyciągajcie rąk po nie swoje, by ich Warn nie odjęto, a stopy Wasze nie dotykały nigdy ziemi, prochami ojców grodzonej! A om zbrukali się cudzym, a ich dłonie nurzały w posoce”.

(Proroctwo Ezelektigelowe, werset 33)

„Mibashi, Mistrzu, usiądź przy mnie i opowiedz o przeszłym. Pobruździło się czoło starca, a oczy zalsniły bezsilnym gniewem. I potok bluznął z gardzieli jego, okropny, mdły od wyzwisk, i płynął przez dni trzy”.

(Sporamja XIII, ustęp 527)

Załącznik 00/125

Słowa padały z góry, uderzały o nabrzmiałe błony, m rezonowały po kątach.

— Błogosławiona bądź chwilo, co nosisz we wnętrzu nie narodzoną jeszcze myśl. Ty, co starodawny budynek ładu chronisz oponą tajemnicy. Przywiedź mnie w nieprzywiedlne potoki adamicznej rozkoszy. Zjedz serce me! — upierścieniona ręka uniosła w górę ciemne, przerdzewiałe ostrze.

— Zrób to!!! — powtórzył milczący dotąd chór za swym prowodyrem, śledząc z napięciem lot nieodkazanej śmierci.

Ale ręka zatrzymała się i tym razem. Ostrze upadło z brzękiem wyrzutu, czy ulgi. Wszyscy kichnęli na odtrąbionego.

— Na zdrowie!

— A na zdrowie bracia — odpowiedział niedoszły samobójca.

— Miecz podporą bytu.

Wychodzili z refektarza szurając luźnymi bamboszami. Ich czarne, pałubiaste sylwetki kołysały się z boku na bok, a splamione oblicza wyrażały jedno tylko uczucie — niedosyt.

Wielki Podzydli jako ostatni zasunął ciężkie odrzwia i przekreślił klucz. Odgłosy stapań rozplywały się powoli w mroku i głębi jelitowatego splotu korytarzy.

Załącznik 00/126

Ufny mocą wnętrzości brązowy wagonik wysliznął się z miąższu śluzowiejącego i rakowaciejącego ciemnością. Zabłysnął fetorniami po nosach czekających nań starców.

— Zuu... — niosło się po szeregach. Szeptaly bamblaste wargi, język ślinił konchy uszne sąsiadów. — Nnaa... uzaa... nn... Zuzzaa.

— Aaach! — co chwila ktoś nieomal upadał chwytając się spazmatycznie za piersi, ale długi potok ciał ścisnął go frenetycznie, tak iż w końcu, w lepkim pocie kadłubów, tkwił i on, także bezwolny, ciągniony w jednym, słusznym kierunku.

— Zzuuu... — echo przebrzmiewało, aż wpadło wraz z tłumem w przetłuszczone wnętrze pojazdu. Ten zaś, jakby z gumy uczyniony, rozdymał się, puchł, ale nie pękał. Wreszcie ostatni pasażer kopnięciami upychał tyłki przodowników, łokciami pracowicie kosił dojrzałe grona tłuszczu. Drzwiczki z omszałym młaśnieciem zamykały się. Syk gazu i wagonik zniknął w perystaltycznie falującej sztolni, zaś peron, opustoszały z nagła, chował się zaraz w zakamarkach ścian wewnętrznych.

Załącznik 00/127

Zyga Oz zezowaciał do lustra, zapuszczając na czole i potylicy złotowłose, baranie runo, które jednak co noc wypadało mu obfitymi kępkami. Wprawnymi ruchami naniósł żółto-brązową piankę ECCO, najpierw na skronie, dłońmi

uformował kształtny hełm, potem zasiadł pod kaskaderem i włączył pole. Zawsze odczuwał przy tym ów perwersyjny dreszcz, który przenikał go od stóp do bioder, drażył wnętrza dłoni i spływał zimną strugą po plecach.

Mel Hertrodont — jego współlokator — odwrotnie, golił się dokładnie, nie uznając nowinek, uważał bowiem — nie bez pewnej słuszności — że prawdziwą cnotą thana jest jego naga czaszka.

Aliści, choć różnili, się pod tym względem, wiele upodobań ich łączyło. Ot, wspólne zamiłowanie do perlistego NEGRESKO, wrzawy bitewnej i brązowych ciał marcjanek — tak, że przemieszkali ze sobą prawie dwa lata.

Po ostatniej bibce stołownia zachlapana była zielonym mleczem, nocniki, pełne, przelewały się już i średniowieczny zegar nawet nie kukał. Kukał za to Ster Łomster, wychodząc, „co wprawilo Zygę w trudny do opanowania spazm, a Mela wypędziło do klubu.

Zyga, ukończywszy poranną toaletę, zwałił się na półpiernat i sięgnął po nieodzowną szklanę NEGRESKO. Zapalił ścienny teleran. Coroczny Zjazd Starców w Bombzee zainteresował go współmiernie do rozgłosu, jaki nadano imprezie. Łopian o tej porze obrodził doskonale. Bombzee tkwiło po uszy w mięsistych liściach. Ludzie o oczach pełnych mięty snuli się sennie po autostradach, króliki hasały między marchwią a kijem. Łopian i koński szczaw wciskały się wszędzie, nawet do wnętrza, tak jakby zewnątrz było im mało.

Gonadotok transmutyjski wypluł już swoich starców i ci rozleźli się po Bombzee w poszukiwaniu dogodnych kryjówek. Za chwilę Mordnia rzeźnię upstrzyła bombzejski terminal zramolałymi trupkami, a potem już bez przerwy, Ronksie, Lydyn, Niuchstrz, Dupol I i II nie przybyły sparaliżowane dbc—liną, Wontpia, Bang—Dżoch i inne nacye, których nie sposób wymienić, wypluwały, kartaczowały błonia Bombzee swoimi

truchłami, wapniakami, desowcami, żylastymi wrzodowcami, choróbczakami, kozłami — całym tym tałatajstwem pieniącym się obficie.

Tylko wszechzwycięski łopian opierał się jeszcze, gdy hordy lały w niego i ginęły, jedna po drugiej, partia po partii.

Obraz zamigotał właśnie w momencie, gdy oka kamer skierowały się na sadzawkę. Zyga podregulował go, by nie stracić kulminacyjnego momentu.

Chrapania, pojękiwania i kasznięcia ucichały. Tylko zapach lekarstw parzonych ziół, mleka, potu i moczu, zmieszany ze świeżością liści łopianu, unosił się nad Bombzee, gdy znowu... Jęk, półszepc z wielotysięcznej gardzieli: „Zzuu...nnaaaa...”.

Spieniła się od detergentów i specyfików woda sadzawki, reflektory zablindowały...

Zyga aż usiadł podekscytowany. NEGRESKO rozlało się na kawior. Mel kłął na czym świat stoi, zaciąwszy się na piersiach.

Z pian wychynęła...

— Ooooh! — jęknął, zaklaskał tłum. Wynurzyły się dwie bryły tłuszczu...

— Ależ to piramidalna bzdura — zachłysnął się Oz, ścierając z ochlapni pienisty wysięk. — Wiolonczela albo kontrabas...

— I smyczkiem, smyczkiem — rozmarzył się Mel.

— A Ty brzydalu, fe, nieładnie!

Ktoś za drzwiami spuścił wodę. /

— Proszę nie wchodzić. Jesteśmy w domu.

— Smygam — wycedził czyjś zachrypnięty głos.

— Poczekaj, wyjdę do Ciebie — Mel kręcąc biodrami, przemierzył sześćościan.

Oz rozparł się sam na martobyku. Dało się jednak zauważyć, że w tej chwili mniej zwraca uwagę na ekran, bardziej zaś przysłuchuje się poczynaniom Mela, który narzuciwszy na srebrzystą zbroję coniebażd wielbłądzie i przypasawszy miecz,

skierował się do drzwi.

— Aal! — zapał piskliwie Smyga.

— Weźmiesz, wykręcisz, potem zapakujesz i fiuuut, szukaj wiatru w polu!

— Będą rzygać...

— A co ci tam, normalka. Bylebyście tylko... nie... łby pourywan!!!

— To się wie, jakem Smyga.

— Na — dźwięk złota. — Jeszcze? Ach, skurwielu, żebym Cię tak nie lubił... Dość! I żeby nikt!

Mel wśliznął się do pokoju, nalał pół szklanki i wychylił jednym haustem, aż adamowe jabłko omal nie rozsadziło mu krtani. Otarł hałaśliwie i ostentacyjnie usta, odstawił szklankę.

— Mówiłeś...? — odpasał miecz i rzucił go w kąt.

— Co takiego? — Zyga Oz przybrał na twarz najwiarygodniejszą z masek, na jaką było go stać. Mel chwilę przyglądał się mu, potem machnął ręką i wtulił głęboko w pianolit. Białawy obłok otoczył go i Zyga na moment uwierzył, że tamten ma wszystko gdzieś.

— Śpisz?!

— Odp... — ręka w odpowiedzi machnęła zza mgły.

Zyga dotknął przycisku i obraz Bombzee zgasł.

— Przejdę się — mruknął do ściany. Zbroja, którą założył, przydała mu powagi.

Odcisnął palec w zamku i zjechał zniżej, bo wliz był zajęty. Czerwone sklepienie tego poziomego City wprawiało go w podły nastrój. Wtedy jednak, jak na złość, przeważnie nikogo nie było pod ręką. Wyładował się więc na wszystkim, co napotkał. Łatwa zaczęła go na rogu. Wyplazował ją mieczem. Urekawicznoną dłonią, z rozmysłem, uderzył w upiększoną twarz. Nachalni chwyтали za łokcie przed każdą z witryn. Im też nie przepuścił. Szedł coraz szybciej, biegł wściekły i spopielały od wewnętrznego ognia co go trawił, niby miliardoletni meteor,

podniecony wejściem w atmosferę planetarną... I wpadł nagle na kogoś.

— Młody człowieku — jaskrawy nos i amarantowy półpancerz tak do siebie nie pasowały, że Zyg stanął nieomal zaskoczony. — Mógłbyś uważać. Nie lubię, gdy mnie ktoś obcy dotyka!

— Nie chciałem Was, Wasza Dostojność uwierzy, urazić — Zyg zdobył się na to idiotyczne zdanie wbrew sobie samemu.

— Ach ty stary koniu! — ręka spadła nieoczekiwanie na jego bark. — Nie poznajesz już starych przyjaciół?!

Zyga otworzył usta ze zdumienia.

— Wotrer?! A chodźże bliżej — pociągnął go pod najbliższy eskalator, gdzie było trochę jaśniej od migających reklam. — Wotrer — powtórzył jeszcze raz, jakby upewniając się. — No tak, to Ty!

— Dalej, strzelimy coś?

— Wiesz Wotrer, nie sądziłem...

— Daj spokój, mam dziś ochotę na CHEMISK.

— O nie, tego świństwa nie wezmę do ust. Co byś powiedział na SUPER-NATURAL, tu dają, w pobliżu.

— Co! Widzę, że nie próżnowałeś. Ty grzmocie, zawsze coś wywuchasz tym swoim zakrzywionym „nochalem.

Weszli w podziom.

— Stęchło tu trochę.

— Przecież wszędzie rozpylają te świństwa.

— Dobra, dobra, zawsze będę powtarzał, że na każdym podziomiu, w każdym mieście śmierdzi.

— Przejdzie Ci po łyku SUPERNATURALU.

— Co to jest?!!!

— Co, nie smakuje Ci? Ty wiesz, ile to kosztuje?!!!

— Czy to...?

— No tak, to woda! Nie rób cielecych oczu.

— AQUA OBSCURA, tfu, szlag by to trafił!!!

— Będziesz ciszej! — chropowaty, cierpki głos wdarł się w ich rozmowę nieprzyjemnym zgrzytem.

Wotrer odwrócił się gwałtownie do mówiącego. W dłoni trzymał obnażone ostrze. Niezrozumiałe wypadki, od tego momentu, potoczyły się z zaskakującą prędkością. Oz ledwie zdołał uskoczyć przed walącym się ciałem... i było już po wszystkim. Osobnik w płaszczu koloru sadzy błyskawicznie wy dobył swój długi miecz i jednym, zdecydowanym ciosem rozrąbał Wotrera. Zyga nawet nie usiłował niczemu zapobiec. Roztrącając stoliki wybiegł drugim wejściem.

„Czarny Rycerz! Czarny Rycerz z Thonson!”

Zyga biegł jak uskrzydłony, wpadł na ludzi, przebiegły wzdłuż zastrzeżonej strefy A, on, dumny than. Dopiero w pobliżu temporalu opamiętał się.

„To był Czarny Rycerz, nie ulegało wątpliwości, z Tubuleryjskiego Zakonu, nardak z Revon, a najprawdopodobniej z Thonson. Tylko dlaczego tutaj, w Symflitis, w City, o tak wczesnej porze?” — myślał.

— Szuka kogoś! — ktoś odpowiedział na jego pomyślane pytanie.

— Co! Kto tu?!?! — Zyga chwycił za jelec broni.

— To ja, Smyga.

— Czego?! — Oz wzdrygnął się na widok pokurcza, z którym duma nie pozwalała mu rozmawiać, ale z którym jednocześnie porozmawiać musiał.

— Bergoland!

— ???

— To był on. Spieszyłem zawiadomić, aleś pędził Panie tak, że nie mogłem nadążyć.

— Milcz i odpowiadaj tylko, gdy cię spytam!

— Słucham...

— Milcz, powiadam! Dlaczego myślisz, że to Bergoland?

— Miał Panie suchą prawą rękę?

— Nie zauważyłem.

— A vocoder z filtrem?

— Dziwnie chrypiał, rzeczywiście. Skąd go znasz?

— Spotkałem go raz w życiu, na tempodromie beluryjskim, ale zapamiętałem na zawsze. Bergoland. Jeszcze Panie usłyszysz to imię nie raz. To on rozplątał na oczach straży syna landgraфа Servillegó, to on zniszczył związek beluryjski i to on ma... perpetuotron.

— Ciszej!!! — Oz pociągnął karła w głąb niszy. — A to skąd wiesz?

— Kiedy Bergoland walczył ze Strażnikami Pieczęci za Dwunastego Oddechu, w tym samym czasie widziano go na czele Pokutników, może to potwierdzić trzech wiarygodnych świadków, i wreszcie to on podpisał Dekret Zdrady Stanu w Pałacu w Breckonwille...

— Co ma z tym wszystkim wspólnego than Hertrodont?!!

— Gadaj — syknął.

— Panie, powiem, aaaach!!!

Obrzydliwy zaduch buchnął w twarz Oza. Smyga upadł i niemal na oczach wtopił się w podłoże. Tylko szmaty, którymi był okryty, zaświadczały o jego niedawnej obecności.

„Uciekaj. Jam jest Ten. Uciekaj, póki jeszcze czas”.

Oz pędził między wideokolumnami. Przejrzyste bariery identyfikacyjne pękały w zetknięciu z jego srebrzystą zbroją. Czuł za sobą oddechy, słyszał już ciężkie kroki, widział noc i śmierć pędzące za sobą. Ale to tylko jego niedoskonałe zmysły oszukiwały go nie ostatni raz.

Zanurzył się w ciemność. Trupi, słodki zaduch uderzył w nozdrza. Chwycił rytm biegu, przyspieszył i skoczył.

Załącznik 00/128

— Weź lipianu uncji trzy, dolej pud ekskrementów toperzy z jaskini Nontroholaar, wymieszaj z żółcią wisielca, zalej

moczem i odstaw na trzy pacierze, a mieszaj by się nie rozdzieliło, a potem przedestyluj, rozfrakcjonuj przez ultrawiórowanie i zawieś w plwocitliwie żołnierzy Jego Cesarskiej Wysokości. Daj się wypchać... Tfu, a to co znowu?! Pewnieć Zgrzybło miesza mi w papierach, truchło, purchlak zatracony, ażeby go pokręciło bydlaka, przynajmniej tak jak mnie.

— Panie!!!

— Kto tu?! Podejdz, no Ty, tam, bliżej, do paneli, bo nie dojrzę. O wybac Herr Thanie, alem stary już i nie widzę.

Usiądź łaskawie, zmachanyś przecie okrutnie... Nie, nie, na tym zydelku...

— Przestań pieprzyć, przecież Cię znam, ty stary ośle, znowu alchemika strugasza, asz, asz, asz... I wyłącz ten cholerny multiplikator.

— Czego chcesz Thanie?

— Po co zjawił się Bergoland?

— Kto? Nie znam go!

— A to znasz?! — Oz potrząsnął zmierzwionym skalpem Smygi. — A to znasz padalcze?

— Panie, poniechaj mnie, powiem już... — wiał się.

— Gadaj — ciężka prawica spoczęła na ramieniu starca.

— Bergoland szuka Księcia Numenoryjskiego, Pana Stromalee. Nawiasem mówiąc, zupełnie nie orientuję się, gdzie leży to— Stromalee?

— Dlaczego właśnie jego? — przerwał mu.

— Nie wiem! Nie...!

Chyba naprawdę nie wiedział. Zyga przeszedł infochronę. Był zaskoczony, przecież tyle uczynił dla zatarcia śladów. Niewielu na tej planecie wiedziało o przechodni. Bergoiand widocznie wiedział.

Przez chwilę wydało mu się, że w drżącym powietrzu zobaczył czyjąś mglistą postać. Ależ tak! Przyjrzał się uważniej. Przed nim stał Księżę Numenoryjski, udzielny i

jedyny władca Stromalee, jakież zmieniony teraz przez przebranie, onże OgZygis van Nerthmund Oz per Stromalee.

Przebrnął jeszcze jedną infochronę i ...silny wiatr rozsypał mu włosy. Zniknęły ściany City, zniknęły wideokolumny, tłumy ludzi. Wśród drzew ciemniała stara, zgarbiona z jednej strony chałupa.

Uderzył grom. Chmury rozsnuły się po niebie i w chwilę później pierwsze krople uderzyły w wyciągnięte dłonie Oza. Stał przez pewien czas pod spływającymi z góry strugami. Płaszcz nasiąknął wodą, cienkie strumyki dostały się pod spód. Odparał miecz i odrzucił go na bok. Wypiął fibulę z wilgotnej materii; mocował się ze skórzanymi paskami na ramionach, wreszcie zdjął nagolenniki. W lekkiej tylko, spodniej szacie, przestąpił próg drewnianego domu, jakby oczyszczony z wszelkich naleciałości City.

W przedsionku, pod ścianą, poniewierały się stare naczynia, na wieszaku wisiało wyleniałe futro borcha, jedynego stałocieplnego zwierzęcia z głębin otaczających wyspę Terthrosis. Pchnął skrzypiące drzwi.

Wielka izba, tylko w pobliżu paleniska była dobrze oświetlona. Mrok zalegał kąty i sufit. U powały sterczały pęki zeschniętych badyli, na ciemnych, prostych skrzyniach spoczywały sterty stęchłych foliałów.

Tylem do wejścia, grzejąc dłonie nad ogniskiem, siedział dziwny mężczyzna. Jasnowłosa, w białej, ziemi sięgającej szacie. Nawet nie drgnął, gdy Oz położył mu prawicę na ramieniu. Choć od ogniska promieniowało przyjemnym ciepłem, jego ciało było dziwnie zziębnięte, niemal sztywne.

— Witaj, Mistrzu!

Oz usiadł obok, wyciągając przemoknięte pończochy w stronę płonących głowni. Siedzieli w ciszy. Oz przyglądał się z boku mężczyźnie, nie pierwszy raz ze zdziwieniem konstatując, że jego jasna czupryna okazuje się srebrną, młodzieńcza z tyłu

sylwetka należy do starca o pobrużdżonym, poznaczonym wątrobianymi naciekami obliczu i trzęsących się rękach.

Starzec wpatrywał się w płomienie i po dłuższej dopiero chwili spojrzął na Oza.

— Witaj Książę — rzekł i Oz zdziwił się po raz drugi, zaskoczony brzmienie znajomego głosu. Mimo starczego wyglądu, jego głos brzmiał dźwięcznie, stanowczo i... godnie.

— Witaj Książę — powtórzył osobnik nazwany Mistrzem — a raczej witaj Thanie. Czyż nie każesz się teraz tytułować?

— Dlaczego Bergoland zabił Wotrera?

— Słuchaj — Oz patrzył prosto w oczy starca — słuchaj! Ile razy będę powtarzał ci to samo. Nas nie obowiązują żadne prawa, przynajmniej te, które obowiązują ograniczonych — usta mówią co innego niż wyrażają oczy.

— Dlaczego Bergoland ścigał mnie w City?

Starzec podniósł się z wysiłkiem, lecz gdy wyprostował się na całą wysokość, Oz odruchowo powstał także.

— Dorzuć chłopcze do ognia, o ten tam, stary foliał.

Oz zważył w dłoni zmurszały tom i wrzucił go w płomienie. Pierwsza strona skręciła się w żarze i wtedy mógł odczytać kartę tytułową, wydrukowaną w starożytnym narzeczu Pielgrzymów „Seternem rerorh hohur” co w universalu znaczyło „O wielości światów zamieszkanym”.

— Czy kazałeś mi zabić mnie? Dlaczego?!!!

— Głupcze!!! — straszne oczy — głupcze, wiedz, że droższy jesteś nam niż myślisz. Idioto, nie po to wyłapujemy Was, gdy trafiacie do przechodni, żeby potem zabijać.

— Dlaczego więc...?

— Wortrer był podstawiony. Wiem o tym nie tylko od Smygi, tego pokurcza, który zdradziłby nawet własnego ojca, gdyby mu się to opłacało. Jak widzisz zdrada nie opłacała się Smydze zupełnie. Myślę, że w niebie odpuszczą mu... Co, jak sądzisz? W niebie! Ha, ha!

Oz drgnął mimo woli. Ten dziwny starzec fascynował go od chwili poznania, dlaczego nie zachowywał się tak, jak inni? Czemu wraz z wieloma mu podobnymi, przynajmniej zewnątrz, nie znajdował się teraz w Bombzee?

— Dlaczego...?

— Dlatego!!!

Nie przypuszczał, że coś takiego może się przydarzyć. Mistrz zacisnął prawicę i z nieprawdopodobną siłą wymierzył mu potężny cios. Oz upadł wzniecając pył.

W suficie zabłysnął jasny prostokąt. Nieruchome ciało, nie zmieniając ułożenia, uniesione delikatnie, zniknęło w świetlistym otworze.

Starzec zgarbił się, dorzucił jeszcze jedną księgę do ognia, pogrzebał prętem w palenisku i znowu znieruchomiał.

Deszcz za oknami rozpadał się na dobre. Już nie grzmiało, chyba burza przechodziła bokiem. Gdy zrobiło się jaśniej, miejsce pni znowu zajęły szyby wind, miękkie runo zmieniło się w dobrze znany pianolit, zniknęły również drewniane ściany, a powietrze wypełnił wielojęzyczny gwar jednego z poziomów City. Dla postronnego obserwatora nic się nie zmieniło.

Karzelkowaty stwór, automat asenizacyjny, o wielopalczastych, giętkich kończynach, przetoczył się po podłożu, zbierając rzeczy pozostawione przez Oza. Wśród przedmiotów brakowało tylko złotej fibuli wyobrażającej kulę z siedmioma nieregularnymi plamami.

W tłumie, który wypełnił korytarze, cichły kroki wyniosłej, czarnej postaci.

Załącznik 00/129

Od chwili zniknięcia Numenoryjskiego Księcia intrygował go Bombzeyski Terminal. Gdzie bowiem, jeśli nie tam, mogła znajdować się jedna z przechodni? Otarł krople z szyby hełmu i

wymówił słowo rozwiązania, które odszukał w archiwach Zakonu w Thonson. Drzwi Sezamu otworzyły się, ale ich nie przestąpił. Nasłuchiwał tylko przez chwilę płynących z oddali pokasywań, chrząknięć, cmokań.

Jęk sprężyn mieszał się ze spazmem płuc, pochlipywania z szeptem. Z ciemnego otworu wionęło zapachem szpitala i starzyzny.

Zacisnął prawicę na rękojeści miecza. Odgłosy człapania to nasilały się to cichły. Pod nogi czarnego rycerza, wraz ze strumieniem zimnego powietrza, spłyнуło kilka postrzępionych nadpalonych kartek.

„...współczynnik zejść spadł do dwunastu procent, co stanowi minimalny wskaźnik, nie notowany w dziejach Bombzeyskiego Terminalu. Nowe wytyczne precyzują sposoby naprawy sytuacji, tak środkami doraźnymi, jak i długofalowymi. Przede wszystkim, by podnieść wskaźnik śmiertelności, należy obniżyć próg przeżywalności do...”.

Nie to, dalej!

„Percepton nominalnie tylko zapewnia właściwą realizację planu. De facto pacjenci przestali odpowiednio reagować na aplikowane im bodźce. Nawet sprawdzona i wielokrotnie już wypróbowana, z doskonałym zresztą skutkiem, metoda oznaczona kryptonimem ZUZANNA...”.

Dalej! Dalej!

„...Rigor mortis pozwala na odpowiednie, bezpojemnikowe składanie ciał, szczególnie w pomieszczeniach, w których utrzymana jest stała, niska temperatura. Niestety całkowite wykonanie planu w bieżącym okresie sprawozdawczym nie będzie...”.

Zatrzasnął drzwi. Głucho załomotały wśród ścian ciężkie kroki spóźnionego. Wciągnął powietrze przez filtr i wypuścił je szybko, jeszcze raz wykonał głęboki wdech, rozkaszał się, przytrzymał opadającą na oczy przysłonę. Czy poddali go

metamorfozie geriatrycznej? Jeśli tak, Bombzeyski Terminal z jego nieładką, według źródeł oficjalnych humanitarną techniką, stanie przed Numenoryjskim Księciem otworem. Nie co...

I wtedy zobaczył ich. Drobili pod ścianami, przemykali się chyłkiem, niezauważalni, nie rzucający się w oczy, ale sami dobrze widzący co się święci, doskonale słyszący wszystko.

Zatrzasnął mieczem i cienie pierzchły. Musiał go odnaleźć. Złotą fibulę wsunął za pas. Przechodnia była w pobliżu. Zdał się na łut szczęścia. Nie wiedział, czy dobrze trafi, ale musiał się spieszyć. Czuł już pulsację pól.

Załącznik 00/130

„Orkas karmieni ludzkim mięsem, przyciężkie ferny z bagien i wielkie baradony o rozpostartych skrzydłach — całe to plugastwo mnoży się obficie w Górach mrocznych. Ja, Książę, Van Nerthmund Oz per Stromalee, zobowiązuję się uwolnić od nich land. Albo wrócę zwycięzcą, albo polegnę. Dajcie mi miecz mój, świetlisty pancerz, misiurkę zacną i przyprowadźcie hippariona, trójpalczastego wierzchowca mego”.

— Już się budzi. Jak długo leżał?

— Zaaplikowaliśmy mu hypnostiaminę.

— Będzie pamiętał?

— Przypomnimy mu. Ciszej, otwiera oczy.

Załącznik 00/131

Wpadł niefortunnie. Przedzierał się przez tłum. Pracowicie machał łokciami, a gdy to nie pomagało, rozgarniał ciżbę na drodze uderzeniami długich pochw. „Święty Mika, gdy wyszedł z bagien pitańskich, nogi miał unurzane w błocie”.

Ci bliżej niego, usuwali się sami. Przynajmniej próbowali to zrobić, inni jednak napierali zewsząd. Długi pochód ciemnych sylwetek ciągnął się z góry, gdzie jego źródła ginęły w zbitej

mgle, i zbiegał gdzieś na horyzoncie, z podobnymi mu potokami ludzkimi. Nikt jednak nie zwracał uwagi na Czarnego Rycerza, jeśli tylko nie przeszkadzało to w marszu. Nikt nikogo nie popędzał, nikt nikomu niczego nie nakazywał, ale pierwszy szereg uchodził przed następującym mu na pięty, ten zaś umykał podkutym butom trzeciego, tak bez końca.

Wszyscy biegli tam, gdzie wśród rozległych równin, wśród potężnych lasów i dzikich gór, nad brzegiem Bezmiennego Morza, nad Stromalee, wschodziły Słońca.

Załącznik 00/132

Klepnął go jakby od niechcienia w twarz, ale Oz nadal leżał bezwładnie. Przestał tylko majaczyć.

— Może uderzył go za mocno?

— Nie bój się. Strukturom tego typu nie grozi idiosynkrazja ani uszkodzenie konwencjonalnymi środkami. Jedyne ich układ sterujący może być narażony. Dlatego jest tak chroniony — dodał tonem wyjaśnienia.

Oz otworzył oczy. Ciemny masyw górski spłynął znad horyzontu w błękitniejącą puszcze. Słońce? Dwa słońca — Arion i Meroe — minęły się w wędrówce po firmamencie. „Tu stare ciotki zagłaskują koty na śmierć, a Biały Smog..., Biały Smog? A Biały Smog pilnuje swoich skarbów”.

Nagle, bez widocznej przyczyny, horyzont przekreślił się. Dwa słońca wykonały skomplikowane, taneczne pas. Masyw górski okazał się czyjąś postacią, spowitą w brunatną materię, oba słońca rażącymi wzrok lampami, a Biały Smog spływającym wzdłuż ścian niewielkiego pomieszczenia dymem, wysysanym przez zakratowane okienko przy podłodze.

W lustrzanej tafli naprzeciwko posłania, na którym spoczywał, odbijały się sylwetki dziwacznie ubranych mężczyzn. Obaj, wyniośli i milczący, patrzyli na niego z wyraźną odrazą. Jeden z nich miał na sobie osobliwie skrojoną

bluzę zielonego koloru, z mnóstwem guzów, sprzączek, klamer i pasków. Drugi, choć ukrywający się pod brązowym płaszczem, zdradzał, iż także ma na sobie ów tajemniczy, zielony uniform. Na domiar wszystkiego ich głowy okręcone były misternym zwojem, którego nie widział ani w Symflitis, ani tym bardziej na zamku w Stromalee. U ich pasów nie zobaczył rękojeści mieczy. A przecież ich sylwetki zdradzały wysokie pochodzenie..., to było zastanawiające.

Załącznik 00/133

Ezra Meph z roztargnieniem przyglądał się bezcelowej pracy jajogłowych. Ich złane potem grzbiety zanurzały się w tłustym czarnoziemiu i znowu wypływały na powierzchnię w zgodnym rytmie.

Wzniósł się trochę wyżej, by lepiej ogarnąć wzrokiem podległy mu kontyngent. Jajogłowi pracowali spokojnie. Już dawno wywietrzały im z głowy buntownicze myśli, już dawno minęły czasy powstań, krwawo tłumionych przez lejbgwardię.

Jeszcze wyżej. A land wyglądał stąd jak góra, a morze stało się niebieskim szalem.

Długie korytarze rzeźbione w podłożu wiły się w przeróżne strony, splatając się w zadziwiający, trudny do ogarnięcia nawet z tej wysokości wzór.

Nacisnął dźwignię eskalatora. A land przedstawiał się teraz jako ogromne drzewo. Nie widział już jajogłowych, choć efekt ich działania był w tym momencie doskonale widoczny... co?!!!

Wyżej!!! Potworny lęk ścisnął ciało Ezry żelazną obręczą, potworny ze względu na nieubłaganych Saurydów, czuwających w swych orbitalach, nie znając snu.

Dlaczego? Wiedział, że wkrótce przylecą po niego. W dole, pracowicie wyryte przez podległych mu jajogłowych korytarze skomplikowanej mandali, utworzyły wyraźny konterfekt

Numenoryjskiego Księcia.

Załącznik 00/134

Był stary, tak stary, że zapomniał już zapachu dziewic, których od dawna nikt nie sprowadzał mu z zamorskich krajów. Wysoka wieża, u podnóża której wygrzebał niegdyś obszerną jamę, dawno rozsypała się w gruzy.

Był też bardzo samotny. Od dawna żaden statek nie przepływał w pobliżu ani z odległego Sunyan, ani z portów w Fusach, Konado, Eksik czy Juga–Merih. Ruiny na wzgórzu opuściły złośliwe horru, których nie znosił, ale których obmierzłe towarzystwo zniósłby teraz z przyjemnością. Bo zabić chciał śmierć. Śmierć zaś stała się jego jedyną towarzyszką. Krążyła w lansadach, czuł jej milcząco—wyczekującą obecność, w głębokich fiordach i zimnym odmiecie morza w pobliżu półwyspu. Czuł, że przygląda mu się i ostrzy swój długi miecz.

Aż wreszcie zmaterializowała się kiedyś, nieuchwytna dotąd, choć jego doniosły ryk wystraszył wokoło wszystkie żywe stworzenia. Zobaczył błyszczący obiekt daleko, na horyzoncie, olbrzymiejący niespodziewanie, nim zdołał rozwinąć swe błoniaste skrzydła i unieść się w powietrze.

Srebrzysta płyta odcięła go od nieboskłonu. W rozbłyskach niezliczonych światłał rozsunał się pancierz ukazując jasne wnętrze. Nie miał już siły przeciwstawiać się potężnym, niewidzialnym szponom, które uniosły go w górę. Ziemia w tym samym momencie zniknęła i usnął nie wiedząc, że wraz ze statkiem znalazł się już za widnokregiem.

Załącznik 00/135

— Wstań! — głos był stanowczy i może przez to budził zaufanie. Podniósł się bez żadnego sprzeciwu, choć przez chwilę wydawało mu się, że upadnie na posłanie. Obaj

mężczyźni ujęli go delikatnie pod ramiona. Dał im powieść się ciemnym korytarzem do niewielkiej komnaty, gdzie go opuścili.

Nim zdołał się rozejrzeć po otoczeniu, z wielu stron wpadły pochylone postacie. Sięgnął ręką do pasa, nie napotkał jednak usłużnej rękojęści.

Nowo przybyli okazywali mu wszakże tyle uwagi, że pozwolił zrobić ze sobą wszystko, czego chcieli.

Najpierw odziali go w rodzaj długiej tuniki z miękkiej w dotyku materii. Nogi owinęli mu sprężystą taśmą, talię ścisnęli szerokim, wzorzystym pasem. Potem przyniesiono ceramitową zbroję — jej ciężaru zupełnie się nie czuło — ręcznie inkrustowaną jadem i symonitem. Oblekli biodra ciężkim, srebrnym łańcuchem, z boku którego zwisał długi, lekko zakrzywiony miecz. Wyciągnął żłobkowane ostrze o grubej, pełnej jadu rękojęści. Na ramiona narzucono mu zdobny w czarne gryfy płaszcz. Do stóp wreszcie przypięto iskierniki. Ktoś usłużnie podał mu puklerz zdobny w znaki odzegnujące ciosy wrogów i czary.

Bardzo się spieszo. Nagle zobaczył dłaczego. Ściany komnaty opadały gwałtownie. Zagrzmiały trąby, litaury, buchnęło światło główni, jupiterów i luminoforów. Ujrzał się na dnie olbrzymiej, zacienionej, mimo słonecznego dnia, niecki, której brzegi, upstrzone głowami, wzniosły się w zawrotnym wirze w górę.

Dopiero teraz dotarł do niego ryk tysięcy gardzieli i usłyszał własne, z dawien dawna zapomniane imię, wykrzykiwane z uwielbieniem.

Cisza zapadła niespodzianie. Niebo pociemniało. Wszyscy unieśli głowy. Zagmatwany ogrom zamykał niczym wiekiem odwróconą czaszę amfiteatru.

— Książę, oto twój wierzchowiec.

Wzdrygnął się, gdy ujrzał u szczytu potężny kształt

ognistego zwierzęcia. Ale zaraz opamiętał się i duma wypłynęła na jego oblicze. Dosiadł smoka, który natychmiast wzniósł się w powietrze. Jak Haldare Złotousty, jak tytan Aloorh ujeżdżający potwory, wleciał w górę na prychającym ogniem rumaku. Jak Peryan Przekłęty zapragnął podciąć Słupy Niebios, by zniszczyć sielankową siedzibę Bogów.

Ale ci czuwali. Złocisty dysk kołysał się w blasku słońca nad Modoorn — Krainą Wzgórz, a jego owalny podwójny cień padł na Stromalee — Odwieczną Dziedzinę.

Zobaczył w dole krainę młodości. Ścięte lodem, płaskie wybrzeża Terthrosis zniknęły gdzieś, jak zły sen. Zniknął tantanowy walec Symflitis, jakby miasto po nabraniu oddechu, zanurzyło się w mroczne głębiny, zniknął Lodowaty Ocean z ukrytymi na dnie, a wypływającymi od czasu do czasu, miastami — państwami.

Zielone wzgórza łagodnie opadały ku brzegom jasnych strumieni. W oddali dostrzegł jasną plażę i białe fale załamujące się na skałach. Meddorn i morze. Czy zdoła dostrzec uskrzydłone korabie Memnone Wielkiego, powracające z Kraju Milczenia?

Granitowe skały Przylądka Pazura wybiegały daleko w morski przestwór. Cichutkie Kormaalen przysiadło na brzegu, a w niewielkim awanporcie kołysały się sennie łodzie łowców piraj. Zadrzał. Przeszłość nie powróci...

Na morzu zauważył żagle. Czarne żagle...?

Smok zniżył lot i wtedy doliny opasujące Stromalee zapełniły się mrowiącymi sylwetkami, i spostrzegł potoki złożone z maszerujących ludzi, a wśród fal zbliżające się trójmasztowe galery Zakonu.

Przynaglił swego skrzydlatego wierzchowca do szybszego lotu. Zatopione w promieniach karminowego nadolbrzyma Ariona i wschodzącego Meroe, niczego nie spodziewające się Medeorn, oczekiwało jego pomocy.

Załącznik 00/136

Gdy Leśne Wzgórza zaczerwieniły się, przybyli traktem zachodnim w Dolinę Soormaleyn. Ludzka ciżba zatrzymała się wtedy na chwilę. Spoza kratak przyłbic zobaczył spocone twarze podobne do siebie w blaskach odbitych od białych skał.

Marsz mącony był jedynie szybkimi oddechami i pokasywaniami. Przez chwilę sądził, że usłyszał szum morza, ale było to złudzenie. Wieże Stromalee gorzały szkarłatem, choć nie dotknęły ich jeszcze płomienie wzniecone w ogniskach aurentinowych zwierciadeł.

Czekano na coś, na znak jakiś tajemny. Nieoczekiwanie wrzask podniósł się na północy, okrutny zew czyjś przepotęźny, niosący zagadkową, acz zrozumiałą czasem, bo pełną niepoahamowanej nienawiści treść.

Wśród tłumów ktoś odpowiedział na ten zew, twarze wokół, dotąd pobrużdżone znojem, wykrzywiło okrucieństwo i szalona zawziętość. Szeregi ruszyły znowu naprzód. W teźże chwili gród, jakby uśpiony jeszcze, rozjęczał się na trwoę melodią dzwonów i w blaskach dwóch słońc, troiście ocieniony zmalął jakby, mury jego niezdobyte wydawały się krule, wieze zbyt niskie, by oprzeć się naporowi tłuszczczy, bramy za słabe na pancerne łby tatarów. Z tyłu ozwały się dzikie wrzaski, więc usunął się na bok, pochylając całą sylwetkę, bo wyróżniał się wśród wojowników wzrostem. Przy wtórze trąb i bełkotliwej kapeli, na rogatyh hipparionach, przedzierała się przez ludzki las ciężkozbrojna jazda z Thanatoos — Kraju Skrzydlatej Śmierci. Smagli, ognistoocy rycerze parli w największą gęstwę, wykrzykując okrutne słowa. Długimi kirysami dźgali zbyt opieszale usuwających się z ich drogi.

Umknął przed ostrzem..., wtedy dojrzał go na przedzie i wiedział już, że jednak dobrze trafił i że odnajdzie Numenoryjskiego Księcia.

Na obrzydliwej, uskrzydłonej chimerze pędził mąż olbrzymi, zmieniony przez jaskrawy strój, ale przecież do rozpoznania. Ów straszliwy wódz jeźdźców z Thanatoos, byłżeby jednocześnie Melem Hertrodontem, zniewieściałym arystokraty z Symflitis? Czyżby i on umiał korzystać z przechodni?

A jednak, to był Hertrodont. Wyraźnie widział go na ciemnym tle pogłębionym przez chmurę czarnych piór otaczających sylwetki jeźdźców.

Tupot stóp piechoty, zrazu nikły, zmienił się w dziwaczny poklask, w doskonały aplauz widzów dla prześwietnego theatrum, rozgrywającego się wokół, aż wreszcie przekształcił w deszcz kłaśnieć, burzę owacji, huragan—wir potworny, u którego podstawy tkwiło Stromalee.

Załącznik 00/137

Pęd powietrza wciskał w krtań nie wykrzywane słowa. Skrzydła smoka brzęczały metalicznie, gdy spadł na ciżbę z góry, bez oglądania się na pojedyncze jednostki, bez wybierania celu, ot tam, gdzie skupiała się największa masa. I motłoch ustępował przed samym złowrogim dla niego cieniem, przed płomieniami, którymi ziała paszcza ognistego rumaka, rozpierzchał się, jak rozpedzone przez wichurę chmury.

Na moment ciemno zrobiło się od wystrzelonych strzał, ale nawet nie próbował się przed nimi osłaniać. Smok był niedościgły, wzniósł się błyskawicznie, nieosiągalny dla najwspanialszych łuczników i ich łuków uczynionych z wyrostków grzbietowych scyphozaura. Zaledwie kilka zabłąkanych pocisków dotarło w poblizę księcia, tak iż niemal mógłby pochwycić je, zastygłe przez chwilę w szczytowym punkcie paraboli.

Nie miał się go żaden cios; złocisty puklerz zapewniał mu dostateczną ochronę. Dotychczas nie dobył miecza, ale chwila ta — czekał na mą podświadomie — zbliżała się.

Kiedy najgorętsze zapamiętanie minęło, w pobliżu Głównych Wrót twierdzy nagle zrobiło się pusto. Piechota rozpięzchła się i można było nie brać jej na razie pod uwagę, ale jeźdźcy ze znakiem Skrzydlatej Śmierci na tarczach nie ułękli się smoka, tak jak nie ułękli się dziedzica na Stromalee.

Księżę, gdy wspinały wierzchowiec wylądował, zeskoczył z misternego siodła na ziemię ojców, tę samą, po której biegał jako chłopiec. Smok skulił skrzydła, złożył je po zapadłych bokach i przywarł podbrzuszem do gruntu, lecz władca wyglądał przy nim i tak niepokaznie. Zwierzę drżało nerwowo, a stłumiony pomruk wulkanu w jego gardzieli mógł się za moment rozpaść nowym płomieniem.

Konnica z Thanatos nie zamierzała jednak rezygnować. Przewodził jej bowiem nie pyszny i w gruncie rzeczy tchórzliwy arystokrata, obawiający się przede wszystkim o swoje życie, ale jeden z Upadłych, wódz, któremu służy się do ostatniego tchu i którego rozkazów słucha się na ślepo, a wykonuje je natychmiast. Ów zniewieściały, zepsuty Mel Hertodont, zaś naprawdę Behomel Orhertr Odonthor, Cień Grozy i Oddech Śmierci, stał teraz naprzeciw Księcia, by zetrzeć w pył nadzieję, uczucia, zagasić błysk w oczach, a duszę pogрузić w smutku nie dającym się rozproszyć.

— Dobądź miecza, bo chcę dać Ci tę nikłą szansę, dobądź miecza, boś Księciem i władcą tego kraiku, ale ratunku dla Ciebie nie ma.

— Świat odmieni się, ustąp, odejdz póki jeszcze czas!

— Ha, ha, ha!!! I Ty ośmielasz się jeszcze stawiać warunki?! Stromalee to jaskinia bękartów, a ty jesteś bękartem do kwadratu!

— Giń — Księżę nie potrafił już opanować się. Nie poznał (?) człowieka, z którym znał się od lat. A może przebranie i sposób zachowania tak go zmieniły?

Ogzygis van Nerthmund poderwał się na smoku do góry i

uderzył na wodza jeźdźców z Thanathoos.

Behomel Orhertr Odonthor nawet nie poruszył się, tkwił spowity w sutą, pstrokatą oponcę, a za nim niecierpliwiła się poczwarna, czarnopióra chimera.

Załącznik 00/138

Buława napotkała miecz w pół drogi. Zachwiał się pod ciosem nienawistnego przeciwnika. Byłby upadł, gdyby nie skrzydło smoka. Osłonił się tarczą, ale uderzenie wytrąciło mu ją z ręki. Następne powaliło jego ognistego wierzchowca. Ostatni ryk zwierzęcia ze strzaskanym kręgosłupem, łabędzi śpiew śmiertelnie zranionego smoka i łomot cielska uderzającego o ziemię, zlały się w jedno. Chimera przeraźliwie zaskrzeczała, a Księżę leżał bezbronny, nie patrząc jak buława podnosi się by dobić go. Umierać w słońcu nie wydało mu się czymś strasznym. Chciał żyć, bo chciał wjechać do grodu, chciał przekonać się czy potrafi spojrzeć w twarze swoich przodków od stuleci przyglądających się wszystkim wstępującym do refektarza i Wielkiej Sali zamku. Nie zasiądzie już na tronie Namiestników...

Lekkie muśnięcie obudziło go z marzeń. Czy to skrzydła Śmierci — wybawicielki? Nie ujrzał nad sobą postaci Wodza Upadłych. Behomel Orhertr Odonthor pędził na swej chimerze za uciekającym wojskiem. Dzwony Stromalee dźwięczały tym razem pieśnią dziękczynną. Ich jasny głos niósł się daleko w przejrzystym powietrzu.

— Podaj mi dłoń i wstań, jeśli nie jesteś ranny. Razem wejdziemy do twego grodu.

Spojrzał w oblicze Czarnego Rycerza. W gorejących oczach nie widział ani groźby, ani gniewu.

Z murów obserwowano przebieg walki i gdy zastępy wrogów pierzchły, a z nimi ich niepokonany władca, bramy grodu otworzyły się. Niewielki zastęp rycerstwa wystąpił by

powitać Księcia. Ten szedł opierając się na mieczu, jego ramię zwisało bezwładnie u boku.

Księżę popatrywał ukradkiem na Czarnego Rycerza, nie wierząc i nie domyślając się jakie motywy kierowały tym człowiekiem. Człowiekiem? Nawet tego nie był pewien. Czarny Rycerz! Bezwzględny wróg Cesarstwa, którego przecież część nieodłączną stanowił Stromalee, i on miałaby pomagać jemu, Księżciu” tej krainy. I tej oto istoty bał się potworny wódz z kraju Skrzydlatej Śmierci. Takie jednak były fakty, niezrozumiałe, ale prawdziwe...

Księżę pierwszy przestąpił zwodzony most, pośród szpaleru wiwatujących żołnierzy. Długo przypatrywał się herbowi rodu nad bramą — srebrnemu sierpowi planety na błękitnym tle nieba, i coś się w nim załamało. Upadł. Nie widział już jak Strażnik Wieży biegnie ku niemu, jak rycerze pochylają się nad nim, jak podejmują go pod ramiona i niosą na płaszczu do górnego zamku, i jak milcząco wszyscy rozstępują się przed Czarnym Rycerzem, kroczącym za gwardzistami dźwigającymi ciało Księcia.

Załącznik 00/139

Ocknął się w łożu, w komnacie swego ojca. Zmierzchało. Meroe zaszedł za horyzont, Arion kąpał się jeszcze w morzu, jakby przed snem chciał zmyć plamy ze swej olbrzymiej tarczy.

Ciche pukanie przywróciło go do rzeczywistości.

— Wejść!

W drzwiach komnaty stał Bergoland, nardak z Thonson, Czarny Rycerz. Ramię Sprawiedliwości Zakonu, Bicz Boży, przed którym drżeli moiżni tego świata. Bergoland zabił Wotrera, Bergoland ściagał go w Symflitis nu wyspie Terthrosis, Bergoland przebył za nim przechodnie, a więc musiał byc w zmwowie z Mistrzem, a jednak... Bergoland odpędził Wodza Upadłych i podał mu pomocną dłoń.

Przed Numenoryjskim Księciem stał teraz wyniosły i milczący, dumny i niepojęty. W obliczu przysłoniętym do połowy maską widział jedyni przenikliwe oczy, drażące wzrokiem do głębi.

OgZygis van Nerthmund Oz per Stromalee, władca Medoorn nad Bezimiennym Morzem, wracający po latach wygnania do Cesarstwa opanowanego przez Płanetników z Saurydy, z niepokojem i rosnącą troską czekał na słów istoty, od której nie spodziewał się dotąd niczego dobrego...

— Nie mogłeś Książę liczyć na nic innego z mej strony, skoroś był wasalem Cesarza — mego nieubłaganego wroga — Czarny Rycerz nie tylko wzrokiem przenikał na wskroś. — Teraz jednak, gdy pozwolono Ci wrócić do Stromalee, bo sam byś tego nie dokonał, musiałem dopilnować, by jedyny obszar w Cesarstwie nie inwigilowany w pełni przez Saurydów, i jeszcze niezależny, mógł odzyskać władzę.

— Kim jesteś Panie?

— Czyżbyś się nie domyślał?!

Bergoland zrzucił płaszcz, zdjął powoli hełm i ściągnął maskę. Tam, gdzie” człowiek ma czoło, u niego tylko precudnie tęczało, policzki zdawały się niczym wiatr, usta ściągnięte jak chmury gnane orkanem, szyja promieniowała, a nos był doskonale nieobecny. I tylko oczy — dwie planety — płonęły w nicości wydobytej na jaw.

— Jestem Pozorzaninem.

— Czy mam odejść z Tobą na Zachód?

— Podaj mi swą dłoń — Pozorzanin ujął rękę Księcia. — Czy wiesz, skąd przybywam?

— Tak, słyszałem o tym w dzieciństwie, choć nigdy właściwie nie uwierzyłem, że istnieliście... nigdyś.

— Mnie samemu wydaje się to zbyt odległą chwilą, bym mógł wszystko dobrze zapamiętać. Jak myślisz — rzekł Duch Zachodni, wyciągając fibulę Księcia. — Co przedstawia ta

brosza?

— Przechowujemy ją w naszym rodzie od setek lat. Otrzymałem ją od mego ojca, a on znowu od swojego. Podobno Memnone Wielki przywiózł był ją z Kraju milczenia...

— Ta brosza, to moja planeta... Siedem plam przedstawia kontynenty oblانة morzem. I wiesz, że ona stamtąd pochodzi, spoza Tęczy? Wezmę ją ze sobą, gdy jutro odejdę. W Twojej komnacie schowałem perpetuotron. W nim odnajdziesz moją powłokę, gdybyś potrzebował pomocy przeciwko Upadłym. Jeśli obudzisz mnie, przyjdę zza Słupów Świata. Tam będę na Ciebie czekał, kiedy skończysz swoją pracę... tutaj, gdy Stromalee będzie naprawdę wolne. Nadaję Ci barwę, staniesz się jeszcze jednym pasmem srebrzystej Zorzy, a wtedy spotykamy się niezawodnie u granic Nocy. Pozorzanie mają przedziwne zwyczaje. Przekonasz się sam, że baśnie o nas były niczym płytkie, ciepłe morze. Świat się odwróci, gdy energia we wszystkich układach zrównoważy się. Przechodnie staną otworem dla każdego, już niedługo. Musisz to wykorzystać! Musisz pokonać Saurydów ich własną bronią. Istnieje nie tylko Terthrosis i Cesarstwo. Świat runie i będziesz zmuszony poradzić sobie z całą planetą. Meddorn i Stromalee staną się nie znaczącym elementem Wielkiej Machiny. Odchodzę teraz, bo energii starczy tylko jeszcze na parę godzin. Żegnaj, a może do widzenia.

Pozorzanin ściągnął czarną zbroję, odłożył cały rynsztunek, z którym wszedł do komnaty Księcia. Gdy ostatni promień Ariona na wieczornym niebie zarysował obłoki czerwono-złocistą kreską, Pozorzanin skorzystał z okazji.

PRAWO SĘPÓW

Nigdy nie lekceważ naszych praw, kobieto — powtórzył Kotellak siedząc na ramieniu rozciągniętej na ziemi czarnowłosej kobiety w niebieskim mundurze armektańskiej Gwardii. — Nigdy nie lekceważ naszych praw. A teraz zbudź się.

Powieki leżącej rozwarły się powoli. Słońce — tak rzadki gość w Ciężkich Górach — zajrzało w ziejące czerwienią puste oczodoły. Powietrze przeszył przeraźliwy krzyk. Leżąca przycisnęła dłonie do twarzy.

— Nie! Nie! Nie!

Wysoko na niebie widniał niewielki, czarny punkcik. Nie widziała go, nie mogła go widzieć.

— Nie! Niee!

Zawieszony w powietrzu Kotellak rytmicznie poruszał dziobem:

— Nigdy nie lekceważ naszych praw, nigdy nie lekceważ naszych praw, nigdy...

Zabrzęczały na werandzie ostrogi.

— Poruczniku!

Zerwała się z łóżka, wyprężyła.

— Słucham,, Panie!

Znów brzęk ostróg. Staął w drzwiach, skrzywił twarz na widok jej nagości.

— Weź ośmiu ludzi i każ im przygotować się do drogi. Pojedziecie... Urwał nagle. W zamyśleniu spojrzął na czubki swych zakurzonych, wysokich butów.

— Przyjdź do mnie za kwadrans. Ubrana — podkreślił z

naciskiem, — Dość mam widoku tych waszych gołych cycków. To jest wojsko, koszary, nie ogród w Rinie, czy innej tam armektańskiej dziurze. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, więcej powtarzał nie będę. I przekaz tym swoim ślicznotkom. A tak na marginesie: chciałbym, by patrol, który ci powierzam, składał się z samych mężczyzn. Zrozumiałaś, czy mam powtórzyć? Z samych mężczyzn!

— Słucham, Panie!

Odwrócił się i wyszedł. Gdy tylko usłyszała tupot kopyt oddalającego się wierzchowca, z pasją kopnęła niski, stojący przy łóżku stołeczek. Zabolało ją, zagryzając wargi usiadła przy łóżku i rozmasowała bolącą stopę. Była zła, że znów pozwoliła mu się zaskoczyć.

W Rinie, w której się urodziła i wychowała, odzież nosiło się tylko poza domem, nagość w domu była symbolem miłości, przyjaźni i czystości sumienia. Uśmiechnęła się gorzko, wspominając ów pierwszy wieczór w garnizonowych koszarach, gdy urządziła małe przyjęcie dla nowych kolegów i koleżanek z kadry oficerskiej. Te ich zgorszone spojrzenia, gdy otworzyła drzwi ubrana jedynie w króciutką, symboliczną spódniczkę... Wystrojeni, zapięci pod szyję mężczyźni za jej plecami pokazywali ją sobie wzrokiem, dwie Gwardzistki w stopniu kapitana co chwila wymieniały kilka szybkich uwag, pochwyliła jedną z nich: „pijana, czy...?” Przez całą noc płakała nic nie rozumiejąc, a rano przybiegły do niej dziewczyny z jej trzydziestki, też z płaczem: wyśmiano je w bloku, w którym miały mieszkać, mężczyźni pchali się do nich z łapami, kpiny i śmiechy nie pozwoliły im zasnąć. Wpadł wreszcie jakiś szóstkowy, naurągał im od idiotek i rozpustnic, aż wreszcie Kristira pokazała mu swoje szlify i postawiła na bacność.

Koło południa przyszedł do niej Argon P.A., Komendant garnizonu. Surowo wyjaśnił rozbieżność zwyczajów obu

Prowincji i kategorycznie zabronił podobnych rzeczy na przyszłość. Odtąd tylko w jej domu chodziły nago, a i to zawsze miały szczęście, że ktoś je zobaczył. Krzywo też patrzyli oficerowie na jej poufałość z podkomendnymi — jakże inaczej było w Rinie! Tam całe koszary były zgraną, wesołą grupą, tu byle szóstkowy z wyniosłą miną paradował w sztywno obciążonym mundurze, a już porucznik rzadko poniżał się do bezpośredniej rozmowy z szeregowcem...

Drgnęła. Na Moc, powinna już być u Komendanta! Stary szalenie przestrzegał punktualności!

Szybko wciągnęła sztywne nogawice, wbiła nogi w ciężkie buciory, zapięła spódnicę. Już w biegu dopinała kurtkę. Z owiniętym w pendent mieczem w dłoni wbiegła do bloku zajmowanego przez Komendanta i jego zastępców. Zatrzymała się w sali odpraw by dopiąć pas, gdy drzwi przed nią rozwarły się nagle i stanął w nich Argon P.A.

— No, poruczniku — rzekł prawie spokojnie — jesteś tu tylko czasowo i nie mam prawa zrobić z ciebie szeregowca. Ale bądź pewna, że jeszcze dziś pchnę opinię o tobie do twego dowódcy w Rinie.

Wypreżyła się, przyciskając dłonie do ud. Z rozpaczą czuła, jak źle dopięta klamra pendentu rozsuwa się powoli.

— Doprawdy — mówił dalej Komendant — waham się, czy wysłać cię na czele tego patrolu... Gdybym miał pod ręką innego wolnego oficera...

W ostatniej chwili złapała osuwający się na podłogę miecz. Poczowała, jak wilgotnieją jej plecy.

Argon urwał niemal w pół słowa. Zapadło ciężkie milczenie. Wreszcie odwrócił się i wszedł do swego pokoju.

— Proszę za mną.

Szybko umocowała miecz. Wskazał jej krzesło. Usiedli.

— Zadanie nie jest trudne — zagaił. — Doniesiono mi, że w okolicach Krzywych Skał ukrywa się niejaki Rador, pastuch ze

wsi Bogrog. To szaleniec, podobno wyrznął kosą całą swoją rodzinę... Cel patrolu: odnaleźć i dostarczyć. Żywego. Wszystko jasne, czy mam powtórzyć? Żywego.

Poderwała się z krzesła.

— Słucham, Panie. Czy mogę odejść?

— Możesz. Wymarsz za pół godziny. Czy wyznaczyłaś już ludzi?

— Jeszcze nie, Panie.

— Tak myślałem. Czekają na ciebie przed piątym blokiem. Przyślij mi tu Barga. To taki brodaty grubas.

— Słucham, Panie.

Wyprostowana opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie ciężko i otarła pot z czoła.

— Panie...

— To ty, Barg. Znakomicie. Siadaj.

Żołnierz usiadł. Na jego twarzy nie było żadnej myśli, choć musiał być mocno zdumiony łaskawością surowego zwykle „starego”. Czekał.

— Jedziecie dzisiaj na patrol, poprowadzi go porucznik Karenira A.J. To dobry żołnierz, ale wychowany w armektańskiej Rinie... i nie zna Gór. Z tego co wiem, raz tylko brała udział w akcji — jej łuczniczki zastrzeliły z zasadzki konie dwóch półżywych ze zmęczenia Jeźdźców Równin. Nie może zrozumieć, że tu jest Grombelard, gdzie służba jest służbą, a nie uspokajaniem pijaków w gospodach. Dlatego mam dla ciebie specjalne zadanie — miej oczy i uszy szeroko otwarte. Ona dowodzi oddziałem, ale ty za niego odpowiadasz. Jak sobie z tym zadaniem poradzisz — to twoja sprawa. To wszystko.

Żołnierz jak sprężyna zerwał się z miejsca, zsalutował.

— Oczywiście treść rozmowy pozostaje między nami — dorzucił Argon.

— Panie... — żołnierz wydawał się być dotknięty. Argon uśmiechnął się.

— Dziękuję. Możesz odejść.

Trzasnęły drzwi, zadudniły w sąsiednim pokoju twarde kroki. Argon ponownie uśmiechnął się lekko. Stary żołnierz... Takiemu czasem warto powiedzieć coś prywatnie, prawie po przyjacielsku. Na Bargu mógł polegać, swego czasu — bodajże rok temu — we dwóch tylko, ramię przy ramieniu, stawili opór pięciu rozbójnikom. We dwojkę: Komendant i szóstkowy...

Pokręcił głową.

Rbit L.S.I., sławny na cały Grombelard ogromny, bury kocur z rasy gadba, zastępca i prawa ręka Basergora — Kragdoba, króla Gór i górskich rozbójników powolnym, leniwym truchtem pożerał mile. Umiał tak biec całymi godzinami, gdy było trzeba — całymi dniami. Teraz właśnie biegł od trzech dni. Ranki przesypiał, budził się, przeciągał, wykonywał kilka karkołomnych skoków dla rozgrzania mięśni i nie jedząc ani nie pijąc ruszał w drogę. Biegł przez cały dzień i przez całą noc, gdy niebo zaczynało różowieć wypijał dwa łyki wody ze strumienia, jeśli taki był w pobliżu i zasypiał. W taki sposób robił pięćdziesiąt mil dziennie. A zbliżał się do końca swej podróży — był już w Ciężkich Górach. Chciał dotrzeć do ich centrum, tam, gdzie wznosiły się mury Grombu, stolicy Prowincji. Biegając rozmyślał, czy słusznie postąpił jego dowódca uciekając wraz z grupą do dalekiego Londu, miast stawić czoła ogromnej obławie, jaką Gwardziści zorganizowali w Ciężkich Górach.

Rbit był zwiadowcą. Nigdzie się nie zatrzymywał, ale widział i słyszał wszystko. W zasadzie spełnił już swoją misję i mógłby wrócić do Basergora–Kragdoba, a dla niego, Rbita, po prostu Glorma z zawiadomieniem, że niebezpieczeństwo minęło. Ale — jak każdy kot — był cierpliwy i dokładny.

Chciał mieć niezbitą pewność.

Dzień dłużył mu się jak nigdy. W nocy czuł się lepiej, noc dawała mu poczucie swobody i władzy nad wszelkimi stworzeniami. Nie widziany i nie słyszany przez nikogo — któż mógłby go usłyszeć, jeśli on tego nie chciał? — sam widział i słyszał wszystko.

Było dopiero południe...

Staął. Rozejrzył się niespiesznie dookoła, choć wszystkie mięśnie w nim grały, potem nasłuchiwał, wreszcie węszył. Nic.

A przecież coś wisiało w powietrzu, coś złego.

Był w bardzo rzadkim, górskim lesie. Ukrył się w pobliskich krzakach jałowca i sięgnął zębami do grzbietu. Odpiął pasek umocowujący na karku dość duży, skórzany plecak. Przytrzymując rzemienie łapami rozwiązał go niezdarnie i znów zębami wyciągnął z wnętrza mocną, stalową kolczugę. Skoro instynkt go ostrzegął, należało się uzbroić. Instynkt nigdy go nie zawodził, polegał na nim bardziej, niż na wzroku czy słuchu.

Mozolnie, podrzucając łbem i mrużąc ślepia wpełzał w głąb zbroi. Wsunął łapy w krótkie rękawy i przepchnął łeb przez drut stanowiący kołnierz. Teraz wyskoczył wysoko w górę, skakał jak wściekły, aż kolczuga równo ułożyła się na jego bokach i grzbiecie. Teraz wyciągnął z worka cztery długie, skórzane rękawice zakończone stalowymi pazurami w kształcie noży, haków, harpunów. Wsunął w nie łapy i dopiął pyskiem umocowujące je sprzączki. Rozpędził się i skoczył na pobliskie drzewo. Trzasnęła odrywana od pnia kora, śmignęły w powietrzu wielkie jej kawały. Machnął jeszcze parę razy łapami w powietrzu. Był zadowolony.

Znów ruszył przed siebie, ale tym razem usłyszałby go nawet człowiek. Zbroja podzwaniała cicho, pazury uderzały o siebie ze szcękaniem. Nie dbał o to. Nie był już szpiegiem, lecz wojownikiem.

W okolicy Hogrogu, szczytu, niedaleko którego leżały Krzywe Skały, dotarli dopiero wieczorem. Było oczywiste, że w ciemnościach nic nie zdziałają, rozbili więc na skraju niewielkiego lasu prowizoryczny obóz. Żołnierze sprawnie wydobyli z juków dwa małe namioty, w tym czasie dwaj inni powiedli konie do pobliskiego strumienia, wreszcie pozostali przygotowali ognisko.

— Światło zdradzi naszą obecność — zaproponowała Karenira. — Powinniśmy raczej kryć się przed obcym wzrokiem.

Barg spojrział na nią z uznaniem.

— Masz słuszność, Pani, to bardzo dobrze, że pamiętasz o wszystkim. Ale — wybacz — nigdy nie widziałaś ogniska rozpalanego na zbójcecki sposób. Jest wpuszczone w głąb ziemi, a używa się specjalnego drewna, które prawie nie daje dymu.

— No, jeśli Gwardia Grombelardzka we wszystkim wzoruje się na rozbójnikach... — powiedziała z ironią.

Barg odpiął pas z mieczem i położył go w zasięgu ręki. Usiadł przy niej na ziemi.

— To tylko z pozoru absurd, Pani. Chcąc z kimś skutecznie walczyć, trzeba najpierw poznać jego metody walki i czasem nawet przystosować się do nich. Wiele też zależy od warunków... od otoczenia. Popatrz tylko: dlaczego w Armekcie nie używa się tak popularnych w Dartanie kirysów i ciężkich, zasłaniających całą niemal twarz hełmów?

— Bo naszym głównym przeciwnikiem są gromady Jeźdźców Równin, włóczęgów i rabusiów. By mierzyć się z nimi, trzeba sprawnie powodować koniem, a zatem odciążyć go jak najbardziej. Z tej samej przyczyny nie używa się u nas tarcz i toporów, a nawet miecze nosi tylko stacjonująca w miastach piechota. Głównym uzbrojeniem armektańskiej jazdy jest lekka lanca i łuk, czasem też długi sztylet.

— Właśnie. Tak i my bierzemy przykład z odzianych często tylko w skóry Rozbójników Gór. Nie nosimy ciężkich kirysów, co najwyżej giętkie kolczugi, czasem lamelkowe zbroje, bo cóż wart jest zakuty w stal rycerz na górskich bezdrożach? Nasza broń to krótki, szeroki miecz, topór, kusza. Wywijać lancą wśród skał, albo jeszcze lepiej — wśród eskortowanych kupieckich wozów jest niepodobieństwem.

— Mimo to jakoś nie możecie dać sobie rady z rozbójnikami.

Barg przygryzł wargę.

— Cóż, honor Gwardzisty każe mi temu zaprzeczyć, uczciwość zaś... To prawda, Pani. Nie jest łatwo wytropić bandę, a gdy to się już stanie, trzeba jeszcze stoczyć ciężką bitwę, przeważnie na terenie narzuconym przez przeciwnika. Bywa, że bój rozpada się na szereg drobnych potyczek, a nawet pojedynków, bo tu wąwóz, tu las, tu jakieś skały... Jak w takich warunkach utrzymać szyk? A tu jeszcze chłopstwo, pastuchy też przeciwko nam... Bo w Grombelardzie, Pani, nie ma spokojnych, osiadłych na roli mieszkańców. Złodziejami, bandytami i rabusiami są tu wszyscy. Pasterze owczych trzód zamiast kosturów noszą topory i nie czapki ich chronią przed deszczem, lecz hełmy. Biją się wściekle między sobą o prowadzone stada... zresztą z nimi sprawa jest prosta. Gorzej z Rozbójnikami Gór. Zwykle ich bandy liczą osiem, dwanaście głów, ale bywają i takie po sześćdziesiąt. A wszystko to zbratane z wojną od dziecka.

Karemra z uwagą słuchała powolnych, spokojnych słów grubasa, brzmiających w jego ustach jak jakaś barwna baśń. Gdy Barg dorzucił do ognia, zapytała:

— A jak to było z tą obławą? Ciągłe słyszę o jakiejś obławie, że była, że...

Barg z uśmiechem spojrział w jej ładne oczy.

— Obława... No tak, była obława. Wyobraź sobie, Pani,

setki i tysiące żołnierzy jednocześnie przeczesujących Góry we wszystkich kierunkach. Gonitwy, potyczki, bitwy, zasadzki... Jakże nam wtedy brakowało — znów spojrział na nią z uśmiechem — trzydziestu niechybnych łuczniczek. Tak, Pani, właśnie łuczniczek. Pamiętam wszystko świetnie, obsadziliśmy taki wąski, stromy wąwóz niedaleko Egdorbu — wskazał na wschód. — Wyjechali nam pod nosy jak po sznurku, a my... tak strasznie pokpiliśmy sprawę. Łuk nie jest bronią popularną w Ciężkich Górach, prędzej kusza. Mieliśmy dwudziestu kuszników i tylko czterech kiepskich łuczników. Ja byłem wśród tych pierwszych. Strzeliliśmy na komendę, zakotłowało się pod nami w wąwozie! Trzecia część ich legła, ale nim załadowaliśmy kusze powtórnie, reszta przedarła się przez blokujące wąwóz oddziały i uciekła. Patrzyliśmy, jak uciekają, bezradnie kręcąc korbami kusz. Gdybyś była tam ty, Pani, i twoje dziewczęta — wystrzelałybyście ich wszystkich do nogi w tym samym czasie, kiedy my mozolnie ładowaliśmy broń. Zresztą i pierwsze strzały wypuściłybyście celniej; różnie ludzie powiadają, jak kobieta nie nadaje się do machania toporem.

— A do czego stworzony jest kot? — zapytała niespodziewanie. — Widziałam ich kilka w koszarach...

— Och, kot! — Barg zaśmiał się pod wąsem. — Kot, Pani, to stworzenie tak dziwne, że aż trudno o nim mówić. Podobno i u was, w Armeckie, koty służą w Gwardii?

— Bardzo rzadko.

— U nas nieco częściej. Tylko że u was zwykle spotyka się wysmukłe, giętkie tirsy, a Grombelard jest ojczyzną gadba — olbrzymich kotów—wojowników.

— Czy taki kot...

— Kocur, Pani. Kot—wojownik to Kocur.

— Więc czy taki Kocur może zagrozić uzbrojonemu człowiekowi?

Barg prawie parsknął śmiechem.

— Wybacz, Pani — powiedział — ale chyba jednak nigdy nie widziałaś gadba. To jeden wielki, sprężysty zwój mięśni, mięśni twardych i giętkie jak stal. Dziki Pies nie ma z nim szans, wilk jeśli wściekły i głodny potrafi zastąpić mu drogę, ale najczęściej przegrywa. Jeśli kiedyś zdarzy ci się Pani, spotkać kota w ciasnej ulicy — ustąp mu z drogi. Nie przyniesiesz sobie wstydu, bo i ja tak postępuję. Z kotem nigdy nic nie wiadome nigdy nie wiesz, co go może obrazić, a co tylko rozbawić. Pewnie zdołałbym pokonać Kocura, ale wolę nie sprawdzać. Jeszcze mi własne oczy miłe. Zamilkli. Cicho potrzaskiwało ognisko, z zawieszzonego nad nim kociołka dolatywał zapach rozgotowanego mięsa. Żołnierze rozbili już namioty i teraz siedzieli wokół nich oparci o pobliskie drzewa. Było już zupełnie ciemno. Niebo błyszczało gwiazdami.

— Gwiazdy — Barg pierwszy zwrócił na nie uwagę. — Tak rzadko je widzę.

— To prawda — Karenira westchnęła cichutko. — Zwykle pada tu przez całą noc... A dzisiaj po raz pierwszy, odkąd tu jestem, zobaczyłam słońce.

— Rozumiem cię, Pani. Trzeba być Grombelardczykiem, by pokochać nasze chmury i deszcze.

Jeden z żołnierzy z niezwykłą u Gwardzisty nieśmiałością poprosił:

— Opowiedz nam, Pani, o Armeckie. Ale nie o waszych rozbójnikach, tylko tak... w ogóle...

Uśmiechnęła się.

— Nie powiem o rozbójnikach, bo... nie ma ich. Tak naprawdę to Jeźdźcy Równin nie zagrażają spokojowi... po prostu jeżdżą. Czasem coś ukradną, rzadko spalą dom lub porwą dziewczynę... A o Armeckie w ogóle... nie można chyba opowiedzieć. Jest zbyt piękny. Nie gniewajcie się...

Znów zaległa cisza. Karenira powoli oparła głowę o pień stojącej za nią sosny. Przymknęła oczy.

— Idź do namiotu, Pani — powiedział łagodnie Barg. — Ten mniejszy należy do ciebie.

Otworzyła oczy.

— Tylko dla mnie? Nie możecie się tak gniesć w jednym namiocie...

— To namiot dla pięciu ludzi, Pani. Trzech na warcie...

— Warty! — przypomniała sobie nagle.

— Już wyznaczyłem, Pani. Możesz spać spokojnie.

— Kiedy moja kolej?

— Zbudzę cię, Pani.

Wstała i poszła w kierunku ledwie majaczącego wśród ciemności płótna. Wewnątrz na ziemi wymacała siodło i cztery koce. Znaczyło to, że wartownicy oddali jej swoje.

Wychyliła głowę z namiotu.

— Barg! — zawołał cicho.

Podszedł natychmiast.

— Tak, Pani?

— Nie potrzebuję czterech koców. Niech wartownicy się okryją.

— Nie, Pani. Gdy będzie im ciepło — zasną. A w Górach nie można sobie na to pozwolić. Śpij już, Pani.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Odpięła pas z mieczem i ściągnęła buty. Gdy otulała się kocami zrozumiała nagle, jak bardzo się o nią troszczą. Nie zauważyła, by tak samo dbali o swe koleżanki—Gwardzistki. Dlaczego?

Zasnęła od razu.

— Pani...

Zerwała się natychmiast, przecierając oczy. Świtało.

— Nie obudziłeś mnie na wartę.

— Nie. Nie było potrzeby. Ale teraz pora ruszać.

Z dezaprobatą patrzył, jak wbija bosa stopy w ciężkie

buciorzy.

— Poobcierasznogi, Pani. Stopy trzeba koniecznie owinać.

— Wiem. Zapomniałam w koszarach...

Pokręcił głową i wyszedł. Wrócił po chwili z czystymi onucami.

— Mam zapasowe. Weź, Pani.

Żołnierze sprawnie zwijali obóz. Znikała już między drzewami, gdy dogonił ją okrzyk Barga:

— Dokąd idziesz, Pani? Odwróciła się.

Zaraz wracam...

Podszedł do niej szybkim krokiem.

— Będę ci towarzyszył, Pani. Wybacz... Zaczerwieniła się gwałtownie.

— Nie zrozumiałeś mnie. Idę...

— Wiem, po co idziesz, Pani. Ale tu są Góry, zrozum to wreszcie: Tu nawet z tym chodzi się w towarzystwie.

Zbuntowała się nagle.

— No nie, tego już za wiele! Góry, Góry i nic, tylko Góry! Czy i pod krzakiem, gdzie będę sikała też czekają rozbójnicy?!

— Wybacz, Pani... ale..,

— Nie. Jestem żołnierzem i potrafię sama sobie radzić.

Rbit spokojnie, bez pośpiechu rozprostował ścierpięte od długiego leżenia na konarze łapy, po czym nonszalancko niemal skoczył w dół, podcinając dziewczynie nogi. Nie docenił jednak tego towarzyszącego jej grubasa, zwinął się jak sprężyna unikając sztychu błyskawicznie dobytego miecza. Odskoczył na bezpieczny dystans.

— Schowaj broń, Gwardzisto — powiedział z nienawiścią, ale i uznaniem. — Może pierwszy i ostatni raz Rbit L.S.I. stoi przed tobą jako przyjaciel.

Barg powoli opuścił miecz.

— Rbit L.S.I. — powiedział z niedowierzaniem.

— Właśnie.

Karenira powoli podniosła się z ziemi, oszołomiona. Od strony obozu nadbiegali pozostali żołnierze. Barg powstrzymał ich ruchem ręki.

— Przyszedłem do was, bo honor mi tak nakazuje — powiedział powoli Kot. — Chcę was ostrzec: jesteście na terenie sępów. Ona — błysnął ślepiami ku szlifom dziewczyny — jest waszym dowódcą. Nie widać. Dlatego mówię to tobie, grubasie: na terenie sępów. Wyciągnij z tego wnioski.

Barg wbił miecz w ziemię.

— Jeżeli mówisz prawdę, Panie...

— Kocur nie kłamie, Gwardzisto. Chyba wiesz o tym. Nie chcę, by te ścierwojady miały pożytek z kogokolwiek, choćby z was — dlatego tu jestem.

— Dziękuję, Panie.

— Drobnostka.

Odwrócił się, machnął ogonem i przepadł między drzewami. Jeszcze raz usłyszeli jego głos:

— A ty, grubasie, możesz śmiało chodzić sam do lasu. Jeśli zawsze tak sprawnie operujesz mieczem jak dziś — to nic ci nie grozi.

W ciszy przerywanej tylko szumem drzew Barg odwrócił się do żołnierzy. Spojrzał na nich, potem na Karenirę.

— Rbit L.S.I. — powiedział niemal szeptem. — To był Rbit L.S.I. Otrząsnął się nagle i normalnym już głosem zakomenderował:

— Kończyć zwijanie obozu. Wracamy do Grombu.

— A to dlaczego?

Spojrzał na nią ze zdumieniem, ale zreflektował się zaraz.

— To teren sępów, Pani — wyjaśnił. — Jeśli jeszcze żyjemy to tylko dlatego, że nic dotąd o nas nie wiedzą.

— To są sępy, czy demony?

Zagryzł z irytacją wargę, pohamował się jednak jeszcze raz.

— Zaufaj, Pani, staremu żołnierzowi. Gdyby nas było stu — poszlibyśmy dalej, ale jest nas tylko dziewięć osób.

— Nie boję się sępów, nie boję się też tego kota, przed którym niemal płaszczyłeś się na ziemi. Ruszamy do Krzywych Skał. To rozkaz.

Uciekł ze wzrokiem. Po chwili powiedział stanowczo:

— Nie, Pani. Nie wyślę siedmiu ludzi, bo nas dwojga nie liczę, na pewną śmierć lub... lub jeszcze gorzej. Jeśli chcesz — idź dalej sama. Tego nie mogę ci zabronić.

Patrzyła na niego bardziej zdumiona niż rozgniewana.

Wstrzymał konia po raz trzeci i obejrzał się. Potem powiedział głośno:

— Jechać dalej, nie zatrzymywać się. Ja wracam po nią. Żołnierze w milczeniu zawrócili wierzchowce.

— Nie pojedziesz sam — powiedział najstarszy, Godber. — Wracamy wszyscy.

— Odpowiadam za was przed starym. Macie wracać do Grombu. To rozkaz.

— Niewiele ich dzisiaj wykonano. Jedziemy, szkoda czasu. Wyminęli go i tak szybko, jak na to pozwalała wąska ścieżka pojechali i powrotem. Zaklął i ruszył za nimi. Sprawdził kuszę, wysunął się na czoło. Powiedział:

— Dobrze:

Po chwili zanurzyli się w las.

Zsiadła z konia i ostrożnie wyszła na środek polany, trzymając w pogotowiu gotowy do strzału łuk. Było cicho i w tej ciszy łopot skrzydeł zabrzmiał jak huk pioruna. Odwróciła się gwałtownie i napięła łuk. Już miała wypuścić strzałę, gdy ujrzała jego oczy.

— Czy nie wiesz, że to ziemia sępów, kobieto? — zapytał.

Łuk wysunął się jej z dłoni. Nie mogła utrzymać się na nogach. Uklękła.

— Tak, właśnie tak. Oto, jak powinien zachowywać się człowiek wobec sępa. Patrz mi w oczy.

Była mu posłuszna. Nie mogła nie być.

— Nigdy nie lekceważ naszych praw, kobieto — powiedział.
— Nigdy nie lekceważ naszych praw.

Nie mogła wykrztusić słowa. Z przerażeniem patrzyła, jak niezgrabnie lezie w jej kierunku.

A potem zemdląła.

Rbit zawrócił. Ubiegł kilkanaście kroków nim zrozumiał, dlaczego wraca. Wydarzyło się nieszczęście i ktoś informował go o tym. Kto — nie wiedział

„Nieszczęście... dziewczyna... sępy...” — błyskało w jego mózgu. Więc to ta Gwardzistka. Cóż go to właściwie obchodzi? Ale nie zatrzymał się.

Rbit miał twarde serce, twarde i nieskłonne do litości. Ale — jak każdy kot — sępów nienawidził. Tak bardzo, że każdy, kto z nimi walczył stawał mu się przyjacielem. Wrogowie sępów zawsze mogli liczyć na wspólne wsparcie. Choćby nawet byli Gwardzistami.

Stojącego na ścieżce starego człowieka zauważył — niewiarygodne — dopiero wtedy, gdy wpadł na jego nogi. Zareagował błyskawicznie, ale starzec jednym ruchem ręki odtrącił go od siebie jak drobny kamyk. Chciał ponowić atak, gdy nieznamy powiedział:

— Stój kocie. Nie jestem twoim wrogiem.

Zatrzymał się w pół skoku. Opadł miękko na wszystkie cztery łapy.

— Kim jesteś?

— Dorlan — Czarownik. To ja prosiłem cię, byś zawrócił.

— Dorlan... Słyszałem o tobie. Nie traćmy czasu.

Biegiem ruszył naprzód. Czarownik ciężko stawiał starcze kroki, wydawało się, że człapie powoli, a przecież nie pozwolił się wyprzedzić mknącemu jak bura błyskawica Kocurowi.

Jednak gdy wpadli na małą, zagubioną wśród skał i drzew polankę zrozumieli, że jest za późno.

Przerwali krąg otaczających klęczącą parę żołnierzy. Dziewczyna tuliła się do starszego, grubego Gwardzisty z czerwoną twarzą i gęstą, nierówną brodą. Rbit poznał go zaraz.

Dziewczyna powieki miała kurczowo zaciśnięte. Wypływały spod nich łzy.

— Za późno — powiedział chrapliwie Gwardzista. Zmełł w zębach przekleństwo i uniósł głowę. Wysoko, bardzo wysoko błękit kalala drobna plamka. Gdy znów spuścił głowę, wąsy i brodę miał mokre od łez.

Rbit zębami wyciągnął z zawieszonej na szyi sakiewki Pióro — potężny Zły Magiczny Przedmiot. Zmierzył wzrokiem dzielącą go od sępa odległość Za wysoko. Pióro nie potrafiło go unieść aż tak wysoko.

Czarownik ukląkł na ziemi, dotknął powiek dziewczyny. Bezradnie kręcił głową.

Zduszony głos jednego z żołnierzy rozległ się w ciszy jak huk padającego

— Znam cię, Czarowniku. Ty potrafisz wrócić jej wzrok.

Czarownik milczał. Rozbrzmiał głos Kocura:

— Zrób to... Rbit L.S.I., Basergor–Kobal Ciężkich Gór prosi cię o to.

— Nie potrafię... Nikt nie potrafi oddać człowiekowi raz zabranych oczu.

Dziewczyna łkała spazmatycznie. Grubas gryzł wargi. Sęp wisiał w miejscu, prosto nad ich głowami.

— Na Moc... Na Moc, dlaczego on to zrobił? Przecież... ona nawet nie wiedziała, do czego zdolny jest sęp... Zabij go, Czarowniku, zabij go chociaż, skoro nie potrafisz jej uzdrowić.

Dorlan zwrócił wzrok ku niebu.

— Mam słabe oczy — powiedział cicho, niemal pokornie. — Nie mogę rzucić Czaruru na coś, czego nie widzę...

Barg patrzył w górę z bezsilną nienawiścią. I stała się rzecz niesamowita: nadmiar nagromadzonej w Gwardziście nienawiści i rozpacz obudził drzemiące dotąd w Piórze ukryte i nieznane siły... Przedmiot targnął się w pysku Rbita, trysnęła z niego wąska, zielona strużka światła, uderzając w oczy Barga, po sekundzie promień powrócił i nagle trysnęła pionowo w górę podwójna, turkusowa błyskawica. Stali w milczeniu długo, tak długo, aż wokół ich głów zawirowały ciężkie, zlepione rozbryźniętą krwią i kawałkami mięsa czarno-białe, sepie pióra.

Dziewczyna płakała. Płakał też Barg. Żołnierze ocierali policzki rękawicami.

— Nic się nie da zrobić, Czarowniku? — zapytał jeszcze raz Barg. — Naprawdę nic?

Milczenie.

— Zrób coś... Kocham ją... jak córkę...

I spokojny, poważny głos Czarownika:

— Czy aż tak, by oddać jej swoje oczy?

Cisza. Tak napięta, że aż nie do zniesienia.

— Tak.

— Nie!

Puścili jej krzyk mimo uszu. Gwardzista wstał powoli i przymknął powieki. Dorlan wypowiedział kilka starogrombelardzkich słów i zrobił lekki ruch. Dziewczyna krzyknęła, Barg otworzył oczy, ukazując dwie czerwone, pustką jamy.

— Dzięki ci, Panie — powiedział zduszonym głosem. Czarownik nie odpowiedział. Stał z opuszczoną głową.

Barg dobył miecza. Karenira z krzykiem rzuciła się ku niemu, ale było za późno. Brzeszczot wyszedł plecami. Bez jęku zwałił się na ziemię. Przerażliwy wrzask dziewczyny zmieszał się z okrzykami zgrozy żołnierzy. Tylko Rbit i Dorlan nie drgnęli. Kocur w zamyśleniu patrzył na pochyloną głowę starca.

— Ty go zabiłeś — powiedział. — A był człowiekiem.
Rozumiesz, co mówię?

Lekko skinął głową.

— Rozumiem. Nie jestem już Czarownikiem.

Uniósł wolno twarz.

— Czarownik może czynić dobro lub zło. Ale musi umieć je od siebie odróżniać. Zawsze.

CZEŚĆ II

KRYTYCY O FANTASTYCE

Staszów–84

PRZEMIANY

O ewolucji polskiej fantastyki w 40-leciu od popularnej konwencji do zjawiska literackiego mówią: LESZEK BUGAJSKI, RYSZARD HANDKE, ADAM HOLLANEK, ANDRZEJ NIEWIADOWSKI, ANTONI SMUSZ—KIEWICZ i MACIEJ PAROWSKI, który dyskusję przygotował do druku.

A. Niewiadowski: Porozmawiajmy o przeobrażeniach modelu polskiej science fiction od początku lat 60-tych aż do dnia dzisiejszego. Pomówmy o przyczynach zmian i o ich kulturowych kontekstach. Popatrzmy, z czym zaczynała fantastyka ćwierć wieku temu po wyczerpaniu się formuł socrealizmu i co dziś sobą reprezentuje jako gatunek literacki i jako ruch społeczny, który wokół literatury wyrósł.

A. Hollanek: Sądzę, że początek lat 60-tych to jeszcze okres, nad którym rozciąga się zdecydowana dominacja Lema. A jego „Solaris” (1961) promieniuje na wszystkie pozycje ówczesnej SF.

OKRES PRZEJŚCIOWY

R. Handke: Wiele ukazujących się wówczas książek SF mieściło się swobodnie w wyobrażeniach z lat 50-tych. Podobnie z Lemem — działają jeszcze starsze pozycje, a są już jego nowe, ciekawsze dokonania. To wtedy, trochę ze względów merkantylnych, Wydawnictwo Literackie opublikowało wiele utworów Lema, w tych tomach nowości przemieszane były z rzeczami czytelnikom znanymi. Wychodziły jeszcze duże nakłady pierwszych Lemowskich

książek, które miały charakter typowej, klasycznej SF: „Astronauci” (1951), „Obłok Magellana” (1959)...

A. Hollanek: Wydawano też wiele klasycznej fantastyki radzieckiej. Ale funkcjonowały już „Śledztwo” (1959) i „Księga robotów” (1961); wkrótce miała pojawić się „Summa Technologiae”(1964). To są znamiona okresu

A. Smuszkiewicz: Ogromne zasługi dla polskiej SF położył wówczas Zbigniew Przyrowski jako redaktor „Młodego Technika”. Jego antologie „Posłanie z piątej planety” (1964) i „Wołanie na Mlecznej Drodze” (1976) — pokłosie konkursów „MT” ukazywały fantastykę ukształtowaną właśnie przez red. Przyrowskiego. On wpłynął na kształt artystyczny debiutów, wiadomo było, że opowiadanie musi mieć tyle i tyle stron by zmieścić się w numerze.

R. Handke: Poza tym debiutant czyta poprzedni numer, jeśli chciałby ukazać się w następnym. „MT” dyktował ton.

WYBÓR FORMY

A. Smuszkiewicz: I upowszechnił przekonanie, że fantastyka naukowa najlepiej wypowiada się przez krótkie formy. Nie powieści, lecz opowiadania. Przez pomysł, dobrze skonstruowaną akcję, skondensowaną myśl — jak w klasycznej noweli. Teraz obserwujemy więcej powieści. Pojawiły się nowe możliwości wydawnictw i pojawiają się dłuższe formy. Przekaz, jak widać, może stymulować in plus i in minus.

A. Hollanek: Powieści są bardziej ekonomiczne, bardziej opłacalne dla autorów. Dają możliwość wykorzystania jednego pomysłu na długim dystansie.

R. Handke: Nie tylko SF, ale i w ogóle literatura żyje z pomysłów. Pisarz zwykłej powieści obyczajowej nie musi jednak wymyślać stołków, pokojów, świata i języka, jakim ludzie mówią. Pisarz SF musi. Dlatego powieść jest dla autora

SF finansową pokusą i artystycznym niebezpieczeństwem. Przecież nie tylko autor może mieć krótki oddech, ale i pomysł także. Pomysł ciągnięty przez wiele stron może się zdemaskować, że wcale nie był dobry.

M. Parowski: Chodzi nie tylko o długość. Opowiadanie, które prezentuje epizod ze świata przyszłego polega na kombinacji mniejszej liczby elementów, natomiast powieść jest dłuższą wycieczką w nieznaną. Powieści od opowiadań różnią nie tylko rozmiary, ale stopień wewnętrznej komplikacji, stosunek do świata przedstawionego, wiedza autora o tym świecie.

A. Smuszkiewicz: Rzeczywiście, problematyka „Solaris” nie zmieści się na 15 stronach...

M. Parowski: A short-story to nie jest powieść opowiedziana na pół strony. Zmierza do czego innego. Dlaczego stały się możliwe powieści, dlaczego dziś ich przybywa? Ponieważ zbiorowym wysiłkiem wieluset opowiadań, tysięcy epizodów, ten świat przyszłości został zbudowany i zabudowany. Pisarze widzą go, mogą się w nim pewnie poruszać.

R. Handke: Mogą pokazać coś, co właśnie jest warunkiem powieści, a mianowicie ewolucję, gdzie w ramach znanego świata coś się stało i zmienia, i te implikacje oddziałują dalej... Ale jedność świata, wspólny inwentarz, z którego się czerpie, kształtowały się stopniowo i nie od razu. Doskonale pamiętam, jak przed 25 laty autorzy wymyślali „każdy sobie” rekwizyty i sytuacje. Patrząc na używane przez nich neologizmy, widać że Posługiwali się różnymi słowami na określenie tych samych rzeczy...

A. Smuszkiewicz: Nawet specjalnie starali się je inaczej nazywać!

R. Handke: Tak, licytowali się pomysłami. Chcieli za wszelką cenę być oryginalni. Jeszcze nie było praktyki, że

wchodzący do tej dziedziny autorzy zastają pewien zmyślony świat o określonych regułach i sporą porcją przechodnich rekwizytów. Nie było takiej wspólnoty, jaka na przykład łączy światy różnych baśni.

OSWAJANIE TECHNIKI

L. Bugajski: Myślę, że robimy błąd rozpatrując fantastykę naukową w oderwaniu od tego, co się działo poza nią i sprowadzając wszystkie przemiany do spraw literackich. Różnice w wizjach pisarzy brały się również stąd, że autorzy, podobnie jak całe społeczeństwo, nie potrafili sobie wyobrazić, w jaką stronę pójdzie rozwój cywilizacji. Autor przystępujący do pisania miał słabą wizję realiów i czyste pole przed sobą. Mógł z całą naiwnością wymyślać świat od początku. W tej chwili przeciwnie, wiemy, w którą stronę idzie cywilizacja techniczna, znamy szalony dystans między nami a krajami nasyconymi elektroniką. Pewnych rzeczy nie trzeba wymyślać, tworzy się jednorodność czy jednolitość wyobraźni niekiedy nie uświadamiana sobie nawet przez autorów.

R. Handke: Słusznie. W podręcznikach fizyki jest dziś wiele rzeczy, których dawniej nie było. Ale, nawiasem mówiąc, stare powieści SF nie drażnią dziś swoją techniczną naiwnością, bo ona akurat jest na swój sposób miła, tylko...

A. Hollanek: ..naiwnością socjologiczną, naiwnością prognoz...

R. Handke: I psychologiczną przede wszystkim, Wiąże się to z tym, o czym mówił pan Bugajski. Wymyślone postacie z dawnych książek nie odczuwają prawdziwych reperkusji świata wysokiej techniki, w którym na pozór żyją. Dziś widać wyraźnie, że było to czyste zmyślanie z powietrza.

A. Hollanek: To prawda. W latach 60–tych nasi fantaści nie potrafili sobie wyobrazić człowieka w innej przestrzeni. To

cięży nawet na Lemie, który zdawał sobie sprawę z innej przestrzeni, ale nie potrafił jeszcze przystosować do niej nowego człowieka.

R. Handke: Prawdziwego „człowieka ery atomowej”... Właśnie — bomby wybuchły daleko, a myśmy żyli wówczas pod ciężarem innych spraw. Dopiero później przyszło oswojenie z techniką i kadet Pirx, który wcześniej był jakby artystycznie niedojrzały, nieobyty, zaczyna być autentyczny, zżyty z cudownie technicznym światem.

A. Smuszkiewicz: Tak, zjawia się nowe autorskie podejście do tematu. Narrator już nie dziwi się niczemu, czytelnik przestaje być pouczany, do książek nie dołącza się słowniczków i objaśnień, rakieta nie jest niczym nadzwyczajnym, mówi się, że jest obita...

R. Handke: ... stara, podrapana. A lot jest rutynowy i nudny. Mamy pełną sugestię potoczności. Rewelacja Pirxa polega na tym, że jest pierwszym naszym zawodowcem w Kosmosie. Rutyniarzem. Ale nie przyszło to samo I nie od razu.

W KRĘGU SZABLONÓW

A. Niewiadowski: Nie padło tu jeszcze stwierdzenie, że literatura fantastyczna lat 60-tych to zazwyczaj proza popularna. Nawet wypowiedzi Lema można traktować jako twórczość instrumentalną, wpasowaną w schemat utopii bądź antyutopii. Jeszcze wyraźniej widać to w opowiadaniach Weinfeldta, Fiałkowskiego, wczesnego Zajdla, drukowanych w prasie. Mamy tam zawsze do czynienia z elementarną chemią emocji, jest wierne przestrzeganie kodu, dobrowolne pozbawienie przekazu ambiwalencji czy nawet wieloznaczności. Na pozór hasłem tej literatury jest zaangażowanie, ale obraca się ona w kręgu spraw oczywistych — nigdy naprawdę nie prowokuje czytelnika.

M. Parowski: Ani mecenasa...

A. Niewiadowski: Niczego nie burzy, nie narusza, zaciera konflikty ideologiczne, często wykręca się alegoryzmami. Można mieć dziś ogromne zastrzeżenia do warsztatu, formy i przesłania tej prozy.

R. Handke: Niewątpliwie ma pan rację, że była to literatura dyktatorska w najgorszy sposób — czytelnik funkcjonował w niej na zasadzie pouczanego głuptaka.

A. Hollanek: Lem do dziś mówi, że pozostał moralistą i pisze moralitety. Ale za to jak on to robi!

A. Niewiadowski: Natomiast w ówczesnej literaturze, widać to zwłaszcza u Fiałkowskiego, upowszechnia się ucieczka w moralizatorstwo przyszłościowe. Zakończenie u Fiałkowskiego jest zawsze uspokajające — był jakiś konflikt, pewne ofiary okazały się konieczne w imię wyższych idei, tak być powinno. Nie wiem, czy można coś takiego nazwać twórczym prognozowaniem fantastyki naukowej. Zawsze przecież mamy tam samouspokajającą wizję świata przyszłego.

A. Smuszkiewicz: Przynajmniej w sferze ideowej. Akcja niekiedy kończy się tragicznie. Ale wartość moralna zwycięża. To miała być diagnoza dotycząca współczesności...

M. Parowski: Fałszywa diagnoza...

R. Handke: Sądzę, że tamta fantastyka, mówiąc o teraźniejszości, autentycznie myślała i o przyszłości. Nie chodzi o formuły narracji, ale o to, że ówczesna SF wyrastała z marzenia i z wiary w możliwość prognozowania, w to, że rzeczywiście zmierzamy ku lepszemu, że Kosmos jest nam życzliwy. Dopiero później, przy końcu lat 60-tych pojawi się kolejny wątek, koniec podróży kosmicznej — ludzie chcą zostać na Ziemi, odwracają się od gwiazd. Fantastyka wyciągnęła wniosek z tego, że nauka traci oddech, że Kosmos otworzył się nad naszymi głowami w momencie, w którym zrozumieliśmy, że nic nie wiemy.

A. Hollanek: Tak, Lem w „Summa Technologiae” niby wychwalając naukę, kompromituje ją.

R. Handke: Wtedy bezwiednie, a teraz świadomie.

A. Niewiadowski: I to już wówczas, u schyłku lat 60-tych, a nie dziesięć lat później dokonał się w naszej SF zwrot ku człowiekowi, badaniom kosmosu wewnętrznego. Trzeba to podkreślić z całą stanowczością — cała rzecz zaczęła się właśnie wtedy.

PRZYSPIESZENIE

R. Handke: Czyli powoli wchodzimy w lata 70-te. Tutaj, panowie, musimy być bardziej precyzyjni, ponieważ początek lat 70-tych, nie tylko w SF, bardzo się różnił od końca. Dochodzą do tego poślizgi wydawnicze dzięki którym wszelkie zjawiska społeczne odzwierciedlają się w literaturze z kilkuletnim opóźnieniem. Coraz większa liczba wykształconych z techniką obytych i techniką sfrustrowanych ludzi staje się jakością zaczynającą działać na odbiorców i twórców. Dramatyzm drugiej połowy lat 70-tych miał źródło w rzeczywistości, w której ludzie żyli. Ale na początku społecznych zaniepokojen nie widać. Przeciwnie.

A. Niewiadowski: Mamy debiut Adama Wiśniewskiego-Snerga „Robot” (1973), książkę pod tym względem neutralną. Ale jest zwiastujący nadciągającą burzę „Kongres futurologiczny” Lema (1971).

M. Parowski: Z początku lat 70-tych zapamiętałem przede wszystkim przyspieszenie w wielu dziedzinach. Zjawiają się w Polsce magnetofony kasetowe, coca-cola a z nią plastikowe wreszcie, nie drewniane skrzynki. Pojawia się „maluch”. Ludzie zaczynają częściej jeździć w świat. Rozkręca się u nas boom prozy latynoskiej — wydawnictwa i pisma drukują najlepsze teksty Borgesa i Cortazara. To oni, jak sędzę, uczą

pisać pokolenia — 68–70.

A. Hollanek: Edycje ich książek ukazują się w tym wydawnictwie, które publikuje utwory Lema.

R. Handke: I to ich wpływ mógł nas także skłaniać do odchodzenia od fantastyki technicznej... przejścia w kierunku fantasy.

M. Parowski: W 1971 roku startuje „Literatura na świecie”. W PIW–ie rozpędza się seria eseistyki „Biblioteka Myśli Współczesnej”, ukazuje się też trochę książek kieszonkowych — jest do kupienia Ceram, eseje o technice i kulturze amerykańskiej. O naszej kulturze masowej. Te książki czekają jeszcze na czytelnika, nie uciekają pod ładę. W kinach pojawia się wiele dobrych, ostrych społecznie filmów z importu, zrywających z hollywoodzką sztucznością; kino wychodzi w plener, przygląda się życiu, kontestuje. Bo przecież z drugiej strony, po 1968 roku, roku kontestacji, świat zmienia skórę, zaczyna się era kontrkultury i echa tego docierają do nas. Ruch wyzwolenia kobiet, kryzys wiary w racjonalne społeczeństwo, nieufność do cywilizacji, zwrócenie uwagi na zanieczyszczenia środowiska, odpadanie młodych od porządków ustalonych przez establishment, pierwsze próby z narkotykami (to wtedy to się u nas zaczyna, tylko wówczas nie wolno było o tym mówić), rewolucja seksualna, psychodeliczne przemiany w sztuce, nowe awangardy pogłoski o widowiskach typu „Oh, Calcutta”, czy „Jesus Christ Super Star”.. Myślę, że oznaką wciągania fantastyki w orbitę tych spraw jest wydana w 1971 roku „Doskonała próżnia” Lema. Książka w wyraźny sposób żywiąca się kontrkulturową eksplozją, trochę Borgesowska, kpiarska, skłócona z nową rzeczywistością, gęsta od treści kilkunastu potencjalnych książek, których Leni nie miał czasu i siły napisać.

R. Handke: Mnie się wydaje, że to, co pan mówi, bardziej rejestruje kryzys warsztatu Lema, niż kryzys ogólny. To zresztą

zawsze było w nim fascynujące, że nie dawał się osaczyć w swojej własnej formie. Dopiero później z perspektywy można te dwa kryzysy na siebie nałożyć.

A. Hollanek: Jednocześnie występuje przyspieszenie w dziedzinie czysto fantastycznej. Pojawia się wiele tłumaczeń z Zachodu. W „Przekroju” ukazują się przekłady z Bradbury’ego, Lovecrafta. Jest tam więcej podobnych sensacji. Wpływy się krzyżują. Nareszcie różne wpływy.

L. Bugajski: W „Iskrach” zaczyna się ukazywać wzorowa antologia Leszka Jęczmyka „Kroki w nieznanie”.

A. Niewiadowski: Rośnie jednocześnie świadomość teoretyczna gatunku. Przypominam: w roku 1969 ukazuje się „Polska proza fantastyczno–naukowa” Ryszarda Handkego. W roku 1970 pojawia się „Fantastyka i futurologia” Lema wznowiona już po trzech latach.

POŚLIZG

A. Smuszkiewicz: I jednocześnie w tym właśnie momencie kończy się coś w zakresie nazwanej i opisanej przez pana Handkego poetyki. Ona nie wytrzymuje ciężenia nowych problemów, a skostniała właściwie w latach 60–tych. Już w „Edenie” (1959) Lem robił sobie kpiny z SF: tu zaraz powinna się wyłonić jakaś łapa, bo jak czytałem SF to zawsze wychodziła... Pojawia się zatem konieczność rozszerzenia konwencji, odejścia od techniki na rzecz problemów bardziej interesujących człowieka. Fantastyka najpierw była techniczna, potem naukowa, potem zaczęła obejmować inne dziedziny życia, ale już w sferze medycyny i biologii, jak u pana Hollanka; Fiałkowski tkwił przy cybernetyce i automatach, aż wreszcie granica fantastyki naukowej się zatarła, gdyż w połowie lat 70–tych Kurpisz wprowadził do SF filozofię, a nieco później kilku autorów — politykę i socjologię. Stara poetyka nie mogła unieść tej tematyki i tak skończyła się u nas

klasyczna SF. Ta, którą pan Handke definiował jako naukowo–techniczną. Lata 60–te to był okres, okazuje się, ostrzenia narzędzi pisarskich, którymi będzie się teraz kroić i analizować rzeczywistość.

R. Handke: Ale zaczyna się okres wielkiego rozchwiania, ponieważ fantastyka zdobywa, czy też jest zdobywana przez to, co się nazywa obszarami heterogenicznymi. Mamy więc do czynienia z nowymi zakresami fantastyczności i rozmywającą się definicją naukowości. To jest zupełnie nowa jakość. O ile, w latach 60–tych przeciętnie wykształcony obywatel wiedział, że może wierzyć w kominiarza, ale za żadną cenę nie wolno mu się do tego przyznać, to teraz zaczął się cały szereg zjawisk meta–paratele, z którymi nie wiadomo było co począć. Myśmy zrazu pokpiwali sobie z szerzącego się jakby w Ameryce zabobonu, ale skutki naukowego poznania tak czy owak zaczęły komplikować nam życie. Okazało się, że każde naukowe poznanie więcej pytań rodzi niż załatwia odpowiedzi. Im szybszy jest postęp nauki, tym bardziej rosną obszary nieznanego. A na obszarach nieznanych rodzą się duchy. Zawsze się rodziły.

A. Smuszkiewicz: W epoce pozytywizmu jakiś amerykański dyrektor biura patentowego powiedział, że wiek XIX wymyślił już wszystko, i przed wiekiem XX stoi zadanie ulepszenia dotychczasowych wynalazków. A tu masz — zjawiają się atomy, elektronika, a za nimi duchy, hipnoza i telekineza... I tak mamy kolejną „inwazję duchów” na świat. I na Polskę.

A. Hollanek: Przy czym polskie duchy są po mickiewiczowsku jak w „Balladach i romansach”, jak w „Dziadach” łagodne, tradycyjne, dobrotliwe. A amerykańskie, na przykład w fantasy — straszne, okrutne.

R. Handke: Polskie duchy to trochę odrzuty z eksportu. Nasi bajkopisarze nie byH w stanie sprostać prawdziwej grozie.

M. Parowski: Chyba, że chodzi o duchy, o diabelstwo społeczne, polityczne kłębiące się w stworze, którego jedni nazywają Lewiatanem, inni państwem, miastem, społeczeństwem, jeszcze inni — piekłem (Sartre: piekło to inni). Serię portretów takich groźnych Lewiatanów obezwładniających jednostkę na przeróżne sposoby dały powieści Zajdla, Wnuka–Lipińskiego, Oramusa, Żwikiewicza, Wolskiego, Białczyńskiego czy moja — określane teraz mianem dystopii bądź social–political fiction. Pokolenie reprezentowane przez wspomnianych autorów nieźle poznało tego potwora w latach 68–78. Wymienione książki powstały jednak u schyłku dekady lat 70–tych, a ukazały się jeszcze później. My, na razie, jesteśmy bliżej początku lat 70–tych, kiedy „Nasza Księgarnia” z „Młodym Technikiem” finalizują konkurs na opowiadanie (1973). Plon tego konkursu ukaże się w tomiku „Wołanie na Mlecznej Drodze” (1976). Jest tam już zapowiedź zmiany poetyki, otrząśnięcie się z problemów techniki i skoncentrowanie, się na człowieku. Mam przy tym wrażenie, (sam brałem w tym udział), że w owym tomie wiele jeszcze było czystej spekulacji. Kontrpropozycja brała się z inwersji tego, co robili poprzednicy, a nie z autentycznego przeżycia rzeczywistości.

R. Handke: Człowiek, o którym pisano nie był jeszcze nasycony prawdziwymi dramatami.

M. Parowski: Tak, to działo się częściowo w ramach konwencji.

A. Hollanek: Ale w momencie, w którym ta konwencja się kończy, kiedy nauka i technika zaczynają się blamować, kiedy powstają przeróżne napięcia, wtedy rodzi się rozłam między Lemem i resztą fantastyki. Każdy zaczyna szukać na własną rękę i zgodnie ze swoim temperamentem.

R. Handke: Zjawiają się młodzi, którzy już nie z Lema wyrosli i zaczynają używać narzędzi wyostrzonych przez innych. Kto jeszcze tworzył w tym czasie przełomu, kto z pisarzy, którzy doprowadzili fantastykę do tego momentu i teraz oddają ją młodym?

A. Niewiadowski: Jest Lem, Hollanek, Boruń, Weinfeld'inni niż przed laty, Zajdel pisze sprawne i niekiedy aluzyjne opowiadania, mamy Trepkę, Fiałkowskiego z „Homo divisus”, Chruszczewskiego...

R. Handke: Nie sądzę, żeby Chruszczewski był jednym z autorów doprowadzających fantastykę do momentu zmiany pałeczki. Czy młodzi rzeczywiście mogli się od niego uczyć?

M. Parowski: Postoświeceniowy utopista–bajkopis Chruszczewski działa na następców jak wyzwanie. Wobec niego można się określić, podobnie jak wobec zdefiniowanej przez pana naukowo–technicznej fantastyki. Lubię tę definicję i na swój sposób lubię Chruszczewskiego — to były uczciwe, solidnie wykonane drogowskazy, tyle że wskazujące przeciwne drogi. To ogromnie wiele wyjaśniło.

R. Handke: Tak właśnie rozumiem sens definiowania. Żeby coś przełamać, trzeba dokładnie wiedzieć, co się przełamuje.

A. Niewiadowski: Z młodych tworzą wówczas: Sawaszkiewicz, Malinowski, pojawia się „Według łotra” (1978) A. Wiśniewskiego–Snerga...

L. Bugajski: Ale prawdziwe masowe uderzenie socjologiczne nadchodzi z ukazaniem się „Wiru pamięci” (1979), Wnuka–Lipińskiego i „Cylindra van Troffa” (1979) Janusza Zajdla. Obie książki wyszły w ciągu jednego miesiąca: od razu było widać, że to jest zjawisko, nie incydent. W czasie, w którym się ukazały, powstawały powieści–dystopie, o których mówił Maciej.

R. Handke: Tak, te dwie książki tworzą czoło fali. Były rzeczywiście nowe, stanowiły ciekawą propozycję myślową i

formalną, która ujawniła się dopiero po 1980 roku w postaci serii powieści socjologicznych.

A. Smuszkiewicz: Ale czy w związku z tym przesunięciem można wspomniane powieści określać mianem literatury lat 80-tych? Czy my w ogóle mamy literaturę lat 80-tych? Sądzę, że jej nie znamy, ona dopiero powstaje. Ze względu na wydłużony proces wydawniczy docierają do nas pozycje, które zrodziły się dopiero pod koniec lat 70-tych.

PERSPEKTYWA LAT 80-TYCH

M. Parowski: Nie mamy może książek, ale mamy przegląd i ewolucję krótkiej formy, jaką ujawnia od dwu lat nasz miesięcznik, w tym zwłaszcza nasz konkurs. Mamy zbiorowy wizerunek adepta SF — odczytanego, doświadczonego na przeróżne sposoby dwudziestoparolatka, który nie widzi swoich problemów w tzw. literaturze współczesnej, a więc próbuje je znaleźć i zawrzeć w fantastyce. Uprawia w związku z tym fantastykę aluzyjną, polityczną, ale także symboliczną, metafizyczną, surrealistyczną, łotrzykowską — zawsze wieloznaczną i bardzo prywatną. Na pewno nie naukową i nie polegającą na snuciu prognoz. To go nie obchodzi. Dwudziestoparolatkowie używają literackich narzędzi wyostrzonych przez poprzedników, a także przez własne doświadczenia historyczne do określenia swego miejsca w świecie. W świecie zdarzeń, myśli, idei i religii także.

R. Handke: Jeśli taki jest wynik konkursu to rzeczywiście może on być obrazem literatury lat 80-tych. Konkursy są obsyłane przez ludzi młodych, debiutantów i dzięki temu ukazują, co do nas idzie. Są świadectwem nowych tendencji wyobrażeń o tym jak należy robić literaturę, wyznawanych przez ludzi, którzy będą znaczącymi pisarzami za 5–10 lat.

FANOWIE NADCHODZĄ!

A. Niewiadowski: Zapomnieliśmy o jednej sprawie: połowa lat 70—tych ujawnia wielką potrzebę wspólnoty wśród fantastów. Powstają przecież kluby, cały ruch związany z działalnością wokół literatury, mnożą się wydawnictwa, zjazdy, spotkania, dyskusje, lansuje się własną, środowiskową hierarchię wartości i wielkości. Boję się, że jest to potrzeba jednoczenia motywowana skrywaną świadomością słabości tej literatury. Że jest to getto niedowartościowania, które w zwartości upatruje siłę przebiccia.

R. Handke: Z gettem można sobie radzić arcydziełami i jeśli tylko znajdą się talenty o dostatecznym potencjale, to przestanie być problemem, choć może tożsamość SF rozmyje się gdzieś po drodze i zostanie zwyczajna dobra literatura, zajmująca się tematami, którymi dawniej literatura się nie zajmowała. Niepokoi mnie inna rzecz, a mianowicie ciągnięcia ruchu w dół przez całą tę masę fanów, przez publiczność, która ma już głos i organy — różne druki fanowskie, do jego wyrażania. Wy jesteście na pierwszej linii i wiecie, że gdybyście chcieli np. przyciąć komiks, albo uczynić go ambitniejszym — dostajecie natychmiast sygnały z terenu, masy żądają czego innego, wiedzą lepiej, co jest najlepsze.

M. Parowski: To jest chyba uogólnienie trochę z daleka. Przyglądam się fanom na spotkaniach autorskich. Owszem, wyrażają życzenia — ale ruch co najmniej równie często prosi pisarzy (redaktorów, recenzentów) o to, by odrobinę przykucnęli, jak wyraża pretensję, że przykucnęli zbyt nisko. W końcu ci ludzie zorganizowali się, wyrwali się ze stanu bierności. Już to odbiera im status masy.

R. Handke: Bardzo jestem panu wdzięczny, że mnie pan pociesza, ponieważ nie pragnę niczego innego jak być pocieszonym. Widziałem tutaj w Staszowie wielu bardzo

inteligentnych fanów, ale to nie znaczy, że nie ma się czego bać. Obawiam się, że środowiska fanów mają własny mechanizm polegający na tym, że inteligentny prezes — widziałem tu paru takich — rozkręca świadomość, a świadomość raz się rozkręciwszy zaczyna przywódcę za sobą wodzić i w końcu może być tak, że nie wiadomo już, kto kogo za sobą i dokąd prowadzi... Żeby podsumować te kasandryczne tony, myślę, że panowie, którzy w „Fantastyce” macie z tym wszystkim do czynienia, siedzicie na zboczu wulkanu.

A. Hollanek: Trafił pan w sedno. Sam właśnie tak się czuję. Pocieszam się zjawiskami widocznymi w innych krajach, które przeszły przez tę fantastyczną falę — wszystkie irracjonalne prądy, antynaukowe, antytechniczne nastawienie...

R. Handke: W niektórych krajach to nastawienie ukonstytuowało się w partie polityczne.

A. Hollanek: Tak, „zieloni”, to prawda... Ale ruch wydał np. takie zjawisko jak Ursula Le Guin, która jest bardzo łagodną czarownicą, notabene polskiego pochodzenia. W każdym razie tam nie ma boomii fantastyki. Był i skończył się.

R. Handke: U nas ledwo się zaczął. Czy sądzicie panowie, że na naszym terenie też tak to się rozwija, że losy fantastyki mogą się podobnie potoczyć jak tam? Rynek się nasyci i za kilka lat fala opadnie a bunt się uwsteczni?

A. Hollanek: Dajcie mi papier, mnóstwo papieru, a zniszczę fantastykę. Coś w tym jest.

ZJAWISKO LITERACKIE

M. Parowski: Można by tak mówić, gdyby fantastyka zakorzeniła się u nas wyłącznie jako literatura rozrywkowa, ale to nieprawda. Fala dystopii, o której mówiliśmy, najnowsza proza młodych dowodzi, że autorzy używają u nas gatunku do pisania o tym, co ich dotyczy i czego ani oni, ani inni polscy

twórcy współcześni nie mogą, czy nie potrafią, >nazwać w inny sposób. Fantastyka pełni u nas rolę literatury realistycznej.

L. Bugajski: Literatury „zamiast”.

A. Hollanek: Tym sposobem przestaje być gatunkiem fantastycznym.

M. Parowski: Tak i nie. Twierdzę, że polska fantastyka spełnia wszystkie cztery warunki nowego zjawiska literackiego — takiego jak je określił prof. Janusz Sławiński („Więź”, 10/82) w dyskusji o literaturze po październikowej odwilży. Otóż są to: nowa tematyka, nowa poetyka, konstelacja nowych nazwisk i nowy model życia literackiego. Zaczniemy od końca. Mamy bez wątpienia nowy model literackiego życia fantastyką. Pan Handke zastanawiał się nad niebezpieczeństwami jakie on może nieść, ja ruchu broniłem, ale ten model istnieje i nikt w Polsce nie czyta żadnego innego typu literatury w taki sposób jak fantastyki. Mamy też, proszę panów, nową konstelację nazwisk: Wnuk–Lipiński, Żwikiewicz, Baraniecki, Oramus, mamy gwiazdorów naszego konkursu...

A. Smuszkiewicz: Jest też rzeczywiście nowa poetyka w stosunku do lat 60–tych. Jej stworzenie było konieczne, ponieważ tamta nie niosła nowej tematyki.

M. Parowski: Tak jest, a tą nową tematyką staje się pakowanie do skomercjonalizowanego gatunku wszystkiego, co młodym leżało i leży na sercu. Seria dystopii zaczęta przez Zajdla i Wnuka–Lipińskiego portretowała świat kryzysu wartości. Czy robiła to normalna, tzw. współczesna literatura? Nie! Przeczytajcie panowie uważnie, nie wiem dobrą czy złą, ale bardzo pod tym względem reprezentatywną antologię KAW „Spotkania w przestworzach — 79” (1982). Słychać tam w niektórych tekstach lęk młodej generacji. Pewnie nie ociosany formalnie, ale autentyczny.

A. Smuszkiewicz: Rzeczywiście, fantastykę ostatnich lat należałoby określić jednym słowem, trochę wyświechtanym,

ale w tym przypadku jak najbardziej na miejscu — była to po prostu literatura zaangażowana. Czy w tej sytuacji można mówić, że była to literatura „zamiast”?

L. Bugajski: Chyba można. W tym sensie, że sytuacje rodzące emocje, w wyniku których literatura ta zrobiła się gęsta, mocna, autentyczna — pozostały jednak nie opisane.

R. Handke: Ale rachunek się zgadza, fantastyka ostatnich lat spełniła u nas warunki zjawiska literackiego. Jeśli chodzi o ten kryzys wartości, to powiedzmy sobie szczerze, jest to pewien handicap. Literatura stojąca wobec takich zadań i rzeczywiście je podejmująca (bo nikt inny podjąć ich nie jest w stanie) stwarza bardzo pozytywne ciśnienie na gatunek. Na SF wałą się duże obciążenia, żeby im sprostać trzeba dużej literatury. Powstaje sytuacja zupełnie różna niż przedtem, kiedy za fantastykę brały się różne krótkie pióra, bawiące społeczeństwo konsumpcyjne raketami i technicznymi zabawkami. Teraz — skończyło się. Fantastyka musi sobie uświadomić, że stoją przed nią problemy na miarę wielkiej literatury, wielkich zagadnień i wielkiej zdolności artystycznej. Jak to się mówi — zawsze wtedy z giemków wyrastają rycerze, kiedy na rubieży wojna. Bo jak pokój, to wyrosną dworzanie. Ponieważ nasi giemkowie będą musieli w ciężkim boju i ogniu zdobywać swoje pasy rycerskie, mam nadzieję, że będzie się można radować.

A. Niewiadowski: A nie boi się pan niebezpieczeństw ideologicznych uwarunkowań, które literatura ta będzie musiała podjąć? Czy nie okażą się jej splotem? Czy młodzi, niedoświadczeni autorzy nie pójdą po linii najmniejszego oporu, nie wciągną tego wszystkiego w nasze mity narodowe?

A. Smuszkiewicz: Nikt inny tego za fantastów na razie nie zrobi.

R. Handke: Prawdziwe niebezpieczeństwo dla literatury powstaje wtedy, gdy jest ona zapraszana przez dysponenta i

obciążana według jego gustu. Ale kiedy człowiek pisze o tym, co czuje, że musi napisać, to nie ma problemu. To jest jeden z mitów naszej świadomości kulturowej i historycznej, że mamy wtórną literaturę, bo mamy parszywą historię. To nieprawda. Każda literatura każdego kraju podejmuje zadania, które są ważne. Jak się jest Anglikiem, to się jest Kiplingiem, bo ma się imperium. A jak się jest Polakiem, to w tym czasie trzeba się zajmować Powstaniem Styczniowym.

M. Parowski: Polski dramat romantyczny narodził się w „instrumentalnej” służbie patriotycznej.

R. Handke: Jak człowiek musi coś zrobić, to z reguły robi to na miarę swoich możliwości. To znaczy zawsze trochę lepiej, niż sądził, że potrafi. Jeśli człowiek nie musi, to w ogóle nic nie robi, albo udaje, że robi — tacy jesteśmy. ‘

M. Parowski: I to ostatnie okazało się przygodą ogromnej części naszej literatury współczesnej. A czas jakiś także fantastyki.

A. Hollanek: Wróćmy do giermków, z których wyrastają rycerze. To była lepsza puenta. Dziękuję panom za udział w naszej dyskusji.

Opracował: Maciej Parowski

PLEBISCYT POLSKIEGO STOWARZYSZENIA MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI NA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ FANTASTYCZNO–NAUKOWĄ W 40– LECIU POLSKI LUDOWEJ

W odpowiedzi na ankietę PSMF dotyczącą wyboru najlepszej książki fantastyczno–naukowej w latach 1945–1984 nadeszły propozycje od 897 osób. Każda z tych osób wytypowała, jej zdaniem, najlepsze pozycje wydawnicze w tym okresie. Ogółem głosowano na 27 tytułów 12 autorów.

- | | |
|---|---------|
| 1) Stanisław Lem: Solaris, (1961) | 601 pkt |
| 2) Stanisław Lem: Niezwyciężony (1964) | 487 pkt |
| 3) Adam Wiśniewski–Snerg: Robot (1973) | 360 pkt |
| 4) Janusz A. Zajdel: Limes inferior (1982) | 208 pkt |
| 5) Stanisław Lem: Dzienniki gwiazdowe (1957) | 196 pkt |
| 6) Stanisław Lem: Cyberiada (1965) | 185 pkt |
| 7) Krzysztof Boruń i Andrzej Trepka: Zagubiona przyszłość (1954), Proxima (1956), Kosmiczni bracia (1959) | 120 pkt |
| 8) Stanisław Lem: Obłok Magellana (1955) | 84 pkt |
| 9) Czesław Chruszczewski: Fenomen kosmosu (1975) | 83 pkt |
| 10) Konrad Fiałkowski: Wróble galaktyki (1963) | 53 pkt |

GDZIE POLSKICH FANÓW TRZECH...

Andrzej Szatkowski

„...gdy Amerykanin wpada na jakiś pomysł, szuka innego rodaka, który by dzielił jego zamierzenia. Jeśli jest ich trzech, obierają prezesa i dwóch sekretarzy. Wystarczy, by ich było czterech, a mianują archiwistę i funkcjonuje już całe biuro. Z chwilą gdy znajdzie się ich pięciu, zwołują zgromadzenie i powstaje klub”. (Jules Verne — „Wokół Księżyca”)

Rok 1984 był dla ruchu miłośników fantastyki w Polsce ósmym rokiem działania w formach zorganizowanych. Był równocześnie trzecim rokiem istnienia Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. W celu dokonania ogólnej oceny roku 1984 dla „Polskiego Fandomu” i dla PSMF w szczególności, bez wnikania w przyczyny upadku Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction, powinienem sięgnąć do korzeni powstania nowej organizacji fanów — do roku ‘81. Wykorzystam w tym celu fragmenty artykułu pt. „Polski Fandom w latach 1981–1984. Próba oceny”, który wraz ze Sławomirem Pikułą zamieściliśmy w marcowym numerze Miesięcznika „Fantastyka” z 1985 roku.

— „Generalnie, rozwiązaniu OKMFiSF i powołaniu Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki (15 VI 1981 r.) nie towarzyszyły wielkie wstrząsy. Można nawet przyznać, iż zmiana warty we władzach Fandomu Polskiego przebiegła płynnie, wręcz łagodnie. Probierzem nastrojów panujących wśród miłośników fantastyki w tym okresie stał się I Założycielski Zjazd PSMF (Warszawa, 4–5 VII 1981 r.) Powołanie Stowarzyszenia miało wtedy wielu przeciwników. Pytano, po co nam kolejna organizacja ogólnopolska, następny moloch, który niczego nam (czytaj: starym fanom) nie będzie dawał? Czy poprzednie 5 lat niczego was (czytaj:

organizatorów PSMF) nie nauczyło? Idea wspólnoty w Polskim Fandomie się przejadła. Istniejący chaos w ruchu starała się jednak opanować grupa osób, która nadal wierzyła, że o interesy miłośników fantastyki może zadbać jedynie organizacja silna, spójna, o wykrystalizowanym programie i konkretnych, dużych możliwościach. Takie możliwości mogła zdobyć organizacja nowego typu, posiadająca osobowość prawną oraz całkowitą samodzielność programową i finansową. Ale status prawny Stowarzyszenia stawiał przed jego twórcami pewne wymagania. I wtedy okazało się, że droga pogodzenia różnych interesów, zaspokojenie dążeń różnych środowisk, spotkania się profesjonalistów i amatorów, starej gwardii OKMFiSF z nowym narybkiem działaczy PSMF, nie będzie ani prosta, ani tym bardziej usłana różami. Rozpad struktur OKMFiSF pozostawił kluby, szczególnie te niezbyt, silne i liczne, na granicy rozwiązania; inne ośrodki, jak w Poznaniu czy w Warszawie, podzieliły się wewnątrz. Okazało się, że liczba tych klubów w Polsce, które można traktować poważnie, spadła z 30 (oficjalna wersja działaczy OKMFiSF) do 4–5. Również działaczy z prawdziwego zdarzenia jakby mocno ubyło. Z dawnej „kliki” niewielu mogło lub chciało w ruchu pozostać. We władzach nowej organizacji znalazło się ich zaledwie dwóch, i to też na kilka zaledwie miesięcy. Odpowiedzialność za PSMF przyjęły na siebie osoby o minimalnym doświadczeniu organizacyjnym. Jeszcze miesiąc wcześniej podawano, że OKMFiSF liczy 20 tys. członków, w lipcu organizacja fanów liczyła ich może 30. Lista członków OKMFiSF wyparowała wraz z obrażonymi działaczami. Osiągnięcia dawnej organizacji okazały się iluzoryczne. Z okładek serii „Fantastyka–Przygoda–Rozrywka” Krajowej Agencji Wydawniczej zniknęła mitomańska reklamówka. Niestety treść tej reklamówki jeszcze przez długi czas funkcjonowała w Fandomie Polskim. Pretensje o jej

nierealizowanie kierowano później wielokrotnie pod adresem... PSMF.

Pierwszym krokiem nowej organizacji fanów przyglądano się uważnie. Nie kryto swoich obaw co do jej przyszłości. Twórcy profesjonalni się usamodzielnili. Obawiali się ponownego utworzenia fikcyjnej komórki w przebudowującym się Fandomie. Stowarzyszenie musiało udowodnić, że stać je na wiele. Oczywiście w sensie programowym, gdyż organizacyjnie było jeszcze „kopciuszkiem”. Okazja na zaprezentowanie swoich możliwości nadarzyła się jeszcze w roku 1981. By uczcić sześćdziesiątą rocznicę urodzin i 35-lecie twórczości Stanisława Lema, PSMF wraz z Klubem „Sfan” zorganizowało w Śródborowie koło Warszawy (13–15.XI.) seminarium. Stało się ono wzorcem, z którego świadomie lub podświadomie korzystali nieomal wszyscy późniejsi organizatorzy imprez seminaryjnych w kraju. Słowo „seminarium” funkcjonowało w ruchu miłośników fantastyki od dawna. Niemniej dopiero impreza w Śródborowie wypełniła je prawdziwą treścią.”

Rok 1982, ciężki dla całego kraju, można pokrótce scharakteryzować jako pasmo uciążliwych poczynań władz Stowarzyszenia nad stworzeniem podstaw prawno-finansowych PSMF, uzyskaniem siedziby, możliwością wydawania własnego pisma i ... zdobywaniem zaufania miłośników fantastyki z całego kraju. W okresie tym zewnętrznymi oznakami istnienia nowej organizacji stały się konkursy: literacki na opowiadanie science fiction i plastyczny „Co się śni dzieciom”, kilka artykułów w prasie, podjęcie wraz z Wydawnictwem „Alfa” starań o stworzenie nowej serii wydawniczej, wydanie wraz ze Śląskim Klubem Fantastyki w Katowicach techniką małej poligrafii antologii „Sposób na Wszechświat”. Aktywizujący się od października tego roku, za sprawą pojawienia się Miesięcznika „Fantastyka”, Polski Fandom podjął ze Stowarzyszeniem dyskusję. Jej motywem

przewodnim było: należeć czy nie należeć do PSMF? „Niezależność” klubów SF (a może tylko wybranych ich działaczy?) była w modzie od chwili rozwiązania OKMFiSF. Jednakże polemika ze Stowarzyszeniem, ze względu na stanowisko jego działaczy, była wyraźnie utrudniona. Niezmienne bowiem credo poczynań władz PSMF brzmi: — „Jedność ruchu miłośników fantastyki w Polsce, a PSMF w szczególności, władze Stowarzyszenia pragną stworzyć lansując i realizując pluralizm klubowy. Żadnego klubu SF w kraju nie zmusza się (czy w jakikolwiek sposób namawia) do przystąpienia do naszej organizacji. System konsolidacji ruchu „na siłę” (OKMFiSF!) jest nam obcy! Ambitny program mogą realizować jedynie osoby w pełni przekonane co do słuszności działań przyjętych przez Stowarzyszenie. Jedność ruchu miłośników fantastyki w Polsce należy tworzyć nie przez wąskie struktury organizacyjne, lecz przez wspólnotę interesów i współpracę. Więzi organizacyjne mają służyć jedynie zwiększeniu możliwości uzyskania lepszych efektów. Mają być stymulatorem, a nie hamulcem działań.”

Rok 1983 zaznaczył się imprezami kulturalnymi o zasięgu ogólnopolskim, zorganizowanymi przez kluby SF w Bydgoszczy (maj, grudzień), Poznaniu (maj) i Łodzi (grudzień). Bez zbytej chyba przesady kluby te można zaliczyć w tym okresie do najaktywniejszych Oddziałów PSMF przeżywających swój największy rozkwit. Niewątpliwym wydarzeniem roku '83 były Dni Fantastyki w Dzierżoniowie pn. „POLCON'83” (27–30.IX). Podczas imprezy po raz pierwszy wręczono nagrodę honorową PSMF za wybitne osiągnięcia na polu fantastyki „ZŁOTA SEPULKA”. Otrzymał ją Janusz A. Zajdel za powieść „Limes inferior”. II Zjazd PSMF zorganizowany „przy okazji” Polconu, określił kierunki działania Stowarzyszenia na przyszłość.

Rok Orwellowski okazał się dla Polskiego Fandomu rokiem

prawdziwej prosperity.

— „Mnożące się imprezy filmowe to „jaskółki, które czyniły wiosnę”. Z kalendarium roku 1984 jednym tchem można wymienić: I Ogólnopolski Przegląd Filmów Fantastycznych w Świnoujściu (6–11.II, Klub „Waż Morski”; impreza, jakiej dotąd nie było — oto najkrótsza recenzja, jaką znaleźliśmy w jednym z fanzinów), seminarium filmów „Konstrukcja świata przyszłości w filmach SF” (Śląski Klub Fantastyki w Katowicach, 6–8.IV), Fantastycon we Wrocławiu (4–6.V, Klub Miłośników Fantastyki we Wrocławiu), II Konfrontacja Filmu Fantastycznego w Poznaniu (18–20.V, P.O. PSMF, Klub „Nostromo”), Przegląd filmów w Starej Miłośnie pod Warszawą (25–27.V, Warszawski Oddział PSMF „Sfera”) czy wreszcie seminarium filmowe „Fantastyka na ekranie” (październik — Klub „Phoenix”). Mimo różnych, wytykanych w recenzjach z imprez filmowych, mankamentów, od indolencji organizacyjnej począwszy, a na zimnym bufecie skończywszy, należy przyznać, że podobnie bogatej wyliczanki w historii ruchu w naszym kraju nigdy dotąd nie było, zwłaszcza, że należy ją rozszerzyć o listę imprez o charakterze odmiennym, nie filmowym.

Przedstawiciele Stowarzyszenia nawiązali pierwsze kontakty zagraniczne podczas Czechosłowackiego Konwentu w Pardubicach (6–8.IV.84) i IX Euroconu w Brighton (kwiecień). Również w kwietniu, dzięki pomocy wielkiego przyjaciela fanów — Andrzeja Trepki, odbyły się w Wiśle organizowane przez Radę Główną PSMF „Bliskie spotkania III stopnia” (2–8.IV), pomyślane jako obóz mający za zadanie integrację różnych klubów i różnych środowisk. W czasie trwania studenckiej Famy’84 w Świnoujściu Stowarzyszenie mogło się zaprezentować podczas Tygodnia Fantastyki (9–14.VII). Jeśli program owych siedmiu dni nie spełnił naszych oczekiwań, wynagrodziła to uczestnikom wspaniała pogoda i rzadko

spotykana gościnność członków miejscowego klubu SF „Wąż Morski”. Ze wszech miar ciekawą imprezą było trzydniowe spotkanie w Warszawie zorganizowane przez Oddział PSMF „Sfera” i miesięcznik „Fantastyka” w Ursynowskim Domu Sztuki (26–28.X) pod hasłem „Z Science Fiction na Ty”.

Wzorem roku 1983 Rada Główna PSMF i redakcja „Fantastyki” zorganizowały Dni Fantastyki, tym razem w Staszowie (4–7.X). Towarzyszyło tej imprezie wielce interesujące seminarium pod hasłem „Polska literatura fantastyczno–naukowa w 40–leciu”. Seminarium zgromadziło kwiat autorów, krytyków gatunku i wydawców oraz fanów, w tym także z nowego Klubu w Staszowie. Podczas Dni Fantastyki zostały również wręczone nagrody, wyróżnienia, ogłoszono wyniki plebiscytów, m.in. rozpisanego przez PSMF plebiscytu na książkę 40–lecia (nazwiska laureatów wszystkich nagród przyznanych przez PSMF można znaleźć w nr 12 „Fantastyki” z roku 1984). Wśród osób, które bawiły w Staszowie niemal nie było niezadowolonych.

Rok 1984 przyniósł fanom również i inne osiągnięcia.

Zabiegi o utworzenie Księgarni Wysyłkowej, prowadzone od początku istnienia Stowarzyszenia, zaowocowały wreszcie własnym Klubem Książki Fantastycznej, inicjatywą cenną szczególnie dla członków korespondentów Stowarzyszenia.

Zwołany w dniach 2 i 3 czerwca Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PSMF uregulował sprawy dotyczące aktów prawnych organizacji, jej działalności gospodarczej i programu jej rozwoju.

Współpraca ze Zrzeszeniem Studentów Polskich zaowocowała przygotowaniem i wydaniem pierwszych numerów kwartalnika „Feniks” (120 stron, format A–5) i biuletynu „Sfera” (format A–3. 16 stron), poświęconych fantastyce i polskiemu Fandomowi.

Z satysfakcją wypada odnotować fakt nawiązania przez

Oddział Warszawski PSMF „Sfera” bliższych kontaktów z radiowym programem „Zapraszamy do Trójki”, którego redakcja zaproponowała Stowarzyszeniu comiesięczne spotkanie z radiosłuchaczami. Pierwsze z takich spotkań odbyło się w październiku.

Rok 1984 był dla polskiego ruchu miłośników fantastyki rokiem ważnym. Wszystkim sceptykom udowodnił, że po trudnym okresie rozpadu i chaosu, ruch fanów odnalazł swoje miejsce na kulturalnej mapie kraju. Wykazał, że pomimo istniejących jeszcze w nim podziałów, jest on w stanie podejmować poważne przedsięwzięcia, organizować imprezy, tworzyć nowe wartości.

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki w okresie tym, w sposób znaczny zwiększyło swoje możliwości realizacji celów statutowych. Podjęło działania na dziewiczym do tej pory polu działalności twórczej. Z inicjatywy grupy młodych literatów i plastyków, zaktywizowane środowisko artystyczne skonsolidowało się. Owocem tej rodzącej się nowej w Fandomie Polskim jakości, jest Klub Twórców PSMF zawiązany w pierwszych miesiącach 1985 roku. Skupia on praktycznie całą młodą (stażem, nie wiekiem) czołówkę polskiej fantastyki naukowej. Ma wszelkie predyspozycje, by pchnąć naszą SF na nowe tory. Liczyć może przy tym na wsparcie „Funduszu im. Stefana Grabińskiego”, który to utworzony pod koniec 1983 roku, zafunkcjonował już chyba w świadomości większości fanów w kraju. Środki finansowe zgromadzone na koncie Funduszu, pozwolą na ufundowanie stypendiów twórczych, nagród literackich, organizację warsztatów i seminariów. Rok 1984 był rokiem rozruchu „Funduszu im. Stefana Grabińskiego”. Może niezbyt udanym, ze względu na brak odzewu ze strony np. instytucji wydawniczych (które zarabiając na science fiction miliony, na cel pomocy młodym twórcom, nie wyasygnowały nawet

złotówki), lecz pozwalającym uwierzyć, że podejmowanie, zdawałoby się, przedsięwzięć nie wróżących zbyt wielkich sukcesów, przy wsparciu fanów przynosi powolne, ale wymierne efekty.

Pod koniec 1984 roku zaszły również, dla PSMF epokowe wręcz, wydarzenia: utworzenie w Studenckiej Oficynie Wydawniczej ZSP „ALMA–PRESS” redakcji fantastyki, oraz wydanie pierwszych numerów biuletynów PSMF „Sfera” i „Feniks” (przełamanie bariery małej poligrafii!). Słowa „promocja” oraz „umożliwienie debiutu”, nie są już w programie działania Stowarzyszenia słowami bez pokrycia.

Stare polskie przysłowie mówi: „gdzie Polaków trzech, tam cztery frakcje”. Polski Fandom udowodnił, że może tych frakcji być siedem, a mimo to w sprawach dla ruchu najważniejszych zachowa on jedność. Rok 1984 przyniósł dwa na to dowody. Pierwszym jest próba utworzenia Nagrody Fandomu Polskiego o nazwie „Sfinks”. W zamierzeniach „Sfinks jest coroczną nagrodą w dziedzinie fantastyki przyznawaną w formie statuetki oraz określonej sumy pieniędzy. Nagrodę przyznaje jury złożone z przedstawicieli wszystkich klubów polskich, oraz osób fizycznych, które wpłaciły na konto nagrody wymaganą minimalną sumę” (§1 Regulaminu nagrody). Drugim, próba przyjęcia nowej formuły corocznej największej imprezy krajowych klubów SF: „POLCON–u”. Można więc stwierdzić, że rok 1984, był rokiem tworzenia nowych, strukturalnych (organizacyjnych) więzi konsolidujących ruch miłośników fantastyki w Polsce. Dla PSMF natomiast, okresem umacniania swojej pozycji. Etapem na drodze w lepszą przyszłość całego Polskiego Fandomu. Jeszcze jednym rokiem–doświadczeniem. A pamiętamy:... gdzie polskich fanów, z doświadczeniem, trzech...

WIDOK PRZEZ „TRZECIĄ BRAMĘ”

Maciej Parowski

W ciągu minionego półtora roku przedstawiliśmy Czytelnikom 19 konkursowych pozycji prozy, a także poezji SF. Nowe tematy, nowe ujęcia, 18 nowych, nieznanych, bądź prawie nieznanych nazwisk — odkryciem konkursu okazali się przede wszystkim debiutanci. Czternastu spośród nich i piętnaście z wyłonionych przez konkurs tekstów znajdziecie państwo w zwartym tomie antologii „Trzecia brama” opracowanym w naszej redakcji, a złożonym i przyjętym w Wydawnictwie Literackim w Krakowie. Poczekamy na tę książkę” rok, może dwa. Zapytajmy jednak już dziś, jak wygląda nowa twarz młodej polskiej SF? Jak ma się propozycja nowej generacji SF do tego, co robili poprzednicy?

Prezentowaliśmy wszystkie opowiadania, które wejdą do konkursowego tomu. Znamie też Państwo nową polską SF zamieszczoną u nas poza konkursem. Zanim więc przeczytacie ten tekst, możecie spróbować odpowiedzieć sobie na wszystkie pytania sami.

POPREDNICY

Konkursy na opowiadanie science fiction, zbiory będące ich owocem i w ogóle wieloautorskie antologie SF mają u nas dobrą passę. Jak wszystkiego, co udane, nie było ich w Polsce zbyt wiele. Niezłym portretem stanu polskiej SF były tomy „Wehikuł wyobraźni” (Wyd. Poznańskie, 1978) i „Gość z głębin” (Czytelnik, 1979), przygotowane odpowiednio przez Bronisława Kledzika i Leszka Jęczmyka. Ostatnio prezentację polskiej SF rozpoczęła KAW dwoma tomami „Spotkań w przestworzach — antologia młodych’79” pod redakcją

Andrzeja Wójcika.

Każda z tych książek dawała portret zbiorowy gatunku, każda odkrywała prawdę o czasie, który ją wydał i odsłaniała nowy rys polskiej SF — przedtem nieznaną. Każda wprowadzała na rynek nowe nazwiska. Na przykład „Posłanie z piątej planety (Nasza Księgarnia, 1964) plon pierwszego konkursu z 1962 r. ukazywał fantastów jako osobników zafascynowanych perspektywami rysującymi się przed ludzkością po otwarciu drogi w Kosmos. „Wołanie na Mlecznej Drodze” (Nasza Księgarnia, 1976) tom zbudowany z tekstów nadesłanych na drugi konkurs, o jednaście lat późniejszy, pokazywał młodą fantastykę zaaferowaną problemami powstałymi już na Ziemi w wyniku rozkwitu nauki i techniki.

Odkryciem pierwszego konkursu był Andrzej Czechowski — prozaik zimny i wyrachowany racjonalista, odkryciem drugiego Wiktor Żwikiewicz — nieposkromiony wizjoner i malarz słowa. Z obu tomów wynikało, że młoda polska SF zawdzięcza wiele Lemowi, ale powoli zaczyna otrząsać się z jego wpływu. „Gość z głębin” (Czytelnik, 1979) wydany w roku, w którym startowały w paru wydawnictwach serie SF, donosił na okładce o „dynamicznym rozwoju gatunku w Polsce, uprawianym przez profesorów, debiutantów, robotników, ludzi dojrzałych i młodych wiekiem”. Ukazywał tom rzeczywiście wielogeneracyjność polskiej SF Anno Domini 1978, choć w sumie zawierał opowiadania dość jeszcze konwencjonalne. Nieco ciekawszy i obszerniejszy był pod tym względem „Wehikuł wyobraźni” (Wyd. Poznańskie, 1978).

W roku 1979 oddawano do druku dwa tomy antologii KAW „Spotkanie w przestworzach”. Przypominały one chwilami, że żyjemy w tzw. ciekawych masach, że daje się problemy tych czasów sygnalizować przy pomocy fantastyki i że zastanawiająco dużo młodych ludzi rozczarowanych niemożnościami literatury głównego nurtu sięga po

fantastyczną metodę. Ale krytycy mogli to nazwać i zauważyć dopiero w roku 1982, kiedy książka się ukazała. Był to rok, w którym zjawiły się także na rynku trzy numery miesięcznika „Fantastyka”, zawierającego między innymi komunikaty o konkursie na opowiadanie.

ZMIANA WARTY

Czy coś wyróżnia ten konkurs i jego owoce? Czy stało się coś nowego z fantastyką w Polsce i jej kulturowym otoczeniem?

Wystartowaliśmy z naszym konkursem i pismem w gorącej chwili historycznej i w momencie pokoleniowej zmiany warty. Pismo założone wspólnym wysiłkiem i w wyniku paroletniego nacisku 3 generacji polskiej SF pozostawało przez pierwsze miesiące istnienia w dziwnej pustce; ruch właśnie wtedy, kiedy dostał miesięcznik zdawał się być wypalony. Autorzy generacji pierwsze i z pokolenia Lema, Hollanka, Borunia, Trepki nie mieli nowych, nie drukowanych jeszcze opowiadań do umieszczenia na naszych łamach. Zajęci pracą nad powieściami pisarze z pokolenia-56 jak Zajdel, Snerg-Wiśniewski, Fiałkowski nagabywani o krótką prozę również odpowiadali odmownie. Niewiele więcej pomogli „Fantastyce” trzydziestoparolatkiwie jak Żwikiewicz, Sawaszkiewicz, Oramus, T. Markowski — znani przedtem w ruchu fanów i obecni na rynku opowiadaniem we własnych książkach, antologiach bądź pismach.

Autorzy trzech generacji polskiej SF zwlekali i w tej sytuacji wsparcie przyszło ze strony generacji czwartej — uczniów, maturzystów, studentów, młodych absolwentów uczelni. To ich tekstów było najwięcej w konkursowej poczcie, a także w miesięcznikach na kolumnach polskiej prozy. Z opóźnieniem zjawiła się potem w piśmie generacja trzecia, też zresztą

prezentowana raczej nowymi nazwiskami, niż tymi, które wypłynęły w latach siedemdziesiątych. Pierwsza i druga generacja, z nielicznymi wyjątkami, zarzuciły formę opowiadania i nie pojawiły się w „Fantastyce” do dziś.

CZWARTA GENERACJA

Jacy są młodzi fantaści? Na pewno nie fascynują się już techniką i kosmosem, nie mają do nich dostępu wielkie porywające wiary w lepsze jutro i cuda nadchodzącej nowej cywilizacji.

Zmienia się stosunek piszących do fantastyki. Dawniej częstokroć gatunek dominował nad autorem, pisarz podejmował typowe elementy fantastycznej gry, szukał nowych wariantów i rozwijał stare, pominięte, bądź naszkicowane przez poprzedników. Opowiadania z lat sześćdziesiątych były do siebie podobne. Proza fantastyczna lat osiemdziesiątych jest już bardzo zindywidualizowana, zdumiewa różnorodnością tematyczną i formalną, jej autorzy zdradzają dobre odczytanie w dziełach spoza pola konwencjonalnej fantastycznej gry, demonstrują ponadto sporą powagę i bardzo osobisty stosunek do gatunku, uważanego niedawno za rozrywkowy i niepoważny.

Jest jedna zmiana zasadnicza — wypadnie ją nazwać emancypacją pisarzy gatunku. Jeśli w latach sześćdziesiątych można było mówić, że przejawia się w fantastyce odpowiedzialność za naukowo-techniczny kształt naszej cywilizacji; jeśli potem zajęła się polska SF ziemią i człowiekiem; jeśli Lemowi np. udawało się en passant rzucać prognozy, które rzeczywistość potwierdziła — to niczego takiego nie ma u współczesnych młodych fantastów, im cud spełnionej przepowiedni się nie przydarza. Gatunek zautonomizował się, uniezależnił, zrzucił z siebie funkcje

użytkowe. W miejsce natchnionych proroctw, rzeczowej futurologii, humanistycznych ostrzeżeń czy politycznych aluzji przyszła chęć na uprawianie... literatury.

Istnieją według mnie, dwie cezury wyznaczające początek tak rozumianej, nowoczesnej, bo samowystarczalnej polskiej SF. Pierwszą jest granica Sierpnia–80; drugą — wytłumaczę się jeszcze z tej megalomanii — powstanie naszego miesięcznika.

Przełom lat 1979/1980 spiętrzył długo hamowane i ukrywane emocje. W literaturze SF moment rozładowania przyszedł później, wiosną 1982. Wówczas stopniowo wchodziły na rynek powieści Zajdla, Oramusa, Wnuka–Lipińskiego, Żwikiewicza, niżej podpisanego, a także zbiory opowiadań Nideckiej czy Grundkowskiego i wielu innych autorów z różnych generacji. Lata 1982/1983 wypełnia więc fala rewindykacyjnej political fiction o klimacie nieco Orwellovskim, opowiadającej o skołatanych bohaterach przemierzających niegodziwy świat i w bólach odkrywających jego tajemnice. Wiele książek, opowiadań przekazuje to samo doświadczenie na przeróżne sposoby, tak że wystąpiło nasycenie tematem i poetyką. Jeśli więc istnieje coś takiego jak zbiorowe myślenie w literaturze (a takie zjawisko występuje na pewno w SF) to można powiedzieć, że gatunek jako ciało zbiorowe uporał się na pewien czas z problematyką polityczną i społeczną. Zwłaszcza, że literatura uzyskała wsparcie w postaci „najważniejszej ze sztuk” — dwu utrzymanych w podobnym duchu fantastycznych filmów Szulkina. Niedawno przybył trzeci „O bi, o ba”. Gatunek wyrzucił z siebie w postaci dystopii to, co ważne, publiczne i wspólne; skoro tak, można było po tym zacząć szukać w literaturze na własną rękę, a nie wypełniać bez końca społeczne powinności. Tyle o cezurze pierwszej.

O drugiej, powstaniu naszego miesięcznika, wspominam z konieczności, a nie z powodu redakcyjnej megalomanii czy reklamiarstwa. Zjawienie się pisma na rynku naprawdę bardzo

zaktywizowało piszących, podniosło świadomość swoistości gatunku w kręgu potencjalnych autorów SF, a także w światku literackim dotychczas niezbyt życzliwym. Pismo zadziało wzorcotwórczo, a poprzeczka wymogów jakościowych wobec SF powędrowała wysoko w górę. Zjawienie się „Fantastyki” na rynku udzieliło ponadto wsparcia rozproszonym wysiłkom wydawców promujących gatunek; SF okazywała się sprawą poważną, literaturą serio.

Są to wnioski formułowane z perspektywy finału konkursu, nie jego początków. Zrazu było niedobrze. Pierwszy odzew w postaci dziecinnych rękopisów pełnych błędów, wtórności i bezwstydnego grafomanii doprowadzał nas do rozpacz. Druga fala to były uczciwe, ale kompletnie nieudane, aliterackie próby wykrzyczenia przez piszących niekontrolowanych społecznych emocji; fantastyczność pełniła w tych próbach rolę dziurawego parawanu. Skłonni już byliśmy uznać nasz konkurs za fiasko, a możliwości fantazjowania w narodzie za wyczerpane. I wtedy, w pierwszej połowie 1983 roku pojawiło się czoło nowej, ciekawszej fali. „Czwarta generacja” odnalazła swój ton.

CO NOWEGO?

Konkursy literackie polegają zawsze na odkrywaniu rezerw i uruchamianiu energii dotąd ukrytych. Irzykowski nazywał je „badaniem zapasów narodowej wyobraźni”. Także mechanizm przyjmowania przez redakcję plonu konkursu różni się od sposobu, w jaki pisma kwalifikują teksty na co dzień. Redakcje mają zwyczaj rezygnowania z tekstów odstających od schematów — rzeczy przykrych, dyskusyjnych, kłopotliwych, ekstrawaganckich. Machina konkursu właśnie takie nietypowe propozycje bezbłędnie odławia. Utwory kontrowersyjne ratują lektorów od nudy; stają się ożywym wytchnieniem po lawinie tekstów standardowych i nijakich. Także dlatego plonem

konkursów bywają nowe nazwiska i nowe zjawiska.

Zastanawiam się teraz, czy tajemniczy, wieloznaczny, miejscami nużący i trudny do zakwalifikowania gatunkowego „Kawałek końca” Grzegorza Stefańskiego, miałby szansę dotrzeć do czytelnika w normalnym numerze poza konkursem? Przemawia za nim ciekawie dawkowane napięcie, wieloznaczne przesłanie, niezła puenta — ale to wszystko wymaga od czytelnika zgody na konwencję i chęci do współpracy z autorem, do czego większość młodych czytelników pisma nie musiała być zdolna. Można by więc druk tego opowiadania odkładać w nieskończoność. Tylko że utwór Stefańskiego — dziwny, alegoryczny, operujący zarówno rzeczywistością realną, jak i mityczną — nie był w tym konkursie samotny. Coś jest w jego klimacie, co łączy go i z „Manualiem skazanego” Macieja Gałaszka i „Człowiekiem publicznym” Andrzeja Tuzika, i „Deneb III” Marka Hemerlinga. Żadne z nich, podobnie zresztą jak większość wyróżnionych opowiadań, nie daje się zredukować do pomysłu, do racjonalnej opowieści z początkiem i wyraźnym zakończeniem. W zamian mamy w nich nieco szaleństwa, metafizyki, ciekawą narrację i oryginalne spojrzenie na świat przez szkła metafory.

Przecież nawet prostsza opowieść Dariusza Romanowskiego „Świat za szkłem”, mimo podobieństw do schematu, napisana jest tak, że nie da się jej sprowadzić do jałowego ostrzeżenia ekologicznego. Podobnie jest z bardzo na pozór werystyczną „Drogą” Marka Hemerlinga, w której to drodze, pełnej samochodów i smrodu spalin, dostrzegł młody autor metaforę życia. I tak jest z paroma jeszcze opowiadaniem — dziwne, nie pasujące do żadnej z szablonowych szufladek — właśnie dlatego, że wraz z konkursem pojawiły się w grupie, zmusiły nas byśmy je zaakceptowali i przedstawili czytelnikom.

Spośród konkursowych opowiadań humoru — w „Barierze” Jerzego Strusińskiego, „Inspekcji” Leszka

Krasowskiego, w opowiadaniu „Okrąg czasu” Jacka Martynika. Mechanizm humoru szczepi się tu za każdym razem na innym schemacie literackim, autorzy igrają swobodnie z gatunkowymi kanonami. Warto też zwrócić uwagę na „Taki był początek” Michała Szarzca — opowiadanie, które z ogranego schematu o kontakcie wydobywa nie tylko wesołe elementy, lecz—jest nader trafne psychologicznie i odkrywczwe w warstwie sytuacyjnej. Fakt, możemy wobec zadziwiającej inwazji zachować się tak humorystycznie i zarazem niegodnie, jak to zobaczył Szarzec. Ciekawy i niefrasobliwy jest pomysł autora „Bariery”, którego na prywatny użytek nazwałem „Borgesem na wesoło”. Borgesa fascynują zwierciadła, Jerzy Strusiński zrobił z lusterka zupełnie niespodziewany użytek, dowodząc tym samym, że mimo tysięcy dokonań wiele jest jeszcze w fantastyce do wymyślenia.

Była tu mowa o motywie kontaktu. Jego bardzo rozbudowaną wersję, wzbogaconą w dodatku scenerią i myślą Wschodu, dał nam Bogusław Boryczko w „Trzeciej bramie”. Oto jedno z tych opowiadań, które zapewne ucieszyło wymagających czytelników, żądających od fantastyki pomysłu nie spotykanego przedtem u nikogo, i oryginalności formalnej, i plastyczności prezentowanego świata, i puenty, która to wszystko zepnie rzucając czytelnika na kolana. Mam nadzieję, że przynajmniej po części zostały za takie uznane teksty następujące: „Mag” Feliksa W. Kresa — powieść w stylu fantasy pięknie i mądrze filozofująca na temat piękna i dobra. „Atak” Adama Augustynka — skrzyżowanie MacLeanowskiej opowieści awanturkowej z fantastyką psychologiczną. „Piloci ultrafioletowych dali” Dariusza Lebiody — pełen rozmachu, wizyjny.* poemat o dziwnej wojnie toczącej się gdzieś w przestworzach. „Dziedzictwo” Jana Wojewódzkiego — bujna wizualnie, niemal powieściowa panorama opowiadająca o dzieciach chowanych poza Ziemią na kosmicznym pustkowiu,

ale i tak dobiegających w końcu swego jednostkowego i gatunkowego przeznaczenia.

WIZERUNEK ZBIOROWY

Dobór nazwisk i opowiadań w tomie jest po części dziełem przypadku. Niektórzy autorzy mniej cierpliwi, nie chcąc oczekiwać na oddalający się wciąż moment rozstrzygnięcia, nadsyłali nam utwory poza konkursem. Opowiadania innych dotarły do nas po jego zamknięciu. Ale można łatwo zauważyć, że najlepsi spośród autorów „Fantastyki” publikujący poza konkursem mają wiele wspólnego z laureatami.

Uważny czytelnik powinien rozpoznać podobny ten rozważań na temat powinności jednostki i władzy, a przewijający się zarówno w konkursowym „Magu”, jak i w opublikowanych w „Fantastyce” poza konkursem „Mistrzu” Emmy Popik, „Posłańcu” Andrzeja Drzewińskiego, „54812 — TEST” Torunia, „Wszystkie twarze Szatana” Piekary. Wszystkie te teksty miały satysfakcjonującą, powiedziałbym nawet — wyrafinowaną — formę artystyczną.

Nie przejrzał się ani w konkursie, ani na naszych łamach typ fantastyki politycznej, jaką konsekwentnie uprawia 21-latek Rafał A. Ziemkiewicz. Fascynację myślą Wschodu — a patrząc szerzej, nowym holistycznym paradygmatem w podejściu do życia i natury — reprezentują wśród konkursowiczów autorzy opowiadań: „Trzecia brama”, „Dziedzictwo”, a częściowo też „Atak”. Poza konkursem elementy takiej filozofii można znaleźć w prozie Marka Baranieckiego (zwłaszcza w „Karlgoro godz. 18.00”), w „Liście z Dune” Andrzeja Zimniaka, w „Powiewie nieprawdopodobieństwa” Ryszarda Głowackiego.

Dowcipne nowelki konkursowe nie wyczerpały porcji humoru w „Fantastyce”; przyszły po nich drukowane już poza

konkurem opowiadania i miniatury literackie Eugeniusza Dębskiego, Andrzeja Drzewińskiego, Rafała Ziemkiewicza, Pawła Tomczyka. Może tylko do eksperymentu nie byliśmy poza konkursem w „Fantastyce” zbyt skorzy... Choć nie — przecież już w pierwszym numerze odważyliśmy się drukować dziwny, mroczny, odstający od rozrywkowych kanonów fantastyki, nieco Kafkowski tekst Jerzego Lipki „Co większe muchy”.

15 z 19 tekstów wybranych przez pięcioosobowe jury z 689 zestawów prac — przedstawi więc kilkanaście indywidualności nowej fantastyki polskiej. Jest to aż reprezentacja i tylko reprezentacja — na pewno nie całość. Reprezentatywne będą jego niektóre grzechy — na przykład brak szacunku do pięknego pisania wspólny jest całej generacji: wiele opowiadań z konkursu i w ogóle zamieszczonych w „Fantastyce” wymagało niestety dokładnego redakcyjnego opracowania. Reprezentatywne będą zalety — rozległość zainteresowań, refleksyjność, związki z wieloma nurtami kultury i literatury, rozbijanie schematów tradycyjnej opowiadki SF, literacka gra serio w autoetyczne problemy, pomysłowość, plastyczność pomysłów i wykonania.

„TRZECIA BRAMA”

Tytuł tomu „Trzecia brama” pożyczony od jednego z konkursowych tekstów dobrze zdawałoby się oddaje istotę rzeczy. Będzie książką bramą, przez którą wejdzie na rynek czwarta już generacja autorów polskiej SF.

Choć, jak się zorientowałem prezentując tę analizę na spotkaniach w Staszowie, termin „czwartej generacji” budzi czasem wątpliwości i protesty. Problem w kryteriach podziału — niektórzy krytycy np. wydzielają odrębne pokolenie-75; nie chcę się z nimi spierać. W każdym razie to, co ujawniło się w

ciągu ostatnich 2,5 lat na łamach „Fantastyki” i co przyniósł konkurs jest już zjawiskiem, falą, działa w masie i dysponuje pewną zbiorową twarzą (gębą?), którą można nazywać. Nosi na sobie ta twarz ślady bujnych doświadczeń historycznych ostatnich lat, przyniesioną z ruchu klubowego fanów znajomość dotychczasowych osiągnięć SF i związane z tym pragnienie rozwijania i rewolucjonizowania gatunku metodami artystycznymi. Dokonania wszystkich autorów zaliczonych tu do „czwartej generacji” świadczą o pewnym literackim powinowactwie. Nie będę się o termin „czwarta generacja” kłócił, ale jakby co, gotów jestem go trochę pobronić.

Można wysunąć na przykład zastrzeżenie, że „czwartą generację” mianuje się sztucznie, dekretuje jednoosobowo na zasadzie protekcji. Odpowiadam na taki zarzut następująco — jurorów naszego konkursu było pięciu, nie jeden, ich gusty były i pozostały rozbieżne, a próbka 689 zestawów tekstów (ok. 7000 stron maszynopisu) wydaje się reprezentatywna i upoważniająca do snucia uogólnień. Powtarzam — to, co się nadawało do druku, co zwracało uwagę, było literackie, nieklasyczne, artystyczne (podobne efekty, jak się dowiedziałem w Staszowie od red. Kiedzika, przyniósł konkurs zorganizowany przez Wydawnictwo Poznańskie). Owszem udowodnił nasz konkurs, że żywotne są jeszcze wśród młodych i poetyka klasycznej SF, i rozumianej bardzo dosłownie fantastyki politycznej. Miały więc te nurty zwolenników, nie miały reprezentatywnych tekstów na poziomie; odnotowały się jako świadectwo socjologiczne, ale nie uzyskały zadowalającej artykulacji literackiej. Wcale nie twierdzę, że należy się z tego cieszyć. Poza nagrodzonym niekonwencjonalnym zresztą gatunkowo „Magiem” właściwie nieobecna była w konkursie poetyka fantasy. Choć to akurat może się zmienić i bodaj zmienia się w ostatnich miesiącach. /

Ostatni problem — czy ma sens wprowadzanie podziałów,

mówienie o prądach, grupach, zbiorowch twarzach w przypadku autorów młodych, stawiających dopiero pierwsze kroki? *Uważam*, że ma o tyle o ile w ogóle ma sens historia literatury, nazywanie epok, prądów czy zastanawianie się nad nowymi zjawiskami konkursu „MT” — 73 wobec konkursu tego samego miesięcznika z 1962 roku. Ale czy nie za wcześnie nazywać coś, co zaczęło się dopiero przed kilkunastoma miesiącami? Myślę, że nie. Tyle rzeczy w dziedzinie kultury nazywaliśmy w Polsce z opóźnieniem, że raz na jakiś czas możemy sobie zafundować luksus krytycznej pracy na styku z rzeczywistością.

Zwłaszcza że „Trzecia brama” jako książka zaplanowana przez Wydawnictwo literackie na rok 1986, dla nas przechodzi już do historii. My zamykamy kramik. Historię trzeba nazywać, klasyfikować, wyciągać z niej wnioski, określać się wobec niej. Niniejszym próbowaliśmy to czynić. Kiedy „Trzecia brama” ukaże się w księgarniach obok wydanych także w Wydaw—Tnictwie Literackim nowych pozycji Lema, Fiałkowskiego obok fantastycznego debiutu Jacka Natansona czy Anny Borkowskiej, obok wznowień Bogdana Ruty i kontynuacji przygód Ijona Tichego, obok tomu krytycznych szkiców o Lemie, które wyszły spod pióra krytyków całego świata... my w „Fantastyce” będziemy, podejrzewam, czym innym zajęci. Tu w tym numerze na kolumnach informacyjnych ogłaszamy przecież nowy konkurs, czy może raczej nową odsłonę starego (nieustającego?) konkursu. Redakcja otwiera się na nowe doznania, nową propozycję, nową estetykę, nowej grupy autorów (generacji?). Czy rzeczywiście nową?

My znaczymy i kształtujemy swój czas, to prawda, ale także czas mówi nami. A przecież sytuacja nieznacznie, ale jednak, się zmieniła. Zmieniła się sytuacja fantastyki i zmieniła się sytuacja fantastów. Elementami tej zmiany jest także zadomowienie się naszego miesięcznika w pejzażu

kulturalnym, jest zaistnienie już „generacji czwartej”, jest późniejszy o 3 lata moment historyczny, jest wreszcie i to, że w fantastyce od pewnego czasu wszystko jest możliwe, ponieważ w gatunku ostatnio jest po trosze wszystkiego.

Zamykając definitywnie konkurs 1982/1983 myślimy już więc o następnym: jacy będą ci fantaści AD-85? Co nam zechcą powiedzieć?

GENERACJA WCZEŚNIAKÓW

Rafał A. Ziemkiewicz

Kiedy w początkach 1982 roku zakładaliśmy z Robertem Azembskim, Jarkiem Grzędowiczem i Jackiem Piekarą grupę autorską TRUST, stanowczo odżegnywaliśmy się od pisania jakichkolwiek manifestów, krytyk, polemik czy tym podobnych — jak uznaliśmy — dupereli na swój temat. Opowiadania miały być jedyną formą naszej wypowiedzi. Ostatnio doszedłem jednak do wniosku, że nie było to postanowienie zbyt mądre. Wokół fantastyki, zwłaszcza tej najmłodszej narosło już tyle nieporozumień, że nie sposób przyglądać się temu obojętnie. Tym bardziej, że jak uczy praktyka, zbiorowe powtarzanie przez krytykę choćby najbzdurniejszych zachwyłów może zrobić znanego autora nawet z analfabety, a recytowanie w kółko tych samych zarzutów może dobrego pisarza zdrowo usadzić. Tak już jest i jeśli młodzi twórcy, mający ambicje odnaleźć w polskiej fantastyce swoje korytko i mocno do niego przywrzeć nie zaczną — wzorem starszych — wypowiadać się sami na swój temat, to nie będzie nikogo, kto by to za nich zrobił.

Inspiracją moją, a zarazem kroplą przepelniającą kielich mojego konformizmu, stał się artykuł Macieja Parowskiego „Widok przez trzecią bramę”, w sąsiedztwie którego, jak mam nadzieję, zostanie mój tekst zamieszczony. Żeby od razu było wiadomo, o co chodzi, nie zgadzam się z artykułem redaktora działu polskiego „Fantastyki” od początku do końca, z wyjątkiem paru dobrze postawionych kropek i przecinków. Nie zgadzałbym się z nim nawet, gdyby opublikowano go tylko jako podsumowanie konkursu „Fantastyki” (gdyż tego tylko w sumie dotyczy), a co dopiero gdy, przez umieszczenie go w

niniejszej antologii, pretenduje do roli podsumowania całego dość złożonego zjawiska, jakim jest „czwarta generacja” polskiej SF. MP dopuszcza się uproszczenia, które doprowadza go do wniosków najzupełniej błędnych. Stawia mianowicie znak równości między „czwartą generacją” a grupką laureatów konkursu „Fantastyki”, a w każdym razie grono laureatów konkursu uznaje za grupę najbardziej dla „czwartej generacji” reprezentatywną. Tak w istocie nie jest.

Pojawienie się „czwartej generacji” na rynku nastąpiło znacznie wcześniej, niż MP sądzi, jeszcze przed ukazaniem się pierwszego numeru „Fantastyki”. Jako pierwsi wyszli z kręgu fanzinów członkowie działającej przy warszawskim SFAN-clubie grupy TRUST. W połowie roku 1982 klub rozpoczął współredagowanie rubryki „W kręgu fantastyki” w łódzkim tygodniku „Odgłosy”. W lipcu 1982 ukazał się tam krótki artykuł, określający poglądy członków TRUSTU na literaturę SF, a wkrótce potem ich opowiadania: „Muzyczny Starzec”, „Likaon” i „Marzenia” Azembskiego, „Azyl”, „Ruleta” i „Twierdza trzech studni” Grzędowicza, „Z palcem na spuście”, „Łąka”, „Głosy z oddali” i „Prezydent” autora niniejszego szkicu, a wreszcie „Biały czł&wiek” i „Wilki” Marka Nowaka oraz „Mieszczuch” i „Firma poleca swoje usługi” Krzysztofa Kochańskiego. Przemknęło też wówczas przez łamy „Odgłosów” kilka „meteorów”, ludzi, których uczestnictwo w SF skończyło się na jednym, dwóch opowiadaniach. Nie piszę o nich, gdyż w przeciwieństwie do MP nie sądzę, by autor jednego opowiadania mógł być uważany za pisarza.

Współpraca z „Odgłosami”, a potem także i ze SFANem zakończyła się dość prędko, z różnych przyczyn, o których nie ma tu co opowiadać. Dzięki niej jednak w momencie ogłaszania konkursu „Fantastyki” istniało na rynku kilku autorów mających po kilka opowiadań wydrukowanych i kilka następnych czekających na publikację. W 1983 do

wymienionych doszedł jeszcze Jacek Piekara, debiutując równocześnie w „Fantastyce” i „Problemach”. Żaden z tych autorów nie wziął w konkursie udziału, a kilku z nich w ogóle nie nawiązało z „Fantastyką” żadnego kontaktu (Azembski, Grzędowicz, do września 1984 także i ja) za co zostali przez MP ukarani przemilczeniem ich nazwisk. Widać redaktor działu ptslskiego w „Fantastyce” nie czytuje niskonakładowej konkurencji swego pisma. Dlaczego jednak pominął w swych rozważaniach bodaj czy nie najciekawszego autora nowego pokolenia, Krzysztofa Kochańskiego, który w „Fantastyce” publikował, pozostanie chyba na zawsze tajemnicą.

Pomijając autorów, mniejsza z tym, że lepszych i bardziej doświadczonych, ale z największym dorobkiem w całej „czwartej generacji”, MP usiłuje wysnuć jakieś wnioski z debiutanckich utworów laureatów konkursu „Fantastyki”. Wyniki tego konkursu, wbrew temu, co można by sądzić, wcale nie były rewelacją. Pokazało się na konkursie dwóch ciekawie zapowiadających się autorów — Feliks W. Kres i Marek Hemerling — o których na razie nic się nie da powiedzieć, zanim nie opublikują oni swoich kolejnych utworów. Oprócz nich konkurs pokazał kilkunastu ledwie sobie radzących z pisaniem debiutantów, którzy być może będą kiedyś pisarzami, a być może nie (osobiście uważam, że nie — wyjaśnię jeszcze, dlaczego). Na razie jedyne co można u nich zaobserwować, to brak opanowania warsztatu. Trudno mieć o to do młodych autorów pretensje, bo niby gdzie i od kogo mieli się tego nauczyć? Utarło się u nas, że pisarz SF może pisać byle jak, byle tylko był natchniony i pisał o „człowieku”, cokolwiek by to miało oznaczać. Tekst MP jest typowym takiego rozumowania przykładem. Z tego, że pisanie to ciężkie rzemiosło, wymagające ciągłej nauki i ćwiczeń, z tego, że opanowanie zasad pisarskiego warsztatu, umiejętność konstruowania opisów i dialogów, tworzenia interesującej dla

czytelnika fabuły, budowania nastroju i stopniowania napięcia są warunkiem *sine qua non* wszelkiego pisania, w ogóle mato kto sobie u nas zdaje sprawę.

Wolno MP nazywać opowiadanie ewidentnie źle skonstruowane, rozpadające się na dwie niewiele ze sobą mające wspólne części, z których każda mogłaby być osobnym utworem „Skrzyżowaniem McLeanowskiej opowieści awanturycznej z fantastyką psychologiczną” („Atak” A. Augustynka). Wolno mu podobnie różnamłany tekst B. Boryczki kreować na „głos pokolenia”, a kilka rekwizytów zaczerpniętych z „Wejścia smoka” i „Klasztoru Szaolin” awansować do roli „Nowego, holistycznego paradygmatu w podejściu do życia i natury”. W ogóle wszystko mu wolno, papier jest cierpliwy. Tyle, że jest to postępowanie niegodne szanującego się recenzenta, przede wszystkim bowiem trzeba powiedzieć, że są to opowiadania źle napisane i jako takie nie powinny się były w ogóle ukazać, zanim by ich autorzy nie popoprawiali. Ewidentnych „byków i byczków” swych podopiecznych zdaje się MP nie zauważać. Nie ma w jego artykule ani słowa o tym, co jest główną cechą konkursowych opowiadań — o sypiącej się konstrukcji, wyskakujących z boku albo rwących się nagj wątkach, papierowych bohaterach, w dodatku pojawiających się ni stąd ni zowąd pod koniec opowiadania, o nudnej akcji, nie wspominając już zaniechania tak głupiej i nikomu do szczęścia niepotrzebnej pracy, jak budowanie jakiegoś nastroju czy napięcia. Nie ma w artykule MP ani słowa o języku jakim te teksty są napisane, o nieopanowanym słowotoku, przegadanych opisach, drętwych dialogach, o dającym komiczne efekty braku wyczucia językowego — „uśmiechnąłem się do strażnika, gdy ten mnie obłapiał”. („Manual skazanego” Macieja Gałaszka — to nie opowieść o homoseksuali—’ stach, tylko tragiczne skutki nie wznawiania słownika języka polskiego), wreszcie o

nieporadnym klejeniu zdań ze słów i zwrotów zasłyszanych w szkole, telewizji i urzędach — „Magazyn żywności zabezpieczał wyżywienie załogi na okres 70 lat” — („System Jordana” Leszka Kraskowskiego). To przykłady tylko z jednej porcji pokonkursowych remanentów ze stycznia 1985. Takie błędy dyskwalifikują wypracowanie w szanującej się szkole, tymczasem MP zachwyca się konkursowymi tekstami bezkrytycznie, wspominając mimochodem coś o „Braku szacunku dla pięknego pisania” (subtelne określenie). Krótko mówiąc, mamy otogrupę wspaniałych młodych autorów, którzy co prawda nie bardzo potrafią pisać, ale to drobiazg — ostatecznie wielu starszych też niezbyt sobie z tym radzi i nie przeszkadza im to być twórcami całą gębą.

Że plon konkursu został opublikowany nie mam do MP żalu — ostatecznie skoro „autorzy trzech generacji polskiej SF zwlekali” to trzeba było coś drukować. Ale stawianie tych ledwie raczkujących niemowlaków na piedestale i za wzór to już gruba przesada. „Na litość boską, nie każmy dzieciom ratować literatury”, jak napisał kiedyś nad wyraz słusznie Jan Błoński. Jeszcze większym nieporozumieniem jest tworzenie na ich podstawie uogólnień, mających się stosować do całej generacji, o której w ogóle można będzie powiedzieć coś sensownego dopiero wtedy, gdy będziemy mieli na koncie po kilka wydanych książek, to znaczy za parę ładnych lat.

Rola moja, jako autora niniejszego szkicu i zarazem jednego z twórców czwartej generacji jest wybitnie niewdzięczna. Na dobrą sprawę pisząc o rówieśnikach powinienem również napisać o sobie. Trudna sprawa. Chwalić się raczej nie mam czym, a źle o sobie pisać nie myślę — na pewno ktoś inny zrobi to lepiej i z prawdziwą satysfakcją. W każdym razie nie chciałbym, aby czytelnik pomyślał, że piszę to wszystko by dowieść, że cała „czwarta generacja” jest do kitu, a ja jeden dobry. Wszystko, co piszę dalej o „czwartej generacji” da się

bez kłopotu zastosować i do mnie. Zresztą w tej antologii ukazuje się jedno z moich opowiadań, kilka innych rozsianych jest po prasie — niech się bronią same. Nie chciałbym także, aby na podstawie tego, co napisałem, uznano mnie za zwolennika doskonale warsztatowo zrobionych czytań, z których nic a nie nie wynika. Opowiadanie fantastyczne musi być atrakcyjne w lekturze, ale powinno też zawierać coś więcej, niż tylko intrygującą akcję. Pisarstwo jest rzemiosłem artystycznym, i jak w każdym rzemiośle artystycznym bez bycia dobrym rzemieślnikiem nie można nawet marzyć o byciu artystą. Co to za jubiler, który potrafi wymyślić wspaniałą biżuterię, skoro nie wie jak ją wykonać? Przy pierwszej okazji śliczny pierścionek rozlatuje się, brylant wypada, a my rozbijamy sobie głowę o kant wersalki usiłując spod niej wyjąć kamień. Jasne że nie jest to żaden jubiler, tylko nieudacznik. Dokładnie tak samo jest z pisaniem — poznać wszystkie tajniki warsztatu to dopiero punkt wyjścia. Szkoda, że wielu polskich pisarzy SF ma kłopoty z tak podstawową sprawą.

Jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego piszę ten artykuł. Mniejsza z tym, co są warci laureaci konkursu i czy czwarta generacja wygląda tak, jak to sobie MP wyobraża, czy trafnie kreśli on obraz najmłodszej polskiej SF. W rzeczywistości sprawa wygląda znacznie mniej wesoło. To niemowlę bowiem zaczyna poważnie słabować, zanim jeszcze zaczęło na dobre chodzić. Tak zazwyczaj jest z wcześniakami, wydobytymi na światło dzienne zbyt szybko, przy pomocy akuszerskich kleszczy.

Zadebiutować w dziedzinie fantastyki nie jest tak łatwo, jakby się mogło zdawać — dowodem niech będzie Marek Hemerling, którego utwory dość długo obijały się po różnych redakcjach i konkursach, zanim wreszcie znalazły się w druku. Owa trudność wynika jednak przede wszystkim z niewielkiej ilości miejsc do druku i długiej kolejki, jaka zdażyła się tam

utworzyć, poprzeczka debiutu jest bowiem ustawiona bardzo nisko. Przy słowach redaktora działu polskiego „Fantastyki” iż „poprzeczka wymogów jakościowych wobec SF poszła wysoko w górę”, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Zadebiutować może u nas, pomijając trudności techniczne, praktycznie każdy, kto jako tako macha piórem, co widać zresztą także i w samej „Fantastyce”. Znacznie trudniej jest natomiast wydać drugie, trzecie opowiadanie. O ile druk debiutu jest zazwyczaj dla redakcji czymś atrakcyjnym (pomagamy młodym!), to w druku kolejnych tekstów tego samego autora nie ma ona już żadnego interesu. Muszą się bronić same. Jakby na dokładkę wszelka pomoc dla debutantów kończy się zazwyczaj w momencie, gdy powinna się zacząć — po opublikowaniu pierwszego utworu. Gdzie seminaria, warsztaty „dla młodych twórców”? Początkujący autor zawsze potrzebuje kogoś, kto będzie go wprowadzał w tajniki pisarstwa i poprawiał mu błędy zanim nie dojdzie do poziomu, który umożliwi mu samodzielne zdobywanie wiedzy. W przeciwnym razie albo nigdy nie wyskoczy z kręgu fanzinowej amatorszczyzny (patrz zmarnowany talent Jana Maszyczyna), albo nigdy nie będzie dobrym pisarzem, albo na osiągnięcie wysokiego poziomu straci wiele lat. Nie każdego spotyka to szczęście jakie miał TRUST w osobie swego nieoficjalnego opiekuna, Piotra Staniewskiego.

Sprawę pogarsza jeszcze fakt, że redakcje lubią utwórki konwencjonalne (ostatnio modna zrobiła się konwencja przemetaforyzowania i bełkotu), nikogo nie obrażające i bezpieczne. Skutkiem tego jest „poprawianie” tekstów, których prawem i obowiązkiem jest przemawiać bezkompromisowo, co zresztą musi pokrywać inne niedostatki debiutanckie. Na wyważanie sądów przychodzi czas potem. Pozbawiona głównego swojego atrybutu, jakim jest ta ostrość widzenia młoda literatura staje się zwykłym nudzeniem.

Najgorsze jednak ze wszystkiego, co może młodego autora spotkać, to pochwały i zachwyty nad ledwie–ledwie poprawnymi opowiadankami. Zazwyczaj zaczyna on wtedy wierzyć, że już jest dobry i zupełnie się nie rozwija.

To jest właśnie nasze, młodych twórców SF, nieszczęście. Zbyt wcześnie poczuliśmy się pisarzami, (nie ma w tym stwierdzeniu żadnej mojej kokieterii. Naturalnie, że ja też się czuję pisarzem. To już jest coś takiego, że jak się ktoś raz poczuje, to nikt i nigdy nie przekona go, że się myli). „Czwarta generacja” nieco za wcześnie się pokazała, za szybko, zanim zdążyła dojrzeć, zaczęła się sprzedawać. Efektem tego jest impas, który czołowych autorów tej generacji dotknął, gdy tylko zaczęli się jako tako zapowiadać. Być może dla czytelników jest to zjawisko niezauważalne, ale trudno go nie dostrzec, siedząc w środowisku i czytając nowe utwory w maszynopisach. Popatrzmy: Kochański po kilku doskonałych tekstach zebranych w tomie „Zabójca czarownic” stanął na rozdrożu. Z jednej strony grozi mu powtarzanie się, z drugiej — strata z trudem wypracowanego, wysokiego poziomu. Eksperymentuje, próbuje zmiany formy wypowiedzi. Piekara wpada w rutyniarskie, coraz zręczniejsze i coraz szybsze powtarzanie prawie tych samych fabuł, z których za każdym razem coraz mniej wynika. Tak samo i ja. Azembski, usiłując się bronić przed powtarzaniem tego, co już powiedział, odrzucił swą oryginalną formę i treść, wdając się w mętne rozważania teologiczne, których nikt nie chce mu drukować. Grzędowicz zamilkł na dobre. Nowak po „Białym człowieku” i „Pierwszym” poważnie zniżył loty. Z nazwisk wymienionych przez MP — Andrzej Drzewiński dawno już wyspecjalizował się w pisaniu dość sprawnych opowiadań, w których próżno by szukać głębszych treści. Propozycje Emmy Popik nigdy nie wydawały mi się zbyt interesujące. Co do Darosława J. Torunia, mieszanie go do młodych twórców, co MP czyni, jest

nieporozumieniem. Toruń jest tłumaczem, któremu dwa razy w życiu zdarzyło się popełnić opowiadanie (1977 i 1983) i nic nie wskazuje na możliwość recydywy.

Sprawia to wrażenie, że czwarta generacja wykrzyczała już wszystko, co miała do powiedzenia, na co w dodatku nałożyły się inne przeszkody, o których pisałem już wcześniej. Storo zaczęliśmy krzyczeć, zanim spostrzeżenia i opinie, które nosiliśmy w sobie zdążyły do tego dojrzeć, nic dziwnego, że nie starczyły one na długo. Zdaje się to potwierdzać fakt, że starsi wiekiem debiutanci, jak Grundkowski, tego typu problemów nie mają.

Na odkrycia konkursu, poza może Kresem i Hemerlingiem, nie ma co liczyć. Po tych zachwytach, które spłynęły na nich za te szkolne próby, raczej nie będą mieli bodźca do podwyższania lotów. Chyba że znajdzie się wśród nich jakiś zdolny i uparty samouk, co oby się stało.

Być może przesadzam. Może ten kryzys minie szybko i nie pozostawi po sobie śladów. (Oby!). Niewątpliwie jednak to nienormalnie wczesne wejście na rynek znacznie nam zaszkodziło. Pisarzem zostaje się powoli i żadne ciągnięcie debiutanta za łeb nic tu nie da, co najwyżej zaszkodzi.

Oczywiście, debiutantom należy pomagać. Ta jednak pomoc, z którą jak na razie mamy do czynienia, ograniczająca się zazwyczaj tylko do umożliwienia debiutu, jest pójściem na łatwiznę i — w ostatecznym rozrachunku — nie przynosi pożądaných rezultatów. Można, i trzeba, pomagać młodym autorom inaczej: przez organizowanie warsztatów twórczych, seminariów, na których mogliby wymieniać między sobą poglądy, przez, wprowadzenie ich w „litera—turogenne” środowisko fandomu i skupionych w nim autorów, nawet przez umożliwienie im dostępu do klasyków literatury, zwłaszcza fantastycznej. Rzecz niby błaha, a niezmiernie ważna, wielu autorów bowiem, zwłaszcza z mniejszych ośrodków, nie ma

fizycznej możliwości zapoznania się z twórczością Bradbury’ego, Dicka, Tolkiena czy Ursuli Le Guin. To tylko kilka przykładów z długiej listy możliwości.

MP pisze, że w momencie ukazania się antologii „Trzecia brama” redakcja „Fantastyki” będzie zajęta czym innym. Zapewne publikowaniem plonu kolejnego konkursu i lansowaniem kolejnej generacji (dwunasto—latków?). Miejmy nadzieję, że do tego czasu coś się w sytuacji młodych autorów zmieni na lepsze. Być może pomogą tu inicjatywy PSMF, utworzenie klubu Twórców PSMF oraz Funduszu im. S. Grabińskiego. W chwili obecnej jednak są to jeszcze plany we wstępnej fazie realizacji, i trudno przewidywać ich los. Dobrze by było, gdyby „piąta generacja”, kiedykolwiek się nie pojawi, nie była równie skrzywdzona, jak poprzednia.

FANTASTYKA '84 — KSIĄŻKI PRZECZYTANE

Stefan Otceten

Gdy przystępując do zaproponowanego mi zadania oceny literatury fantastycznej i fantastycznonaukowej wydanej w naszym kraju w 1984 roku sporządziłem zestawienie tytułów książek mających w stopce redakcyjnej ten właśnie rok wydania, pojawiły się pierwsze refleksje. Otóż czytelnik, a także krytyk dokonujący, czy to na użytek własny czy powszechny, oceny jakiegoś zjawiska literackiego przyjmuje zazwyczaj inne kryteria oceny niż wąskie (a w tym przypadku ograniczone do jednego roku) ramy czasowe. Albo się mówi o twórczości pisarza lub jakiejś grupy literackiej, albo ocenia pewne, zamknięte już z reguły okresy. Można wtedy prześledzić tendencje rozwojowe lub schyłkowe, wskazać charakterystyczne cechy, ocenić omawiane zjawisko literackie na tle społecznym czy obyczajowym. Pozwala to krytykowi na uporządkowanie ocen a czytelnikowi pomaga w wyrobieniu opinii o przeczytanych książkach. Konieczność oceny „roku wydawniczego” stawia przed krytykiem nieco inne zadania i wymaga nieco innego podejścia do tematu.

Sporządzona lista na której (mam nadzieję) uwzględniłem wszystkie pozycje zaliczane do literatury fantastycznej i fantastycznonaukowej zawiera 37 książek. Postanowiłem uwzględnić w ocenie także 6 powieści drukowanych w miesięczniku „Fantastyka” — bowiem wielu czytelników oprawia je i włącza do swoich biblioteczek jako pozycje książkowe. Zdając sobie sprawę, że słowa te adresowane są głównie do miłośników science fiction, prowadzących z reguły szczegółowe wykazy bibliograficzne pragnę od razu zaznaczyć, że liczba ta może się nieco różnić od prowadzonych przez nich

zestawień. Będzie to głównie wynikać z faktu zaliczania bądź niezaliczania pewnych powieści i opowiadań do nurtu literatury fantastycznej. Niektórzy wielbicieli gatunku rozszerzają niekiedy, w sposób moim zdaniem sztuczny, jego ramy wkładając do worka z fantastyką na przykład „Przypadki Robinsona Kruzoa” Defoea czy „Sto lat samotności” Marquéza. Nie miejsce tu i pora na wykładanie moich kryteriów w tym względzie, jednak fakt nie—pojawienia się pewnych nazwisk czy tytułów może z nich właśnie wynikać. Także okoliczności, że piszę te słowa w pierwszych dniach stycznia 1985 roku może spowodować nieuwzględnienie tzw. „poślizgów” wydawniczych sygnowanych w stopce redakcyjnej datą 1984, które ukafą się w pierwszych miesiącach bieżącego roku, a które siłą rzeczy uwzględnione być nie mogą. Tak tedy przyjmijmy, że owe 43 pozycje — zawierające w sobie chyba wszystkie ważniejsze dokonania — stanowią reprezentowany przegląd działalności wydawniczej w roku 1984.

Po tym przydługim nieco, ale chyba koniecznym wstępie przystapmy do wystawiania cenzurek. Ocenę podzielimy na dwie części — to jest krajową i zagraniczną, bowiem porównania między nimi nie bardzo mają sens. Na początek kilka słów o wydawcach. Swoją obecność na rynku zaznaczyły w zasadzie wszystkie wydawnictwa posiadające wyodrębnione serie poświęcone fantastyce. Ilościowo najwięcej pozycji wypuściła Krajowa Agencja Wydawnicza i Iskry, szkoda, że tylko jedną pozycję zaproponował nam Czytelnik — wydawca najlepszej w tej chwili serii „z kosmonautą”. Czterdzieści wydanych w 1984 roku książek stanowi średnią przeciętną z ostatnich kilku lat, trzeba jednak od razu powiedzieć, że zabrakło w tym roku pozycji szczególnie wybitnych takich jak nas przykład „Czarnoksiężnik z Archipelagu” Ursuli K. Le Guin, „Ogród czasu” Ballarda, „Żuk w mrowisku” Strugackich z roku 1983, czy choćby na gruncie krajowym „Limes inferior”

Zajdła z roku 1982.

Co też mogliśmy przeczytać w zeszłym roku wśród książek autorów zagranicznych? Jedynym arcydziełem literatury uraczył nas w tym „roku Czytelnik. Mowa oczywiście o „Wędrowce na Zachód” Wu Cz’eng–ena najsłynniejszej chińskiej powieści fantastycznej. W oryginale powieść ta zawiera sto rozdziałów, tłumacz i wydawca ograniczyli tę ilość do dwudziestu kilku, najbardziej reprezentatywnych dla całości. (Trzeba tu przypomnieć, że kilka lat temu „Czytelnik” zaproponował nam czternaście początkowych rozdziałów tej powieści wydanych pod tytułem „Małpi bunt”). Tekst powieści powstały w wersji ostatecznej w połowie XVI wieku, sięga oczywiście do tradycji o wiele dawniejszej i łączy w sobie wątki wielu chińskich legend i podań. Treścią utworu są fantastyczne przygody mistrza Sun Wu–k’unga i trójki jego przyjaciół podejmujących wyprawę po święte księgi kanonu buddyjskiego. Powieść jest wielką alegoryczną przypowieścią o walce dobra ze złem, gdzie realizm i najczystsza fantastyka przeplatają się i przenikają w sposób mistrzowski. Do podróży bohaterów mieszają się bogowie i demony, tajemne siły nieba i ziemi, wędrowcy również posiadają wiele nadprzyrodzonych cech i umiejętności. W rezultacie błyskawicznie’ zmieniające się sytuacje powodują, że „Wędrowkę na Zachód” czyta się z zapartym oddechem, jak nie przymierzając doskonałą powieść sensacyjną, niechińskiej mitologii. Trzeba także dodać, że jest to ze wszystkich omawianych książka najlepiej wydana — twarda lakierowana okładka, doskonały papier, wielokolorowe ilustracje z wydania chińskiego, staranne opracowanie tekstu, wyczerpujące posłowie. Aczkolwiek ze względu na swoją specyfikę nie jest to może książka najbardziej charakterystyczna dla fantastyki, a science fiction w szczególności, dla mnie jest to jednak niewątpliwie książka roku 1984.

Do grupy może nie arcydzieł, ale powieści co najmniej dobrych zaliczyłbym „Poczwarki” Johna Wyndhama, „Śmierć na żywo” D. G. Comptona oraz „Kwaidan — opowieści niezwykle” Lafcadio Hearn’a, stanowiące dobre wizytówki „Wydawnictwa Literackiego”, „Czytelnika” i „Wydawnictwa Łódzkiego”. Zacznijmy od „Kwaidana”. Autor „Opowieści niezwykle” był również człowiekiem niezwykłym. Urodzony w 1850 roku był amerykańskim dziennikarzem, z pochodzenia Irlandczykiem. W roku 1890 wyjechał do Japonii by rozpocząć, jakby można rzec, życie od nowa. Ożenił się z Japonką, przyjął buddyzm, wreszcie jako Koizumi Yakumo został obywatelem japońskim. Wykładał literaturę angielską na uniwersytecie w Tokio, ale przede wszystkim studiował kulturę i literaturę swojej nowej ojczyzny poświęcając jej szereg książek, z których najbardziej znany i częstokroć wznawiany na całym świecie jest właśnie zbiór niesamowitych opowieści i legend — „Kwaidan”. Mariaż osobowości człowieka Zachodu z obyczajami, hermetyczną literaturą i obyczajowością Japonii dał w tym wypadku doskonałe rezultaty. Przystwojenie literaturze światowej niezwyklej, odrębnej kulturowo mitologii wschodniej jest w dużym stopniu właśnie jego zasługą. Dzięki „Kwaidanowi” pojawił się nowy typ „opowieści niesamowitej”, gdzie w świecie realnym, w rzeczywistości osadzonej w czasie i miejscu, pojawiają się siły nadprzyrodzone. Charakterystyczną cechą mitologii Wschodu jest wiara w istniejącą\ niejako równoległe do naszego, świat zamieszkały przez duchy. Świat ten posiada pewne punkty styczności z naszym i tam też może następować przenikanie mieszkańców obydwu światów. Oczywiście nie znając japońskiego trudno jest powiedzieć na ile autor przystosował te opowieści do gustów czytelnika europejskiego czy amerykańskiego, trzeba jednak przyznać, że udało mu się oddać świat japońskich legend w sposób przekonujący i sugestywny. Jak podaje wydawca w krótkiej

notce Lafcadio Hearn, a właściwie już Koizumi Yakumo umierał w 1904 roku jako japoński pisarz narodowy, a „Kwaidan” jest „tak japoński jak haiku”. Trudno się do tego ustosunkować, można jednak na pewno powiedzieć, że stanowi on trwały pomnik japońskiej kultury i literatury. Chciałbym tu także dodać, że ku mojemu zdziwieniu książka ta nie została doceniona przez czytelników. Stutysięczny nakład, w przypadku fantastyki, rozchodzi się w przeciągu kilku lub co najwyżej kilkunastu dni, „Opowieści niezwykle” Hearn’a widziałem jeszcze niedawno w księgarni. Powieścią niewątpliwie ważną i znaczącą w— światowym dorobku science fiction są „Poczwarki” Johna Wyndhama’. Autora nie trzeba tu specjalnie reklamować, w Polsce wydano przed kilkunastoma laty „Dzień Tryfidów”, wysoko oceniony przez krytyków i miłośników gatunku. „Poczwarki” to powieść mądra i gorzka zarazem. Opowiada o społeczności zamieszkującej Ziemię po jakiejś bliżej nieokreślonej katastrofie cywilizacyjnej w odległej przeszłości. W umysłowości mieszkańców Waknuk na Labradorze funkcjonuje mit o zesłanym przez Boga „Cierpieniu”, które dotknęło cywilizację „Starych Ludzi”. Oni sami przejęli po swoich poprzednikach najgorszą część ich dziedzictwa — nietolerancję, fanatyzm, u których podstaw leżą ciemnota i strach. Czytelnik domyśla się, że zagłada „Starego Świata” nastąpiła na skutek katastrofy atomowej — dowodem tego są pojawiające się jeszcze mutacje popromienne nie omijające także ludzi. Fanatyzm religijny mieszkańców Waknuk nakazuje im eksterminację wszystkich istot, w tym ludzkich odbiegających od obrazu „stworzenia boskiego”. A przecież mutacje te mogą mieć także charakter pozytywny. Bohaterami powieści jest grupa dzieci — dorastających w czasie trwania akcji — u których pojawia się zdolność telepatii. Dzieci podświadomie, a później już świadomie ukrywają tę umiejętność przed dorosłymi, kiedy jednak fakt ich inności

wychodzi na jaw rozpoczyna się wielkie polowanie na odmieńców. Powieść kończy się niby optymistycznie — okazuje się, że na Ziemi powstały już ośrodki nowej cywilizacji — jej przedstawicielka ratuje kilkoro bohaterów — ale jak pisze w posłowie do „Poczwerek” tłumacz powieści Juliusz Kydryński — trudno jednak zorientować się czy zakończenie wyraża tylko marzenie autora tej bajki, czy jego głęboką wiarę w ostateczne zwycięstwo humanizmu. Bo zasadniczym problemem książki jest przyszłość ludzkości i pytanie, czy potrafi ona wyzwolić się z właściwych — niestety — jej naturze przypadłości i stworzyć świat nowy, oparty na wartościach prawdziwie humanistycznych, to znaczy: mających na względzie rzeczywiste dobro jednostki i społeczeństwa...”. Powieść Wydhama niezależnie od głębokiego przesłania posiada wartką, momentami wręcz sensacyjną akcję i jest przykładem dobrej roboty literackiej, zdolnej usatysfakcjonować także czytelnika nie gustującego na co dzień w science fiction.

Trzecią wyróżniającą się powieścią zaproponowaną czytelnikom w ubiegłym roku jest „Śmierć na żywo” Davida Guy Comptona, autora dotąd u nas nie znanego. Książka dotarła do czytelnika w bodajże trzy lata po nakręconym na jej podstawie filmie Taverniera ze znakomitą Romy Schneider w roli głównej. W tym zestawieniu książka jednak się broni, dając pogłębiony w stosunku do filmu obraz psychologiczny, bardziej wiarygodnie konstruując postacie bohaterów. Powieść podejmuje jeden z zasadniczych problemów bytu — śmierć — w wymiarze jednostkowym przeniesionym niejako na płaszczyznę globalną. Pomysł jest z normalnego punktu widzenia upiorny, nie na tyle jednak, by ktoś nie mógłby już dzisiaj myśleć o nim realnie. Bohaterce — Katherinie Mortenhoe wmówiono nieuleczalną chorobę, a wielka stacja telewizyjna NTV ma zamiar przedstawić widzom wielkie

widowisko umierania.

W celu uwiarygodnienia relacji kamery telewizyjne zostały wszczepione w źrenice reportera, me ma więc żadnych ekip technicznych, reporter Roddy ma udawać przyjaciela Katherine i utrwalić show jej powolnej śmierci. Powieść dosyć przewrotnie pokazuje ewolucję postaw bohaterów — Rodd> powoli zdaje sobie sprawę z dwuznacznej moralnie roli, którą odgrywa wobec Katherine, nie mając jednocześnie możliwości ucieczki z objęć molocha jakim jest telewizja. Z kolei Katherine odkrywa fakt, że jej przypadłość jest urojona —zresztą Roddy nie wytrzymuje i informuje ją o swojej roli — wybiera jednak śmierć nie mogąc pogodzić się z normami świata, w którym przyszło jej żyć. Prawda i mądrość tej książki polega na innej przedstawionej i udowodnionej tezie: człowiek w obliczu śmierci jest sam. Traci najbliższych, rodzinę, przyjaciół, nikt nie jest chętny towarzyszyć mu w tej niełatwej przecież drodze. Jest także druga prawda — człowiek jako jednostka nie lubi śmierci, boi się jej i przed nią ucieka — zaś jako zbiorowość pożąda jej, czego dowodem popularność wszelkiego rodzaju igrzysk. Takich właśnie reguł nie chce zaakceptować bohaterka powieści Comptona „Śmieć na żywo”.

Omówione powyżej powieści to niestety jedyne pozycje obcojęzyczne, które można uznać za bardzo dobre lub dobre, a które zaproponowali nam wydawcy w roku 1984. Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie one mogą być spokojnie zaproponowane jako lektury czytelnikowi nie interesującemu się na co dzień fantastyką naukową. Element fantastyczny jest w nich niezbędny, uprawdopodobnia tok akcji, ich zasadniczą wartością są jednak pewne ogólnoludzkie prawdy, które autorzy mają nam do przekazania.

Grupa następna to książki, które nazwałbym poprawnymi — adresowane jednak już wyłącznie do miłośników science fiction.

„Miliard lat przed końcem świata” Arkadija i Borysa Strugackich jest książką, którą chyba można by nazwać największym rozczarowaniem roku. Strugaccy to uznana i ceniona firma, kiedy mowa o fantastyce naszej strefy geopolitycznej ich nazwisko wymieniane jest zaraz po Stanisławie Lemie. Czytelnik polski miał już zresztą możliwość zapoznać się z najwybitniejszymi osiągnięciami radzieckiej spółki, że wspomnę chociażby „Przenicowany świat”, „Trudno być bogiem”, gorzką i ironiczną powieść „Żuk w mrowisku”, czy utrzymany w zupełnie innym tonie, równie doskonały „Poniedziałek zaczyna się w sobotę”. Niedługo powinna już się ukazać na naszym rynku ich najwybitniejsza, chyba powieść „Ślimak na zboczu”, tak więc wymagania w stosunku do autorów są wysokie, jako że jak się powiada, apetyt rośnie w miarę jedzenia. Tymczasem „Miliard lat przed końcem świata” wydaje się chyba najslabszą powieścią Strugackich udostępnioną polskiemu czytelnikowi. Wydaje się to o tyle dziwne, że problem przedstawiony wcale nie jest błahy. W dużym uproszczeniu wygląda on następująco: jeżeli cywilizacja ziemska będzie się rozwijała harmonijnie w tempie dotychczasowym, to po pewnym czasie powinna osiągnąć poziom supercywilizacji galaktycznej. Ponieważ nasz wszechświat jest już dosyć stary, to takich supercywilizacji powinno już być w nim sporo. Czym wobec tego wytłumaczyć osławione *silentium uni—versi*? Jedną z możliwych odpowiedzi to taka, że każdej cywilizacji coś w pewnym momencie staje na przeszkodzie w osiągnięciu skali gwiazdnej. Ergo taka cywilizacja ginie. Tę właśnie możliwość próbują podjąć Strugaccy w powieści. Autorzy sugerują nam, że już osiągnęliśmy odpowiednio wysoki stopień rozwoju i powinno pojawić się to COŚ, co zacznie nam cywilizację rozwalać. I pojawia się. Otóż grupie uczonych zajmujących się szczyt—gólnie ważnymi problemami i będącymi w przededniu

decydujących dla rozwoju ludzkości odkryć nagle zaczynają się przydarzać pewne rzeczy zdecydowanie przeszkadzające im w pracy. Przy czym w wypadku „Miliarda lat przed końcem świata” są to przypadki dość prozaiczne, natury raczej towarzyskiej i obyczajowej. Można by przypuszczać, że działania takie podejmuje na przykład niezbyt uczciwa konkurencja, gdyby nie sugerowana czytelnikowi świadomość, że to nie żadni ludzie, ale niejako wszechświat ingeruje w życie naszych bohaterów. Pojawia się więc nowe uniwersalne prawo — tam gdzie rozum zbyt szybko zaczyna się wychylać powyżej ustalonego odgórnie poziomu, pojawiają się zjawiska sprowadzające rzecz do właściwych rozmiarów. Pomysł nawet niezły, ale realizacja, niestety, fatalna. Powieść jest przegadana, postaci bohaterów płaskie i papierowe, ich motywacje nieprzekonywujące, wszystko to razem nudne i ciągnące się jak guma do żucia. Ciekawą rzecz zauważył Marek Oramus, który pisząc w „Przeglądzie Technicznym” o tej powieści stwierdził, że ze Strugackich wyszedł tu kompleks Stanisława Lema. Chcieli napisać coś w stylu „Śledztwa” czy „Katru” tyle że im to nie wyszło.

Fantastykę radziecką — tym razem w wersji że tak powiem klasycznej reprezentują dwie powieści Aleksandra Bielajewa „Głowa Profesora Dowella” i „Ariel” wydane łącznie w jednym tomie przez „Wydawnictwo Literackie”. Zestaw o tyle ciekawy, że pierwsza powieść pochodzi z roku 1926 i jest w zasadzie debiutem książkowym autora, druga natomiast pochodząca z roku 1941 jest ostatnim utworem pisarza, który zresztą zmarł w rok później. Bielajewa krytyka radziecka uważa za klasyka science fiction, a jego najlepsza powieść „Człowiek–amfibia” z 1928 roku była wielokrotnie wznawiana, tłumaczona na obce języki, a także sfilmowana. Obydwie prezentowane teraz powieści są od niej niestety znacznie słabsze. „Głowa profesora Dowella” to powieść z nurtu fantastyki medycznej, dosyć

śmiało antycypująca przyszłe osiągnięcia w dziedzinie transplantacji. Bohater powieści — demoniczny profesor Kren — prowadzi badania nad utrzymaniem przy życiu głów ludzkich oddzielonych od ciała, pierwszym obiektem jest głowa jego mistrza i nauczyciela — profesora Dowella, którego wiedzę Kern zresztą wykorzystuje przy kontynuowaniu doświadczeń. Stopniowo pojawiają się dalsze dwie głowy — tym razem ofiar wypadków, i cała ta upiorna menażeria żyje sobie w laboratorium. Akcja powieści, niekiedy wręcz sensacyjna, zmierza do ujawnienia tajemnicy profesora Kerna i moralno–prawnego rozstrzygnięcia problemu utrzymywania przy życiu głów ludzkich.

Ocena moralna — co jest charakterystyczne dla fantastyki radzieckiej — jest zresztą jednoznaczna, profesor Kern popełnia samobójstwo zabierając *ic* sobą do grobu tajemnicę powodzenia eksperymentu, umiera również — w sposób naturalny — głowa profesura Dowella. Bielajew przy okazji przedstawienia fantastycznego eksperymentu medycznego stawia kilka ważkich pytań. Zasadniczy problem to prawo człowieka do śmierci i powstające pytanie, czy wolno w sposób sztuczny podtrzymywać procesy życiowe człowieka, a zwłaszcza pracę jego mózgu. Drugi problem wynika bezpośrednio z pierwszego. Żyjąca głowa jest całkowicie uzależniona od eksperymentatora. Nie może odmówić współpracy chociażby ze względu na fakt, że eksperymentator może stosować różne działania represyjne, na przykład drażnić ośrodek bólu. Podobnych pytań jest w powieści więcej. Współczesnego czytelnika może co prawda śmieszyć techniczny opis eksperymentu — te szklane stoliki z przymocowanymi głowami, te rurki doprowadzające substancje odżywcze i tym podobne rekwizyty. Mnie jednak ciągle gnębi pewien obraz: otóż czytałem niedawno o wynikach pewnego eksperymentu dokonanego w Stanach Zjednoczonych. Grupie

naukowców i dziennikarzy pokazano dwie mały — bodajże pawiany — zwierzęta te miały przeszczepione głowy. Obydwa żyły, jakkolwiek nie były w stanie sterować nowo uzyskanymi ciałami. Reagowały jednak na światło i dźwięk, aparatura rejestrowała pracę ich mózgow. Kierujący eksperymentem powiedział między innymi, że nie istnieją techniczne przeszkody realizacji podobnych operacji na człowieku. Ten obraz każe mi zastanowić się chwilę nad pytaniami, które Aleksander Bielajew postawił’ ponad 60 lat temu. Powieść „Ariel” również nawiązuje do fantastycznych osiągnięć medycyny. Oto pod wpływem pewnych środków człowiek nabywa umiejętności latania, a precyzyjnie formułując, lewitacji; nie jest to przypadek jednostkowy, a raczej potencjalna możliwość, w którą można wyposażyć być może całą ludzkość. Ten fantastyczny pomysł — jedyny zresztą w powieści — jest jedynie pretekstem do pokazania przygód chłopca z dobrej rodziny, którego opiekunowie, dla zawładnięcia majątkiem wysyłają do tajemniczej szkoły w Indiach. Wszystko oczywiście dobrze się kończy, bohater odzyskuje rodzinę, majątek i pozycję społeczną. Powieść równie dobrze mogłaby istnieć bez tej szczególnej umiejętności bohatera i jej zaliczenie do fantastyki naukowej jest raczej formalne. Warto może zwrócić uwagę na pewien fakt związany z biografią Bielajewa. Jego zainteresowanie medycyną zostało zapewne spowodowane dramatem pisarza dotkniętego gruźlicą kręgosłupa i paralizem nóg. Choroba ta była z kolei spowodowana wypadkiem w dzieciństwie, kiedy to mały Aleksander próbując dorównać mitycznemu Ikarowi spadł ze znacznej wysokości usiłując wzlecieć na własnoręcznie skonstruowanych skrzydłach. Marzenia dzieciństwa zrealizowały się na kartach powieści. Aczkolwiek Aleksander Bielajew ma chyba zapewnione miejsce w gronie klasyków science fiction, jednak anachronizm jego powieści nie wróży

zbytniego zainteresowania ze strony współczesnego czytelnika.

Wydawnictwo „Iskry” obok kontynuowanej i zasłużonej serii „Fantastyka—Przygoda” przyjęło sobie za punkt honoru denerwowanie czytelnika różnymi pomysłami serii wydawnictw fantastycznych i fantastycznonauko—wych, wydawanych w formie zeszytowej i z reguły o dosyć efemerycznym żywocie. Były już bodaj ze trzy takie zeszyty z fantastyką grozy, bodajże dwa z opowiadaniem Stefana Grabińskiego, w roku 1984 rozpoczęto wydawanie dwóch kolejnych serii zeszytowych tym razem z fantastyką naukową. Jeżeli dobrze się zorientowałem oba cykle mają liczyć po dwanaście zeszytów, z których (zapewne dla ułatwienia życia zbieraczom) ukazały się zeszyty 1, 9 i 10 pierwszego cyklu oraz pierwszy drugiego. Nikt nie jest chyba w stanie zrozumieć dlaczego są to dwie serie jeżeli i w pierwszej (zeszyt 10) i w drugiej (zeszyt 1) ukazały się opowiadania Kiryła Bułyczowa. Pozostanie to zapewne słodką tajemnicą wydawcy, należy jednak podkreślić z uznaniem, że zeszyty te mają znacznie lepsze graficznie okładki niż seria „Fantastyka—Przygoda”, z których nadal straszą nip nie mówiące kolorowe bohomyzy. Obydwa zeszyty autorstwa Kiryła Bułyczowa zawierają po trzy opowiadania — zbiorek „Guslar — Neapol” z serii tzw. „wielkogórskiej” a „Listy z laboratorium” jedno związane z poprzednio wymienionym nurtem, dwa pozostałe utrzymane w podobnej konwencji. Bułyczow to dobry rzemieślnik literacki, jego opowiadania, szczególnie te, których bohaterami są mieszkańcy Wielkiego Guslaru, są przesycone swoistym poczuciem humoru, dobrą obserwacją obyczajową i nieco ironicznym spojrzeniem na współczesność, podobnie rzecz się ma z opowiadaniem zamieszczonymi w omawianych zeszytach, nie znalazłem w nich jednak nic na tyle szczególnego, by wymagało osobnego omówienia.

Zaprezentowana w kolejnym zeszycie minipowieść Dymitra

Bilenkina „Desant na Merkurego” również nie odznacza się niczym szczególnym. Historia pierwszej wyprawy ludzi na planetę Merkury — wyprawy niezbyt zresztą udanej — przedstawiona jest przez autora w konwencjonalny i charakterystyczny dla głównego nurtu fantastyki radzieckiej sposób. Sporo patosu, problemy odpowiedzialności, przyjaźni, odwagi w obliczu nieprzewidzianych okoliczności i powracająca teza, że człowiek w sytuacjach ostatecznych potrafi do końca zachować godność. W sumie lektura niezbyt wysokiego lotu, poprawna literacko, do której jednak nie wraca się po jednokrotnym przeczytaniu. Ostatni z omawianych zeszytów to „Tumitak z podziemnych korytarzy” Charlesa R. Tannera — amerykańskiego autora publikującego swoje utwory w magazynach science fiction w latach trzydziestych i czterdziestych naszego wieku. Bohaterem cyklu opowiadań Tannera jest Tumitak, młody śmiałek żyjący w czasach, kiedy po opanowaniu Ziemi przez Wenusjan ludzkość dożywa swych dni zepchnięta pod powierzchnię swojej planety. Tumitak swoimi bohaterskimi czynami przypomina ludziom o ich obowiązkach wobec ojczystej planety i zachęca do podejmowania oporu wobec krwiożerczych Wenusjan. Dosyć sympatyczna, choć naiwna ramotka, adresowana do miłośników historii science fiction.

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia” w serii „Klubu siedmiu przygód” zaproponowała nam powieść angielskiej pisarki Monicy Hughes „Skąd nie widać Ziemi” — stanowiącą kontynuację przygód bohaterów wydanej cztery lata temu powieści „Bunt na konszelfie 10”. Powieść adresowana do czytelnika w wieku 10–12 lat daje się czytać, ładunek dydaktyki, niezbędny w tego typu literaturze nie jest zbyt nachalny, mnie osobiście wydaje się ta powieść nawet nieco lepsza od pierwszej części cyklu. Mimo pewnych uproszczeń książka stanowi niezłą lekturę dla młodego czytelnika.

„Wydawnictwo Literackie”, obok omówionych już wyżej „Poczwerek”, zaproponowało nam jeszcze dwie pozycje. Pierwsza z nich to kolejne wydanie „Opowieści niesamowitych” Edgara Allana Poe’go, których z przyczyn oczywistych nie ma potrzeby tu oceniać oraz klasyczna powieść grozy amerykańskiego pisarza tworzącego w pierwszej połowie XIX wieku Nathaniela Hawthorne’a „Marmurowy faun”. Akcja powieści rozgrywa się we Włoszech i jest jakby reminiscencją drugiej podróży pisarza po Europie. Rzecz adresowana jest do miłośników romansów grozy.

Na koniec muszę chwilę poświęcić najgorszej moim zdaniem książce obcojęzycznej 1984 roku. Jest nią wydana przez „Iskry” powieść rumuńskiego pisarza Constantina Cublesana „Trawa”. Aczkolwiek przez te kilkanaście lat zajmowania się literaturą fantastycznonaukową wyrobiłem w sobie sporą odporność (czego dowodem jest fakt, że przeczytałem wszystkie pozycje proponowane przez KAW) to jednak przez tę powieść przebrnąłem z dużym trudem. Bohaterem powieści jest Robert Gai — prokurator urzędujący gdzieś na dalekich, zasiedlonych przez ludzi planetach. Powieść jest w zasadzie bełkotliwym monologiem głównego bohatera, (który jest jednocześnie narratorem) obracającym się wokół problemów odpowiedzialności, winy i kary w możliwych do przewidzenia warunkach odległej przyszłości. Wydawca w króciutkiej notce o autorze stwierdza, że ... „Trawa” jest pierwszą powieścią naukową Cublesana z gatunku SF i dominują w niej problemy moralne...”. Ja z kolei mam nadzieję, że jest ostatnią, przynajmniej na naszym rynku wydawniczym.

Na tym właściwie mógłbym zakończyć omawianie książek autorów zagranicznych, które ukazały się na rynku w 1984 roku. Pragnąłbym jeszcze zatrzymać się na powieściach drukowanych jako wkładki do miesięcznika „Fantastyka”. Fakt, że większość czytelników oprawia je i włącza do zbiorów

bibliotecznych jako pozycje książkowe, a także świadomość niebagatelnych, bo ponad stutysięcznych nakładów skłania mnie do chociażby zasygnalizowania tych pozycji. Osobiście popieram druk powieści w postaci wkładek, szczególnie od/czasu kiedy dzięki „Fantastyce” mogłem oddać się przyjemności lektury jednej z najlepszych powieści SF jaką jest niewątpliwie utwór Bestera „Gwiazdy moje przeznaczenie”. Także tegoroczna propozycja „Fantastyki” jest zupełnie przyzwoita i utrzymuje się na dobrym poziomie. Powieści: Colina Kappa „Formy Chaosu” (nr–y: 1, 2), Sirgieja Śniegowa „W jądrze galaktyki” (3, 4), Clifforda Simaka „Czas jest najprostszą rzeczą” (5, 6, 7), Annę Inez McCaffey „Jeźdźcy smoków” (8, 9), Edgara Rice Burroughsa „Księżniczka Marsa” (10, 11), czy rozpoczęta w nr 12 powieść „Miasto i Gwiazdy” A. C. Clarke’a na trwale zapisały się w historii gatunku i przyswojenie ich polskiemu czytelnikowi jest pomysłem wielce udanym. Szkoda tylko, że redakcja dokonuje skrótów, które niekiedy w sposób oczywisty zmieniają sens i ideologię prezentowanych utworów. Ale to już zupełnie inny temat.

Zaprezentowane powyżej opinie, aczkolwiek niewątpliwie subiektywne, pozwalają na stwierdzenie, że w 1984 roku wydawcy zaproponowali nam, w kategorii fantastyki zagranicznej zestaw nie najgorszy, może tylko nieco ubogi. Zabrakło niewątpliwie jakiegoś, przynajmniej jednego, bestselleru science fiction, może wyrówna nam to zapowiadana na rok następny powieść Herberta „Dune”.

Pora już teraz przejść na własne podwórko. Nim przystąpię do wystawiania ocen chciałbym poczynić pewne zastrzeżenie formalne. Otóż w kilku przypadkach — dotyczy to pozycji firmowanych przez Krajową Agencję Wydawniczą — na tzw. „stopkach” jako data wydania figuruje rok 1983, a nawet 1982, jednak na skutek opóźnień w druku książki te na rynku pojawiły się w roku 1984 i dlatego też znalazły się w tym

omówieniu, niezależnie od formalnej daty wydania.

Rok 1984 (a jest to data dla fantastyki znacząca ze względu na powieść Orwella nosząca tytuł „1984” i związane z tym wyobrażenia naszych czasów) jest w polskiej fantastyce niewątpliwie rokiem Janusza Andrzeja Zajdla.

Autor ten, będący ostatnio w „uderzeniu” czterema wydanymi przez ostatnie lata książkami udowodnił, że opuszczony — z własnej zresztą woli — przez Stanisława Lema tron nie pozostaje pusty. Zajdel, znany zresztą czytelnikowi z poprzednio wydanych zbiorów opowiadań i powieści, znalazł chyba swój temat i eksploatuje go dokładnie i systematycznie. Jest to fantastyka socjologii—cznopolityczna, trudna w realizacji, ale niezwykle ambitna i stawiająca przed czytelnikiem wiele ważnych pytań, a jednocześnie realizowana w sposób znakomity literacko. W roku 1984 czytelnik otrzymał dwie powieści Janusza Zajdla: „Całą prawdę o planecie Ksi” — wydaną w KAW-ie i „Paradyzję” firmowaną przez „Iskry”. Czytelnikowi należy się w tym miejscu pewne wyjaśnienie. Otóż już dwa lata temu ukazała się najlepsza z całej czterotytułowej serii Zajdla powieść „Limes inferior”, w roku następnym „Wyjście z cienia”, a obecnie obie wyżej wymienione. Wszystkie te cztery książki z przyczyn nazwijmy to, niezależnych od autora, przeleżały nieco w szufladzie biurka, a następnie ukazały się w kolejności ich powstawania. Ta napisana najpóźniej ukazała się jako pierwsza. Uważnemu czytelnikowi ta informacja może się przydać.

Wszystkie cztery wymienione powyżej powieści dotyczą w zasadzie tego samego tematu, to jest przedstawiania mechanizmów przechwytywania władzy nad społeczeństwami i budowy rozmaitego typu społeczeństw totalitarnych. Jest to także osią akcji „Całej prawdy o planecie Ksi”. A nie jest to prawda wesola. Na ogromnym statku wiozącym osadników na planetę przeznaczoną do kolonizacji wybucha doskonale

przygotowana rebelia, w wyniku której władzę obejmuje grupa „jednocyfrowych”. Po przybyciu do celu tylko część zahibernowanych kolonistów zostaje odmrożona — reszta stanowi swego rodzaju rezerwę — i powstaje społeczeństwo ustrojowo zbliżone najbardziej chyba do feudalizmu z ekipą byłych rebeliantów u władzy. Oczywiście socjotechnicznymi metodami warunkuje się powstałą w ten sposób społeczność; pseudorewolucyjnymi frezesami, kłamstwem, manipulowaniem informacją zdobywa się władzę sprawowaną następnie w myśl zasady „Divi et impera”. Jest też rzeczą oczywistą, że z czasem rozpadnie się spójność grupy rządzącej, a z kolei w gnębionym społeczeństwie pojawią się autentyczne ruchy rewolucyjne. Taki obraz zdegenerowanego społeczeństwa jest nam przedstawiony niejako z drugiej ręki — z pamiętnika pilota ekspedycji. Akcja opowiada o dziejach wyprawy z Ziemi, która przybywa na planetę Ksi w pięćdziesiąt lat później. I tu właśnie pojawia się problem zasadniczy. Czy można resocjalizować całe społeczeństwo, a jeżeli tak to według jakich zasad? Dzisiejsi mieszkańcy planety Ksi nie pamiętają już Ziemi, w stosunku do przybyszów są nieufni, a nawet zajmują wrogą pozycję. Przybysze ze starej ojczyzny mogą im tylko współczuć, jakiegokolwiek działania mogłyby tylko pogorszyć sprawę. Zajdel przedstawia tu tezę odnoszącą się do wszystkich systemów totalitarnych: stosunkowo łatwo tego typu ustrój zbudować, znacznie trudniej go zburzyć. Historia już ta prawdziwa, udowadnia to brutalnie i niestety na naszych oczach. Maciej Parowski recenzując „Całą prawdę o planecie Ksi” w „Fantastyce” napisał, że jest to powieść gorsza od „Limes inferior” ale zarazem mocniejsza. Wypada zgodzić się z tym poglądem.

„Paradyzja” — druga z wydanych ostatnio powieści Zajdla — to z kolei historia oszustwa na skalę kosmiczną. Ogromny statek z osadnikami leci kolonizować planetę Tartar. Planeta

owa — posiadająca ogromne bogactwa naturalne — okazuje się niemożliwa do zasiedlenia. Statek wobec tego zostaje przekształcony w sztuczny księżyc planety — ową tytułową Paradyżę, gdzie koloniści żyją w ogromnej ciasnocie, rzec by można, upakowaniu, ekipy robocze w kopalniach Tartaru wydobywają surowce, które następnie sprzedaje się, sprowadzając w zamian produkty żywnościowe i inne niezbędne do życia społeczeństwa, życia dodajmy to nad wyraz skromnego. W społeczeństwie Paradyżji umiejętnie podsyca się mit stałego zagrożenia ze strony Ziemi i innych planet, dlatego też starannie ukrywa się lokalizację przestrzenną samej Paradyżji, nie istnieje ruch turystyczny, do minimum ograniczone są wszelkie kontakty z mieszkańcami innych światów. Akcja powieści to perypetie Rinaha Devi, ziemskiego pisarza, który po pokonaniu rozlicznych trudności przybywa na Paradyżę by napisać o niej książkę. Drogą kolejnych przybliżeń odsłania się przed nim prawda o kosmicznym w sensie skali i nie tylko oszustwie. Otóż moduły statku ze stłoczonymi w nich mieszkańcami leżą sobie spokojnie na powierzchni planety, żaden sztuczny księżyc nie istnieje, a przywódcy tego społeczeństwa zażywają wszelkich rozkoszy wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że skoro może owo społeczeństwo mieszkać w barakach i nie wytykać stamtąd nosa to po co ma zanieczyszczać piękną planetę. Istnieją co prawda metody, by odróżnić np. siłę Coriolisa od ciężenia naturalnego, ale wystarczy wprowadzić kilka poprawek do podręcznika fizyki, zrobić kilka machlojek z pomiarem upływu czasu i wszystko gra. I podobnie jak w poprzednio omawianej pozycji odkrycie to pozostaje własnością tego, który je uczynił, nie ma możliwości nagłego choćby najsprawiedliwszego z możliwych rozwiązania problemu Paradyżji. Jest jednak w tej powieści pomysł z zakresu sterowania społecznością, który podoba mi się szczególnie. Mieszkańcy Paradyżji są na stałym

podśluchu i podglądzie systemu komputerowego, który analizując zachowania ludzi i znaczenie wymienianych informacji, eliminuje wszelkie możliwości działań sprzecznych z założeniami programu. Jest to społeczeństwo bez policji, bez donosicieli — bo tacy wobec alternatywy ciągłej inwigilacji elektronicznej są po prostu niepotrzebni. Mieszkańcy zdają sobie sprawę ze stałej kontroli i jak wszyscy normalni ludzie wymyślają różne sposoby, by choć na chwilę jej się pozbyć. Jeden z tych sposobów jest szczególnie smakowity. Aby rozmawiać o czymś, co nie powinno dotrzeć do świadomości Systemu paradyzianie posługują się metajęzykiem złożonym z aluzji, odwołań i skojarzeń. Rzecz w tym, że nie mogą być to skojarzenia stałe. System usłyszawszy dwa razy to samo potrafiłby wyciągnąć odpowiednie wnioski wobec tego ów język istnieje jednorazowo — powstaje i ginie w rozmowie. Upiorna to dosyć wizja, ale rozwiązanie w zasadzie optymistyczne — każdy nawet największy komputer da się jednak oszukać.

Obie omówione książki są zdecydowanie najlepszymi pozycjami polskimi jakie dane mi było ostatnio przeczytać. Janusz A. Zajdel całkowicie już opanował warsztat pisarski, a że i pomysłów mu nie brakuje wypada tylko życzyć sobie by corocznie mile nas zaskakiwał.

Książka, o której chciałbym napisać teraz słów kilka sprawiła mi największą trudność w ocenie. Po kilku latach milczenia Stanisław Lem oferował czytelnikowi za pośrednictwem „Wydawnictwa Literackiego” cienki tomik zatytułowany „Prowokacja”. Trudno zresztą nazwać to nowością, bo tytułowy utwór (esej? szkic?) był już drukowany w miesięczniku „Odra”. Dziełko należy do nurtu zapoczątkowanego „Doskonałą próżnią” i „Wielkością urojoną” i stanowi omówienie dwu nie istniejących książek. Pierwsza to dwutomowe „Dzieje ludobójstwa” przypisana Horstowi

Aspernicusowi, którego treścią jest próba udowodnienia, że mimo wielokrotnego podejmowania tematu i ton papieru mu poświęconych sens totalnego zabójstwa do dziś nie został wyjaśniony. Lem zastanawiając się nad przyczynami nazizmu przeprowadza wiele znaczących artalogii do wynaturzeń świata współczesnego, pozostawiając jednak zasadniczą kwestię otwartą. Druga książka „Jedna minuta ludzkości” to dzieło statystyków prezentujące nam, zatrzymane niejako w kadrze dokonania całej ludzkości w ciągu jednej statystycznej minuty. Ta globalna minuta to raczej dosyć pesymistyczny obraz zbrodni, występku i podłości. Gdyby na podstawie takiej jednej minuty Stwórca miał oceniać jakość swojej roboty, powinien jak najszybciej zrezygnować z zajmowanego stanowiska. „Prowokacja” jest książką trudną, miejscami nieprzyjemną i podejrzewam, że mało kto przeczytał ją do końca. Mnie jednak cały czas gnębi problem czy w ogóle jest fantastyką. Formalnie chyba tak (zresztą kto wie?), natomiast jest to chyba kolejna maska Lema, by poprzez wytrych z napisem „fantastyka” dotrzeć do czytelnika ze swoją filozofią. Zawartość „Prowokacji” jest chyba najbliższa esejowi filozoficznemu i tak należy ją traktować. Inna rzecz czy należy się z takiego obrotu sprawy cieszyć. Należę do pokolenia wychowanego na fantastyce Lema, dzięki niemu zacząłem poważnie zajmować się tą literaturą, by z czasem odkryć, że dużo w niej śmiecia, a mało rzeczy wartościowych, nie umiem się jednak przekonać do Lema — teoretyka i Lema — filozofa. Znakomity teoretyk literatury fantastycznej Andrzej Zgorzelski wyrażając w jednym z artykułów żal z powodu ucieczki autora „Niezwycięzonego” od pisarstwa science fiction napisał między innymi: „...czytelnikowi wystarcza, by Lem dla niego książki pisał. Nie musi ich czytywać...”. Stanisław Lem poszedł dalej — zaczął dla nas książki wymyślać. Trochę szkoda.

„Wydawnictwo Poznańskie” uraczyło nas w 1984 roku

trzecią częścią cyklu powieściowego Jacka Sawaszkiewicza „Kronika Akaszy” — „METEMPSYCHOZA”. Sawaszkiewicz to autor płodny, choć niestety nierówny. Po zbiorach dobrych opowiadań i interesującej powieści „Sukcesorzy” przysły słabsze rzeczy autora, takie jak „Katharsis” czy „Eskapizm”. Pierwsza część „Kroniki Akaszy” — „Inicjacja” zapowiadała powrót do dobrego pisarstwa. Dalsze części cyklu są już znacznie słabsze. Trudno mówić tu o treści utworu, dlatego też pragnę posłużyć się notką wydawcy na okładce: „...Główny wątek stanowią i próba wyjaśnienia przyczyn zamachu stanu na kandydata na gubernatora stanu, Ballena, a także seria tajemniczych zgonów w miejscowej klinice psychiatrycznej, które potrafi przewidzieć jedna z redakterek pisma Dutson Telegraph. Opisywane zdarzenia rozgrywają się na dwóch płaszczyznach rzeczywistości, a jedną z bohaterek jest młoda dziennikarka, która przeszła reinkarnację...”. To co napisał wydawca o zawartości powieści jest w zasadzie prawdą, tyle że ja nie bardzo rozumiem o co autorowi chodzi. Filozofia utworu jest dosyć mętna, odwoływanie się do niektórych doświadczeń Wschodu nieprzekonywujące, najlepiej wypada w rezultacie realistyczny opis życia amerykańskiej małomiasteczkowej społeczności. Czytałem w tygodniku „Odgłosy” fragmenty następnych części „Kroniki Akaszy” i przyznam, że z pewnym niepokojem, biorąc pod uwagę krajowy bilans papieru oczekuję na ich ukazanie się w formie książkowej.

Debiutujące na rynku literatury fantastycznej Wydawnictwa „ALFA” zaproponowały nam dwie pozycje — zbiór nowel filmowych Piotra Szulkina „O bi, o ba” i dwa kolejne tomy antologii „Polska nowela fantastyczna”.

Nie jestem entuzjastą twórczości filmowej Piotra Szulkina i podobnie nie wzbudziła we mnie entuzjazmu lektura jego filmowych nowel. Szulkin jest niewątpliwie reżyserem utalentowanym, jako jedyny chyba w gronie młodych twórców

filmowych ma ukształtowaną wizję własnej twórczości, swoistą poetykę i charakterystyczne dla siebie środki wyrazu. Można już chyba nawet mówić o „stylu Szulkina”. Inna rzecz czy się to komuś podoba czy nie. Dla mnie jego nowele podobnie zresztą jak filmy są przegadane, przeintelektualizowane, autor zbyt machinalnie próbuje przekonać widza do prezentowanych racji. Tom „O bi, o ba” zawiera cztery nowele. Realizację dwu z nich już widzieliśmy — to „Golem” i „Wojna światów — następne stulecie”. Co do drugiej noweli to autor dedykuje ją Herbertowi Wellsowi i Orsonowi Wellsowi, podczas gdy, jak mi się wydaje, nieco więcej zawdzięcza opowiadaniu Arkadija i Borysa Strugackich „Drugi najazd Marsjan”. Kolejne dwie nowele to zupełnie nie do strawienia „Ucięta głowa czarownicy” inspirowana powieścią Korczaka „Kajtuś czarodziej” oraz najlepsza moim zdaniem tytułowa „O bi, o ba”. W momencie pisania tych słów film według tej noweli wchodzi dopiero na ekrany i nie można nic powiedzieć o tej realizacji, ale sam pomysł wydaje się dobrze przemyślany, aczkolwiek w literaturze science fiction motyw Arki nie jest niczym nowym.

Tom trzeci i czwarty antologii „Polskiej noweli fantastycznej” stanowi kontynuację wydanej rok wcześniej dwutomowej, klasycznej już antologii w wyborze Juliana Tuwima, która po raz pierwszy ukazała się w końcu lat czterdziestych. Założeniami tej kontynuacji jest prezentacja utworów, które z różnych przyczyn pominął Julian Tuwim, a następnie doprowadzenie jej do lat osiemdziesiątych, przy jednoczesnym założeniu prezentacji utworów nie publikowanych po 1945” roku w formie książkowej. Tom III i IV zawiera teksty od drugiej połowy siedemnastego wieku do roku 1918. Z oceną antologii należy się chyba powstrzymać do ukazania się całości edycji, piszący te słowa nie chciałby tego robić tym bardziej, że jest autorem wyboru i opracowania

tekstów w niej pomieszczonych.

Krajowa Agencja Wydawnicza kontynuuje swą tzw. „czarną” serię, która stanowi, nie bez powodu zresztą, przysłowiowego chłopca do bicia dla krytyki literackiej. Sprawa nie jest całkiem jednoznaczna w ocenie, obok pozycji zdecydowanie słabych trafiają się w serii rodzinny, chociażby omówiona powyżej powieść Zajdla. Trzeba jednak przyznać, że redaktor serii — Andrzej Wójcik w konsekwentny sposób promuje na rynku młodych twórców sf. Można oczywiście dyskutować czy stutysięczne nakłady najlepiej się do tego nadają, czy w ogóle niekiedy warto było wydać niektóre pozycje, ale daleki byłbym od potępienia serii w całości. Rok 1984 przyniósł kilka tytułów, które pozwolę sobie ocenić w kolejności od najlepszej w dół. Najlepsza zresztą pozycja, to znaczy „Cała prawda o planecie Ksi” Janusza A. Zajdla została już oceniona, dalej niestety jest długo nic, a potem pojawia się coś, co nazwałbym książką zmarnowanej szansy na sukces. Myślę o powieści Tadeusza Markowskiego „Umrzeć by nie zginąć”. Pomysł wydaje się doskonały. Ziemianie w wyprawie pozaukładowej skolonizowali planetę Hildor. Po upływie kilku tysięcy lat na Ziemi przybywają wysłańcy nowej cywilizacji w celu sprawdzenia co też dzieje się na starej planecie. Pet i Anna — takie imiona nosi dwójka wysłańców dysponuje zdolnościami telepatycznymi, umiejętnością podporządkowywania sobie innych umysłów, możliwością przenoszenia osobowości i paroma innymi umiejętnościami. Sytuacja na Ziemi przedstawia się niezbyt różowo. Większość mieszkańców żyje na poziomie wspólnot łowieckich w puszczy pokrywającej Ziemię, cywilizacja zamyka się w gigantycznych czarnych wieżach — ośrodkach kierowania społeczeństwem. Przybysze muszą rozszyfrować obraz zastanego świata. Kiedy już to uczynią, podejmą działania w celu zmiany istniejącej sytuacji. Temat na niezłą powieść i pierwsze kartki książki

zdają się to potwierdzać. Niestety z biegiem akcji pomysł zaczyna się rozmieniać na drobne, tok akcji zaczyna się rwać, cała konstrukcja rozłazi się w szwach. Od połowy książki odnosi się wrażenie, że autor o niczym innym nie marzy, jak tylko doprowadzić rzecz do szczęśliwego finału. Ale są w tej powieści momenty dobre i bez trudu dałoby się z nich wykroić co najmniej dwa niezłe opowiadania. Wydaje się, że Tadeuszowi Markowskiemu nie wystarczyło oddechu, nie jest to jednak na pewno jego ostatnie słowo.

Zbiór opowiadań Andrzeja Drzewińskiego „Zabawa w strzelanego” to rzecz można powiedzieć poprawna, aczkolwiek nic mnie w niej specjalnie nie poruszyło. Młody wrocławianin doskonali ciągle swój warsztat i w przyszłości być może zaznaczy się w literaturze czymś ważnym.

Podobnie terminem „poprawna” można określić pierwszą powieść Zbigniewa Prostaka „Planeta zielonych widm” — autora znanego dotychczas z opowiadań — w tym kilku zupełnie przyzwoitych. Jest to typowy przykład tzw. fantastyki kontaktowej, literacko zrealizowany na przyzwoitym poziomie, ale nie pozostawiający po sobie głębszych refleksji. Trudno mówić również o sukcesie w przypadku zbioru opowiadań Andrzeja Trepki „Końcówka”. Autor ma już swoje trwałe miejsce w historii polskiej science fiction jako współautor (obok Krzysztofa Borunia) trylogii „Zagubiona przyszłość” — „Proksima” — „Kosmiczni bracia”, która to trylogia notabene powinna już się doczekać wznowienia. Znany jest także jako zasłużony popularyzator nauki, niestety jego dokonania literackie na polu fantastyki nie dorównują już przywołanej powieści. Także z opowiadań zawartych w „Końcówce” żadne nie poruszyło mnie na tyle bym chciał go czytelnikom zarekomendować.

Zdecydowanym nieporozumieniem jest natomiast dwuczęściowa powieść Michała Markowskiego „Pajęczyna. Po

drugiej stronie księżycy”. Z wielkim trudem dotarłem do słowa „koniec” i z prawdziwą przyjemnością odstawiłem książkę na półkę, by nigdy do niej nie wrócić. Zawartość powieści to nuda i ciągnący się jak guma do żucia ciąg obrazów krainy Piotra i Anny — jakiejś dziwnej Arkadii, gdzie za żadne skarby nie chciałbym mieszkać. Nie bardzo rozumiem jakie jest przesłanie powieści — powtarzanie na okrągło, że dobro jest największym celem, absolutnie mnie nie przekonuje. Miesięcznik „Fantastyka” piórem Andrzeja Niewiadowskiego pozytywnie ocenił tę powieść, nazywając ją nowym rodzajem baśni i niedwuznacznie sugerując, że czytelnik który się na niej nie pozna jest niewyrobiony literacko. Wydaje się jednak, że ocena ta wynika z pewnej wspólnej cechy łączącej autora i recenzenta — jeden w prozie, drugi w tekstach teoretycznych starają się uczynić wszystko, by czytelnik jak najmniej z tego co napisali zrozumiał. Trudno się jednak zgodzić, że jest to wyróżnik pozytywny. Mówiąc o serii KAW-owskiej chciałbym przy okazji zauważyć, że od czasu gdy wykonanie okładek powierzono Wiktorowi Żwikiewiczowi można z przyjemnością zatrzymać na nich oko.

Zbiór pięciu opowiadań pod wspólnym tytułem „Dla każdego inny raj” Janusza Szablickiego zaproponowało nam wydawnictwo „Śląsk”. Autor nie jest już debutantem, przynajmniej w obrębie science fiction, opowiadania zaprezentowane w zbiorze są poprawne jakkolwiek nic nowego nie odkrywają. Najlepsze wydaje mi się opowiadanie „Zawsze będziesz sobą”, gdzie perfidni mocodawcy uczonego odmawiającego współpracy przy konstrukcji odkrytej przez siebie nowej broni masowej zagłady, w przyspieszonym tempie hodują jego kłona w celu kontynuacji doświadczeń. Zrozpaczony naukowiec śledzi przebieg eksperymentu z nową bronią, który się nie udaje — okazuje się, że klon ma podobne zahamowania etycznomoralne. Wniosek (już mój) — nie należy

klonować porządnych ludzi, bo i tak nie będzie z nich żadnego pożytku.

Tylko z recenzenckiego obowiązku sygnalizuję wydanie przez Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych powieści Włodzimierza Bełcikowskiego „Tajemnica wiecznego życia”. Po autorze zaginął dawno wszelki ślad, tajemniczo-okultystyczne powieści, wydane po raz pierwszy w 1926 roku, jest nudne jak flaki z olejem i napisane na dodatek koszmarną polszczyzną. Proponuję Instytutowi Wydawniczemu ZZ, by może raczej zajął się wydaniem wyczerpanego zupełnie Kodeksu pracy z komentarzem, natomiast wydawanie literatury pozostawił zespołom bardziej kompetentnym. Jest w naszej literaturze—turze dwudziestolecia międzywojennego szereg pozycji godnych przypomnienia i wznowienia, twórczość Bełcikowskiego do nich z całą pewnością jednak nie należy.

Po tych kilkudziesięciu wierszach wybrzydzenia na grafomanię wróćmy na chwilę do literatury. W szeroko pojętym nurcie fantastycznym mieści się wydany przez Wydawnictwa Radia i Telewizji tomik Marcina Wolskiego „Z przymrużeniem ucha”. Autora nie trzeba reklamować, jest to produkcja na profesjonalnym poziomie zdolna rozbawić i zainteresować każdego czytelnika. Pozostaje czekać jedynie na, jak mawiał autor „Neomatriarchatu”, ulubiony ciąg dalszy.

Nasza Księgarnia w serii „Stało się jutro” wypuściła na rynek tylko jeden tomik opatrzony kolejnym dwudziestym trzecim numerem — zbiór opowiadań Andrzeja Zimniaka „Szlaki istnienia”. Przy tej okazji chciałbym wyrazić opinię, że seria ta jest najładniej wydaną w całej polskiej fantastyce i jakkolwiek nie pretenduje do wydawania arcydzieł, prezentuje starannie dobraną i na przyzwoitym poziomie utrzymaną prozę fantastycznonaukową. Podobnie jest w przypadku debiutanckiego tomiku Zimniaka, autora znanego z licznych publikacji prasowych. Są w tym zbiorze opowiadania lepsze i

gorsze, może słabsze w grupie opowiadań „kosmologicznych”, ale jest kilka zupełnie niezłych: „ $\pi=3,13$ ”, „Pojedynek”, „Kuracja” czy wreszcie tytułowe „Zręby władzy”. Całość czyta się nieźle i podobnie jak w przypadku Andrzeja Drzewińskiego i Tadeusza Markowskiego chyba jeszcze o tym autorze usłyszymy.

Na koniec zostawiłem sobie dwie książki adresowane do czytelnika dziecięco-młodzieżowego. Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” wydał — bardzo zresztą ładnie — nagrodzoną w swoim konkursie w 1980 roku powieść Jacka Nawrota „A w Pataffi nie bardzo”. Jest to utrzymana w dobrym tempie historia wyprawy Specjalnego Wywiadowcy kapitana Aramisa Fru—menta do zaprzyjaźnionego państwa Pataffii w tajnej misji. Wyprawa jest okazją do zaprezentowania różnych postaw ludzkich, ale bez nachalnej dydaktyki i w sposób, który wydaje się do strawienia dla młodego czytelnika. W powieści słychać echa niedoścignionego „Podmuchu malowanego wiatru” Wiktora Woroszyńskiego, no ale uczenie się od mistrzów nigdy nie było niczym nagannym.

Drugą książką adresowaną do młodego czytelnika, w pewien sposób podobną do omówionej powyżej jest „Opowieść kosmopolita Patryka” Jerzego Jesionowskiego. Jesionowski to uznana firma, sięgająca czasem po formę powiastki fantastycznej. „Opowieść kosmopilota Patryka” przypomina konstrukcyjnie „Podróżę Culiwera” — trzech pilotów kosmicznych, mając nieco wolnego czasu, zwiedza zamieszkane wyspy na jakiejś planecie. Spotyka się tam z różnymi typami społeczności, formami sprawowania władzy, zasadami ustrojowymi i prawnymi. Każda z tych podróży zakończona jest morałem i pewnym przesłaniem adresowanym do czytelnika. Jest to jednak zrobione zgrabnie i z pewnością znajdzie uznanie u 10–12 latków, do których jest adresowana. Dodajmy jeszcze, że w 1984 roku ukazały się wznowienia

„Atlantydy wyspy ognia” Macieja Kuczyńskiego i zbioru miniopowiadań Józefa Koaileckiego „Smutek spełnionych baśni”.

Tak więc dobrnęliśmy do końca naszej listy. Jaki był dla fantastyki w Polsce rok 1984? Wydaje się, że średni. Kilka książek bardzo dobrych i dobrych, kilka zdecydowanie słabych, reszta taka sobie. Ot, przeciętny rok. Wypada mi sobie i państwu życzyć, by następny okazał się lepszy.

PORAŻKI I NADZIEJE

(Rok 1984 w polskiej krytyce science fiction)

Andrzej Niewiadowski

„Jeśli science fiction jest nowym gatunkiem, to musi mieć nową krytykę”

(B Aldiss)

Od pewnego czasu rośnie liczba opracowań krytycznych poświęconych literaturze science fiction. Popularność gatunku, przybierająca na sile w ostatnich latach, prowokuje do zajęcia się nim w sposób systematyczny, rzetelny i uczciwy. Chodzi nie tylko o odpowiedź na pytanie, jakie są socjologiczne przyczyny boomu SF. Rzecz w tym, aby naprawdę kierować produkcją wydawniczą, co jest sprawą niebagatelną, jako że science fiction — literatura popularna — dociera w głównej mierze do młodego czytelnika, wpływa na sposób jego edukacji, kształtuje wyobrażenia o świecie, tworzy pewne mity, iluzje, sprzyja wyzwalanii, bądź ograniczaniu społecznej aktywności.

Zadania niebagatelne! Spójrzmy prawdzie w oczy — czy sprostali im krytycy roku 1984? Co ich interesowało, jakie tematy podnosili, z jakimi nie mogli się uporać? Przyjrzyjmy się kto zabierał głos, jak pisał, w jakim tworzywie odcisnął ślad swojej działalności.

Zastrzegam jednak, iż rozważania o krytyce 84 nie będą obiektywne. Nie tylko dlatego, że sam jestem krytykiem. Nie można przecież spokojnie, rzeczowo, racjonalnie opisać wydarzeń trwających: nieskończonych rozmów Beresia z Lemem, artykułów Jarzębskiego będących fragmentami jego kolejnej książki. Dopiero po latach wypowiedzi prasowe

nabiorą właściwego znaczenia: rzeczy zdawałoby się istotne znikną za horyzontem zdarzeń, inne — przypadkiem pominięte — zaczną lśnić blaskiem drogocennych kamieni...

Ale można spróbować. Mamy wszak do czynienia z pewnymi, niekwestionowanymi faktami. „Styczeń — grudzień 1984”. Wyznania ludzi uzurpujących sobie prawo do publicznych wystąpień, rozważań na temat fantastyki naukowej. Wszystko jasne? Niezupełnie. Po pierwsze wiele czasopism ukazuje się z ogromnym opóźnieniem i daty figurujące na okładkach bywają nader mylące. Trzeba na przykład pamiętać, że 10 numer „Przeglądu Humanistycznego” z roku 1983 został wydany w ... styczniu 1985! W opisach chronologicznych będę brał zatem pod uwagę nie tyle zapowiedzi edytorów, co logiczne kryterium praktyki. A teraz sprawa druga: zakres omawianego materiału. Co to jest „fantastyka naukowa” każdy wie, lecz trzeba przyznać, że na to pytanie coraz trudniej dziś odpowiadać. „Podstawowy wyznacznik SF aktualnie jest właściwie jeden, a stanowi go udział w kreowaniu fantastycznej wizji czynnika naukowej czy pseudonaukowej ekstrapolacji” — twierdzi teoretyk gatunku Ryszard Handke (1984), a ja — nie komentując jego wypowiedzi — zapraszam do dyskusji „profesjonalistów” STASZÓW 84’. Zdając się zatem na niewiadomą intuicję czytelników zapowiadam, co następuje. Materiały o krytyce 84’ będę dobierał nader ostrożnie, przytaczając wyłącznie opinie, które rozszerzają wiedzę o gatunku, mówią o jego związkach z innymi nurtami literackimi, zapowiadają nowe rozwiązania. Wyraźnie zaakcentuję podziały hierarchiczne tekstów: ze względu na rodzaj, sposób sformułowania i ujęcia problemu (książki — artykuły — recenzje, przeglądy, omówienia). Istotne będzie miejsce ich publikacji (prace o charakterze naukowym, szkice zamieszczane w czasopismach literackich). Swoją kwerendą obejmuję kilka czołowych miesięczników i

tygodników, które publikują stale teksty krytyczne („Literatura”, „Tygodnik Kulturalny”, „Życie Literackie”, „Miesięcznik Literacki”, „Poezję”, „Odrę”, „Nurt”, „Literaturę na Świecie”, „Przegląd Humanistyczny”, „Ruch literacki”, „Pismo Literacko–Artystyczne”, „Przegląd Tygodniowy”, „Fantastykę”, „Zagadnienia Rodzajów Literackich”). Zjrzę do „Przeglądu Technicznego”, „Problemów”. Parę słów dodam o zbiorowych wystąpieniach krytyków: spotkaniach seminariach, dyskusjach, formach wyróżnień. I to już chyba wszystko. Czas przystąpić do rzeczy.

I. KSIĄŻKI:

Nie rozpieścił nas ten rok, nie zaskoczył — to widać od razu, na wstępie. Otrzymaliśmy jedną książkę (mogło być gorzej), właściwie pracę naukową, nie krytyczną i to w tak minimalnym nakładzie (1700 egzemplarzy), że wydaje się kpina z autentycznych potrzeb odbiorców. **„Powieść fantastyczno–naukowa Stanisława Lema”** — pióra Andrzeja Stoffa (PWN: „Prace Wydziału Filozoficzno–Filologicznego”, tom XXIX, zeszyt 2, Toruń 1983) ukazały się w pierwszych miesiącach roku 1984 i nie opuściły półek specjalistycznych księgarń naukowych. Autora książki nie muszę chyba przedstawiać. Andrzej Stoff, 37 letni literaturoznawca z Torunia, adiunkt Zakładu Teorii Literatury Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, jest postacią znaną w środowisku polskich science fictionerów: jego artykuły, szkice i omówienia ukazywały się w „Przeglądzie Humanistycznym”, „Ruchu Literackim”, „Twórczości”, „Miesięczniku Literackim”. Praca doktorska Stoffa, którą otrzymaliśmy w roku 1984 składa się z czterech rozdziałów prezentujących najważniejsze „odmiany powieściowe” Lema i zarazem charakterystyczne przykłady konwencji science fiction. Rozdział I („Historie przyszłości”)

mówi o futurologicznej wersji gatunku („Astronauta”, „Obłok Magellana”); część II — „W krainie wszechmożliwości” poświęcona jest analizie tak zwanej „gry intelektualnej”, pytaniom o granice poznania i możliwości zrozumienia wszechświata („Eden”, „Powrót z gwiazd”, „Niezwyciężony”). Literacka ilustracja stochastyki dominuje w „Katarze”, „Śledztwie”, „Pamiętniku znalezionym w wannie” — utworach wskazujących na swój naukowy, fizyczno–matematyczny rodowód („Statystyczna wizja świata”). I wreszcie czwarta odmiana prozatorska dotyczy sfabularyzowanej eseistyki („Solaris”, „Głos Pana”), książek poszukujących odpowiedzi na odwieczne pytania egzystencjalne. Warto dodać, iż wspomniany podział cechuje układ chronologiczny: historie przyszłości ukazywały się w latach 1951–1955, utwory z kręgu fantastyki wszechmożliwości 1959–1964, powieści stochastyczne 1959–1974, a filozoficzne uogólnienia w latach 1961 — 1968. Sposób obserwacji, jaki stosuje Soff wydaje się zatem uzasadniony, ponieważ przedstawia twórczość Lema w całej jej rozciągłości. Co ważniejsze, autor książki wielokrotnie utrudnia sobie zadanie podejmując dyskusję na tematy ogólnoteoretyczne (przykładem polemika z głośną tezą Ryszarda Handkego, która zakłada istnienie kategorii „rozdwójonego adresata i narratora SF” — zob. „Polska proza fantastyczno–naukowa. Problemy poetyki”, Wrocław 1969). Cenne jest również i to, że toruński filolog sięga do źródeł definicji fantastyki naukowej: wskazując na wieloznaczność pojęcia „science fiction” przyznaje, że **„bliższy istoty zjawiska byłby może termin fikcja naukowości, gdyby nie ironiczny odcień znaczeniowy przeformułowanej nazwy”**.

Konkluzje Andrzeja Stoffa, poparte systematycznymi analizami formalnymi, sprowadzają się do przywołania tak zwanej „formuły otwartości”, która określa blisko 40–letni dorobek Lema. **„Twórczość tę”** — pisze autor książki —

„cechuje otwarcie na świat, ostrość widzenia i odwaga w podejmowaniu problemów, którymi literatura dotąd się nie zajmowała, a których istnienia i wpływu na współczesną rzeczywistość lekceważyć już nie można”. Otwartość tego pisarstwa, to również szerokość zainteresowań, ustawiczne poszukiwanie nowych rozwiązań literackich, eksperymentowanie na konwencji science fiction, wielopłaszczyznowość poetyki, dialog z odbiorcą, wykorzystanie różnorodnych stylów, bogactwa środków językowych. Książka Andrzeja Stoffa wyjaśnia tym samym popularność utworów Lema funkcjonujących w różnych środowiskach, grupach wiekowych, zawodowych. Szkoda tylko, że autor nie zawsze pamiętał o szerszym kontekście historyczno-literackim, odrzucał bezpośrednią aluzyjność tekstów (np. „Edenu”, „Powrotu z gwiazd”), nie zdołał powiązać pisarstwa Lema z przemianami anglosaskiej SF, które polski fantasta śledził z uwagą i zainteresowaniem (zob. „Fantastyka i futurologia”, 1970).

Ogólnie rzecz biorąc, otrzymaliśmy pracę ciekawą, nieco hermetyczną (ze względu na język i akademicki, filologiczny sposób wykładu), lecz starannie przemyślaną, bardziej ambitną aniżeli dotychczasowe „monografie” problemu („Stanisław Lem” — Piotra Krywaka (PWN, 1974) i „Stanisław Lem” — Ewy Balcerzak (PIW, 1973). Ten fakt wpłynął w sposób istotny na przyznanie książce Andrzeja Stoffa dorocznej nagrody miesięcznika „Fantastyka” w kategorii rozpraw krytyczno-literackich.

II. ARTYKUŁY:

Rok ubiegły nie obfitował w bogactwo rozpraw krytycznych, niemniej kilka wypowiedzi zasługuje na przypomnienie. W styczniowym numerze „Pisma” (1984) jego redaktor i zarazem

kierownik działu krytyki „Życia Literackiego” — Leszek Bugajski zamieścił obszerny esej „**Strategia ślimaka**” dotyczący oblicza młodej prozy lat 1978–1982. W omówieniu znalazła się wzmianka o sytuacji ówczesnej science fiction (A. Wiśniewski–Snerg, M. Oramus, M. Parowski, A. Krzepakowski, W. Żwikiewicz, M. Kurpisz). Komentarz Bugajskiego — rzeczowy, chłodny, może nazbyt lakoniczny — jest zwięzłym zestawieniem faktów i nie pretenduje do wyczerpującej analizy problemu. Szkoda jednak, że literatura fantastyczno–naukowa została wydzielona w osobne getto tematyczne funkcjonujące na peryferiach nowatorskich tendencji i kierunków... częściowo — nie bez słuszności.

Inny charakter nosi artykuł doktora Antoniego Smuszkiewicza — „**Rekwizyt w utworze fantastyczno–naukowym**” zamieszczony w 3 numerze „Fantastyki” (1984). Jest to dobrze uzasadniona, rzeczowa próba rozpoznania związków łączących fantastykę naukową z prozą historyczną, fantastyką grozy, baśnią — ustalająca zasadnicze kryteria jej tożsamości. Powołując się na wypowiedź Ryszarda Handkego głoszącą, iż „redukcja roli wynalazków technicznych do czysto zewnętrznego sztafażu jest w SF nieunikniona” — autor szkicu przyznaje, że w dzisiejszej literaturze przyszłościowej „fantastyczny środek techniczny (rekwizyt właśnie!) z pozycji głównego obiektu zainteresowań (...) przechodzi na plan dalszy i zaczyna być stosowany tak samo, jak każdy inny rekwizyt realny w literaturze niefantastycznej, a więc najczęściej do budowy tła, na którym rozgrywają się zasadnicze konflikty, często te same, odwieczne ludzkie dramaty, ale pokazywane w nowej, odmiennej perspektywie. Owa redukcja roli” — dodaje autor szkicu — „niczego jednak nie zmienia, jeśli chodzi o klasyfikację gatunkową i nadal pozostaje w mocy twierdzenia o konstytutywnej roli tegoż czynnika”.

Trzy kolejne pozycje krytyczne dotyczą twórczości Lema.

Jest to nader wymowne zjawisko: uznani krytycy wolą wciąż inwestować w dorobek niekwestionowanych mistrzów, aniżeli badać gatunek w całej jego rozciągłości stąpając po grząskim gruncie domysłów, hipotez, przypuszczeń. Do istotnych wydarzeń roku należy publikacja całego cyklu wypowiedzi Stanisława Lema zamieszczonych na łamach „Odry” (numer 4/84 i nast.). Partnerem polskiego fantasty jest Stanisław Beres — adiunkt Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego (jego książka, złożona w Wydawnictwie Literackim, czeka na druk). Rozmowy Beresia z Lemem powinny zainteresować każdego miłośnika gatunku. Ujawniają ciekawe, nieznane, zaskakująco obce oblicze autora, weryfikują wiele błędnych domniemań; wskazują na kompleksy, marzenia, utajone projekcje myśli, a co ważniejsze sytuują twórczość Lema na tle powojennego czterdziestolecia (tego kontekstu zabrakło nawet w książce Andrzeja Stoffa: ileż razy będziemy jeszcze powtarzać, że autor „Solaris” należał do „pokolenia Kolumbów”, a czas pogardy dla ideałów człowieka, okres mitów, złudzeń, rozczarowań odcisnął na jego twórczości niezatarte piętno!).

O Lemie pisze również Jerzy Jarzębski — krakowski literaturoznawca, autor „Gry w Gombrowicza”, esejów o Hłasce, Kuśniewiczu. Jego praca („Kosmogonia i konsolacja” w: „Nurt” 1984/12) — stanowiąca fragment większej całości (książka ukaże się najpierw w RFN—nie, później nakładem „Wydawnictwa Literackiego”) — traktuje o filozoficznych aspektach twórczości Lema i zostanie rozszerzona w następnych numerach miesięcznika.

W „serii lemologicznej” warto na koniec odnotować artykuł Jana Lewandowskiego „Golem” dotyczący ostatniej fazy twórczości polskiego fantasty. Zamieszczony na łamach „Tygodnika Kulturalnego” (1984/16) nie powinien stanowić zaskoczenia, jako że Jan Lewandowski, wieloletni publicysta

„Kierunków”, dziennikarz i filolog, celuje w syntetycznych omówieniach gatunku.

A teraz słów kilka o polskiej i światowej historii „romansu naukowego”. W roku 1984 ukazał się, mocno spóźniony, podwójny numer „Przeglądu Humanistycznego” (9–10/1984), poświęcony sylwetce naukowej profesor Janiny Kulczyckiej–Saloni. Wśród zamieszczonych tam tekstów znalazł się referat „**Kilka uwag o scjentyzmie Bolesława Prusa**”, który Janina Kulczycka—Saloni wygłosiła na sesji naukowej zorganizowanej przez Instytut Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego w dniach 19–21 maja 1981 roku („Bolesław Prus. Problemy twórczości i recepcji”). Szkic należy do szczególnie ważnych, ponieważ dotyczy tematów nie opracowanych przez współczesnych literaturoznawców. Na przykładzie wybranych epizodów „Lalki”, fragmentów „Sławy”, „Emancypantek”, „Faraona” — autorka referatu kreśli portret Prusa—filozofa, wyjaśnia genezę jjego zainteresowań scjencyficznych wspominając o ogromnym krytycyzmie pisarza wobec oficjalnych wystąpień ideologicznych. Fascynuje zwłaszcza współczesne, aktualne odczytanie „Faraona”, które określa rolę naukowca w państwie i wskazuje na niezwykłą przenikliwość autora dostrzegającego prawdziwy mechanizm uzależnień pomiędzy wiedzą stosowaną a polityką.

Z dalekiego Egiptu przenieśmy się do Krakowa zaglądając na półki Wydawnictwa Literackiego, które od wielu lat firmuje interesującą serię „Fantastyki i Grozy”. Tym razem chodzi nie tyle o książki, co o sposób ich opracowania. W ubiegłym roku ukazały się dwa postawia, będące w gruncie rzeczy samodzielnymi rozprawkami eseistycznymi: komentarz Stanisława Lema do „**Czarnoksiężnika z Archipelagu**” — U. Le Guin oraz epilog Juliusza Kwydryńskiego do „**Poczwerek**” — J. Wyndhama. Przykładem niezłe opracowanego tekstu jest także reprintowa edycja „**Więźnia na Marsie**” i

„**Niewidzialnych**” — G. Le Rouge (Wyd. Alfa) w zamyśle Stefana Otcetena. A jeśli jesteśmy już przy odgrzebywaniu staroci, wypada wspomnieć, że moda na „pożółkłe kartki” nie ominęła nawet „Kobiety i Życia”. W 3 numerze z roku 1984 Róża Holzman pisze o prekursorach science fiction nawiązując do XVIII-wiecznych, literackich podróży w Kosmos („**Przeprowadzka na wyspy latające**”).

Rok 1984 przyniósł kilka obiecujących debiutów krytycznych. Na łamach „Fantastyki” artykuł o prozie Cortazara zamieścił iberysta Uniwersytetu Warszawskiego — dr Adam Elbanowski (7/84 — „**Cortazar i jego fantastyka**”). Absolwentka polonistyki — Grażyna Lasoń, jedna z nielicznych „specjalistek” od współczesnej baśni literackiej, opublikowała obszerne fragmenty swojej pracy magisterskiej („Baśń a fantazy. Podobieństwa i różnice” — również „Fantastyka” 9/84). I wreszcie doktorantka Uniwersytetu Śląskiego — Jolanta Tambor zadebiutowała interesującym, bogato udokumentowanym szkicem „**O roli nauki i techniki w SF**” w 46 numerze „Przeglądu Technicznego”.

III. RECENZJE:

Mimo iż oczy całego świata (proszę wybaczyć tę złośliwość) były zwrócone ku czasopismu „Fantastyka”, palma pierwszeństwa należy się bezsprzecznie Markowi Oramusowi, autorowi „Sennych zwycięzców” (1983), który z godnym podziwu rozmachem przystąpił do niszczenia bieżącej produkcji wydawniczej. Pięciogwiazdkowy recenzent „Przeglądu Technicznego” w kilkudziesięciu wystąpieniach krytycznych rozprawił się skutecznie z polską (Lem, Zajdel etc.) i obcojęzyczną fantazją naukową (Strugaccy, Wyndham, Bester, Bielajew itp.), nie oszczędzając nawet książek tak zwanego „pogranicza” (Kipling, Eliade, Berlitz i Moore). Za

ostre pióro, wstręt do fałszerstwa, lipy, bałagamarstwa, systematyczną walkę w obronie niekwestionowanych wartości SF (w których istnienie powątpiewa Oramus coraz skuteczniej) — redakcja „Fantastyki” obdarzyła go mianem najciekawszego krytyka roku 84’.

Tytanem pracy okazał się również Maciej Parowski, autor dziewięciu recenzji literackich i filmowych zamieszczanych na łamach „Fantastyki” (Levi, Poe, Machulski, Zajdel, Zimniak, Białczyński, Compton, Chruszcze—wski, Koziński) niekiedy miażdżących i przypierających do muru, żonglujących analogiami, dosadnych w warstwie językowej. Leszek Bugajski oceniał bieżącą produkcję literacką z dystansem i pobłażliwością, udzielając hojnie rozgrzeszeń i odpustów (Eliade, Le Guin, Lem, Strugaccy, Hearn, Bielajew, Playfar i Hiil: relacje z lektur SF zamieszczał także w rubryce „Między książkami” w „Życiu Literackim”). Dwaj autorzy: Sławomir Kędzierski i Krzysztof Sokołowski rozszerzyli listę polskich książek o bestsellery zagraniczne: Aldissa („Heliconię Spring”), F. Herberta („Dune”), Jakubowskiego i Edwardsa („Fantasy list”) oraz Asimova („Foundations Edge”) — całość zob. „Fantastyka”. Prozą łacynowską zajęła się — jak zwykle — warszawska iberystka Dorota Walasek („Micunaima” — Mario de Andrade; „Salamandra” — P. Berroeta; w: „Fantastyka” 4 i 9/84).

Autorów pojedynczych recenzji było już znacznie więcej. W „Nowych Książkach” znalazły się prace Zenony Macużanki („**Sposób na uklasyczenie współczesnych**”, 5/84) i Tomasza Wącha („**Życie wśród obcych planet**”) rec. z książek: A. Hollanka, A. Trepki i Z Prostaka, (8/84). Tu też odkrywamy ciekawą wypowiedź docenta Andrzeja Zgorzelskiego (autora książki: „Fantastyka—utopia—science fiction”, 1980) dotyczącą „**Tragicznych krajobrazów Ballarda**” (11/83 — ukaz. się: 1984). W „Miesięczniku Literackim” recenzję z książki J.

Grundkowskiego — „Annapolis, miasto moich snów” zamieścił Andrzej Stoff (4/84), a o „Prowokacji” — Stanisława Lema pisał Bronisław Treger (w:) „Sprawy i Ludzie”, 19/84. Krakowski astronom, pisarz i krytyk SF — Zbigniew Dworak omówił książkę K. Brokera — „Kosmolot i czółno” przełożoną przez Lecha Jęczmyka („Fantastyka” 5/84). Warto też odnotować przychylną wypowiedź Marka Wydmucha — warszawskiego germanisty, autora „Gry ze strachem”, dotyczącą reprintowych edycji „Dawnych Fantazji Naukowych” Wydawnictw „Alfa” (zob. „Kobieta i Życie”, 10/84).

W periodykach o charakterze naukowym znalazłem recenzję pióra Jadwigi Węgrodzkiej z Gdańska streszczającą w języku angielskim książkę Antpniego Smuszkiewicza „Stereotyp tabularny fantastyki naukowej” (zob. „Zagadnienia Rodzajów Literackich”, tom XXVI, zes. 1/51). Decyduję się o niej wspomnieć, ponieważ łódzki kwartalnik rozchodzi się w kilku językach i dociera do wielu europejskich ośrodków akademickich.

Summa summarum: niewielkie grono krytyków oceniło całą niemalże produkcję literacką. Skromna to była produkcja: nic też dziwnego, że wybitnym zoilom zaczynało brakować tematów (zob. Oramus, Parowski). Niektóre książki omówione zostały dwu-, a nawet trzykrotnie (tak było z „Prowokacją”

— Lema). Jeśli idzie o dane statystyczne: najwięcej recenzji ukazało się w „Fantastyce” i „Przeglądzie Technicznym”, później w „Nowych Książkach”, „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”... Podnoszono kwestię polityki wydawniczej, spadku zainteresowań literaturą fantastyczno-naukową po przejściowym ożywieniu w latach 1981 — 1982. Niepokojące objawy stagnacji przy nieumiejętnym doborze pozycji przekładowych, inwestowaniu w sprawdzone, mocno zdezaktualizowane wznowienia spędzają sen z oczu wielu

krytykom science fiction.

IV. IMPREZY — Dyskusje — Nagrody:

Ważnym motywem życia literackiego są spotkania pisarzy z czytelnikami zmuszające do publicznego zaprezentowania swojej twórczości, wyjścia poza pracownię, biblioteki, warsztaty. Również krytycy powinni dążyć do tego typu spotkań w celu konfrontacji poglądów, wymiany myśli, perspektywicznego spojrzenia na dyscyplinę, jaką się zajmują. Okazją do takiego zebrania były ubiegłoroczne „Dni Fantastyki” zorganizowane w Golejowie koło Staszowa w dniach 4–7 października 1984 r., z inicjatywy redakcji „Fantastyki”, „Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki”, Wydziału Kultury i Sztuki UW w Tarnobrzegu oraz „Klubu Miłośników Fantastyki PSMF przy Staszowskim Domu Kultury”. W bogatym, różnorodnym programie imprez znalazło się miejsce na seminarium krytyczne prowadzone pod hasłem „Polska fantastyka naukowa w czterdziestoleciu: problemy teorii i historii gatunku”. Dorobek seminarium należy ocenić wysoko. Było to bez mała — po wielu latach zastoju, bałaganu — spotkanie przełomowe, nawiązujące do tradycji pamiętnych zjazdów poznańskich lat siedemdziesiątych. Po raz pierwszy w historii powojennego czterdziestolecia udało się zgromadzić taką liczbę profesjonalistów (15 osób: wykładowców uniwersyteckich, dziennikarzy, przedstawicieli radia i telewizji), co świadczy pośrednio o zwiększonym zainteresowaniu gatunkiem. Referaty wygłosili m.in.: doc. dr hab Ryszard Handke (Kierownik Zakładu Metodyki i Teorii lektury Wydziału Filologii Polskiej UW): „Science fiction. W poszukiwaniu tożsamości gatunku”; dr Antoni Smuszkiewicz z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu („W kręgu

współczesnej utopii”); dr Piotr Krywak — adiunkt Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego („Polska fantastyka naukowa w latach 1949–1956) oraz redaktorzy: Leszek Bugajski („Literatura SF wobec przemian czterdziestolecia”); Maciej Parowski („Czwarta generacja w polskiej SF”).

Zainteresowanych treścią wystąpień odsyłam do wczesnych numerów „Fantastyki” z roku 1985, gdzie zostały przedstawione w skróconej formie. Warto jednak dodać, że w wypowiedziach zaproszonych gości zarysowało się wiele nowych kwestii metodologicznych, konieczność specjalizacji we—wnątrzgatunkowej, dążenie do wyraźnego rozszerzania granic SF, przecucie ogromnych, nieuświadomianych jeszcze zmian, jakie przeżyła polska literatura na drodze od „trylogii książkowej” Jerzego Żuławskiego do filozoficznych refleksji Stanisława Lema.

W wielogodzinnej dyskusji seminaryjnej podczas staszowskiej imprezy teoretycy i krytycy gatunku usiłowali nakreślić kierunki przemian powojennej literatury fantastyczno—naukowej. Wzięli w niej udział: Adam Hollanek (red. naczelny „Fantastyki”), doc. R. Handke, dr A. Smuszkiewicz, red. L. Bugajski i red. M. Parowski.

Jeśli jesteśmy już przy dyskusjach, warto zwrócić uwagę, że w kwietniowym numerze „Fantastyki” ukazała się — mocno spóźniona — relacja ze spotkania krytyków w Dzierżoniowie (rok 1983). Sprawozdanie oddaje dobrze trudności, z jakimi przychodzi się borykać współczesnym profesjonalistom, wyznacza zadania na przyszłość i ocenia rzeczy już zrealizowane. Redaktorzy „Fantastyki” wypowiedzieli się także na łamach styczniowego numeru „Radaru” (L. Bugajski, M. Makowski, M. Parowski, M. Rostocki).

Trzeba na koniec odnotować, iż w ubiegłym roku została po raz pierwszy przyznana nagroda „Fantastyki” w kategorii prac

krytycznych. Otrzymali ją: Andrzej Stoff, Leszek Bugajski (za tom szkiców: „Spotkania drugiego stopnia”, KAW, 1983) oraz Marek Oramus.

Podsumowując: w polskiej krytyce gatunku nie był to rok najgorszy — bogaty w inicjatywy, owocujący ciekawymi tekstami, ugruntowujący dorobek znanych autorów. Rok nadziei i oczekiwań, zapowiadający konfrontację poglądów, sygnalizujący fragmenty interesujących pozycji książkowych. Jeśli sięgnąć pamięcią wstecz, przygotowywały go lata poprzednie: rejestracja PSMF-u (1981), wydanie „Zaczarowanej gry” (1982) — A. Smuszkiewicza, powstanie „Fantastyki” (1982), spotkanie w Dzierżonowie (1983). Ale — z drugiej strony — nie wpadajmy w przesadę, mogło być znacznie lepiej. Karuzela krytyki kręciła się wokół utytułowanego miesięcznika „Fantastyka” (Nagroda Eurocontu VIII dla najlepiej redagowanego, profesjonalnego czasopisma SF w Europie). Seminarium staszowskie, wyróżnienia za rok 1983, kilkadziesiąt recenzji, poszukiwanie nowych twarzy w dziedzinie krytyki: widać wyraźnie czym staje się to pismo w życiu literackim kraju — ośrodkiem inspirującym, pretendującym do narzucania swojej opinii; organem niezwykle ważnym, ale obciążonym ogromną odpowiedzialnością, nazbyt często ulegającym czytelnikom, niebezpieczeństwom łatwizny, sklasyfikowania, popularyzacji. To prawda, że w roku 84’ (głównie za sprawą „Fantastyki”) zrecenzowano czołówkę utworów SF, że krytyka była bardziej odważna, stanowcza, ostrzejsza aniżeli rok wcześniej (tylko nieliczne książki zyskały aprobatę profesjonalistów: U. Le Guin i jej „Czarnoksiężnik z Archipelagu”; Wyndham i „Poczwarki”). O merytorycznej randze krytyki decyduje jednak nie ilość, ale jakość tekstów, umiejętność selekcji, autoanalizy, sztuka informowania — innymi słowy jej społeczna przydatność. Wypada zatem zapytać w imię jakiego programu dokonywano ocen i

przewartościowań? Każda krytyka spełnia przecież kilka podstawowych funkcji: poznaje i selekcjonuje bieżący dorobek autorski, kontroluje sprawność swoich narzędzi i poznawszy, ocenia współczesną i dawną produkcję literacką, projektuje literaturę przyszłą. Tymczasem — powiedzmy to sobie szczerze — polska krytyka SF, nawet w części nie wykorzystała swoich możliwości. Dominowała ocena felietonowa, dobór tematów był dość przypadkowy. Na drugim planie znalazła się krytyka syntetyczna, trudna, przekrojowa, przewartościowująca klasykę, ujawniająca nieznaną kartę naszej fantazji, przerzucająca mosty między przeszłością a teraźniejszością. Przeważała krytyka usługowa, selekcjonująca, chociaż nawet i ona traciła niekiedy rację bytu. Recenzje prasowe ukazujące się w kilkanaście tygodni po wydaniu książki były rodzajem dokumentacji, martwym katalogowaniem zabytków, a nagrody stawały się „naznaczeniem” książek i ich autorów.

Z małymi wreszcie wyjątkami nie było w polskiej krytyce gatunku wybitnych indywidualności, osobowości, autorytetów. Działali tylko mniej lub bardziej sprawni felietoniści, dziennikarze błyszczący tu i ówdzie dowcipem (mowa o krytyce prasowej) skrupowani różnymi układami, tłumaczący wiernym kibicom, że na więcej nie mogą sobie pozwolić. To prawda, krytyka polska nie darzona jest sentymentem, ale krytyka, która nie umie poradzić sobie z przeciwnościami broni tylko spraw istniejących, rezygnuje z walki o przyszły wizerunek literatury. Nie muszę chyba nikogo przekonywać, jaką wagę ma ustalenie programu odwołującego się do zbiorowej świadomości czytelników w czasach, kiedy obrona podstawowych wartości jest głównym imperatywem krytyki. Niepokoi fakt, iż grupa zawodowych krytyków umacnia się w swoich okopach recenzując wyłącznie literaturę SF i oczekując aplauzu od jej miłośników. Nauczyciele akademicki, flirtujący z fantastyką naukową analizują ją, co prawda, ze śmiertelną

powagą, ale ograniczają się do zbierania samej śmietanki gatunku (Lem!), co nie grozi kompromitacją, osłabieniem prestiżu zawodowego, wyszczerbieniem precyzyjnych narzędzi opisu. Zapomina się o twierdzeniu Richarda Hoggarta, iż „wszystko, co artystycznie ciekawe, nowatorskie powstaje dzisiaj w sferze literatury popularnej”. W czasopismach literackich hasło „fantastyka” funkcjonuje wciąż na zasadzie deseru do obiadu, bez którego można się obyć (dowodły tego „święteczne”, „lekkie, łatwe i przyjemne” numery „Pisma L-A”, „Życia Literackiego”, „Nurtu”, „Radaru”, „Tygodnika Kulturalnego”,...).

No cóż — uprzedzałem, że nie będę wystawiał laurek. Krytyka roku 1984 prezentuje się nader bogato. W zasadzie spełnia też wszystkie swoje funkcje. Ale realizacja tych funkcji wciąż nie zadowala. A może czas prawdziwej krytyki jeszcze nie nadszedł?

ANEKS:

Publikacje Andrzeja Niewiadowskiego w roku 1984
(fantastyka naukowa—utopia—fantastyka)

I. ARTYKUŁY:

1. Szansa samookreślenia (o twórczości S. Lema) w: „Miesięcznik Literacki” 10/83 (ukazał się: marzec 1984);
2. Tradycje fantastyki naukowej w literaturze polskiej w: „Pismo Literacko—Artystyczne”, 12/84;
3. Słowiańska science fiction w: „Życie Literackie” 34/84; (tłumaczenia zagraniczne:)
4. „Auseinandersetzun mit der Utopie” („Rozrachunek z utopią” — o twórczości Jerzego Żuławskiego), w „Quarber Merkur”, Nr 61/Juli 84;

II. SZKICE — PRZEGLĄDY — OMÓWIENIA:

1. Omówienia problemowe na łamach „Fantastyki”: „Fantastyka w czterdziestoleciu” (7/84); „Fantasy” (9/84); „Fantastyka naszych sąsiadów” (11/84); „Cortazar” (7/84);
2. Poezja i fantastyka (przeeglądy:) „Lustrzany tunel marzeń” (B. Leśmian) w: „Fantastyka”, 1/84; „Ja wybierając los mój — wybrałem szaleństwo” (T. Miciński) w: „Fantastyka” 9/84;

III. SŁOWNIK POLSKICH AUTORÓW FANTASTYKI

Informacje biobibliograficzne, opracowanie redakcyjne tekstów literackich (tzw. poźółkle kartki):

R. Głowacki, A. Gnatowski, F. Goetel, R. Malczewski, S. Grabiński, W. Gombrowicz, L. Gomolicki, Z. Górecki, G.

Górska, A. Groza, K. Grzy—bowska, W. Gutkowski, R. Hanę, A. Hollanek, J. Hulewicz, J. Huskowski, R. Hussarski;

IV. RECENZJE

1. „Historia polskiej science fiction” (rec. z książki A. Smuszkiewicza — „Zaczarowana gra” w: „Przegląd Humanistyczny”, 8/83 — ukaz. się 1984);

2. „W kręgu powieści Stanisława Lema” (rec. z książki A. Stoffa — „Powieści fantastyczno—naukowe S. Lema” w: „Życie Literackie” 25/84);

3. „Lema wykładnia hitleryzmu” w: „Życie Literackie” 12/84;

Pozostałe recenzje na łamach „Fantastyki”: „Ph. Lovecraft” — „Zew i Cthulu” (1); „L. Bugajski — „Spotkania drugiego stopnia” (2); „J. Zajdel — „Wyjście z cienia” (3); L. Gomolicki — „Terapia przestrzenna” (4); W. Majakowski — „Pluskwa” (6); T. Kroeber — „Ninawa. Legendy indiańskie”. (8); T. Markowski — „Pajęczyna. Po drugiej stronie Księżyca” (10); G. Le Rouge — „Niewidzialni. Więzień na Marsie” (12);

— Informacje o książkach: Z. Prostack — „Planeta zielonych widm”; M. Baterowicz — „Pułapka pod Księżycem”; A. Trepka — „Końcówka”; L. Bartys — „Wizjoner czy fantasta”;

V. SEMINARIA KRYTYCZNE:

Organizacja seminarium krytycznego: „Polska fantastyka naukowa. Problemy teorii i historii gatunku” (Staszów 84’); Referat inauguracyjny: „Historia polskiej science fiction” i prowadzenie seminarium;

Opracowanie informatora: „Polska literatura fantastyczno—naukowa” (Wyd. PSMF, nakł. 1000 egz.);

ZŁOTE SEPULKI

1983–1984

W plebiscycie ogłoszonym przez Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki wzięło udział 513 osób. Po obliczeniu wyników postanowiono przyznać „Złote Sepulki” zdobywcom pierwszego miejsca w każdej z kategorii:

NAJLEPSZA KSIĄŻKA AUTORA POLSKIEGO

- 1) Janusz A. Zajdel: Wyjście z cienia (Czytelnik) — 312 pkt.
- 2) Marcin Wolski: Numer (KAW) — 77 pkt.
- 3) Janusz A. Zajdel: Cała prawda o planecie Ksi (KAW) — 39 pkt.

NAJLEPSZA KSIĄŻKA AUTORA ZAGRANICZNEGO

- 1) Urszula K. Le Guin: Czarnoksiężnik z archipelagu (WL) — 179 pkt.
- 2) A. i B. Strugaccy: Miliard lat przed końcem świata (Iskry) — 134 pkt.
- 3) K. Vonnegut Jr.: Syreny z Tytana (Czytelnik) — 101 pkt.

NAJLEPSZE OPOWIADANIE AUTORA POLSKIEGO

- 1) Marek Baraniecki: Wynajęty człowiek („Fantastyka” 6/84) — 209 pkt.
- 2) Marek Oramus: Kwadrofoniczne delirium tremens („Problemy” 2/84) — 111 pkt.
- 3) Andrzej Zimniak: List z Dune („Fantastyka” 1/84) — 89 pkt.

NAJLEPSZA SERIA WYDAWNICZA

- 1) Seria „Fantastyki i grozy” Wydawnictwa Literackiego w Krakowie — 233 pkt.
- 2) Seria „Fantastyka–Przygoda” Państwowego Wydawnictwa

- „Iskry w Warszawie — 189 pkt.
3) Seria „Z kosmonautą” Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”
w Warszawie — 103 pkt.

NAJLEPSZY DEBIUT

- 1) Marek Baraniecki za opowiadania opublikowane w „Fantastyce” — 201 pkt.
- 2) Jacek Piekara za opowiadania opublikowane w „Fantastyce” i w „Problemach” — 150 pkt.
- 3) Feliks W. Kres za opowiadanie „Mag” opublikowane w „Fantastyce” 11–12/83 — 98 pkt.

NAJLEPSZY POLSKI PROPAGATOR LITERATURY FANTASTYCZNEJ

- 1) Redakcja miesięcznika kulturalno—krytycznego „Fantastyka” — 301 pkt.
- 2) Redaktor „Złoty kartek” miesięcznika popularnonaukowego „Problemy” — 95 pkt.
- 3) Redakcja SF Państwowego Wydawnictwa „Iskry” w Warszawie — 56 pkt.